

Cate Kendall

**Dziewczyny od Versace**

*Wyliego Easthope, 3 XI 1967 – 2 XII 2008.*

*Niezwykłego człowieka – LB*

*Dla moich „siostr z wyboru” Tracey Caulfield*

*i Katriny Hardman – MH*

## Prolog 1980

BELLA-RENE!

Krzyk matki odbił się echem od typowej na podwórkach australijskich domów obrotowej suszarki na bieliznę i uderzył w uszy Belli kryjącej się w domku na drzewie. Obserwowała krowy pasące się sennie na wybiegu.

Szybko zsunęła się po pniu i pobiegła w kierunku domu. Czego może teraz chcieć?

Drugie śniadanie zjedzone, wszystko uprzątnięte i jeszcze ładnych parę godzin, zanim trzeba będzie przygotować stół do obiadu.

Drzwi z brudną moskitierą zatrzasnęły się za nią, kiedy weszła do kuchni, ciemnej pomimo jasnego dnia, z utrzymującym się w środku zapachem tłuszczu.

– Tak, mamó?

Marlena Walker zerknęła znad płyty pieca na swoje najstarsze dziecko.

– Jezu, dziewczyno, ile razy ci mówiłam, żebyś nie nosiła po domu najlepszej sukienki? Doprowadzisz się do upadku, jeśli nie przestaniesz myśleć, że jesteś lepsza od nas wszystkich. Fanaberie, dziewczyno, fanaberie.

Kazanie Marleny zostało gwałtownie przerwane atakiem suchego kaszlu. Kontynuowała, wycierając kąciaki ust rąbkiem flanelowej koszuli.

– Przypilnuj dzieci, idę do pubu po ojca. I wrzucić wołowinę, jak woda w rondlu się zagrzeje, dobrze? – dodała, wkładając zielony sweter z akrylu i otwierając drzwi od podwórza.

Bella miała sprawdzić, co robi młodsza siostra, ale jej uwagę przyciągnęły krzyki i piski dobiegające z pokoju chłopców. Przykazała Craigowi, Travisowi i Keithowi, żeby przenieśli się z zapasami na podwórko i szła przez pozostałe pomieszczenia

drewnianego domu, wołając:

– Sera? Serandipity? Gdzie jesteś?

Skierowała kroki z powrotem do zaparowanej kuchni, gdzie rondel buzował już na starym piecu.

– Tu jesteś, łobuziaku! – Głos Belli zamarł, a świat wokół zawirował.

Sera, wspinając się na krzesło, żeby sięgnąć po ukochaną lalkę leżącą na zagraconym okapie nad piecem, wydawała się poruszać jak we śnie. Bella nie zdołała jej dosięgnąć.

Za późno!

Widziała, co się wydarzy. Obraz wielokrotnie przesunął się przed jej oczami w ciągu tych paru sekund, zanim stał się rzeczywistością. Usłyszała swój krzyk połączony z krzykiem Sery, kiedy pulchna stópka dziecka zahaczyła o rączkę rondla, a wrząca woda wylała się na jej prawą nogę.

1  
2009

Mikrocząsteczki aktywnych składników Capture Ultimate Wrinke Restoring Serum wnikają głęboko w pory, wygładzając i odmładzając skórę. To jeden z moich ulubionych produktów tej serii. Nazywamy go turbodoładowaczem – zakończyła Sera ze szczerym uśmiechem.

– A dla pani delikatnej skóry – kontynuowała, zwracając się profesjonalnie do klientki z rumianą cerą – zaproponowałabym Diorskin Forever, który został stworzony w oparciu o nanotechnologię.

Trzydziestoparoletnia recepcjonistka medyczna nosząca praktyczne buty i kosmetyki z supermarketu spijała słowa z jej ust.

– Fluid Diorskin Forever ma niewidoczną nanosiateczkę mikromolekuł, która pozwala zachować piękno nawet w najmniej sprzyjających warunkach. – Sera wstrzymała oddech w zachwycie nad tym kosmetycznym cudem.

W ciągu piętnastu minut recepcjonistka wzbogaciła się o serum, fluid, róż i krem na noc mający zredukować podstępne oznaki starzenia. Wyszła promienna, z obietnicą poprawienia urody.

Sera westchnęła z satysfakcją. Kochała pracę w stoisku z kosmetykami Diora w domu handlowym David Jones, bo wierzyła w swoje produkty i była zachwycona, kiedy mogła nieść w świat ewangelię tej marki.

Mimo to postanowiła poświęcić przerwę śniadaniową na obchód innych stoisk z kosmetykami.

W ten sposób znikła spora część jej dochodów z pracy na niepełny etat. Choć mając pod opieką dwoje dzieci, męża i teściową, doszła do wniosku, że w pełni zasługuje na kosmetykowe szaleństwo.

– Cześć, Lucille – rzuciła, przeglądając ofertę Clinique. –

Macie coś nowego?

– Kochanie, wiesz, że zawsze pierwszej daję ci znać – uśmiechnęła się Lucille. – Jak się sprawdził Turnaround Concentrate?

– Całkiem niezły. – Sera zmarszczyła brwi, bezwiednie przesuwając dłonią po pokrytym bliznami udzie. – Ale chciałabym wiedzieć, co będzie następne.

Lucille sięgnęła pod ladę.

– Wydaje mi się, że jeszcze nie próbowałaś naszego Continous Rescue Antioxidant Moisturiser.

To błyskawicznie obudziło zainteresowanie Sery, która pochylała się teraz z wdzięcznością nad kontuarem, podczas gdy Lucille wklepywała w jej dłoń kilka cennych kropli srebrzystego płynu. Był delikatnie jedwabisty i skuteczny, jej skóra stała się bardziej lśniąca i gładza niż parę sekund temu.

– Lucille, jest cudowny. Już czuję, że działa.

– Prawda, że wspaniały? Myślałam, że ci go pokazywałam. Zwiększa produkcję kolagenu, a silne molekuly odżywiają i regenerują zniszczone warstwy naskórka...

Sera ledwie słyszała jej głos, zamknięta w znajomej bańce nadziei i oczekiwań. Może to będzie ten krem. Może ten będzie działał.

Już tyle razy przeżywała taką ekscytację i zawsze kończyło się to rozczarowaniem i poczuciem wyrzucania pieniędzy. Bella wyśmiałaby ją za wiarę w kolejny nieprawdopodobny cud. Zdała sobie sprawę, że od kilku tygodni nie widziała siostry i przepełniło ją uczucie smutku zmieszanego ze złością.

Lata, które wraz z Bellą spędziła jako stewardesa, przemierzając kulę ziemską, były pełne emocji i nowych doświadczeń. Ich dorosłe życie zaczęło się dokładnie tak, jak wymyśliły to w ciasnym pokoju dziecięcym domu w Mole Creek. Bella oklejała wtedy ściany stronami modowych pism wyciągniętych ze śmietników w lepszych dzielnicach. Obiecywały jaśniejszy, pełen blichtru, elegancki świat. Mimo najlepszych starań niewiele mogły zrobić, żeby przemienić sfatygowane

ubrania z drugiej ręki lub kupione na sklepowych wyprzedażach w cokolwiek, co przypominałoby modne ciuchy ze lśniących stron magazynów. Versace, z nieco krzykliwym stylem, stał się marką ich marzeń, sekretnym szyfrem do lepszego życia.

I stało się. Najpierw Bella, potem Sera uciekły z nudnego jak pomyje Mole Creek i zaczęły pracę w liniach lotniczych Air Australia. Wkrótce kupowały prawdziwe Versace w Paryżu, sączyły koktajle w Pradze, polowały na przeceny w londyńskim Burberry, na ekscentryczne dodatki we Włoszech i na La Prairie w Szwajcarii.

Manipulowały harmonogramem pracy, błagały i płaszczyły się przed kolegami, żeby przesunąć zmiany tak, aby nierozłączne siostry mogły razem latać albo przynajmniej lądować w tych samych miastach. Ich światowe uciechy trwały nawet wtedy, gdy Bella poślubiła przystojnego pilota, Curtisa.

Aż w końcu Sera spotkała Tony'ego i szczęśliwa zamieniła podróż na życie rodzinne. Spodziewała się też tego po Belli, ale starsza siostra, ku jej zdziwieniu, nie rozstała się z efektownym światkiem.

Wracając do rzeczywistości, Sera spojrzała na grzbiet swojej dłoni. Była pewna, że skóra wygląda młodziej i bardziej świeżo.

– Jaka jest największa pojemność, Lucille? – spytała.

– Może weź pięciomililitrową próbkę i sprawdź, czy ci odpowiada? – zaoferowała Lucille.

Sera odsunęła flakonik na bok.

– Nie starczyłoby mi na całą... twarz – zająknęła się zaczerwieniona. – To serum wydaje się idealne. Wezmę największe.

– To twoja wypłata. – Lucille wzruszyła ramionami.

– Podrzucę ci pieniądze, jak skończę zmianę. – Spieszyła się już do pracy. – A właśnie, ile to kosztuje?

– Sto siedemdziesiąt pięć dolarów, złotko – odpowiedziała Lucille. – Policzyć ci na firmową kartę?

Bella ledwo szła. Jej plecy dziwnie się wychylały, a duże palce u stóp zdrętwiały. Ale ani myślała godzić się na to, by ból powodowany przez niesamowicie opiętą ołówkową spódnicę czy szpilki uciskające palce zepsuł jej zabójczy wygląd.

Kiedy przemierzała terminal, jej figura modelki odciągała oczy zmęczonych podróżą pasażerów od przeglądanych gazet i książek kupionych w lotniskowym kiosku. Niewysoka blondynka z nieskazitelnym blond koczkim i w przylegającym do ciała czekoladowym mundurku przyciągała pełne podziwu spojrzenia unoszącą się wokół aurą pewności siebie.

Zdusiła ziewnięcie. Lot, który właśnie zakończyła, był strasznie nudny, ale teraz czas na The Grove, jej ulubione miejsce zakupów w Los Angeles. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Bella zjeździła wszystkie dzielnice LA, a skrupulatne badania potwierdziły, że z pięćdziesięcioma najlepszymi butikami pod designerskim dachem The Grove, najnowsza zakupowa mekka jest miejscem, gdzie na pewno znajdzie wystrzałową kreację na dzisiejszy wieczór.

Dołączając do kolegów w tranzytowym busie, bezpiecznie umieściła torbę pod siedzeniem poprzedzającego fotela (siła przyzwyczajenia) i po raz czwarty od zejścia z pokładu rzuciła okiem na roleksa. Wciąż był. Odfajkowane. Zatarła ręce i sprawdziła manikiur. Idealny. Oddaliła dłoń i znów zbliżyła. Wciąż idealny. Przesunęła ręką po włosach. „Gładkie”, westchnęła z zadowoleniem.

Godzinę później rozpakowała rzeczy w pokoju hotelowym, wskoczyła w dzinsy Paige, espadrille, turkusowy top z gniecionego jedwabiu i wyszła w zanieczyszczone powietrze centrum Los Angeles.

The Grove jak zwykle było zatłoczone, lecz Bella była mistrzynią w forsowaniu tłumu gapiowatych turystów i



wałęających się tubylców. Zaczęła od Abercrombie & Fitch, gdzie z radością odkryła, że szary został ogłoszony nowym czarnym tego sezonu. Zdecydowała się na pasek, džinsy i przezroczysty kropkowany top (oczywiście w szarościach) na jutrzejszy brunch.

Drugi punkt na liście to Victoria's Secret – potrzebowała nowego biustonosza w kolorze kawy, wzięła też czarny z satyny. Kolejną upojną godzinę spędziła w butik Michaela Kors'a, gdzie kupiła prostą koktajlową sukienkę, do tego ręcznie robioną, zdobioną dżetami wieczorową torebkę i wieczorowe sandały do kompletu. Głęboko westchnęła, gdy ekspedientka pakowała jej zakupy. Komponujące się dodatki sprawiały, że świat nabierał większego sensu.

Jej wzrok przyciągnęła prosta biała koszula w oknie wystawowym Gapa. Dokładnie w stylu, w którym Sera ubierała się do pracy. Bella przechyliła głowę na bok. „Tak, idealna”, pomyślała. Podobałaby się siostrze.

Wybrała pięć koszul i zatrzymała się, zanim dotarła do kasy. Znowu to robi. Znow jej matkuje. Na Boga, kiedy wreszcie przestanie się martwić Serą. Jej siostra ma trzydzieści sześć lat, męża i dwoje dzieci, a Bella wciąż nie może przestać się o nią troszczyć. To jedna z przyczyn, dla których opuściła większość wieczornych spotkań grupy Szale i żale, na które zapraszała ją Sera. Kółko dziewiarskie było zabawne, ale najwyższy czas, żeby jej młodsza siostra znalazła własny krąg przyjaciół. Bella wiedziała, że Sera rozpaczliwie pragnie jej obecności, ale była zdecydowana realizować swój plan brutalnej miłości. Kupowanie siostrze ciuchów do pracy raczej nie było częścią tego planu.

Bella głaskała miękką tkaninę, bijąc się z myślami. Wróciła pamięcią do lat dziecięcych, na drugim krańcu świata i lata świetlne od przepychu ekskluzywnego centrum handlowego. Nie, żeby miała za dużo z tego dzieciństwa; głównie zajmowała się trzema hałaśliwymi młodszymi braćmi i małą siostrzyczką.

Ich ojciec, gburowaty mężczyzna, który rzadko się do nich odzywał, po ciężkim dniu pozyskiwania i zwózki drewna oddawał się przyjemnościom w pubie. Ożenił się z ich matką, Marleną,

kiedy oznajmiła mu, że jest w trzecim miesiącu ciąży, co przecież wcale nie znaczyło, że musi spędzić resztę życia w jej żalostnej obecności. Marlena nie miała zamiaru godzić się na to, żeby jego kwaśna mina rujnowała jej dni, więc szukała pociechy i zabawy wśród pomocników na sąsiedniej farmie. A ciche noce zawsze można było wypełnić grą w bingo.

Bella była dobrą matką zastępczą. Gotowała mięso i obierała ziemniaki, żeby przyrządzić dzieciakom posiłki, wyprawiała je do szkoły, pilnowała, żeby przynieść pranie z ogrodu i żeby chłopcy wrócili do domu, zanim się ściemni. Opieka nad braćmi była zadaniem wyczerpującym, lecz prostym, trochę jak prowadzenie zoo. Bellę martwiła Serandipity, najmłodsza z rodzeństwa.

Siostra otrzymała imię od nazwy pobliskiego miasta Serandipity, gdzie Marlena trafiła największą wygraną w bingo. Niestety znajomość liter, którą odznaczała się ich matka, skazała Serandipity na dożywotnie tłumaczenia i poprawianie swojego imienia.

Bella właściwie miała na imię Bella-Rene, co było jednocześnie ukłonem w stronę ciotki Marleny, Rene, i wspomnieniem miesiąca miodowego rodziców spędzonego na krążeniu po lokalach z automatami do gry na półwyspie Bellarine w stanie Victoria. Gdy Bella miała piętnaście lat, skróciła swoje imię i zatwierdziła to w urzędzie, odmówiła też zwracania się do siostry inaczej niż Sera. Niedbałość, z jaką matka przeliterowała imię swojej młodszej córki, określiło również sposób, w jaki miały rozwinąć się ich stosunki. Marlena nigdy nie poświęcała dziecku specjalnej troski. W konsekwencji Sera przykleiła się do Belli od chwili, gdy zaczęła stawiać pierwsze kroki. Przybiegała do niej z wiadomościami o pierwszej czytance, pierwszym pocałunku i pierwszej miesiączce. Bella zawsze była pierwszą osobą, do której zwracała się Sera we wszystkich przypadkach i to nigdy nie uległo zmianie.

Muzyka w sklepie przywróciła Bellę do rzeczywistości. Zdała sobie sprawę z tego, że gładzi torebkę Versace jak ukochane zwierzątko. Marzyła o splendorze Versace już w czasach ubóstwa.

„Jeśli miałabym jakąkolwiek rzecz tego włoskiego projektanta – myślała – byłabym częścią lepszego, szczęśliwszego świata”. Pierwsza pensja pozwoliła na zakup okularów Versace i od tej chwili poczuła się uzależniona. Pilnie oszczędzała na niewielką wieczorową torebkę, a kiedy zaczęła latać, mogła ulegać zachciankom w salonach Versace na całym świecie. Nie było już nieporadnej, źle ubranej dziewczyny z prowincji, jej miejsce zajęła tryskająca blaskiem kobieta ubrana w designerskie stroje.

Odłożyła koszule na półkę i poklepała je w geście pożegnania. Po raz siódmy od wejścia do sklepu sprawdziła telefon komórkowy. Brak wiadomości. Spojrzała na manikiur. Wciąż idealny. Rzut oka na buty – dzięki Bogu – niezakurzone. Ojej, czy to plama? Nie, w porządku. Jej oddech się uspokoił; to tylko cień.

Wiedziała, że reaguje przesadnie i co oznacza ciągle sprawdzanie i ponowne sprawdzanie. Zaczęło się to w dniu ślubu, kiedy nie mogła się powstrzymać przed dotykaniem każdego z koralików na sukni, żeby skontrolować, czy wszystkie są na miejscu. Kompulsywna potrzeba perfekcji, upewniania się, że wszystko w niej jest w najlepszym porządku, nasiliły się od tamtych czasów. Mogła swobodnie oddychać tylko wtedy, gdy sprawdziła wszystko, a za chwilę znowu sprawdziła. Jedynie wówczas czuła się bezpieczna.

„Okej, dobra robota”, pomyślała, nabierając głęboko powietrza. Czas zabawić się w kochającą ciocię.

Krażyła po dziale zabawek domu handlowego Nordstrom. Cały ten plastikowy komercyjny chłam był taki nudny. Misiaczki? Zbyt dziecinne. Pojazdy na pilota? Już i tak mają sporo. Chciała znaleźć coś specjalnego, coś, czego Sera by im nie kupiła.

Pięcioletnia Maddy kochała wszystko, co błyszczące i ładne. Bella zaciskała usta, przechadzając się wzdłuż alei. „Idealne”, pomyślała, gdy zauważyła sklep Swarovskiego. Może zainicjować kolekcję kryształów dla siostrzenicy; wyszukaną, wartościową kolekcję, która pozwoli Madeline poczuć się dorosłą.

Teraz coś dla małego Harry’ego. Uśmiechnęła się na myśl o swoim świadomym mody siostrzeńcu. I miała pomysł w sam raz

dla niego. Białe džinsy Calvina Kleina. Chwyciła jedną parę z miną winowajczyni – w przypadku trzylatka były zupełnie niepraktyczne, ale wiedziała, jak bardzo mu się spodobały.

Kiedy ekspedient podawał jej elegancką torbę z logiem CK, zadzwonił jej telefon.

– Halo, Bella Walker – zaświergotała w słuchawkę.

– O – odpowiedział ktoś głębokim głosem – wróciłaś do starego nazwiska.

Serce Belli się ścisnęło. Rozpoznała intonację, sposób, w jaki przeciągał samogłoski, i ten głęboki, nieco chrapliwy tembr.

Nie słyszała go od tygodni. Cała zadrżała. Jakby przykryła ją olbrzymia fala. Straciła poczucie kierunku. Powietrze uciekło jej z płuc, a gardło ścisnął strach.

Nogi ugięły się pod nią i z ulgą opadła na plastikową ławkę w przejściu.

– Czego chcesz? – spytała, a początkowe mdłości szybko zamieniły się w gorącą falę złości.

W jej głowie buzował koktajl gorzkich emocji prowadzący do kolejnego ataku paniki. Starła się nabrać powietrze.

Znów wszystko stanęło jej przed oczami: zduszony jęk młodej stewardesy w kokpicie, kiedy ręka jej męża powędrowała pod jej spódnicę. Zażenowane spojrzenia i ukradkowy chichot innych członków obsługi pokładowej milknący, gdy Bella wchodziła do pomieszczenia. Powrót do domu dzień wcześniej po to, by w swojej łazience nadzieć się na młodą blondynkę beczelnie smarującą ciało ulubionym kremem pilingującym Belli od Chanel.

Jak mogła pozwolić, żeby tak ją oszukiwał? Nienawidziła siebie za przetykanie jego głupich tłumaczeń, za ignorowanie mrugnięć, flirtów, za porozumiewawcze spojrzenia rzucone jej łajdaczącemu się mężowi nawet wtedy, gdy szła obok niego przez terminale świata.

Oczywiście, że to widziała. Jasne, że zdawała sobie z tego sprawę. Ale dlaczego, do diabła, tak długo to wypierała? Torturowała się tym pytaniem od chwili, gdy od niej odszedł.

Ścisnęło ją w żołądku. Jak długo jeszcze by to trwało? Jak długo żyłaby w swoim pieczołowicie zbudowanym świecie fantazji, odmawiając powrotu do rzeczywistości? Boże, była taka beznadziejna i żałosna, zrozpaczona i słaba...

– Nie tak rozmawia się z kapitanem – wycedził Curtis, przerywając jej myśli.

– O, obsługujesz jutrzejszy lot 421? – spytała, starając się, żeby jej głos brzmiał pewnie i bez emocji, co nie do końca jej się udało.

– Oczywiście, złotko. Sprawdziłem listę personelu pokładowego i było tam też twoje nazwisko.

„Lista personelu, uśmiechnęła się kwaśno, to dla niego lista zakupów. Jakies mięsko, którego jeszcze nie przetestowałaś kochanie?”. Nie ma mowy, żeby naraziła się na coś takiego. Jak tylko skończy tę rozmowę, zadzwoni, że jest chora i nie może lecieć.

– Słuchaj, kotku – ciągnął. – Nie dzwonię, żeby popłotkować. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Mówił ze zwykłą poufałością, co sprawiło, że mocno wciągnęła powietrze i w niedowierzaniu odsunęła telefon od ucha. Zrobić coś dla niego? Bredzi czy co?

„Może się upił”, pomyślała Bella, gotowa powiedzieć temu cholernemu oszustowi, że jeśli myśli, że cokolwiek byłaby w stanie zrobić dla niego, to jest w wielkim błędzie.

– Oczywiście, o co chodzi? – usłyszała swoją chłodną odpowiedź.

„Do diabła z tą moją słabością”, pomyślała, tupiąc nogą.

– Chciałbym jak najszybciej dostać podpisane papiery rozwodowe, złotko. Naprawdę szybko.

Papiery rozwodowe leżały na dnie jej torby podróźnej, czekając na podpis, ale z jakiegoś powodu jeszcze się za to nie zabrała. Nie o to chodzi, że nie chciała rozwodu. Skończmy z tym.

– Oczywiście, dzisiaj je wyślę. – Jej oddech niemal się uspokoił.

„Mogę odbyć normalną rozmowę z tym sprośnym

obrzydliwcem. Nie zamierzam się załamywać, poradzę sobie”, pomyślała.

– Dzięki, dziecinko, jesteś wielka. Potrzebuję ich tak szybko, bo w przyszłym miesiącu się żenię. O cholera, muszę lecieć. Cha, cha, taki lotniczy żarcik. Moja limuzyna właśnie podjechała. Ciao, Bella.

Rozmowa się skończyła, a Bella wciąż trzymała słuchawkę przy uchu. Znieruchomiała z zastygłą twarzą. W końcu jej ciało ruszyło kierowane naturalnym mechanizmem przetrwania, zmuszając ją do tego, żeby wzięła głęboki oddech.

Jej siostra, jej mała siostrzyczka, potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek indziej. Sera była jedyną osobą, która mogła jej teraz pomóc. Spojrzała na telefon. Zdrętwiałe palce niepewnie wędrowały po klawiaturze. Poddała się. Kogo chce oszukać? Nie może do niej zadzwonić. Życie Sery było wystarczająco pokręcone. Nie będzie jeszcze bardziej jej pogrążyć swoimi problemami. Najlepsze, co może zrobić, to nie wtajemniczać jej w ten koszmar. Poza tym za dużo musiałaby wyjaśniać. Skoki w bok, zdrada, okropna noc, kiedy ją zostawił. Do tej pory nie była w stanie nikomu o tym opowiedzieć. Za bardzo bolało. Znowu poczuła mdłości.

Odchyliła głowę w tył, a sufit nad nią wydawał się płynąć. Nagle podłoga zafalowała, więc kurczowo chwyciła się oparcia ławki, żeby nie stracić równowagi.

Przechodząca obok mocno opalona kobieta, widząc jej rozszerzone źrenice i lśniąca warstwę potu pokrywającą policzki, rzuciła z dezaprobatą:

– Narkomanka.

I oddaliła się tak szybko, jak pozwoliły jej na to pięciocentymetrowe obcasy szpilek od Jimmy’ego Choo.

Bella włożyła głowę między kolana i czekała, aż poczuje się lepiej. W ciągu paru minut krew napłynęła do mózgu, oddech się uspokoił i mogła się pozbierać.

Więc się żeni. O kurwa. Z kim? Z tą samą głupią pindą, dla której ją zostawił? Bella znowu poczuła atak mdłości i opuściła

głowę w dół na kolejnych parę minut.

„Ale dlaczego, do cholery, się przejmuję?”, pomyślała. Nie chciała go w swoim życiu. Pragnęła, żeby ten potworny, upokarzający epizod odszedł w zapomnienie. Czyli teraz naprawdę się od niego uwolni i będzie mogła zająć się swoim życiem? Może nawet pomyśli, żeby się z kimś umówić, choć coś jej mówiło, że rany w sercu będą potrzebować trochę więcej czasu, żeby się porządnie zagoić.

Skąd więc taka reakcja? „Może po prostu nie spodziewałam się tej wiadomości”, pomyślała. Co powiedziałby jej terapeuta? Błysk odpowiedzi pojawił się z tyłu jej głowy. Rósł i wypływał na powierzchnię. Zdała sobie sprawę, że od dawna unikała tej myśli. Boże, co z nią było nie tak! Nie, nie ma mowy, zwyczajnie nie ma mowy... Czy to możliwe, że wciąż go kocha?

Chantrea Kim wybiegła z samolotu za ostatnim, otumanionym podróżą i zmianą strefy czasowej, pasażerem. Jak niewielki wulkan energii i frustracji przemknęła obok dwóch strażników lotniskowych, w pośpiechu niemal zwalając ich z nóg.

Dziewięciogodzinny lot z Hongkongu spędziła na pokładzie z tą nudną szmatą, Caroline; ta baba umiała zepsuć podróż.

Wpadła do damskiej toalety, ściągając w drzwiach firmowy zakiet. Rzuciła torebkę obok umywalki i zaczęła zdejmować przez głowę bluzkę, nawet jej nie rozpinając. Odtwarzała w myślach podróż.

„Już wrzask rozwydrzonego dzieciaka, który wybuchł z chwilą, gdy rodzice usadowili się na swoich miejscach, powinien mnie ostrzec, że ten lot będzie okropny”, myślała, obracając spódnicę w poszukiwaniu zapięcia.

Potem ten rzygający grubasek – to dopiero była przyjemność. Strzelił fontanną wymiocin prosto w trzech pasażerów, zaraz po starcie. Pierwszą godzinę spędziła, czyszcząc pozostałości przetrawionego big maca i oferując zniesmaczonym ofiarom zestawy pokładowe z pierwszej klasy.

Lubieżne awanse pierwszego oficera, który próbował ją obmacywać za każdym razem, gdy wносиła napoje do kokpitu, jeszcze bardziej nasiliły w niej złość. Zwłaszcza wtedy, gdy szepnął, że wygląda w mundurku jak niezły kąsek. Sama mało się nie porzygała.

Poza tym wydanie piętnastu posiłków, tajemniczo zapchana umywalka w jednej z toalet klasy ekonomicznej i trzech pasażerów z różnymi fobiami. Tak, ten lot nie należał do przyjemnych. Marnie się czuła, była zmęczona i miała dosyć zaspokajania kaprysów wymagających pasażerów.

Odziana jedynie w czarny koronkowy biustonosz i stringi otworzyła torbę na kółkach i zaczęła przeglądać jej zawartość.



Wciągnęła na nogi czarne legginsy, designerski top vintage w fioletowym kolorze i dodała do tego długą, fioletowo-zieloną, szydełkowaną kamizelkę. Stroju dopełniły martensy w kolorze czerwonego wina.

Brakowało tylko jednego. Przetrzęsała kosmetyczkę w poszukiwaniu ulubionego dodatku. Wpięła lśniąca fioletową treskę powyżej karku, tworząc modną i autentycznie wyglądającą plerezę.

Przeglądając się w lustrze nad umywalką, zwichrzyła sztywne, zaczesane do tyłu włosy, nadając im punkowy wygląd, rozproszając jaskrawy fioletowy cień na powiekach o migdałowym kształcie i wysokich kościach policzkowych, co dodało życia obowiązkowemu w jej liniach lotniczych fluidowi Clarins Taupe. Jaskrawy odcień idealnie podkreślał jej południowoschodnią, azjatycką cerę.

Wrzuciła mundurek do torby, wyfrunęła z toalety i pomknęła korytarzem napędzana komfortem martensów. Rzut oka na masywny plastikowy zegarek podpowiedział jej, że to najlepszy czas, żeby wpaść do ulubionego sklepu vintage na Oxford Street. Później musi odebrać Sally z przedszkola. Ogarnęło ją lekkie poczucie winy, ale dosyć szybko się z nim rozprawiła.

Chantrea była oczarowana okolicą Darlinghurst, z blichtrzem dziwek i drag queens kontrastujących z migającymi tu i ówdzie celebrytami – można było spotkać Cate Blanchett czy Daniela Johnsa przechadzających się między podmiejskimi żebrakami, transwestytami czy homoseksualistami. Darlinghurst było dzikim miejscem podbarwionym splendorem Sydney. Jak stara wieczorowa torebka, miejscami lśniąca, ale zmatowiała i przetarta na brzegach.

Chantrea była w swoim żywiole w niechlujnym, pełnym łachów wnętrzu sklepu z używaną odzieżą Decades. Szybko wyłowila opinającą ciało krótką sukienkę Pucci z rozszerzającymi się do dołu rękawami. Wprost idealna na dzisiejsze spotkanie Szali i żali. Będzie świetnie wyglądać z nowymi espadrillami.

Spędziła kolejną godzinę na poszukiwaniu skarbów,

wyobrażając sobie ich byłych właścicieli, aż jej pracowitość zaowocowała oszłamiającą tuniką z napisem Cher i parą białych rękawiczek, które, jak przysięgała ekspedientka, nosiła kiedyś Doris Day.

Tuląc zakupy do piersi, Chantrea wynurzyła się z czeluści sklepu i skierowała do brudnej włoskiej kafejki, żeby popijając podwójne espresso, przyglądać się paradzie gejów.

Jej komórka zaanonsowała nową wiadomość piosenką Dead or Alive *You Spin Me Around (Like a Record)*. Przechodzący obok zniewieściały kelner dał zaimprovizowany pokaz tańca do tej melodii.

Wiadomość była od jej przyjaciela, Sama. Brzmiała: „Co, do cholery, heteroseksualny ojciec dwójki dzieci może przynieść na spotkanie żeńskiego kółka dziewiarskiego?”.

Chantrea się zaśmiała. Sam po raz pierwszy dołączy dziś do grona Szali i żali. Kiedy jakiś czas temu Sera zadzwoniła z zaproszeniem, żeby przyszła na spotkanie kółka dziewiarskiego, wyśmiała ją.

– Jedyna rzecz, której nie mogę sobie wyobrazić, a przynajmniej dopóki nie dojdę do osiemdziesiątki, to dzierganie. Dzięki – powiedziała wtedy.

– Ale dzierganie to nowa joga – przekonywała ją Sera. – Jest super, wszyscy to robią. To dobry powód, żeby się spotkać i wypić parę lampek wina... A jeśli zrobimy przy tym coś wartego uwagi, ofiarujemy to jakiejś fundacji charytatywnej. Projekt Włóczka dla pokoju.

– Dobry Boże, brzmi okropnie – jęknęła Chantrea.

– Mówię ci, to fajne i na czasie – namawiała ją Sera. –

Nazywamy się Szale i żale.

Ta nazwa ją ujęła.

– No dobrze, spróbuję – zgodziła się niechętnie.

Na pierwszym spotkaniu Chantrea poznała milutką przyjaciółkę Sery, Mallory, i sąsiadkę, Jacqueline (która jak na jej gust była zbyt sztywna), i odkryła, że przejawia prawdziwy talent do dziergania dużych, kolorowych rzeczy z moheru i kaszmiru.

Tego wieczoru miała przedstawić nowego członka grupy, Sama, samotnego ojca z przedszkola Sally, z którym plotkowała przy odstawianiu i odbieraniu dzieci. Wydawał się bardzo miły, więc zaproponowała, żeby do nich dołączył. Była naprawdę zdziwiona, kiedy się zgodził.

Zaśmiała się, czytając wiadomość, i odpisała: „Wykroje, koronkowe serwetki, zalotki i fartuszek”.

Na drewnianym stole, wypełniającym małe biuro w szeregowcu przy węźle Bondi, zadzwieczał telefon. Sam przeprosił klienta, wydobyl komórkę spod szkiców przebudowy magazynów w Woolloomooloo i spojrzal na wiadomość od Chantrei. Uśmiechnął się szeroko.

Kiedy już odprowadził klienta do drzwi i obiecał kolejne poprawki do następnego tygodnia, sprawdził godzinę. Niestety nie miał zbyt dużo czasu na zakupy, zanim odbierze dziewczynki.

Czterdzieści minut później stał zakłopotany pośrodku wielkiego sklepu z zabawkami. Isabelle i Alexandra potrzebowały kostiumów na bal przebierańców i obiecał im znaleźć coś wspaniałego.

Wieczorem słyszał, jak szepczą w łózkach, a rano Alexandra oznajmiła, że chce być Mikiem Wazowskim, Isabelle zaś chciałyby wystąpić jako Ariel. Słuchając, jak Isabelle czyta opowiadanie, mruknął:

– W porządku.

Przygotował im drugie śniadanie, dopijając kawę.

Ale teraz miał dylemat. W jednej dłoni trzymał błękitną aksamitną sukienkę Królowy Śnieżki, w drugiej kostium w biało-niebieskie paski postaci z programu *Banany w piżamach*.

Wpatrywał się w nie i jednocześnie żałował, że nie spytał córek, kim lub czym są Mike Wazowski i Ariel. W takich chwilach bardzo brakowało mu żony.

Obsługa w wielkim sklepie była nieliczna i nieuchwytna. Sam zwrócił głowę w prawo, gdy kątem oka dostrzegł przechodzącego w szybkim tempie nastolatka w niebieskim uniformie. Potem wykonał gwałtowny zwrot w lewo, widząc

kolejnego, przebiegającego na końcu rzędu regałów, zasłaniającego się tekturową postacią Buzza Lightyera.

Powlókł się do stanowiska informacji, gdzie szybko zniechęciła go długa kolejka niezadowolonych klientów. „No, to będzie wymagać trochę innego podejścia”, wymruczał pod nosem, podchodząc do małego chłopca wpatrującego się z podziwem w deskorolki.

– Wypróbuj – powiedział. – Jestem pewny, że nie mają nic przeciwko temu.

Dzieciak podniósł głowę z uśmiechem – takiej zachęty potrzebował. Ściągnął największą deskę z półki, wskoczył na nią i krzycząc radośnie, pomknął wzdłuż regałów z Barbie.

Sztuczka zadziałała jak zaklęcie.

– Ej, ty – usłyszał głos z mutacją. – Nie można się tym bawić.

Właściciel głosu, z twarzą obsypaną trądzikiem, zmaterializował się w magiczny sposób i pospieszył w ich stronę. Dzieciak gniewnie spojrzał na Sama, porzucił deskę i zszedł ze sceny.

– Cholera. – Niezgrabny nastolatek badał stan nieskazitelnej niegdyś alei Barbie.

– Może pomogę – powiedział Sam, podnosząc z podłogi parę lalek.

– Dzięki – wymamrotał chłopak.

– Nie ma za co – uśmiechnął się Sam. – A właśnie, a może ty mógłbyś mi pomóc?

Plecy nastolatka zeszywniały, kiedy schylił się, żeby podnieść następną lalkę.

– No... nie wiem... Niedługo kończę... – wystękał, patrząc na nurkowy zegarek.

– Kostiumy – powiedział stanowczo Sam. – Potrzebuję kostiumów.

– Tak, super – odpowiedział nastolatek z ulgą, że wymagania nie są wielkie. – Rząd szósty. Oszałamiający wybór, koleś.

– Nie... – Sam spojrzał na plakietkę z imieniem – Victor. –

„Cóż za optymistyczni rodzice”, pomyślał. – Wiem, gdzie są kostiumy – ciągnął, zanim rozczochrana kreatura zdąży czmychnąć. – Ale nie mogę znaleźć tego, czego szukam. Co to jest Mike Wazowski?

– *Potwory i spółka?* – odpowiedział z sympatią Victor, jakby było mu żal tego nieświadomego, starego człowieka.

– Nooo... – powiedział niepewnie Sam.

– Taki zielony okrągły facet? Piłka? Z rękami i nogami? I jednym okiem?

Sam chciał uderzać nastolatka w usta za każdym razem, gdy wydobywały się z nich wysokie, mutacyjne brzmienia.

– No dobra – powiedział cierpliwie. – A Ariel?

– Syrenka? No wiesz? *Z Małej Syrenki?* I *Małej Syrenki 2?* A, i chyba była też w *Małej Syrence 3?*

– Macie te kostiumy?

– No nie wiem. Może tak. Mieliśmy. Więc może mamy. Ale mogliśmy je sprzedać, to wtedy nie mamy.

– Mam superpomysł. Może byś tak sprawdził?

– No dobra – odpowiedział Victor, tępo spoglądając na Sama, żeby ocenić, czy facet na serio chce, żeby szedł aż do szóstego rzędu.

Drapiąc pryszczą na brodzie, zdecydował, że poważnie o tym myśli, więc odwrócił się i powłócząc nogami, skręcił w najbliższą alejkę, z Samem za plecami.

Pobieżnie rzucił okiem na ścianę z kostiumami.

– Nie, nie mamy ich – powiedział.

– A to co? – spytał Sam, unosząc okrągłą, zieloną figurę z jednym okiem.

– O, to Mike Wazowski? *Z Potworów i spółki?*

Sam uniósł rudą perukę i rybi ogon z topem na wieszaku.

– A to? Czy to Ariel?

– Nie, to Ariel. Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

Nastolatek powłókł się z powrotem, podtrzymując jedną ręką spodnie.

Sam westchnął i poszedł do kasy.

Dzisiejsza lista spraw do załatwienia Jacqueline Bouvier była długa na kilometr. Było już na niej wystarczająco dużo punktów, zanim chłopcy dodali jej przy śniadaniu więcej obowiązków. Uśmiechnęła się z pobłażaniem; mężczyźni, co oni by zrobili bez kobiet.

Joshua i Daniel zdawali wkrótce egzaminy, więc nie miała nic przeciwko temu, jak Daniel spytał, czy mama może zwrócić jego DVD do wypożyczalni, choć mieściła się tuż obok szkoły. Joshua poprosił, żeby odwiozła gry na konsolę Wii Tylera do jego domu w Longueville. Tyler leżał chory i chciał je z powrotem, a Joshua miał je wczoraj wziąć do szkoły, ale zapomniał.

A potem, dokładnie w chwili, gdy weszła do domu po odwiezieniu ich do szkoły (nie lubili jeździć autobusem), ten głuptas zadzwonił, że zapomniał wziąć stroju na zajęcia sportowe! Nic takiego, tylko pół godzinki. No, godzina, jeśli liczyć drogę powrotną.

Thomas chciał, żeby odebrać jego ubrania z pralni, oddać wędkę do naprawy (odstaje kołowrotek) i podskoczyć po kilka rzeczy do sklepu z narzędziami Bunnings. Chciał też, żeby kupiła mu nową bieliznę. Wspomniała wprawdzie rano, że ma za dużo spraw na głowie i zakup bielizny może przełożyć na inny dzień, ale grymas niezadowolenia znad gazety przekonał ją, że i na to znajdzie czas.

Załatwiwszy zakupy w Bunnings, skierowała się do domu handlowego David Jones i kupiła mężowi zwyczajne slipy, ignorując wystrzałowe bokserki z lycry w cukierkowych kolorach. Jej Thomas był tradycjonalistą, zwłaszcza jeśli chodzi o bieliznę, i miała uznanie dla jego konsekwencji.

W końcu wszystkie zadania zostały wypełnione i wreszcie miała czas dla siebie.

Nieczęsto zdarzało się wolne popołudnie. Jednak dziś Thomas umówił się na kolację z klientami, a chłopcy mieli po szkole zajęcia sportowe, więc Jacqueline była usprawiedliwiona, oddając się przyjemności zakupów.

Deser, który chciała zanieść na wieczorne spotkanie u Sery,

musiał być wyjątkowy. Chantrea zamierzała przyprowadzić nowego członka grupy: mężczyznę. Wdowiec z dwójką dzieci, a Chantrea sugerowała, że czuje się osamotniony.

Jacqueline z niecierpliwością stuknęła nogą, skanując półki największego sklepu z wyposażeniem kuchennym w Sydney, szukając odpowiedniego naczynia. Nie mogło być zbyt kobiece, z uwagi na męskie towarzystwo, ale powinno być wystarczająco delikatne, żeby pasowało do tortu Pawłowej.

Jej uwagę przyciągnęła paczka dekoracyjnych haczyków na ściereczki. Każdy o kształcie małej osóбки, w pogodnych barwach i ze słodkimi twarzyczkami. Zerknęła na ekspedientkę zajętą prezentacją emaliowanych żeliwnych garnków. Nie sposób było się oprzeć haczykom.

Z powrotem do naczyń. Alessi z nierdzewnej stali był modny, ale bardziej pasowałby do nowoczesnego pomieszczenia, jak apartament Belli, a nie do retro w stylu lat sześćdziesiątych. Sera utrzymywała, że tak właśnie chciała urządzić dom, choć było jasne, że przynajmniej kuchnia domaga się gruntownego remontu. Jacqueline miała ochotę wybrać filigranową paterę z białego metalu, która idealnie pasowałaby do delikatnej bezy, ale zdecydowała się na kremową, ceramiczną, pozbawioną dekoracji. Faktura Pawłowej będzie kontrastować z prostotą naczynia i nie będzie jej przyćmiewać jakieś fru-fru. „Świetnie”, pomyślała, klaszcząc z radością w dłonie. Zapłaciła za paterę, prosząc o zapakowanie jej w podwójną warstwę folii bąbelkowej, i wyszła ze sklepu.

Telefon zasygnalizował przychodzącą wiadomość od Sery, potwierdzającą kulinarny wkład Sama.

– Mam nadzieję, że pasztet jest okej – przeczytała.

Pasztet? Nie na to się umawiali. Tupnęła stopą obutą w baleriny i pomknęła z powrotem do sklepu. Musi jednak wymienić paterę na Alessi.

Napisała esemesa do Mallory: „Nie przynoś nic mięsnego, Sam przychodzi z pasztetem”.

Telefon Mallory zadzwieczał, gdy miała wejść do ulubionego

sklepu z džinsami. Po chwili zastanowienia wzruszyła ramionami i wykasowała dziwną wiadomość od Jacqueline.

Wskoczyła do sklepu oświetlonego jedynie jaskrawą dyskotekową lampą, która rozbłyskiwała w rytm buczonej muzyki. Ściany oblepiały rurki, acid-washed, stone-washed, ciemne, jasne, białe, bez ozdób, z dziurami, z obniżonym stanem, przecierane piaskiem, kamieniami, spłowiałe, podarte, na suwaki, z różnym wykończeniem, obciskające, a każda para ze streczu.

Retro tęcza jaskrawej żółci, ciemnoniebieskiego i turkusowego bluzek krzyczała o uwagę, podobnie jak T-shirty w niebiesko-żółte pasy z wyszarpanym dekoltem, legginsy w krzykliwych kolorach i minispódniczki w lamparce wzory. Z koszy wylewały się pstrokate naręcza tanich bransoletek i innych błyskotek.

Mallory była w swoim żywiole, zachwycając się każdą rzeczą, zdzierając ubrania z wieszaków w drodze do przymierzalni, szybko zapominając, że piętnaście lat wcześniej wysłała całe torby takich samych ciuchów do sklepów fundacji charytatywnej.

Kupiła legginsy, getry i obcisłe džinsy dla siebie i piętnastoletniej córki, Tilly, która szczęśliwie nosiła ten sam rozmiar, co jej młoda mama.

Czekając, aż ekspedientka przestanie zachwycać się nowym kolczykiem w nosie koleżanki, Mallory sprawdziła telefon i znalazła grupową wiadomość od Belli: „Nie uda mi się dzisiaj dotrzeć. W Santa Monica. Przepraszam”.

„Santa Monica? Czy to nie tam, gdzie mieszka Cyndi Lauper?”, pomyślała Mallory.

Dom Sery miał zasadnicze wyposażenie dzielnicy Paddington – wewnętrzny parking. Wjechała pod wiatę za budynkiem, kolejny raz dziękując w duchu za tę zaletę.

Przewrócona taczka sprawiła, że musiała zaparkować poza osłoną, w lekkim deszczu. Worki ściółki porzucone na podjeździe prosiły o uwagę. Przez ostatnie tygodnie chciała uporządkować warzywnik, ale nie udało się jej wyjść poza zakup ściółki i wyciągnięcie pordzewiałej taczki. Westchnęła i oparła czoło na kierownicy, żeby przygotować się na kolejne wyzwanie – obiad i



bitwa przed pójściem do łóżka.

Wciąż jeszcze pamiętała nie tak odległe dni, kiedy mogła po prostu wyjść z samochodu, przebiec do podwórzowych drzwi, wejść, nalać sobie lampkę wina i spokojnie posiedzieć. Brała wolność za pewnik. Teraz jej ciało tęskniło do poprzedniego życia – chociaż na dzień lub dwa.

W jej głowie pojawiła się wizja Belli zanurzonej w pianowej kąpieli; poczuła ukłucie złości. Oto jej siostra, w Los Angeles, w wielkim świecie, nie może nawet tak się zorganizować, żeby być w domu na comiesięczne spotkanie Szali i żali. I oto ona, Sera, uwięziona w okowach domowych obowiązków.

Od zakończenia pracy minęły całe godziny. Wpadła na niezaplanowany pedikiur, odebrała dzieci z przedszkola, przeżyła chaos supermarketu, odebrała z apteki receptę na pigułki antykoncepcyjne, polecane z poczty i kupiła wino na wieczór. Kierownica zrobiła się lepka od jej zaciśniętych dłoni. Uniosła głowę i otworzyła oczy.

– No dobra – powiedziała z determinacją do dzieci. – Do roboty!

Najpierw wyjęła maluchy z samochodowych krzesełek, odpowiadając na dziesiątki stanowczych pytań Madeline i próbując przekonać Harry'ego, żeby nie wkładał kawałka owocu do ucha. Umocowała im na plecach przepelnione plecaki, schyliła się, żeby podnieść kredki i pojemnik na drugie śniadanie, które wypadły z niezapiętej torby Harry'ego z wizerunkiem z filmu *Tomek i przyjaciele*, i popędziła ich w stronę schodów.

– Pada – jęknęła Madeline.

– To szybciotko wchodź na schody – odpowiedziała Sera.

Harry był zmęczony i stał cicho, patrząc na mamę wzrokiem biednego psiaka błagającego, żeby wzięła go na ręce. Nie było sensu go przekonywać, żeby szedł sam, kiedy był w takim stanie. Sera zdecydowała się na dodatkową rundę do samochodu i dźwignęła go na biodro. Przerzuciła pasek torebki na drugie ramię i wyjęła z bagażnika kilka siatek z zakupami.

Padało coraz bardziej i wspinaczka po śliskich schodach z

dodatkowym obciążeniem nie była łatwa.

– Zapukaj do drzwi! – krzyknęła do Madeline, która dotarła już na miejsce. – Może babcia nam otworzy.

Maddy uniosła rączkę, wspięła się na palce i kilka razy mocno zastukała dziecięcą piąstką.

Sera wtoczyła się na najwyższy stopień i uniosła kolano, żeby podeprzeć zsuwającego się synka. Stojąc na jednej nodze, chwyciła wszystkie torby jedną ręką, żeby móc przekręcić w zamku oporny klucz. Kiedy już udało się jej otworzyć drzwi, Madeline wpadła gwałtownie do środka, a Sara potknęła się i straciła kontrolę nad siatkami, torebką i kluczami. Wszystko się rozsypało.

Posadziła syna na podłodze i schylając się, żeby wyjąć awokado spod kuchennego stołu, zobaczyła kaptcie teściowej siedzącej na kanapie. Zajrzała do salonu, żeby się przywitać.

Na różowo-białym pledzie z angory okrywającym kolana Joan leżały plotkarski magazyn i pilot od telewizora.

Natomiast pokój wypełniały głosy rozentuzjasmowanych uczestników *Familiady*.

Joan zerknęła znad okularów.

– O, to wy. Tak myślałam, słysząc to uporczywe pukanie.

– Mogłaś nam otworzyć. – Sera starała się nie okazywać irytacji.

Na stoliku do kawy piętrzył się stos naczyń. „Wypiła dziś pięć filiżanek herbaty”, policzyła.

– Żeby się przemoczyć? Przecież pada deszcz. – Joan nacisnęła guzik na pilocie, żeby zagłuszyć płacz Harry’ego. – Dzwoniła twoja matka.

Sera jęknęła. To ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała. Harry zanosił się płaczem. Unosił rączki do góry, chcąc, żeby wzięła go na ręce. Zakupy całkowicie zmokną w otwartym bagażniku, ale nic na to nie poradzi, dopóki nie uspokoi dziecka.

Zniosła zmęczonego, wijącego się synka do kuchni i włączyła mu DVD z programem dla dzieci. Harry włożył kciuk do buzi i oparł główkę na ramieniu Sery, wpatrując się w ekran.

Cichutko otworzyła szufladę, nasłuchując dźwięków z salonu. Harry wczepił się w jej biodro jak mały koala. Przede wszystkim koordynacja. Jeden niewłaściwy ruch i wszystko weźmie w łeb.

Sprawnie wyjęła wolną ręką butelkę, napełniła ją mlekiem i dodała sporo syropu czekoladowego, który co prawda może źle wpłynąć na ząbki synka, ale zapewni jej parę minut spokoju. Harry obserwował jej poczynania, pozwalając Serze posadzić się na kuchennym krześle, podczas gdy przygotowywała jego ulubiony napój. Bezdźwięcznie zakręciła butelkę i podała dziecku, zerkając nerwowo w kierunku teściowej.

Zmęczone ciało Harry'ego rozluźniło się, przymknął oczy, pożądliwie ssąc słodkie mleko. Sera zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech na kilka sekund i go wypuściła.

– Mam nadzieję, że nie dajesz mu butelki – usłyszała głos Joan. – Jest już na to zdecydowanie za duży.

Sera uniosła oczy. Została złapana na gorącym uczynku.

– Okręcił sobie ciebie wokół palca, dziewczyno. Nie tak to wyglądało za moich czasów. Musisz być bardziej stanowcza... – Głos Joan ucichł.

Sera nie miała czasu na kłótnie. Musiała się pospieszyć, zanim Harry zauważy, że jej nie ma, i znowu zacznie marudzić.

Pobiegła do drzwi, przeskoczyła nad rozsypanymi zakupami, zbiegła ze schodów, chwyciła siatki, zamknęła samochód i ruszyła z powrotem do domu. Wpadła w drzwi, obijała się o framugę i jeszcze raz upuściła torby na podłogę, zgniatając stopą paczkę chleba, gdy starała się złapać równowagę.

Joan uniosła się na fotelu, urażona hałasem.

– Musisz zawsze robić tyle szumu, kiedy wchodzisz do domu?! – krzyknęła.

Madeline siedziała na podłodze u stóp fotela, bezmyślnie gapiąc się w ekran telewizora.

– Co będzie na obiad? – spytała Joan, zmieniając kanał, żeby zobaczyć, jak dziś jest ubrana jej ulubiona prezenterka.

Harry znów zaczął zawodzić.

Sera podniosła część zakupów z podłogi i podeszła do

dziecka, którego płacz przechodził już w gardłowy krzyk. Mały wyciągnął smoczek z butelki, a reszta mleka wylała się na niego i na podłogę.

Obeszła kałużę i odłożyła zakupy na ławę.

Mokra, umazana czekoladą twarz dziecka była wykrzywiona złością.

Sprawdziła w myślach listę zakupów.

– O nie. Lody.

Madeline krzyknęła, że jest głodna.

Joan znów spytała, co na obiad.

Harry stał na krześle i wyciągał do niej pulchne, lepkie rączki.

Sera wdepnęła w kałużę mleka, chwytając go, żeby nie spadł.

Zauważyła smugi czekolady rozsmarowane na jej służbowej koszuli i przypomniała sobie, że nie ma czystych rzeczy na jutrzejszą zmianę.

Znowu westchnęła i mocniej przytuliła synka. „A, pieprzyć uniform”, pomyślała, dźwigając kłębek niedoli, smarków i czekolady do łazienki na piętrze. Zadęczała się myślą, że nie da rady wszystkiego uporządkować. Frustrował ją kataklizm w kuchni, ale Harry jej potrzebował i to było ważniejsze.

– Co powiesz na wspólną kąpiel, mój mały mężczyzno? – szepnęła mu do uszka.

– Uhum – sapnął uspokojony tym, że wreszcie jest tam, gdzie chciał być przez cały dzień; w ramionach mamy.

Mocno obejmował jej szyję, bojąc się, że może zmienić zdanie. Ale dzięki latom praktyki potrafiła rozebrać ich oboje i przygotować kąpiel bez wypuszczania go z rąk.

Sera usiadła w wannie z synkiem, który w końcu przestał się mocno w nią wpijać i bawił się teraz, rozpryskując wodę. Wkrótce dołączyła do nich Madeline.

Wycierała dzieci po kąpieli, kiedy usłyszała trzask drzwi.

– A to co, do diabła...? – dobiegł ją głos Tony’ego.

Przypomniała sobie, w jakim stanie jest dom. Czuła się nic niewarta, kiedy mąż wchodził do domu, w którym panował chaos.

„Boże, przecież to nie lata pięćdziesiąte”, pomyślała. Była dobrą, troskliwą matką, która potrzeby dzieci stawiała na pierwszym miejscu.

Włożyła długi szlafrok i zbiegła po schodach.

– Cześć, kochanie – powiedziała Sera, unosząc twarz do pocałunku.

Cmoknął ją w roztargnieniu, patrząc na katastrofę w kuchni: roztopiające się lody, zgnieciony chleb i masę produktów rozsypanych na podłodze.

Joan raczyła odwrócić wzrok od telewizora.

– Moje biedne kochanie, jesteś taki zmęczony i na pewno głodny. Ale obiad chyba jeszcze nieugotowany – rzuciła z sarkazmem.

– Nic się nie martw, mamó – odpowiedział Tony, wrzucając pas z narzędziami do szafy i zbierając zakupy, podczas gdy Sera pospiesznie ułożyła w miseczkach owoce i krakersy, a potem pobiegła na górę z posiłkiem przygotowanym dla dzieci.

– Dobranoc, dzieciaki – zawołał Tony do Maddy i Harry’ego, patrząc w górę przez barierkę schodów. – Do zobaczenia rano.

Dzieci jadły, a Sera czytała im bajkę. Wypieściła je, utuliła do snu i zeszła na dół.

Tony wytarł kałużę mleka i lody.

Sera namoczyła służbową koszulę, pozbierała resztę zakupów i przygotowała posiłek składający się z zupy z puszki i opieczonych kanapek.

Stawiając talerze na stole w salonie, spojrzała na zegar w kształcie gwiazdy wiszący nad kominkiem. Została jej tylko godzina na zrobienie szybkiego porządku ze sobą i w domu, zanim zaczną się schodzić członkowie kółka dziewiarskiego. Da radę?

Joan podejrzliwie spojrzała na kanapkę z tuńczykiem.

– Chleb ma jakiś dziwny kształt – powiedziała.

Sera nie nosiła spódnic. Nawet długie mogły odsłonić więcej, niż by chciała. Ale co mogła zrobić? W tym sezonie białe lniane spódniczki były bardzo modne, a Sera zawsze podążała za trendami.

Po całym chaosie dnia i zwykłym sarkazmie Joan z ulgą zamknęła się w swoim pokoju, żeby przygotować się do spotkania Szali i żali.

Analizowała swoje odbicie w dużym lustrze. Nogi były niemal całkiem zakryte przez sięgającą kostek białą, lnianą spódnicę, ale i tak nie była pewna, czy będzie miała wystarczająco dużo odwagi, żeby ją założyć. Może udałoby się zapobiec awarii, gdyby spędziła cały wieczór na stojąco?

Przynajmniej jej ciemnoszara bluzka na ramiączka i nowe klapki nie powodowały modowych rozterek. Klapki wypatrzyła podczas przerwy. Lśniące kamienie wzdłuż pasków oplatających palce połyskiwały tak cudnie, że nie mogła się oprzeć zakupowi.

Oczywiście potem musiała się jakoś wcisnąć na pedikiur po pracy i znaleźć odpowiedni czekoladowy kolor lakieru do paznokci, który pasowałby do kamieni. Poruszając z radością palcami stóp, stwierdziła, że warto było znaleźć dodatkową godzinę opieki nad dziećmi, wyjść wcześniej z pracy i po raz kolejny odwołać, i tak spóźnioną, cytologię.

Cholera! Nie miała nawet czasu, żeby pomyśleć o zakupie włóczki i drutów na dzisiejszą sesję. Miesiące minęły od czasu, gdy skończyła swój ostatni projekt; raczej dramatycznie wyglądający szal, którego Madeline nie chciała nosić.

Myślała nawet, żeby zacząć robić czapkę dla Harry'ego, ale gdzieś zginęła jej torba z robótkami, którą kupiła na wyprzedazy. Wciąż miała nadzieję, że się znajdzie. To była świetna torba.

Ale w końcu Szale i żale to tylko wygodna wymówka, żeby napić się wina i wyżalić. I to było dla Sery w porządku. Chciałaby

tylko, żeby była tu Bella. Od wieków się nie widziały.

Ostatni raz rzuciła okiem do lustra. Gołe kostki, nieprzywykłe do dziennego światła, wystawały spod rąbka spódnicy. Nie mogła tego zrobić. Pobiegnęła z powrotem do garderoby i z szuflady wypełnionej rajstopami i pończochami wyciągnęła szare legginsy.

– Cześć, piękności moje, dobrze, że założyłaś spódnicę. Świetnie w niej wyglądasz – powiedział Tony, wchodząc do sypialni, żeby się przebrać.

– Tak, tak. – Sera zignorowała komplement i schyliła się szybko, kiedy próbował ją pocałować. – Lepiej się pospiesz, twoje zajęcia z biznesu zaczynają się za piętnaście minut.

– Już się robi – odpowiedział, wsuwając na nogi buty Nike. – Przynajmniej mama wychodzi na lekcję włoskiego i nie będzie się wam plątać pod nogami.

Sera pokręciła głową.

– Niestety w samochodzie Mavis wysiadł akumulator, więc nie będzie miała jak dojechać.

– O, cholera. – Tony stanął w drzwiach, wciągając biały T-shirt. – I to akurat w ten dzień, kiedy wszyscy przychodzą do ciebie.

– Nieważne – odpowiedziała dzielnie Sera. – Jestem pewna, że będzie się potrafiła zachować w towarzystwie. Choć jest trochę zawiedziona, że straci lekcję.

– W zasadzie powinna już płynnie mówić po włosku. Uczy się od wieków.

– Tak, tylko nie ma gdzie z tego korzystać. Uciekam, kochanie – uśmiechnął się Tony i przesyłając jej szybkiego całusa, zbiegł ze schodów.

Sera skontrolowała śpiące dzieci i poszła do kuchni przyrządzić przekąski dla gości.

– Jak robisz herbatę, to ja się też napiję – zawołała Joan.

Sera zgrzytnęła zębami i napełniła czajnik.

– Zaraz będzie – zaszczebotała fałszywie.

Joan przyjęła wygodniejszą pozycję na swoim ulubionym

fotelu z podnóżkiem.

– Pewnie będzie nie do przełknięcia – wymamrotała pod nosem. – Bo rozproszy ją zaraz jakaś błyskotka.

Zdeterminowana, żeby nie pozwolić teściowej zająć sobie za skórę, Sera przygotowała herbatę zgodnie z wymaganiami Joan. Zanurzyć torebkę trzy razy we wrzątku, dwie łyżeczki cukru i dużo mleka.

Wkładając po raz trzeci torebkę herbaty do gotującej wody, starała się wykrzesać pozytywne myśli na temat Joan. W końcu ten wspaniały, piętrowy, wiktoriański dom w modnej dzielnicy Paddington należał do teściowej. Sery i Tony'ego nie byłoby stać na to, żeby zamieszkać w takim miejscu, gdyby nie wspaniałomyślność Joan. Ale słono za to płacili. Nie tylko pod względem emocjonalnym. Piękny zniszczony budynek wymagał ciągłych napraw i remontów.

Pierwszą rzeczą, na którą naciskała Sera, było stworzenie dużej łazienki na piętrze. Potrzebowała odpowiednich warunków do codziennych przygotowań. A Tony, jak postanowili, zainstalował wszystkie lustra na takiej wysokości, żeby nie musiała oglądać potwornej blizny ciągnącej się od uda aż po kostkę. Aby utrzymać z dala Joan i jej tajemnicze geriatryczne praktyki toaletowe, Sera przedzieliła pralnię na parterze i urządziła w części pomieszczenia praktyczną, choć niewielką łazienkę dla teściowej. Profesja Tony'ego wymagała miejsca do pracy w domu, więc dzieci dzieliły drugą sypialnię na piętrze, a w trzeciej mieściło się jego biuro. Mały salonik naprzeciwko schodów na parterze stał się miejscem wypoczynku Joan, a wąski korytarz prowadził do salonu, który kiedyś był jadalnią. Kuchnię i pralnię przeniesiono na tyły domu jeszcze we wczesnych latach sześćdziesiątych.

Sera miała zdecydowanie ambitniejsze plany; chciała powiększyć dom kosztem ogrodu i stworzyć drugi, duży salon z otwartą kuchnią. Wtedy Joan ze swoim telewizorem okupowałyby jedną strefę, a reszta rodziny miałaby wreszcie własne miejsce.

Ale koszty były bardzo duże. Tony i Sera już uginali się pod



ciężarem kredytu. Chociaż dom należał do Joan, to oni płacili za ciągłe konserwacje. Sera marzyła o tym, żeby zrezygnować z pracy, gdy urodziły się dzieci, ale jej remontowe ambicje i umiłowanie markowych ciuchów i drogich kosmetyków sprawiły, że musiała pracować, aby mogli związać koniec z końcem.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Tony dostanie tę lepszą pracę i będą w stanie w ciągu paru miesięcy rozpocząć duży remont. Skuliła się na myśl, że przez pół roku budowy będą się wszyscy musieli gnieździć na małej przestrzeni, ale na pewno jakoś sobie poradzą.

O, cholera, za długo moczyła torebkę. No i woda nie była już tak gorąca. Podkraśla się do mikrofalówki, spoglądając przez ramię, i otworzyła ją tak cicho, jak to możliwe.

– Chyba nie zamierzasz tego spieprzyć, Sera?! – krzyknęła Joan.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała, klnąc pod nosem jak szewc i wylewając herbatę do zlewu.

Kiedy idealny napój Joan był wreszcie gotowy, Sera podała teściowej filiżankę.

– Szkoda, że stracisz dzisiejszą lekcję włoskiego – powiedziała Sera.

– Może to i lepiej. Zapalenie uchyłków znowu daje mi się dzisiaj we znaki. Mam nadzieję, że nie będę wam przeszkadzać, złotko – oznajmiła z szelmowskim uśmiechem. – No wiesz, twoim kumpelkom z kółka. A co z tym facetem, który ma dołączyć? Pedał czy co?

Sera przełknęła gniew.

– Nie, Joan, on jest hetero. Niedawno owdowiał i po prostu chciałby wyjść z domu i z kimś się spotkać. To wszystko.

– Aha. – Joan nie była przekonana. – Trochę dziwne, że facet przychodzi na spotkanie kółka dziewiarskiego. Dzierganie to robota dla kobiet.

– No wiesz, nie chodzi tylko o dzierganie – tłumaczyła cierpliwie Sera. – To również szansa na nadrobienie zaległości. Jak klub książki.

– Klub książki! Nie rozśmieszaj mnie. – Oczy Joan ani razu nie opuściły ekranu telewizora. – Nigdy bym nie pomyślała, że Chantrea wybrałaby czytanie jako hobby, nie mówiąc już o tej Mallory. Zdziwiłabym się, gdyby w ogóle potrafiła czytać!

Sera oddaliła się, obawiając się, że straci kontrolę i uderzy starą kwokę. Boże, jak to się wszystko dzisiaj ułoży? Gdzie ich wszystkich posadzi? Wiedziała, że nie ma szans na to, żeby Joan wcześniej się położyła. Chociaż Sera oryginalnie urządziła jej sypialnię, z kompletem wypoczynkowym w stylu Laury Ashley i telewizorem, ta wciąż okupowała salon.

– Nie mam zamiaru dać się zamknąć w tym więzieniu – narzekała, kiedy Sera po raz pierwszy z dumą pokazała jej odremontowane i urządzone dużym kosztem pomieszczenie.

Sera zdecydowała, że najlepszym miejscem na dzisiejszą sesję Szali i żali będzie kiczowata kuchnia. Mogą udawać, że są gospodyniami domowymi z lat siedemdziesiątych. Nawet Sam.

Uchwyciwszy się tego pomysłu, przekopywała spiżarnię w poszukiwaniu czerwonych i zielonych cebulek koktajlowych. Szczęśliwie kabanosy były przysmakiem Tony’ego. Poświęciła też swój doskonały cheddar i pocięła go w kostkę. A przy odrobinie szczęścia – przetrząsała szufladę Joan, dumnie nazywaną rozrywkową – bingo, wykałaczkami z chwościkami. Szybko przygotowała wybór przekąsek i ułożyła je na gościnnej zastawie teściowej. Była mile podekscytowana swoim pomysłem i nawet założyła fartuszek z falbankami. „Chyba potrzebujemy jeszcze tylko platerów”, pomyślała z rozbawieniem.

– Drzwi – wystąpiła z pomocą Joan, kiedy zabrzmiał dzwonek.

Mallory jak zwykle przywitała się z Serą piskiem emocji, z entuzjazmem chwytając ją w objęcia. Była dokładnie tą samą mieszaniną energii i uczuć, która przyciągnęła do niej Serę, kiedy poznały się w niewielkiej szkole podstawowej w Tasmanii ponad trzydzieści lat temu.

Ich powitalnym okrzykiem towarzyszyło szydercze prychnięcie Joan.

– A ona co tu robi? – syknęła ze wstrętem Mallory. – Myślałam, że jest na włoskim.

– Samochód Mavis ma rozładowany akumulator – szepnęła Sera.

– Przeklęta corolla! – pogroziła Mallory zaciśniętą pięścią.

– Jak już przestaniecie wymieniać plotki z podwórka, to może przypomni się wam o manierach – przerwała Joan.

Młode kobiety wymieniły znaczące spojrzenia i kwaśne miny. Po chwili na twarzy Mallory pojawił się jej zwykły, zaraźliwy uśmiech.

– Dobry wieczór, Joan. – Wskoczyła do środka i pochyliła się, żeby dać jej buziaka. – Cieszę się, że cię widzę.

– Cześć, Mallory – odpowiedziała Joan, podsuwając policzek i odwracając oczy od oferty telezakupów, żeby oszacować wygląd młodszej kobiety.

Spojrzała znad okularów.

– Co ja widzę? Warkocze, Mallory? Nie jesteś trochę za stara na uczennicę?

Mallory uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Fajny sweter, Joan – odpowiedziała. – Teraz już trudno o takie aplikacje, interesujący motyw.

– Hmm, dzięki – stwierdziła Joan, patrząc na swój sweter i dobrane do niego spodnie dresowe. – Lubię morski kolor.

– I powinnaś. Dobrze współgra z kolorem twojej skóry – zapewniła ją Mallory.

Sera złapała ją za ramię. Obie omal się nie posikały ze śmiechu. Udało im się dotrzeć do kuchni i zatrzasnąć drzwi, zanim dopadły je drgawki.

– Jesteś okropna, wiesz o tym – powiedziała Sera, uśmiechając się do starej przyjaciółki. – Ale ci wybaczam, bo masz świetne buty.

Mallory spojrzała na swoje espadrille na koturnach.

– Dzięki, mam tylko nadzieję, że się nie przewrócę: są bardzo niestabilne.

Sera prawie zaczęła żałować, że sama wybrała płaskie,

zdobione klapki, ale wystarczył rzut oka w dół i poczuła się pewniej.

Dzwonek do drzwi zaanonsował przybycie Chantrei i Sama.

– O, to nasz dziergający chłopiec? – spytała Joan, oceniając Sama wzrokiem, jak wystawowego byka, gdy nerwowo wszedł do pokoju.

– Joan, to jest Sam. – Sera z niechęcią przedstawiła swoją teściową, czekając, aż popełni jakąś gafę – i nie rozczarowała się.

– Więc nie masz kumpli. To twój problem? Dlatego chcesz siedzieć z gromadką zameężnych kobiet... A może masz w zanadrzu coś bardziej interesującego, co? – Joan mrugnęła znacząco do Chantrei, która uśmiechnęła się i objęła Sama.

– Tak, Joan, jesteśmy kochankami i biedny Sam po prostu nie może beze mnie żyć; trafiłaś w sedno – powiedziała zuchwale.

– Nie musisz się tak do mnie odzywać – ofuknęła Joan, ponownie zwracając całą uwagę na telesprzedaż.

Sam nie wiedział, gdzie podziąć oczy, a Sera nie była pewna, czy śmiać się, czy płakać. Chantrea spokojnie poprowadziła ich do kuchni i zajęła miejsce przy stole.

– Chryste, najwyższy czas na wino – ogłosiła Sera, nalewając każdemu do kieliszka.

– Proszę – powiedział Sam z wdzięcznością.

– Teraz ja. – Chantrea podała swój.

– Dla mnie tylko pół – poprosiła Mallory. – Wiesz, jak wino na mnie działa.

Sera, sięgając po kieliszek Chantrei, zauważyła, że i ona ma na nogach espadrille. Jak to możliwe?

– Halo, dziewczyny. – Zgrabny, upudrowany nosecek sąsiadki Sery, Jacqueline, ukazał się w drzwiach.

– Dobry wieczór wszystkim – powiedziała zadowolona ze swojego wejścia. – A to musi być Sam? Miło cię poznać. – Rzuciła sztywny uśmiech w jego kierunku, dumnie stawiając na środku stołu wspaniałą, ozdobioną tropikalnymi owocami tort Pawłowej.

Przez kuchnię przeszedł szmer podziwu.

Przez parę sekund uszy Jacqueline napawały się ich

komplementami. Przymknęła oczy, ciesząc się triumfem, żeby po chwili wzruszyć lekko ramionami i unieść ręce w geście protestu.

– Och, to naprawdę nic takiego – zadźwięczała, zsuwając z ramion różowy kaszmirowy sweterek i wieszając go na oparciu krzesła.

Jacqueline dokładnie wiedziała, jaki będzie przebieg wieczoru. Wszyscy będą narzekali na to, jak ciężkie są ich mało znaczące żywoty, i przerywali narzekania uwagami na temat jej życia bez skazy. Wiedziała, że potajemnie jej zazdroszczą; dwóch doskonale ułożonych nastolatków, kochającego męża-ortodonta i doskonale prowadzonego domu. W jej życiu nie było rys tak jak w życiu innych. Jej życie było bez skazy jak płatki angielskiej róży.

Sera powinna być zadowolona i zrelaksowana. Cięty język Joan nie wyrządził większych szkód. Atmosfera była miła, przekąski atrakcyjnie kiczowate i wszyscy pilnie oddawali się robótkom. Jednak ona była podminowana. W zakątkach jej umysłu formował się znajomy kłęb frustracji.

Jak mogła tak błędnie zinterpretować najnowsze trendy? Jak to możliwe, że obie, Mallory i Chantrea, zauważyły, że espadrille są hitem, podczas gdy jej – zawsze-na-czasie-Serze Walker – wyraźnie to umknęło?

Jej modowy radar namierzył espadrille, zarejestrował nowy look, ale zdecydowanie błędnie odczytała trajektorię, którą podążyła ta propozycja. Wiedziała, że mogą stać się modne – prawie tak modne jak białe lniane spódnice – ale nie tak szybko, nie już dziś wieczorem, do cholery. Poza tym nosiło się je przecież cztery lata temu. Jak śmiały tak szybko wrócić?

Energicznie potrząsnęła stopą, całkowicie rozczarowana nowymi kłapkami. Wydawały się teraz okropnie krzykliwe.

– Świetnie dziś wyglądasz – uśmiechnęła się do niej Chantrea.

– Biały len zdominuje ten sezon – powiedziała Mallory.

– Podoba mi się ten czekoladowy lakier – dodała pospiesznie Jacqueline.

Sera zdawkowo się do nich uśmiechnęła, puszczając miłe słowa mimo uszu. Udając, że skupia się na robótkce, ukradkiem spojrzała na stopy Jacqueline; nawet klasyczne baleriny wydawały się bardziej stosowne niż jej ozdobne sandałki. Ze złością rzuciła głupim, błyszczącym kłapkom ostatnie spojrzenie i włączyła się do rozmowy, pomagając Chantrei przy moherowym szalu.

– Te koreczki wyglądają intrygująco, ale muszę odmówić – powiedziała Jacqueline, lekko się wzdrygając, kiedy Mallory częstowała przekąskami.

– Jak tam w pracy? – spytała Chantree Sera.

– Ostatni lot był standardowo upiorny, z rzygającym dzieciakiem i zapchanym kibelem; ale zdążyłam odebrać Sally z przedszkola, a to zawsze coś – odpowiedziała Chantrea z niewyraźnym uśmiechem, który nie sięgnął jej zmęczonych oczu.

– Wyobrażam sobie, jakie to musi być okropne, gdy inni muszą wychowywać twoje dziecko – oznajmiła Jacqueline.

– Słucham? – Na twarzy Chantrei pojawiły się oznaki gniewu. – Co masz na myśli?

Sera i Mallory wymieniły nerwowe spojrzenia, a Sam pochylił się nad włóczką.

Chantrea zawsze była drażliwa, zwłaszcza gdy chodziło o czas, który poświęca Sally.

– Nic takiego, kochanie – odpowiedziała Jacqueline z niewinną miną. – Tylko...

– Lepiej nic nie mów. – Nastroszone włosy Chantrei jeszcze bardziej się zjeżyły. – Dla niektórych praca ogranicza się do tak stresujących rzeczy, jak czwartkowy brydż czy cotygodniowe spotkanie z pastą do polerowania mebli, inni mają trochę więcej na głowie.

Mallory o mało nie wybuchła śmiechem, ale rzut oka na Chantree wystarczył, żeby go zdusiła.

– Kochanie, nie wzięłaś chyba tego do siebie. Nie atakuję cię. Chciałam po prostu okazać współczucie – odpowiedziała cicho Jacqueline.

– Częstujcie się, dziewczęta. – Sera, chcąc rozładować sytuację, postawiła tacę na stole.

Chantrea z westchnieniem przesunęła palcami po włosach; wybuch złości minął.

– Przepraszam, Jacqueline. Zdaję sobie sprawę, że jestem przeczulona na punkcie Sally.

– Sam, czy twoje córki chodzą już do szkoły? – spytała Jacqueline, wpływając na bardziej bezpieczne wody.

– Starsza, Isabelle, jest w zerówce, a nasza... – Cień bólu przemknął po jego twarzy, kiedy musiał się poprawić. – A moja

mała Alexandra jest w przedszkolu, w grupie z Sally.

– Wspaniale. A matka też ma prawo do opieki? – spytała.

– Jacqueline! – zawołała Chantrea.

– W porządku, Chantrea – powstrzymał ją Sam. I zwracając się do Jacqueline, wytłumaczył: – Ich matka zmarła dwa lata temu i teraz sam je wychowuję.

– Och, naprawdę mi przykro. – Zmartwiona Jacqueline koniuszkami palców dotknęła skroni. – Wiadomo, że wychowanie dzieci sprawia mężczyznom o wiele więcej problemów niż kobietom.

– JACQUELINE! – Tym razem upomniał ją chór głosów.

– Myślę, że czas na tort – rzuciła Sera, sprawdzając, zanim wstała od stołu, czy jej noga jest wystarczająco dobrze zakryta.

Chciała odciągnąć uwagę Jacqueline od tematu, a wielka puszysta beza doskonale się do tego nadawała.

I faktycznie, spełniła swoje zadanie. Jacqueline zaserwowała deser, a z pomocą paru kolejnych kieliszków wina wszyscy się rozluźnili, śmiejąc się i trajkocząc o głupotach. Wielkie życiowe problemy na razie odłożono na bok.



Punkciki białego światła na ciemnym dywanie uświadomiły Joan, że wciąż jest noc. Dawno zaakceptowała fakt, że już nigdy nie będzie się cieszyć głębokim i długim snem.

Wstała, wsunęła na stopy kasztanowe kapcie i poczłapała korytarzem, żeby przynieść ulgę niecierpliwemu pęcherzowi. Była już w pełni rozbudzona. Umyła ręce i zerknęła w zamazane odbicie w lustrze. „To prawdziwe błogosławieństwo, że oczy zaczynają wysiadać w tym samym czasie, gdy skóra traci elastyczność”, pomyślała. Jeśli z pełną ostrością zobaczyłaby, co czas zrobił z jej twarzą, musiałyby się pewnie poddać.

Powlokła się do kuchni, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty. Dla Joan herbata była odpowiedzią na wszystko, panaceum na wszelkie dolegliwości – od napadów furii, po dreszcze; drobne czarne listki potrafiły zdziałać cuda. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą być też przyczyną jej bezsenności.

Czekając, aż woda w czajniku się zagotuje, błędziła wzrokiem po pomieszczeniu. Nadeszły wspomnienia, które silniej uderzały nocą. To zawsze było jej ulubione miejsce w domu. Było takie eleganckie w czasach, gdy zostało urządzone. Wspominała okres, kiedy oliwkowo-zielone drzwi i pomarańczowe laminowane obicia ławek były szczytem mody. Wspominała dzień, kiedy się wprowadzili, a ona, świeżo upieczona mężatka, rozpakowywała pierwsze zakupy z takimi emocjami jak mała dziewczyna bawiąca się w dom. Wszystkie produkty poustawiane w równych rzędach miały zapewnić sukces oddanej żonie, którą przysięgała być tydzień wcześniej w obecności rodziny i przyjaciół w kościele St Matthias. Po kolejnych wizytach w supermarkecie zakupy spożywcze przestały być tak ekscytujące.

Joan miała przed oczami hordy przyjaciół i sąsiadów śmiejących się i pijących w kuchni i w salonie, słyszała Beatlesów na gramofonie, widziała martini w eleganckich kieliszkach.

Wszystkie dziewczyny z fryzurami na Audrey Hepburn, z powiekami mocno podkreślonymi czarnym eyelinerem i w najmodniejszych wtedy strojach.

Zdjęcie, które stało na jej stoliku nocnym, zostało zrobione właśnie tu, w kuchni, w ich pierwszą rocznicę ślubu. Miała na sobie sukienkę bez rękawów w kolorze butelkowej zieleni, z obcisłą górą, która od pasa rozszerzała się w sięgającą kolan bombkę. Barry był szczupłym blondynem, zawsze poważnym. Nigdy nie uśmiechał się do zdjęcia, a także nieczęsto to robił w codziennym życiu. Nikt, kto wtedy na nich patrzył, nie domyślał się, że między nimi wyrosła bariera. Ani jak ciężko Joan musiała pracować na to, żeby zachować pozory szczęśliwego pożycia małżeńskiego.

Nawet teraz trzymała to zdjęcie na stoliku nocnym tylko dlatego, że tak wypadło.

Na fotografii nalewała Barry'emu drinka z wazy do ponczu z ołowiowego kryształu, którą odziedziczyła po prababce. Tradycja wymagała, żeby przekazać ją pierwszej pannie młodej w rodzinie.

Sera wydawała się zadowolona, kiedy dostała ją od Joan w dniu swojego ślubu, ale Joan wątpiła, że doceniła znaczenie podarunku. Spojrzała teraz na wazę upchniętą w rogu ławy i wypełnioną pozostałościami życia rodzinnego. Klocki lego, rachunki, gumki do włosów i recepty nie pozwalały kryształowi lśnić pełnym blaskiem. Kieliszków nie widziała od dawna. Pewnie wszystkie się potłukły.

Joan westchnęła i wyjrzała przez okno na wybrukowane patio, które powstało na tyłach domu jeszcze przed przyjściem Tony'ego na świat. Ogarnął ją smutek, kiedy przypomniała sobie lato, w które je budowano.

Herbata skończyła się parzyć. Wrzuciła torebkę do zlewu i poszła do swojego pokoju.

Maaaamo!

Serę wybudził lament. Spróbowała skupić wzrok na święcących cyfrach budzika. Szósta rano. „Fantastycznie, znów dali mi pospać”.

Usiadła na łóżku i cicho sięgnęła po kosmetyczkę.

Wprawnie nałożyła warstwę pudru, róż i błyszczyk, i przejechała szczotką po włosach.

W ciągu ośmiu lat małżeństwa Tony jeszcze nigdy nie widział jej rano bez makijażu i nie miała zamiaru szybko do tego dopuścić.

– Mmmm... – Tony obudził się i otworzył oko. Druga strona jego twarzy była wciśnięta w poduszkę. – Cześć, piękna – powitał ją ochrypłym od snu głosem. – Chodź do mnie i daj na siebie popatrzeć. – Wyciągnął do niej ręce.

– Nie bądź głupi – zaśmiała się, wyskakując z łóżka. – Co najmniej godzina pracy, zanim zacznę przypominać człowieka, nie mówiąc o piękności.

Wysprzątaną na błysk kuchnię Sery wypełniało jesienne słońce, dzięki czemu to miejsce wyglądało niemal ładnie. Zawsze czyściła kuchnię, zanim poszła spać. Przynajmniej tu była w stanie utrzymać porządek.

Tak jak i Bella. Choć ona miała świra na punkcie porządku we wszystkich aspektach swojego życia. Serę bardziej interesowała stylizacja i dekoracja niż utrzymywanie domu w nieskazitelnej czystości. I tak byłoby to trudne z dwojgiem małych dzieci udaremniających jej każdy ruch. Wiedziała jedno: nigdy nie dopuści do tego, żeby jej dom zaczął przypominać chaos, w którym dorastały razem z Bellą.

Wystarczyło wspomnienie chlewu, jakim był ich dom rodzinny i że matka nigdy nie widziała pleśni pod prysznicem czy plam na dywanie, aby podwoić jej wysiłki w sprzątaniu.

U Marleny brak zainteresowania utrzymaniem domu w czystości przełożył się też na macierzyństwo. Sera próbowała sobie przypomnieć, czy matka kiedykolwiek nią się interesowała albo o nią martwiła. Joan natomiast niemal dostawała obłędu, kiedy Tony złamał paznokiec. W tych rzadkich wypadkach, gdy rozmawiały, jej matka nigdy nie pytała, czy u niej wszystko w porządku. Sera przestała się już tym przejmować. Wzdrygnęła się i rozkoszowała porannym blaskiem słońca wpadającego przez kuchenne okna. Marlena była po prostu za bardzo osaczona przez własne problemy, żeby myśleć o córkach. To przypomniało jej o telefonie matki, o którym wspomniała wczoraj Joan. Będzie musiała do niej oddzwonić. Pewnie znowu musi się komuś wyżalić.

– A niech się wypcha – powiedziała Sera do pustej kuchni.

I tak nigdy nie miała potrzeby, żeby być rozpieszczana. Odwróciła się, chcąc napełnić czajnik, i jej wzrok napotkał zużytą torebkę herbaty wrzuconą bezmyślnie do zlewu ze stali nierdzewnej. Brązowa ciecz zostawiła na lśniącej powierzchni brzydką, ciemną plamę.

– Cholera! Czy ta kobieta robi to specjalnie?

Przypomniała sobie nagle ulotkę, którą znalazła we wczorajszej poczcie. Przeszukała kryształową wazę, złoścąc się na panujący w niej bałagan. Ta waza wiele dla niej znaczyła; czuła się zaszczycona, że powierzono jej opiekę nad rodową pamiątką.

Ceremonialne przekazanie wazy w dniu ślubu było znakiem, że Joan zaakceptowała Serę jako członka rodziny; to była naprawdę doniosła chwila. Żeby pokazać Joan, jak bardzo ceni ten gest, ustawiła wazę na honorowym miejscu na długim kuchennym stole. Jednak teraz wszyscy wrzucali tam rozmaite drobiazgi. Kiedyś w desperacji umyła naczynie, napełniła wodą i włożyła kilka orchidei. Tego samego wieczoru Tony, z przyzwyczajenia, dodał do pływających kwiatów swoje klucze i telefon komórkowy.

A kiedy na świat przyszły dzieci, musiała przestawić wazę w bardziej bezpieczne miejsce, w róg stołu. Nie chciała jej chować, bo sam widok sprawiał jej dużą przyjemność. Gdy słońce padało

pod pewnym kątem, rzucała piękne refleksy na całą kuchnię.

„Dzisiaj ją uprzątnę”, zdecydowała. Porządnie ją umyje i może zacznie używać do owoców. Zajmie się tym, jak odstawi dzieci do przedszkola i kosiarkę do serwisu, ale zanim zacznie gotować obiad. No, może raczej po pracy... Westchnęła z poczuciem klęski. Może jutro.

*Drodzy Państwo, czytała ulotkę.*

*Kiedy nasi bliscy osiągają wiek, w którym nie mogą już sami o siebie zadbać, a nierzadko stają się ciężarem dla członków rodziny, chcielibyśmy zapewnić im jak najlepszą, życzliwą opiekę.*

*W naszym domu dla osób starszych i niedołącznych świetnie troszczymy się o gości, zapewniając im szeroką gamę zajęć pozwalających utrzymać w odpowiedniej kondycji ciało i umysł. Proponujemy też serię interesujących odczytów, na przykład: Nasz przyjaciel błonnik, Życie między posiłkami, Nikt nie próbuje ukraść ci portfela. Nasze zajęcia grupowe to między innymi: Wycieczki wózkami inwalidzkimi, Konstrukttywne krytykowanie innych, Walki na laski i ulubione przez wszystkich bingo.*

– Co czytasz? – Tony wszedł do kuchni, idąc prosto do ekspresu do kawy.

– Nic takiego. Przeglądam korespondencję.

Sera włożyła ulotkę z powrotem do koperty i wrzuciła na spód wazy. Później ją zniszczy. Co jej w ogóle przyszło do głowy? Życie z Joan nie jest łatwe, ale to przecież jej dom.

Gdy mąż robił sobie kanapki, sięgnęła po kolejną kopertę. Zawierała próbki tkanin do pokoju dziecięcego. Obecny stan sypialni dzieci przyprawiał ją o ból głowy. Jest taka brzydka. Niedobre meble, kolorystyka, piętujące się po kątach stosy zabawek. Była szczęśliwa, gdy trafiła na piękne materiały znanej marki Designer's Guild, które pasowały i dla dziewczynki, i dla chłopca. Pokój pięknie by wyglądał, a dzieci na pewno byłyby zadowolone. Jak mogłyby nie być? Na nią to przecież zawsze działało. Kiedy otaczało ją piękno, czuła się zrelaksowana i rozluźniona.

Rozłożyła próbnik i aż pisnęła z zachwytem. Kombinacja

cytrynowej zieleni i bladego pomarańczowego idealnie kontrastowała z ciemniejszym odcieniem przypominającym kolor dyni. Jedna tkanina – z motywem kwiatowym, stylizowanym na lata siedemdziesiąte – świetnie by wyglądała jako pokrycie łóżka i fotela Maddy. Druga, w takich samych kolorach, ale w surowe, geometryczne wzory, byłaby dla Harry’ego.

Do tego pomarańczowe rolety z zielonym wykończeniem, a ściany mogłyby być cytrynowe. Tak, ładnie by to wyglądało. Oczywiście kosztowałyby fortunę, ale warto ją wydać, żeby codziennie budzić się w takim otoczeniu. Wiedziała, że dzieciom by się spodobało... Musiało, bo już wpłaciła bezzwrotną zaliczkę.

Tony cmoknął ją w policzek i wyszedł.

– Dzień dobry, mamó, do widzenia, mamó. – Minął matkę w korytarzu, wgryzając się w niedojedzoną kanapkę.

– Żona powinna ci zrobić porządne śniadanie, synku – zawołała za nim Joan. – Jedzenie w biegu bardzo źle wpływa na trawienie.

– Dlaczego Sera miałyby mi robić śniadanie? Przecież sam potrafię, a poza tym jestem spóźniony. Na razie. – Zatrzasnął za sobą drzwi.

– Cześć, dzieciaki – powiedziała Joan.

– Babcia!

Sera wstawiła wodę na herbatę dla teściowej. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak dzieci ją powitały. Ubóstwiały babcię. Nic dziwnego. Nieźle je rozpuszczała. Ukradkiem podrzucała słodycze przed snem, kupowała tanie szmaty z supermarketu, które uwielbiały. Poza tym ignorowała nakazy Sery i pozwalała im oglądać odmóżdżające seriale o brzydkich ludziach mieszkających w brzydkich domach.

– Dzień dobry, Joan – powiedziała, zanosząc teściowej filiżankę.

– Dobry, Sera. Co ta herbata taka słaba?

– Zamoczyłam torebkę trzy razy, tak jak lubisz. Mogę zrobić drugą.

– Nie, może być. Będę cierpieć w milczeniu. – Joan rzuciła

kolejne podejrzliwe spojrzenie na gorącą filiżankę i odstawiła ją na boczny stolik.

Sera podłożyła pod nią podstawkę, żeby uchronić tekowe drewno przed zaplamieniem.

– Popatrzcie, co dla was mam, dzieciaki: prezenty! – Joan przechyliła się przez oparcie fotela i wyjęła dwie torby z taniego sklepu.

„No pięknie”, pomyślała Sera.

Dzieci szybko podniosły się sprzed telewizora i pobiegły zobaczyć, co dostały.

– Na pewno macie dość tej niebieskiej i różowej pościeli – zaczęła Joan.

„Co? Niemożliwe!”, pomyślała Sera.

– Więc poszłam do sklepu i kupiłam wam nowe poszewki.

„O KURWA, NIE!”, wrzasnęła Sera w myślach; uśmiech zastygł na jej twarzy, a oczy wypełniły się łzami.

– Hura! Popatrz, mamo! Dora poznaje świat! – pisnęła Maddy. – Kocham Dorę!

Sera spodziewała się zobaczyć lekceważącą minę Joan, ale teściowa uśmiechała się do dzieci, zadowolona z przyjemności, jaką im zrobiła. Harry siłował się ze swoją torbą i w końcu jej zawartość wysypała się na dywan.

– SPIDERMAN! Spiderman, Spiderman, Spiderman! – powtarzał z zachwytem imię swojego ulubionego bohatera.

Kiedy Serze wydawało się, że najgorsze ma już za sobą, Joan wyciągnęła kolejne siatki.

– Wasza mama lubi, jak wszystko do siebie pasuje... – Czy to był przebłysk sarkazmu? – ...więc jest i reszta.

Dzieci przywitały kolejne dary okrzykiem radości. Sera była oszołomiona. Prześcieradła do kompletu i – Boże, spraw, żeby to nie była prawda – tak, wisienka na torcie: pasujące lambrekiny.

Przez ten cały czas, od kiedy wykiełkował w niej zmysł estetyczny, odkąd unikała niezgodności kolorów, z delikatnością przekładała poduszki na kanapach przyjaciół czy siadała na krzesłach, których obicia pasowały do jej stroju, Sera nigdy nie

widziała czegoś w tak złym guście. Co miała zrobić? Ten chłam jest w jej domu, ma trafić do sypialni dzieci. Taka zbrodnia na wystroju wewnątrz na pewno będzie miała zły wpływ na jej najdroższe pociechy.

Skierowała uwagę na rozmowę.

– Pamiętacie, jak wygrałam w bingo w zeszłym tygodniu? – mówiła Joan. – Pomyślałam: na kogo mam wydać taką wygraną? Nie zabiorę jej przecież do grobu, no nie?

To przeważyło szalę. Sera musiała interweniować.

– Dzieci. Joan – zaczęła słodko. – Przykro mi, ale wpłaciłam już zaliczkę na piękne komplety pościelowe z czystej bawełny.

Dzieci i teściowa spojrzeli na nią tak, jakby mówiła w obcym języku.

– W kolorze dyni, mandarynki i cytryny.

– O Boże, brzmi jak surówka. – Joan nie była pomocna.

– Ja nie lubię dyni – powiedział Harry, wysuwając dolną wargę i mocno przyciskając do piersi swoją nową poszewkę ze Spidermanem.

Sera nie zamierzała się poddać.

– Mam tu książeczkę z próbkami. Mogę wam pokazać. Są bardzo ładne. Pasują i chłopcom, i dziewczynkom.

– Książeczka? Lubię książeczki. – Harry nastawił uszu.

Sera pobiegła do kuchni po próbki. Chwilę później tłumaczyła synkowi:

– Nie, kochanie, to inna książeczka. Głuptas z mamy! Ta książeczka nie ma bajek, a kolorowe kawałki materiałów, które można do siebie dopasować. Widzisz?

Rozłożyła wachlarz próbek.

– Ja chcę książeczkę. To nie książeczka, to do szycia. Chcę bajeczkę – wyjęczał Harry.

Zdesperowana Sera odwróciła się do Maddy. Liczyła na to, że córka podejmie właściwą decyzję.

– Maddy, co o tym myślisz? Patrz, stokrotki. – Pokazała dziewczynce próbkę.

Maddy, z większą dyplomacją niż przystało na pięciolatkę,



powiedziała:

– Bardzo mi się podobają twoje materiały, mamusiu, ale kocham Dorę najbardziej na świecie. Nawet bardziej niż masło orzechowe.

Sera się załamała. Nie mogła odebrać im poszewek, nie była taką złą matką. Oczywiście, nie pozwalała im bawić się na dworze, zanim przyjdą goście, żeby nie pobrudziły eleganckich, designerskich ubranek. I wplatała pojedyncze jasne pasemko we włosy córki – były takie ciemne. No dobrze, myślała też o chirurgicznej korekcie odstających uszu synka. Ale nie zamierzała niweczyć ich radości z nowego wystroju sypialni. Jeszcze.

– Przykro mi, że zepsułam ci plany – przeprosiła Joan, widząc porażkę Sery. – Błąd w komunikacji.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Sera, idąc z próbnikami w stronę kosza na śmieci.

Sięgnęła na dno kryształowej wazy, wyjęła ulotkę domu opieki i położyła ją na wierzchu.

Drzwi windy otworzyły się jak kurtyna na premierze sztuki. Z Bellą w roli głównej, na scenie, którą jak reflektor oświetlały promienie słońca padające przez oszklone drzwi. Grała. Przykleiła uśmiech na nienagannie umalowaną twarz i rozpoczęła występ dnia. Mijając lustro w złoczonej ramie, szybko oceniła swój wygląd. Idealny. Koralowa bluzka starannie włożona w szare spodnie. Koński ogon gładki, skóra promienna, a usta błyszczące.

Skierowała się w stronę recepcji, dołączając do długiej kolejki. Jej wzrok spoczął na olbrzymiej, kryształowej misie wypełnionej wodą, stojącej na stole pośrodku foyer. Nenufary pływające na powierzchni wody przypomniały jej o czasach, gdy Sera próbowała uporządkować swoją kryształową wazę. Komiczne! Może nie tak zabawne dla Tony'ego i jego nowego telefonu, ale to wciąż świetna historia.

Myślała o swojej siostrzyczce w Sydney. Kryształowa waza była wspaniałym prezentem powitalnym od Joan. Sera była taką szczęściarą. Bella czuła się wyobcowana. Ale czy kiedyś było inaczej? Kiedy była z Curtisem, jedynie grała rolę gospodyni domowej. Przygotowała scenografię bardzo dokładnie, łącznie z kapciami przy drzwiach i potrawką w piekarniku. Każda część jej życia była grą. Tak bardzo chciała gdzieś przynależeć. Jak Sera. Próbowała stworzyć z Curtisem rodzinę. Była taka głupia.

Kryształowa miska zmieniła się w jej głowie w inkrustowaną miskę na kuchennym stole na farmie w Tasmanii.

– Nie umyje się od samego gapienia – zabrzmiał głos matki. Marlena siedziała przy stole, rozwiązując krzyżówki.

Bella z westchnieniem namoczyła miskę i zabrała się za czyszczenie patelni.

– Muszę iść do szkoły, mam – powiedziała.

– Najpierw rozwieszysz pościel. W zeszłym tygodniu śmierdziała stęchlizną.

- Ale Sera nie może się dzisiaj spóźnić. Ma wycieczkę.
- Naprawdę? – odburknęła matka. – A kto ma za to zapłacić?
- Ja już zapłaciłam. Idą tylko do małego zoo, na końcu drogi.

Tylko pięć dolców.

- Dobre dziecko. Podaj mi portfel, dobrze?

Bella podała matce sfatygowany, stary portfel. Miło być docenioną. Czekwała, aż mama odda jej pieniądze.

– O, tu jest. – Marlena wyciągnęła pogiętą zdrapkę i zaczęła szorować po niej nadłamanym paznokciem kciuka. – Naczynia same się nie umyją, dziewczyno. Myślałam, że się spieszysz do szkoły?

Patrząc wstecz, Bella zdała sobie sprawę, że matka po prostu zrezygnowała z opieki nad dziećmi. Miała tego dosyć, zanim odkryła, że jest po raz piąty w ciąży, i z ulgą przekazała najmłodszą pociechę najstarszej córce. Bella wiedziała, że w dużej rodzinie wszyscy musieli dokładać starań, ale czasem martwiła się, że Sera może pomyśleć, że to ona jest jej prawdziwą matką.

Bardzo kochała swoją małą siostrzyczkę i chciała dla niej jak najlepiej; ale czasami była tak zmęczona, że zamiast czytać Serze bajki na dobranoc, chciała spokojnie przejrzeć w łóżku czasopisma.

Marlena miała problem z hazardem, co wpędzało rodzinę w ciągle kłopoty finansowe. Pieniądze na jedzenie trafiały w gardła jednorękich bandytów czy na zakłady wyścigów konnych. Bella była niepokieszona, kiedy w czasie Gwiazdki Marlena tłumaczyła trzyletniej wówczas Serze, że Mikołaj gdzieś się zgubił, więc nie będzie w tym roku prezentów. Wtedy zdecydowała, że to nigdy się nie powtórzy.

Od tego czasu odkładała zarobione w supermarkecie pieniądze, żeby móc kupić urodzinowe i gwiazdkowe podarunki siostrze i chłopcom.

Jednak nawet cała masa prezentów nie mogła zmniejszyć poczucia winy, które czuła w związku z wypadkiem Sery. Całym swoim życiem odpłacała tę jedną, brzemienną w skutkach minutę. Dążyła do perfekcji we wszystkim. Chciała być najlepszą

przyjaciółką, najlepszą pracownicą, gościem bez zarzutu.

Gdy była nastolatką, jedyne chwile ukojenia przychodziły, kiedy patrzyła na ścianę oklejoną stronami z magazynów ze strojami Versace. Gianni Versace ucieleśniał wszystko, o czym marzyła. Bogactwo, blichtr i splendor.

Nawet twarz Meduzy, będąca logiem projektanta, wydawała się odbiciem jej twarzy: oczy zamknięte w próbie opanowania chaosu; smutne usta. Narysowała dużą Meduzę, pokolorowała ją na złoto i przykleiła na suficie nad łóżkiem, żeby światłość Versace nawiedziła jej sny.

Jego modelki były jak tygrysy; duże i silne; mające kontrolę nad swoim życiem, ambicjami, strojami. Pragnęła przechadzać się po weneckim pałacu w jedwabnych, szerokich spodniach; wylegiwać się na szezlongu. Chciała wiedzieć, co to jest szezlong. Tak, ściana udekorowana wyrwanymi z magazynów stronami trzymała ją przy życiu.

Kiedy skończyła siedemnaście lat, zdeterminowana, żeby zostawić za sobą okropne, złamane życie, wsiadła do samolotu lecącego do Sydney. Uciekała od hazardującej się matki, zapijaczego ojca, niechlujnych braci i nawet od biednej, małej Sery – od wszystkiego, za co czuła się odpowiedzialna – by zacząć od nowa. Zacząć od zera i zostać najlepszą, najbardziej idealną osobą, jaką mogła być. I usiadła w samolocie obok Curtisa.

Długo udawało jej się wszystkich oszukiwać. Zawsze nieskazitelny wygląd. Zawsze na czasie. Znajomi dziwili się, jak można wieść tak uporządkowane życie. Perfekcyjna Bella. Cały ten fałsz...

Rzuciła kolejne spojrzenie w lustro po drugiej stronie lobby i załkała w duchu. Zobaczyła nieuporządkowaną, zupełnie pokręconą kobietę. Opuściła kolejkę i poszła do toalety. Czekają ją duże porządki.

Patrz, gdzie jedziesz, głupia suko! – krzyknął kierowca ciężarówki, naciskając na klakson i skręcając gwałtownie, żeby ją ominąć.

Serę zalała fala adrenaliny i zakłopotania, kiedy dotarło do niej, że zajęła mu drogę, bo nie spojrzała w lusterko.

– Chryste, muszę się skoncentrować – strofowała się głośno, a na pociągniętej fluidem twarzy pojawiły się kropelki potu.

– Mamusiu, czy to pirat drogowy? Wyglądał jak pirat drogowy. Krzyczał na ciebie. – Głos Maddy zadrżał.

– Nic się nie stało, kochanie – odpowiedziała Sera, rzucając szybkie spojrzenie w lusterko. – Ma po prostu zły dzień.

Ranek nie zaczął się dobrze. Wyszli z domu spóźnieni o piętnaście minut. Ale nie było wyjścia – Sera musiała zmienić torebkę. Przypomniała sobie o spotkaniu z Jacqueline w modnej restauracji, a przecież tam nie wypadało pokazać się z workiem na ramieniu. Jeszcze by jej nie obsłużyli.

A zmiana torebki to nie byle co. To nie tylko kwestia przełożenia telefonu i portfela; jest jeszcze kosmetyczka, chusteczki do demakijażu, klucze, lusterko, notatnik, terminarz, długopisy, krem nawilżający, najnowszy krem na blizny, korespondencja, opłata za przedszkole... Niekończąca się lista. I przy tym dzieci opowiadające jej przeróżne historie, ciągle proszące o jedzenie i kłócące się, wtrącająca się we wszystko Joan i jej żądania dotyczące herbaty. To cud, że w ogóle udało się jej wyjść z domu.

Poranny szczyt też nie był jej sprzymierzeńcem: o mało nie potrafiła pieszego i została ochrzaniona przez kierowcę ciężarówki. Idealny początek dnia.

Udało jej się wjechać w sznur samochodów, żeby nie utknąć na dobre za nieprzepisowo zaparkowanym autem.

W końcu znalazła się na podjeździe obok przedszkola i zajęła

miejsce w kolejce terenówek z napędem na cztery koła, z odtwarzaczami DVD w tylnych siedzeniach, czekających, żeby wyeksplodować designerskie pociechy. Rodzice wparowywali do środka obładowani dziećmi i plecakami i wybiegali, zerkając nerwowo na swoje omegi i iPhony.

Sera zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu.

– No chodźcie, chodźcie. – Zaganiała dzieci w kierunku drzwi, podczas gdy Maddy przetrząsała plecak, z którego kolejno wypadły na mokrą ziemię kolekcja My Little Pony, czapka i sweterek.

– Maddy, na litość boską – zezłościła się. – Torba służy do noszenia rzeczy w środku. Harry, stój! – krzyknęła, wyciągając energicznego brzdąca sprzed maski niecierpliwego mercedesa i podnosząc różowego kuczka z kałuży.

Zostawiła syna w grupie trzylatków i dotarła do klasy Maddy. Pomogła jej powiesić plecak i upchnąć kuczki w szafce. Dała córce buziaka i już miała uciekać, kiedy ją nauczycielka, Susan.

– Sera, nie widujemy cię tu zbyt często. Musisz być zachwycona ostatnimi postępami Maddy.

– O, tak. Oboje bardzo się cieszymy – zapewniła ją Sera. „O czym ona gada?”.

– To naprawdę duże osiągnięcie, że tak szybko nauczyła się wiązać sznurowadła. – Nauczycielka wyraźnie wyczuła, że Sera nie ma pojęcia, o co chodzi. – Dostała nawet pieczętkę ze słonikiem od dyrektora, co, proszę mi wierzyć, nie zdarza się za często.

Sera przypomniała sobie teraz, jak tydzień wcześniej szorowała ten stempelek, żeby zmyć go z dłoni Maddy, i jak Maddy płakała, że już go nie ma. Zalało ją poczucie winy. Nie wiedziała, że to nagroda. Nie mogą rozdawać dyplomów?

Nauczycielka mówiła, jakby czytając jej w myślach.

– Nie dajemy już dyplomów, bo wolimy, żeby to dzieci opowiedziały rodzicom, kiedy jedzą razem kolację, za co zostały nagrodzone. Mogą się same pochwalić.

Dobry Boże, wspólna kolacja? Sera nie mogła sobie przypomnieć, kiedy im się to ostatnio zdarzyło. Posiłek na pokładzie samolotu do Melbourne raczej się nie liczy.

– Pieczętka na rączce dziecka ma przypominać, że powinno opowiedzieć rodzicom o osiągnięciach.

Serę rozboleła głowa. Tamtego dnia Maddy stękała, że ma coś ważnego do powiedzenia. Sera wyraźnie miała w pamięci, jak jej powiedziała, że nie jest już małym dzieckiem, żeby tak jęczeć, i obiecała posłuchać, kiedy tylko położy Harry'ego. Ale potem Harry zrobił kupkę na podłogę w łazience i nigdy nie doszło do rozmowy. Teraz miała problem. Maddy stała dumna, czekając na spóźnione wyrazy uznania. Ale Sera musiała zachować twarz przed cholerną nauczycielką.

– Oczywiście – zaczęła. – Maddy sama zawiązuje buty przez cały tydzień, bo takich rzeczy od niej oczekujemy. Ale naturalnie, jesteśmy dumni.

Nie mogła uwierzyć we własne słowa. Wiedziała, że córeczka patrzy na nią w osłupieniu. Przecież Sera zawsze pakowała im plecaki, wiązała buty, nawet ich ubierała. Bo tak było szybciej. Czasem nawet myślała o tym, żeby im nie pomagać, ale przecież zawsze się spieszyła.

Nauczycielka odeszła, a Sera schyliła się, żeby przytulić Maddy.

– Jesteś fantastyczna, jestem pod wrażeniem. Pokażesz mi dzisiaj? – szepnęła.

Maddy zignorowała ją i odwróciła się do koleżanek, żeby porozmawiać o kucykach.

Zawiedziona Sera smutno burknęła „Do widzenia” i była już prawie w drzwiach, kiedy Maddy krzyknęła:

– Poczekaj! – Wpadła w jej ramiona, wybacząc doznane krzywdy. – Cześć, mamusiu. Jak chcesz, opowiem ci po przedszkolu o wszystkim, co robi mój kucyk.

Sera z uśmiechem wygładziła warkoczyki córki.

– Byłoby fajnie. Kocham cię, Madeline – powiedziała.

– Ja też, proszę pani. Och! – zaśmiała się. – To znaczy,

mamusiu.

I odbiegła, zostawiając pogrążoną w smutku Serę.

Powlokła się do samochodu. W głowie kłębiły jej się różne myśli. Harry postawił w tym miejscu pierwsze kroki. Maddy przeczytała tu pierwsze słowo. Sera nie przyszła na gwiazdkowe występy dzieci w zeszłym roku, bo pomyliła grafik.

Czekając na światłach, myślała o własnym dzieciństwie. Jej matka nigdy nie uczestniczyła w żadnym szkolnym wydarzeniu i to Bella nauczyła ją wiązać sznurowadła.



Sera dotarła do pracy oszołomiona wydarzeniami poranka. Na szczęście nie było jeszcze klientów, więc mogła pozwolić sobie na trochę kojących zabiegów.

Podobało jej się to, że musi w pracy nosić pełny makijaż. Dla kogoś, kto pielili chwasty, mając na twarzy fluid, szminkę i róż, malowanie się do pracy było poważną sprawą wymagającą znacznych nakładów pracy i kosmetyków. Na powieki nałożyła cienie z najnowszej opalizującej linii, a na usta warstwę błyszczyku tak grubą, że ślizgał się po niej rant porannej filiżanki cappuccino.

Po trzech godzinach pracy oceniła swój wygląd w lustrze, sprawdzając, czy jej pieczołowicie ułożona fryzura się nie rozpadła, i wyjęła spod lady torebkę. Zerknęła na zegarek, żeby się upewnić, że właśnie rozpoczęła się jej przerwa śniadaniowa. Dziewczyny od Chanel były bardzo przeczulone na tym punkcie.

Szła przez centrum handlowe, uśmiechając się pogodnie do klientów. W pobliżu stoiska z ubraniami dla dziewcząt zauważyła zakłopotanego Sama z córkami. Mniejsza obejmowała się ramionami i podrygiwała, starsza dyskutowała z ojcem, który wyglądał na zmęczonego i zestresowanego.

Sam i dziewczynki beznamiętnie spojrzeli na blondynkę o wielkich oczach, z wysoko upiętymi włosami.

– Wszystko w porządku, Sam?

– Prze... praszam, czy my się znamy?

– W zeszłym tygodniu byłeś u mnie w domu. To ja, Sera.

– Ach! Sera, oczywiście, przepraszam. Nie poznałem cię.

Wyglądasz... inaczej.

– No tak, faktycznie. To mój służbowy wygląd. Mogę wam jakoś pomóc?

Młodsza córka Sama podrygiwała coraz dziwniej.

– Alexandra musi iść do ubikacji, a nie mogę przekonać

Isabelle, żeby z nią poszła – przyznał.

Wyrośnięta ponad wiek Isabelle zwróciła na Serę olbrzymie brązowe oczy.

– Boję się obcych – powiedziała szczerze.

– Może ja z tobą pójdę? – spytała Sera, z uśmiechem wyciągając rękę.

W oczach trzyletniej Alexandry Sera wyglądała jak księżniczka, z opadającymi blond lokami, lśniącymi powiekami w kolorze tęczy i różowymi, błyszczącymi ustami rozwartymi w uśmiechu. Od razu się zgodziła i ochoczo chwyciła wyciągniętą dłoń.

Kiedy wyszły z toalety, Sam zaproponował Serze kawę.

– Nie musisz tego robić – powiedziała. – Ale mam właśnie przerwę, więc chętnie się napiję.

Przeszli do części gastronomicznej, a dziewczynki pobiegły do pobliskiego kącika zabaw dla dzieci.

– Jacqueline ma rację, facetom czasem jest trudniej – poskarżył się. – Całe to rodzicielstwo jest chyba ukierunkowane na kobiety – od samego początku, od karmienia piersią. Nie zrozum mnie źle. Wiem, że jako ojciec mogę zrobić wiele rzeczy, ale czasem czuję się przytłoczony i niedostatecznie wyposażony. Na przykład kucyki. Jakbym tego nie robił, zawsze jest nie tak, jak trzeba, i zmywają mi głowę.

Sera zaśmiała się.

– Tym akurat nie musisz się zadręczać. Nieważne, czy jesteś ojcem, czy matką, żadna córka nigdy nie będzie zadowolona z tego, jak ją uczesałeś.

Uśmiech opuścił jej twarz i dotknęła jego dłoni.

– Jak jest naprawdę, Sam? Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak musi ci być ciężko.

– Tak – westchnął. – Ostatnie dwa lata nie były łatwe.

Naprawdę trudno to wytłumaczyć, ale to, co ja czułem po jej śmierci, jak bardzo ja za nią tęsknię, jak bardzo ja jej potrzebuję, to nic w porównaniu z tym, jak bardzo dziewczynki potrzebują swojej mamy.

Głos załamał mu się na ostatnim słowie.

– Cholera. – Zagryzł dolną wargę, odchylając do tyłu głowę.  
– To takie krępujące, przepraszam, wciąż nie mogę... – Podniósł do oczu zwitek chusteczek. – Czasem czuję taką złość. Naprawdę ostro jej nawtykam, jak się znów spotkamy – powiedział gorzko.

Sera uśmiechnęła się do niego.

– Wszystko wymaga czasu, Sam – dodała mu odwagi.

– Największym wyzwaniem jest zbudowanie tak głębokiej więzi, jaką dziewczynki miały z mamą. Zawsze mnie to zdumiewało. – Ugryzł kawałek kanapki i kontynuował. – Na przykład potrafiła spytać, co się stało, chociaż nie powiedziały wcześniej, że mają jakiś problem. I zawsze wiedziała, co mają robić. Ja proponuję berka i wszyscy wybuchają płaczem.

– Wygląda na to, że jednak coś robisz dobrze – powiedziała Sera, gdy Alex, oddając tacie sweter, mocno się do niego przytuliła. – Jak to zrobiłeś? Rzuciłeś na nią urok?

– Nie śmiej się, ale brałem to pod uwagę! – zachichotał. – Nie, pewnej nocy dotarło do mnie, że nie mogę być kobietą, nie mogę być ich matką, ale mogę być całkiem dobrym ojcem. Muszę to robić najlepiej, jak potrafię. Na przykład Grace kochała ogród, który urządziła we francuskim stylu. Zielone rzeźby, wszystko schludnie przycięte. To była jej pasja.

Skończył jeść kanapkę, odchylił się na krześle, oparł ręce na karku i opowiadał dalej.

– Po jej śmierci wpadłem w lekkie szaleństwo. Po pierwszym szoku czułem tylko narastający gniew.

– To chyba rzadko spotykane? – spytała zdziwiona Sera.

– Nie do końca – tłumaczył Sam. – Mój terapeuta mówi, że to całkiem normalne. Tak czy inaczej szalałem tygodniami. Ledwo mogłem oddychać. Na szczęście dziewczynki były wtedy u dziadków. Szał nachodził mnie falami, gdy najmniej tego się spodziewałem. Chciałem zabijać, ranić, wrzeszczeć, niszczyć, robić wszystko, co pozwoliłoby mi pozbyć się tej... koszmarnej wściekłości, że mogła mnie opuścić. Któregoś dnia miałem ciężkiego kaca po całonocnym picciu. Czułem się strasznie i znowu

mnie dopadło. Chciałem się zemścić, ukarać ją za to, co zrobiła swoim ślicznym niewinnym córeczkom – i mnie. Zupełnie oszalałem. Wszedłem z siekierą do jej ukochanego, wymuskanego ogrodu. Porąbałem krzewy, zerwałem bruk, ściałem drzewa. Rozbiłem nawet stół z blatem z mozaiki, którą sama zrobiła. Jego naprawdę mi żal. Oczy zalewała mi furia. To trwało godzinami. Nie przestałem, dopóki każda podpora, każda fontanna, każdy kawałek bukszpanowego żywopłotu i każda roślina nie zostały unicestwione. – Przerwał i dopił resztki kawy, patrząc z uśmiechem na bawiące się nieopodal dzieci.

– O, Boże – odetchnęła Sera. – I co potem?

– Byłem zupełnie wykończony. Byłem brudny, miałem podarte ubranie i krwawiły mi ręce. Zachodziło słońce i dawało taką pomarańczową poświatę. A ogrodu nie było. I nic, co kiedykolwiek mógłbym zrobić, nie mogło go przywrócić.

Sam przerwał i spojrzał Serze w oczy.

– Wiem, że to brzmi, jakbym był potworem. Zwykle nie opowiadam o tym. Ale z tobą tak dobrze się rozmawia.

Ścisnęła jego dłoń.

– Sam. Nie wiem, jak ja bym zareagowała ani co ja bym zrobiła na twoim miejscu. Nie oceniam cię, tylko słucham. W porządku?

Skinął głową i mówił dalej.

– Ogrodu nie było. Tak samo jak Grace. – Zamilkł na chwilę.  
– I jedyne, co mogłem zrobić, to zaakceptować to.

Sera przytaknęła.

– Co powiedziały dziewczynki, jak to zobaczyły?

– To było szczęście w nieszczęściu. Nie mogłem odtworzyć ogrodu, ale wydzieliłem część powierzchni, żeby po powrocie do domu mogły stworzyć najlepszy na świecie ogródek warzywny.

– Wspaniały pomysł – westchnęła z ulgą Sera.

– Tak, jest naprawdę świetny – powiedział Sam z entuzjazmem. – I dziewczynki go uwielbiają. Mamy grządki z warzywami korzeniowymi, z ziołami, jedną z warzywami liściastymi. Dziewczynki nawet jedzą teraz szpinak. Możesz w to

uwierzyć? Jest też rabata obsiana wszystkim, co im się spodobało w sklepie ogrodniczym. Wygląda jak tęcza: maki, lilie, słoneczniki. Bez składu i ładu. To oczywiście ich ulubione miejsce.

– Cudownie. Musicie mi to kiedyś pokazać.

– Tak, i nauczyło mnie to czegoś naprawdę cennego.

– Czego, Sam? – spytała zatroskana Sera, pochylając się z zainteresowaniem.

– Grzebanie w ziemi, bez przeszkód w postaci telewizji, pracy domowej, baletu, pływania – kiedy pracujemy razem, zaczynamy rozmawiać. Wtedy Isabelle opowiada mi o dziewczynce w szkole, która powiedziała jej, że jest gruba, albo jak się czuje z tym, że jest jedyną dziewczynką w szkole, której umarła mama.

– Wiesz, Sam, jesteś naprawdę dobrym ojcem.

– Po prostu robię, co mogę.

– Czy możemy już iść do domu, tatusiu? Brzuch mnie boli. – Isabelle pojawiła się nagle u jego boku.

Sam nachylił się do Sery i wyszeptał z konspiracyjnym mrugnięciem:

– Bolący brzuch oznacza, że się nudzi.

– Jak widzę, macie nawet tajne kody – powiedziała z podziwem Sera.

– Oczywiście, Issy, idziemy. Pożegnaj się z Serą.

– Cześć, Sera – powiedziała Isabelle, wciągając sweter.

– Jesteś ładna – szepnęła Alex.

– Ty też – szepnęła do niej Sera, pukając ją delikatnie w nosek.

– Do zobaczenia w przyszłym miesiącu na spotkaniu Szali i żali – zawołała i pomachała.

– Do zobaczenia. Och, i Sera – zawołał, wieszając na jednym ramieniu dwa plecaki Barbie, a fioletowe ponczo na drugim. – Jeśli nauczysz mnie robić odwrócony ścieg, przyniosę ci mnóstwo ziół.

Minęły tygodnie i, ku zadowoleniu Jacqueline, nadeszła jej kolej na podjęcie członków kółka dziewiarskiego Szale i żale.

– Och, jakie cudowne. Muszę je koniecznie mieć na dzisiejszy wieczór – szepnęła, głaszcząc ceramiczne deserowe pucharki w stylu lat pięćdziesiątych.

W smakowitych barwach błękitu, różu, mięty i cytryny były idealne, aby zaserwować w nich jej popisowe parfait.

Westchnęła z radością i zanuciła pod nosem, kontynuując planowanie przygotowań. Organizacja przyjęcia zajmowała jej umysł przez wiele dni i stanowiła miłą odmianę w codziennej rutynie gotowania, sprzątanania i obowiązków szkolnych.

Zdażyła już zanalizować i odrzucić kilka pomysłów na potrawy, uważnie przejrzeć naczynia, czy nie ma na nich odprysków i plam, oraz wypolerować sztućce. Inni członkowie kółka mogą z niej kpić, wiedziała, że tak jest, ale nie powstrzymuje ich to przed pochłanianiem z entuzjazmem jej wyśmienitych potraw.

Babeczki Jacqueline Bouvier były dumą cukierniczego stoiska komitetu rodzicielskiego na imprezach szkolnych, jej ciasto herbaciane zostało określone przez dyrektora szkoły jako najwyższej próby. Lody własnej roboty miały wśród sąsiadów status legendy i nikt nigdy nie miał w ustach nic lepszego niż jej beza. Musiała zachować swoją reputację kulinarną, więc niech sobie kpią, ile chcą.

Oczywiście miała też najwyższe kwalifikacje, jeśli chodzi o bycie panią domu; o wiele wyższe niż wszystkie znajome, które po prostu rzucały na stół jakieś byle co i byle jak. Jacqueline była dumną absolwentką Institut Villa Pierrefeu, najlepszej szwajcarskiej szkoły dla panien z wyższych sfer.

Była znawczynią sztuki użytkowej i potrafiła rozpoznać fałszywego Ludwika XIV z pięćdziesięciu kroków; etykieta i

maniery nie były problemem dzięki jej naturalnemu wdziękowi i prezencji; prace domowe kosztowały ją trochę trudu, ale wiedziała, że umiejętność czyszczenia toalet i ostrych jak brzytwa szpitalnych kątów będzie bezcenna w jej planowanej karierze przyszłej żony.

To dzięki szkole poznała swojego męża, Thomasa. Kończył w Szwajcarii kurs ortodoncji w szanowanym instytucie medycznym i został zaproszony na jeden z wielu wieczorków, które jej szkoła organizowała, żeby młode panny mogły ćwiczyć umiejętności.

Od razu ją zainteresował, bo jako jedyny, poza nią, był Australijczykiem. Oboje cieszyli się możliwością rozmowy w języku angielskim (oczywiście poza zasięgiem uszu dyrektorki – Madame Neri – zgotowałyby Jacqueline piekło za rozmowę w tym języku).

Pisali do siebie, kiedy Thomas wrócił do domu. A gdy Jacqueline ukończyła szkołę (z najwyższą oceną ze wszystkich przedmiotów, poza sztuką układania kwiatów), poleciała do Australii i wpadła prosto w jego ramiona. Był zachwycony narzeczoną o szwajcarskiej edukacji i wykorzystywał każdą okazję, aby zaprezentować jej umiejętności kolegom.

Jeszcze raz spojrzała na deserowe pucharki. Zdecydowała, że są zbyt słodkie, żeby je tu zostawiać, i zabrała je ze sobą do kasy. W myślach udekorowała już cały stół. Wszystko będzie w kolorach pastelowych i w kwiatowe wzory. Może Sera upiecze babeczki. A Bella znajdzie czas, żeby zrobić napoleonki – to taki ładny deser. Wybrała serwetki w jasnych kolorach, które będą pasowały do jej nowych naczyń.

Rozmawiając ze sprzedawczynią podczas pakowania zakupów, zauważyła nagle wyłożone na ladzie delikatne, smukłe łyżeczki do parfait z jedwabistej żywicy, każda w innym odcieniu. Delikatny biały wir biegnący przez róże, zielenie i żółcie sprawiał, że wyglądały jak wykonane z lukru. Podniosła zestaw związany jedwabną wstążką. Opanowało ją znajome podniecenie. Spojrzała na sprzedawczynię – pakowała pucharki, zwrócona do niej tyłem. Jacqueline musiała mieć te łyżeczki.

Sera była w domu i gryzło ją sumienie. Pracowała tylko przez pół dnia, ale zostawiła dzieci na cały dzień w przedszkolu, bo miała ważne zadanie do wykonania.

„Ale najpierw – pomyślała – jedzenie na dzisiejsze spotkanie Szali i żali”. Wyjęła z zamrażalnika paczkę gotowych, zmrożonych na kość krokiecików. „Jacqueline pewnie mnie zabije”, westchnęła, spoglądając na pudełko pokryte grubą, błyszczącą warstwą lodu. Ale ma tylko godzinę, zanim wróci Joan. A jeszcze musi odebrać dzieci i wstawić obiad. Nie zdąży przygotować nic innego. Mignął jej w głowie pomysł, żeby upiec ciasto, ale szybko z niego zrezygnowała, bo doświadczenie podpowiedziało jej, że desery nie są jej mocną stroną.

Wrzuciła opakowanie z krokiecikami na cedzak, żeby się rozmroziły, i poszła na górę, do łazienki, z paczką, którą przed chwilą odebrała z poczty.

Westchnęła z rozkoszą, kiedy weszła do swojego królestwa. Nieczęsto zdarzało się, że miała je tylko dla siebie. Nie mieli ani miejsca, ani pieniędzy, żeby zrobić małżeńską łazienkę połączoną z sypialnią po tym, jak urządzili pomieszczenia dla Joan na dole. Ale przynajmniej rodzinna łazienka była duża i luksusowa. Dzięki branżowym znajomościom Tony’ego mieli nawet wolno stojącą, owalną wannę.

Ręczniki kąpielowe w kolorze kawy z mlekiem i wielkie, kremowe, prostokątne kafelki na podłodze podkreślały mozaikę z piaskowca na ścianach. Tony i Sera spędzili radosne, deszczowe popołudnie z nowo narodzoną Maddy w nosidełku, przeszukując magazyny importera włoskich kafelków, żeby znaleźć trzydzieści ręcznie malowanych ochrą kawałków piaskowca na przyszłą ścianę. Lustra sięgały od pasa w górę, zgodnie z życzeniem Sery, i teraz już odrobinę pociemniały, dzięki czemu odbicie było bardziej miękkie.

Rozerwała papier i wyjęła małe pudełko. Delikatnie je otworzyła i sięgnęła po ulotkę z instrukcją. Wygląd niewielkiego, okrągłego słoiczka sugerował, że może zawierać cudowną miksturę. Sera patrzyła na niego pełna nadziei. Na stronie



internetowej gwarantowali radykalne zmniejszenie blizn. Z początku miała wątpliwości – próbowała już tylu rzeczy – ale im więcej opinii czytała, tym mocniej zaczynała wierzyć, że to właśnie jej lek; magiczna maść, której szukała przez całe życie. Oczywiście to samo myślała o serum, które kupiła w zeszłym miesiącu, ale przecież trzeba zachować optymizm.

Zdjęła wieczko... i nic. Spodziewała się blasku promieni albo przynajmniej anielskich chórów. Uśmieła się z siebie i starała się nie zauważać, że siedemdziesiąt pięć mililitrów kremu wygląda podobnie jak większość innych w tubkach i słoiczkach przechowywanych w jej szafce.

Za drzwiami próżności w jej łazience czaiło się całe wyposażenie apteki. Wydała tysiące dolarów, szukając cudownego leku. Wszystko na próżno. Może do tej chwili? Nawet jeśli wygląda tak samo, na pewno jest inny. Jest przecież zrobiony z morskich wodorostów i tłuszczu wieloryba – a powszechnie wiadomo, jaką świetną skórę mają wieloryby. Oczywiście pod warunkiem, że nie oblepiają ich skorupiaki. Nie czuła się komfortowo, myśląc o zakupie nielegalnego produktu przez internet (co by powiedziała zwariowana na punkcie ochrony zwierząt Mallory?), ale jeśli miał zmniejszyć bliznę, to było warto.

Trzy razy przeczytała na głos instrukcję, zdecydowana jak najszybciej nałożyć krem. Potem, z pietyzmem nabierając go na koniuszek palca, rozsmarowała od uda po kostkę. Ustawiła łazienkowy czasomierz na pięć minut.

Blizna zaczęła mrowić od uda w dół – do łydki. Jej pofałdowane brzegi zrobiły się gorące i bolesne. Mrowienie się nasiliło. Skóra zaczęła palić. Złapała się umywalki i zacisnęła zęby. To musi być to. Coś, co tak boli, musi działać. Spojrzała na zegarek, czekając, aż upłynie pięć minut i będzie mogła zmyć maść.

Jeszcze trzydzieści sekund. Łzy bólu spływały jej po twarzy. Włożyła ręcznik między zęby, żeby, jeśli Tony albo Joan wrócą do domu, nie usłyszeli jej skamlenia. Pięć, cztery – włączyła prysznic – trzy, dwa, jeden. Z ulgą włożyła nogę pod chłodny strumień

wody. Dzięki Bogu. Spojrzała na szramę biegnącą w dół nogi. Nie była już pofałdowana i fioletowa, a napuchnięta i ciemnoczerwona. „Hmm – pomyślała – jeszcze niegotowa przyznać się do porażki. Może za parę godzin zejdzie”.

Siedziała na brzegu wanny, patrząc na czerwoną bliznę. W jej oczach pojawiły się łzy. Nie była głupia. Wiedziała, jak przedstawia siebie światu. Sprawia wrażenie laski. Sztuczne rzęsy, długie paznokcie, treski; ale to tylko dla odwrócenia uwagi, żeby ściągnąć oczy na górę, jak najdalej od szpecącej blizny.

Tony próbował ją przekonywać, że jej nie zauważa. Ale jak można jej nie widzieć? Ciągnęła się wzdłuż całej nogi. Marszczyła się i wykrzywiała. Nie opalała się, a pokrywała plamami, i nawet sztuczna opalenizna tylko trochę ją łagodziła.

Pamiętała dzień wypadku. Nie wolno jej się było wspinać. Wiedziała, że lalka została zabrana za karę, bo była niegrzeczna. I weszła tam mimo wszystko.

Na początku nawet nie bardzo bolało. Kiedy trąciła rączkę rondla, spadła na ziemię razem z wrzątkiem i od razu zabolą ją pupa. A po chwili nadszedł okropny, palący ból gotującego się ciała. Krzyczała. Bella podbiegła i polała jej nogę wodą z lodówki, ale to było jeszcze gorsze. Pamięta, jak ją odepchnęła, wrzeszcząc, żeby przestała.

Wspomnienia z karetki są zamazane. Bella nie mogła z nią pojechać, bo mamy i taty nie było w domu. Musiała zostać z chłopcami. Ale wieczorem wszyscy przyszli do szpitala i pamięta, jak trzymała Bellę, nie chcąc jej wypuścić. Matka nie przyszła już ani razu. Tylko Bella ją odwiedzała.

Do domu wróciła po czterech tygodniach. Blizna jej nie przeszkadzała, jak była dzieckiem, a jako wczesna nastolatka czuła ulgę, że okoliczne chłopaki unikają jej z powodu okaleczenia. Nigdy nie musiała stawiać czoła swojej deformacji widzianej oczami innych.

Wszystko się zmieniło, kiedy skończyła czternaście lat. Belli nie było już od ponad roku, a ona miała już dosyć dokuczania, że jest jedyną dziewicą w szkole. Kiedy spodobała się nowemu

chłopakowi w klasie, Jeremy'emu Waterton, zrozumiała, że ma szansę wreszcie skończyć z przytykami.

To była żenująca nerwówka w szopie na farmie. Próbował ściągnąć jej dzinsy, a ona z powrotem je podsuwała. Nie rozumiał, o co jej chodzi. Czy nie chciała tego z nim zrobić? Bo jeśli zmieniła zdanie, to nie musi, uspokajał. Nie, oczywiście, że chciała. Ale w dzinsach. Znaleźli odpowiednią pozycję. Był tym podekscytowany i spotykali się w szopie kilka razy przez następnych parę tygodni. Było cudownie. Czuła się kochana, roznamietniona i podekscytowana wejściem w świat seksu.

Do czasu.

– Jesteś świnią, Sera. – Jej brat Keith opluł ją pewnego dnia w kuchni, po szkole.

– O co ci chodzi? – zapytała, spoglądając na niego znad pracy domowej.

– O te napisy w męskim kiblu – Sera Walker daje od tyłu.

Wstyd. Palące uczucie wspinało się w górę, od stóp, aż płomień ogarnął całe ciało.

– Skończ z tym. Jesteś żenująca! – Keith złapał jabłko i wyszedł.

Tak, miał rację, była żenująca. Wspomnienie tego dnia udowadniało jej, że dzięki bliźnie czuła się zupełnie bezwartościowa. Od tej pory rzadko pozwalała mężczyznom zbliżać się do siebie. Dopiero wtedy, gdy poznała Tony'ego, który sprawił, że poczuła się tak wyjątkowa, taka piękna – przynajmniej na chwilę – była w stanie opuścić gardę.

Spojrzała na swoją paskudną nogę. Boże, jak ona jej nienawidziła! Nienawidziła też swojej głupoty, że dała się zrobić w kolejny głupi krem. Potrzebowała czegoś zdecydowanie więcej niż kremu, żeby naprawić wszystkie zniszczenia.

Wytarła się ręcznikiem, włożyła dzinsy i kozaki. Jacqueline powinna być niedługo w domu. Miała jeszcze czas, żeby wysuszyć włosy, nałożyć świeży makijaż, a potem wpadnie do sąsiadki, żeby sprawdzić, czy potrzebuje jakiejś pomocy w przygotowaniach.

– Jacqueline? – zawołała Sera, stukając w szklane drzwi

kuchenne. – Halo? Jesteś w domu?

Jacqueline weszła z korytarza do kuchni i podeszła do drzwi.

– Cześć, Sera, właśnie weszłam. Co u ciebie?

– W porządku – skłamała Sera, ignorując straszne pieczenie prawej nogi. – Byłaś na zakupach? – spytała, patrząc na siatki w rękach sąsiadki.

– Tak, przygotowania do dzisiejszego spotkania – odpowiedziała poważnie Jacqueline. – Po namyśle zdecydowałam się na parfait.

Sera starała się wydać z siebie wystarczająco entuzjastyczną odpowiedź.

– Parfait? Pyszności!

– Nie była to łatwa decyzja. Myślałam też o melbie, cieście cytrynowym z bezą, ale to od razu skreśliłam, bo przecież robiłam bezę na przyjęcie u ciebie ostatnim razem. Wyobraź sobie, że myślałam nawet o pieczonej Alasce!

Sera ze zdziwieniem spojrzała na sąsiadkę. Czy w głowie tej kobiety naprawdę nie ma nic innego?

– Nie – odpowiedziała. – Naprawdę trudno mi to sobie wyobrazić.

– No cóż, przełom nastąpił, gdy zobaczyłam te śliczne pucharki. Są cudowne, prawda?

– Są piękne! – zgodziła się Sera. – Wspaniałe!

– Wiem. I spójrz – mam serwetki, które do nich pasują. – Jacqueline sięgnęła do siatki.

– Bardzo ładny zestaw kolorów – westchnęła Sera, rozkładając wszystko na kuchennym stole.

– I nie uwierzysz... – Tym razem Jacqueline sięgnęła do kieszeni płaszcza. – ŁYŻECZKI DO KOMPLETU! – krzyknęła, wpychając je Serze w ręce, jakby ją parzyły.

„No, chyba trochę za bardzo się tym przejęła”, pomyślała Sera, widząc mocno zaczerwienione policzki sąsiadki, kiedy podawała jej łyżeczki.

– Też super – odpowiedziała ostrożnie, biorąc je w dłonie. Delikatnie położyła je obok innych zakupów i zaczęła się

wycofywać. – Potrzebujesz czegoś?

Jacqueline, z powrotem na bezpiecznym gruncie cateringu, spytała, czy Sera upiekłaby babeczki.

„Kochanie – pomyślała Sera – chyba jesteś naćpana, jeśli myślisz, że uda mi się cokolwiek upiec do siódmej”.

Głośno zasugerowała:

– A może krokieciki? Ludzie lubią pikantne rzeczy.

– Krokieciki? – odparła z niesmakiem Jacqueline.

– Własnej roboty, oczywiście – skłamała szybko Sera.

– Och, własnej roboty. No dobrze. Mogą być.

– Super, widzimy się później. – I szybko uciekła.

Kiedy poszła, Jacqueline popatrzyła na zakupy. A gdy jej oczy spoczęły na łyżeczkach, chwilę radości zastąpiła fala goryczy wzbierająca w jej gardle.

Cebula się karmelizuje, dzieci się nie biją, teściowa ma filiżankę herbaty, odbicie w kuchennym lustrze nie przypomina do końca potwora – mruzczała Sera pod nosem, odhaczając punkty na wieczornej liście.

– Jak minął dzień, kochanie? – spytała, kiedy mąż wrócił z pracy.

– Dobry wieczór, piękna pani – powiedział, łapiąc ją w pasie i przyciągając do siebie.

Zaśmiała się nerwowo i wyślizgnęła z jego ramion.

– Wypchaj się – odpowiedziała wesoło, chcąc odwrócić uwagę od swojej ucieczki. – Nalać ci wina? – spytała słodkim głosem.

– Poproszę – rzucił, idąc do salonu poboksować się z dziećmiakami i przywitać z matką.

– Sera? – powiedział, wchodząc z powrotem do kuchni.

– Tak, kochanie? – spytała pogodnie, choć w jej głowie rozległ się wrzask: „Kurwa, kurwa, kurwa! Niech to ciężki szlag”.

Była wystarczająco długo po ślubie, żeby wiedzieć, że jeżeli mąż zaczyna rozmowę od imienia nadanego żonie na chrzcie, to oznacza kłopoty.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście, kochanie – odparła z uśmiechem.

„Co, do cholery, znowu zrobiłam? Cokolwiek powie, czegokolwiek chce, masz się z nim zgadzać. Nie rób scen przy Joan i dzieciach, przełknij dumę, potakuj i powiedz, że ma rację, a przestanie i sobie pójdzie”, pomyślała.

Tony upewnił się, czy drzwi do salonu i na korytarz są zamknięte.

– Kochanie, ostatnio bardzo się martwię. O ciebie, o nas, o wszystko – zaczął.

„Ciekawe, czy uda mi się zdążyć na spotkanie kółka”,

pomyślała, patrząc ukradkiem na zegar mikrofalówki.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? Wiesz, że dla mnie jesteś najwspanialszą kobietą na świecie? Jesteś mądra, jesteś świetną matką...

Nie mogła pozwolić, żeby jej twarz okazała obawę przed spóźnieniem. „Cierp”, pomyślała, uśmiechając się i potulnie potakując.

– I jesteś taka ładna. Na co dzień, bez makijażu, tych obcasów i wyszukanych ciuchów.

– Co?! – wyrwało się jej.

– Sera, jesteś. Nie wiem dlaczego wbiłaś sobie do głowy, że musisz marnować tyle czasu i wydawać tyle pieniędzy, żeby dobrze wyglądać. To zaczyna źle wpływać na naszą rodzinę.

Dobra, teraz była wkurzona. Nie ma sensu udawać głupiej. Oparła ręce na biodrach.

– Wszyscy w naszym towarzystwie zwracają uwagę na swój wygląd. A zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy już po tej gorszej stronie trzydziestki piątki! Nie bądź takim samolubem. Nie jestem już dwudziestoparoletnią laską, Tony. Ułożenie włosów, żeby jako tako wyglądały, zabiera mi teraz godziny, kolejne godziny poświęcam co tydzień na to, żeby mieć ładną cerę.

– Ale, Sera, o to mi właśnie chodzi: nikt nie przejmuje się aż tak jak ty. To zaczyna przypominać obsesję!

– Gównu prawda.

– Tak? O której odebrałaś dzieci z przedszkola w zeszły wtorek?

– O szóstej – powiedziała, odwracając wzrok z poczuciem winy.

– Znowu? To często się zdarza. Dlaczego tak późno, skoro kończysz pracę o trzeciej?

– Co to ma być, hiszpańska inkwizycja? To, co robię z moim czasem, to moja sprawa. Jak śmiesz?!

– Słuchaj, Sera, nie chcę być tyranem, który śledzi każdy twój krok. Ale nie sądzę, że to w porządku, żeby dzieci musiały siedzieć w przedszkolu tak długo, żebyś ty mogła sobie zrobić

pedikiur.

– TO BYŁA SYTUACJA AWARYJNA! – wydarła się na niego.

Zobaczyła swoje odbicie w matowym szkle przesuwanych drzwi za jego plecami. Ta strzyga z rękami na biodrach, warcząca z uniesionymi wargami odkrywającymi dziąsła, nie była królową piękności.

– Proszę, nie krzycz na mnie – odpowiedział cicho Tony. – Porozmawiamy jeszcze, jak się uspokoisz. – Wyszedł pogonić dzieciaki na górę, do mycia i łóżek.

Jedynym dźwiękiem, który docierał do kuchni, były okrzyki uczestników teleturnieju. A potem przez owacje przebił się złośliwy głos Joan.

– Fanaberie, dziewczyno.

– Ale to była sytuacja awaryjna – wyszeptała Sera i potrząsnęła głową.

„Dobra, wychodzę”, pomyślała, rozwiązując fartuch i chwytając krokieciki. Zawołała do teściowej:

– Będę u Jacqueline. Powiesz Tony’emu?

– Hmm, najlepsze wyjście – brzmiała odpowiedź.

Sera zatrzęsnęła drzwi, żeby nie słyszeć Joan, i pomaszerowała w dół schodów. Fanaberie – to określenie przeniosło ją prosto w czasy dzieciństwa. Opadła na ławkę w ogrodzie. Chciała pogadać z Bellą, chciała, żeby Bella ją pocieszyła i ukoїła jej obawy, czy na pewno jest dobra. Ale Bella była na drugim końcu świata; wciąż ciesząc się wolnością, z której zrezygnowała Sera. Pociągnęła nosem.

Chciała tylko ładnie wyglądać. Czy to naprawdę tak dużo? Zawsze czuła podziw dla urody Belli. Jej długie, proste blond włosy, jej wspaniała figura: chłopięce biodra uzupełnione przez pełny biust. Ale najbardziej zazdrościła Belli nóg: długich, idealnych, bez skazy. Nóg w króciutkich szortach energicznie krocących, żeby ściągnąć rodziców z pubu do domu na obiad, skaczących w gumę, rozciągających się, wspinających się do domku na drzewie, widocznych spod skróconej spódniczki



szkolnego mundurku.

Sera starała się z nią konkurować. Przetrzęsała czasopisma, błagała matkę o nowe ciuchy, godzinami próbowała nowe fryzury i makijaż; wszystko, żeby tylko jej dorównać.

Matka nie była pomocna. Mówiła, że takie sztafirowanie się jest głupie, i nigdy nie traciła okazji, żeby zakpić z niej w obecności braci, jak złapała ją mażącą się szminką.

Przez całą młodość Sera żyła w długonogim cieniu swojej siostry. Nawet, gdy podążyła jej śladem na kontynent i do linii lotniczych, uciekając przed głupimi minami swojej rodziny, kiedy siedzieli przy stole, jedząc cienką potrawkę i szeroko otwierając zaniebane szczęki.

Tony był jej pierwszą miłością. Spotkali się w samolocie. Lubiła sposób, w jaki z nią żartował. Jemu podobała się jej piękna twarz. Jej podobał się jego wygląd.

Powiedział, że jest wspaniała. Przez chwilę mu wierzyła. Kiedy wymyśliła sobie, że mówi tak tylko, żeby być miłym, byli już po ślubie i z dzieckiem w drodze. I to był dopiero straszny okres. Wzdrygnęła się, wspominając spuchnięte kostki i olbrzymi brzuch. Nie widziała, że jej skóra promieniała, oczy lśniły, a włosy były gęste i błyszczące. Nie słyszała, kiedy Tony powtarzał jej to w kółko.

I tak Sera poświęciła się wprowadzaniu piękna w swoje życie, kiedykolwiek mogła. Zawsze w poszukiwaniu nowego lakieru do paznokci, krzewu gardenii czy nowych tkanin na zasłony. Jedyne, czego chciała, to tyle ślicznych rzeczy, żeby wymazać z pamięci nędzną farmę z zaniedbanym frontem, blaszanym dachem, tak przerdzewiałym, że nie mógł utrzymać rynny, i brzydką, śmierdzącą kuchnię. I bliźnę.

Spojrzała na swój ogród w mroku ostatnich dni lata. Wokół unosił się jeszcze mocny zapach róż. Uśmiechnęła się, patrząc na pochylone główki kwiatów. Pomyślała o swoich ślicznych dzieciach śpiących już pewnie w łóżeczkach i zawstydziała się, że nie ucałowała ich na dobranoc.

Popatrzyła w górę na grube, jedwabne zasłony zwieszające

się w oknach sypialni. Jej świat był piękny. Łagodny uśmiech rozświetlał jej twarz, kiedy ruszyła w stronę domu sąsiadów. Piękno było wszędzie. Schyliła się, żeby podnieść paczkę krokiecików, która upadła obok oczka z rybkami. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze wody. No, może prawie wszędzie.

Samochód Chantrei z piskiem opon wjechał na parking przy przedszkolu. Akurat dzisiaj samolot musiał mieć opóźnienie! Zawsze przerażały ją wywiadówki: sama czuła się wtedy jak uczennica poddawana ocenie. Rzuciła okiem w lusterko i dotknęła zmywalnego tatuażu na bicepsie. Co sobie wyobrażała? To nie najlepszy tydzień na eksperymenty.

Opiekunka grupy Sally była osobą nietypowo konserwatywną. Gorliwa, świeżo upieczona absolwentka Nancy Thistlethwaite wkroczyła w system oświaty pełna dobrych intencji. Marzyła o tym, żeby kształtować dziecięce umysły. Szybko odkryła, że w wychowaniu przedszkolnym chodzi bardziej o biurokrację niż poszerzanie kulturalnych horyzontów; że było tu więcej zmoczonych majtek niż małych geniuszów, a zamiast jej podobnych istot, z dreszczem prowadzących intelektualne rozmowy, spotkała gorzkich dwudziestolatków obgadujących się nawzajem za plecami w pokoju nauczycielskim. Nancy pozostała jednak nieugięta w obliczu całej tej beznadziei i zdecydowana, żeby robić swoje.

Chantrea wpadła do budynku, mijając parę matek kierujących się już z powrotem na parking. Nie знаła ich dobrze, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że dumnie obnosiły się ze swoimi luźnymi związkami ze śmietanką towarzyską Sydney. W ich mniemaniu im ktoś miał bliższe koneksje z rodziną magnata prasowego, Murdocha, tym wyższe było jego miejsce na drabinie społecznej.

Kobieta z platynowym paziem, Suzette Martin, mówiła z akcentem wyższych sfer i miała delikatną, arystokratyczną urodę. Kuzynka Suzette siedziała nawet w zeszłym roku na lunchu obok synowej Ruperta Murdocha – Sary. Druga z kobiet, Virginia Cross, wyglądała jak nudniejsza wersja księżniczki Anny, w niemodnych ciuchach i z włosami w kolorze pomyj. Mieszkały w zamożnej

dzielnicy, Bellevue Hill, w pięknych domach z nieskazitelnymi ogrodami i nieprzyzwoicie pięknym widokiem.

Kiedy Chantrea zbliżyła się do nich, przestały paplać i obrzuciły ją krytycznymi spojrzeniami.

– Dzień dobry. Piękny wieczór, prawda? – zaszcebiotała z szerokim uśmiechem.

– Ach, co? No tak... ładny... całkiem – wyjąkała Suzette, bawiąc się wiszącymi na szyi perłami.

– Tak... raczej. – Virginii nie stać było na więcej.

Przyzwyczajone do tego, że inni zastygali w ich obecności, spodziewały się, że Chantrea skromnie spuści wzrok i minie je po cichu.

Uśmieła się w duchu, patrząc na ich reakcję. Wieki temu nauczyła się, że atak jest najlepszą formą obrony, a im miłszy i pełen dobrych manier, tym lepiej.

Zajrzała do klasy i zobaczyła Nancy pogrążoną w rozmowie z inną matką, więc wyszła rozkoszować się ciepłym wieczorem. Kiedy siedziała na ławce placu zabaw, usłyszała Suzette i Virginie rozmawiające na parkingu.

– Najchętniej w ogóle nie korzystałabym z opieki nad dziećmi, ale te parę godzin, trzy dni w tygodniu, to nie tak dużo – mówiła Suzette.

– Ależ oczywiście, kochana, to dobrze wpływa na ich rozwój i uspołecznienie. Mój Edward przychodzi tylko na dwa dni.

– To skandaliczne, że niektóre matki traktują przedszkole jak internat – powiedziała Suzette. – Czy wiesz, że w grupie pięciolatek jest dziecko, które codziennie przychodzi pierwsze, a jest odbierane ostatnie?

– Niewyobrażalne! Dlaczego niektórzy ludzie w ogóle decydują się na dzieci?

– Oburzające, prawda? To ta mała orientalna dziewczynka, córka tego dziwadła, które właśnie minęłyśmy – ściszyła głos i Chantrea nie słyszała dalszej części rozmowy, ale po wybuchach śmiechu można się było zorientować, że nie było w niej komplementów.

Siedziała zszokowana. Jak one śmiały? Nie zostawiała tu przecież Sally na cały dzień.

– No, ale to typowe – usłyszała znowu głos Suzette. – Wiesz, jacy są ci Azjaci.

– Tak, to okropne, że przyjeżdżają do tego kraju tylko po rządową jałmużnę.

Chantrei kręciło się w głowie. Siedziała bez ruchu, nie mogąc uwierzyć, że kilka rzuconych niedbałym tonem słów sprawiło, że poczuła się wyłączona, inna, gorsza. Rasizm był straszny. I ona czuła się z tym strasznie.

Drzwi przedszkola się otworzyły. Nadeszła jej kolej. Chantrea nie mogła się skoncentrować na rozmowie, jednak dotarło do niej, że córka nie sprawia żadnych problemów. Potakiwała nauczycielce, a w jej głowie kłębiły się różne myśli. Czy rzeczywiście za długo zostawiała córkę? Czy te baby miały rację? Czy Sally cierpiała z tego powodu?

Zbierała się już do wyjścia, kiedy słowa Nancy przywróciły ją do rzeczywistości:

– Jest jedna rzecz, która mnie interesuje.

– Co takiego? – spytała znużona.

– Nic wielkiego – powiedziała młoda kobieta. – Tylko to, że zaczęła się fascynować swoją kulturą.

– Kulturą? Masz na myśli coś jak balet czy galerie sztuki? – spytała zdeorientowana Chantrea.

– Nie, jej kulturę. To, że pochodzi z Kambodży – wyjaśniła Nancy.

– Przecież jest Australijką!

– Wiem, że tu się urodziła. Mam na myśli jej dziedzictwo kulturowe. Zaczęła się bardzo interesować swoimi korzeniami i widać, że ma już niezłe rozeznanie, jeśli chodzi o swój naród.

– Swój naród?!

Zatkało ją. O co chodzi tej kobiecie? Spojrzała na ścianę z wizerunkami dzieci i nagle do niej dotarło. Z rzędów zdjęć maluchów, które uczeszczały do tego przedszkola, patrzyły na nią niebieskie i zielone oczy. Większość miała jasne włosy i angielskie

nazwiska.

A pomiędzy nimi mała Sally. Chantrea, patrząc na swoją córeczkę o brązowych oczach, złocistej cerze i ciemnych włosach, widziała jedno: wspaniałą dziewczynkę. Teraz zobaczyła to, co widzieli inni. Miała kambodżańską córkę.

Myślała, że jeśli da jej australijskiego ojca i australijskie nazwisko, to wystarczy, żeby mała Sally O'Leary wpasowała się w tutejszą społeczność. Nie chciała, żeby jej słodki, mały aniołek musiał przechodzić to, co ona przeszła. Nie chciała, żeby córka była narażona na rasistowskie uwagi, dokuczanie i samotność. A teraz wygląda no to, że Sally szczyli się tym, że jest inna. Chantrea, będąc dzieckiem, oddałaby wszystko, żeby nie urodzić się w południowo-wschodniej Azji; żeby nie być jednym z żółtków w szkole podstawowej na australijskich przedmieściach.

– To naprawdę niezwykle – zachwycała się dalej Nancy. – Inne dzieci są urzeczone. Opowiada nam o Angkor Wat, uczy kambodżańskich słówek i nawet przynosi kambodżańskie potrawy do spróbowania.

– CO?! – wybuchła Chantrea.

Co tu się, do diabła, dzieje? Zadając sobie to pytanie, wiedziała, że jest na nie tylko jedna odpowiedź. Jej matka.

Wcześniej przysłaś. – Jacqueline nie wydawała się zachwycona.

Chantree powitało ciepłe światło padające z korytarza, ale chłodne słowa zepsuły atmosferę. W encyklopedii etykiety Jacqueline przychodzenie za wcześnie było tak samo niegrzeczne jak spóźnianie się.

– No tak, przepraszam... Ale wywiadówka wcześniej się skończyła. – Wciąż lekko rozedrgana Chantrea, zupełnie jak nie ona, zaczęła dukać słowa usprawiedliwienia, aż zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że przysła tylko pięć minut wcześniej. – Na litość boską, Jacqueline, jest dwadzieścia pięć po.

– Hmm, możesz wejść. Sera też jest za wcześnie.

Zaprowadziła ją do najlepszego pokoju, gdzie już siedziała przyjaciółka.

– Rozgość się, a ja przygotuję nam koktajle – uśmiechnęła się, wychodząc do kuchni.

– Nigdy ci nie wybaczę, że zaprosiłaś ją do uczestnictwa w grupie – syknęła do Sery Chantrea, gdy już wyściskała ją na powitanie. – Popieprzony koszmar.

– Wiem, wiem, bardzo cię przepraszam – powiedziała Sera, przewracając oczami. – Ale była taka miła dla mnie, jak się wprowadziliśmy.

– Nie widziałaś wtedy, jak się potrafi wywyższać? – szepnęła Chantrea.

– Cóż, trochę przesadzała z opowieściami o swoich wspaniałych chłopcach, ale tak ma przecież prawie każda matka. Ale masz rację, robi się coraz gorsza.

– Tak myślisz? – powiedziała Chantrea i wybrała z kwiecistej tacy małą przekąskę. – Faj! – Wypluła ją w pastelową serwetkę. – Co to jest, do cholery?

Sera pokładała się ze śmiechu na perkalowych poduszkach.

– Miałam cię nawet ostrzec, ale pomyślałam, że chętnie zobaczę twoją reakcję! Zrobiła pędy szparagów z lukru. Tematem dzisiejszego wieczoru ma być „Słodkości dla słodkich”.

– Suka – mruknęła z niezadowoleniem Chantrea, chowając swój dowód winy do torebki.

– No, mów, co u ciebie? – spytała Sera. – Nie widziałyśmy się w tym tygodniu. Wciąż takie zwariowane lotnisko?

Ku jej wielkiemu zdziwieniu w oczach zazwyczaj twardej przyjaciółki pojawiły się łzy.

– Co się stało? – Pochyliła się z troską.

– Cholerne suki w cholernym przedszkolu. Pieprzone krowy!  
– wybuchła Chanrea.

I szybko streściła wydarzenia wieczoru.

Nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości, a Sera dowiedziała się, gdzie się urodziła, po awanturze podczas lotu. Był problem, żeby porozumieć się z pasażerem z Chin, i szefowa pokładu poprosiła Chantreę o pomoc. Sera nigdy nie widziała takiej eksplozji gniewu.

– Jak śmiesz, do kurwy nędzy! – wysyczała Chantrea. – Tylko dlatego, że wyglądam jak Azjatka, myślisz, że mówię w każdym języku i dialekcie z całego rejonu? Może następnym razem poprosisz, żebym tłumaczyła z pakistańskiego? A ty co? Dlaczego nie zajmiesz się tłumaczeniem dla chorwackich pasażerów? Masz takie wyłupiaste, okrągłe oczy jak oni. Pewnie jesteście kuzynami!

Szefowa pokładu starała się ją uspokoić.

– Chantrea, po prostu pomyślałam, że cię spytam. Skąd miałam wiedzieć? Myślałam, że jak pochodzisz z Chin, to pewnie znasz mandaryński.

– Pochodzę z Kambodży, ty bezmyślna suko! – rzuciła Chantrea, wpadając do kuchni pokładowej.

Szefowa pokładu złożyła na nią skargę i Chantrea została zawieszona na kilka tygodni.

Serę rozzłościło to, co właśnie usłyszała.

– To obrzydliwe! Jak one się nie wstydzą?! Powinnyśmy iść



na policję; nie mogą rozpowiadać wokół takich rzeczy!

– To lekka przesada, Sera – powiedziała Chantrea. – Niech się wałą. Dla mnie mogą gnić w swoich Escadach. Najbardziej wkurzyła mnie moja matka.

Sera wielokrotnie słyszała, jak Chantrea narzeka na matkę, zapracowaną i przebojową Darę Kim. Żeby związać koniec z końcem, córka i matka mieszkały razem. Obie spędzały w pracy długie godziny i opiekowały się Sally. Mimo że Chantrea nienawidziła tego, że matka w połowie wychowywała Sally, często zupełnie ignorując jej rodzicielskie zasady, rozpaczliwie potrzebowała jej pomocy.

Ale nigdy wcześniej Sera nie widziała, żeby Chantrea była aż tak zła na matkę.

– Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu w głowie się nie mieści. – Niemal się trzęsła, zaciskając dłonie i patrząc z pochyloną głową w dywan. – Myślałam, że mam to za sobą, że się tego pozbyłam. Że mi się udało, że to... ten cały horror... jest już za nami.

– Chantrea, przepraszam, ale chyba nie rozumiem. Nie rozumiem, skąd ten wstyd. Dlaczego nie cieszysz się z tego, że Sally jest dumna ze swoich korzeni?

– Dumna? – Spojrzała na Serę z goryczą w oczach. – A z czego ona może być dumna, Sera? Że jej matka jest uchodźcą? Jednym z tych, którzy toną na łodziach.

Sera nie wiedziała, że jej przyjaciółka w ten sposób dotarła do Australii. Wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Siedziały, patrząc na siebie, i tylko delikatne tykanie kryształowego zegara na kominku zakłócało długą ciszę.

Z korytarza dobiegł głos Jacqueline.

– Bedę z wami w mgnieniu oka. Koktajle prawie gotowe.

– No czeeeeść! – usłyszały Mallory przy frontowych drzwiach.

Zawsze sama sobie otwierała, co irytowało Jacqueline. Chociaż teraz, kiedy zmagala się z tacą pełną ozdobnych kieliszków koktajlowych wraz z dzbankiem wypełnionym

spienionym, żółtym płynem, przystrojonym małymi, papierowymi parasolkami, było jej nawet na rękę, że Mallory sama sobie radzi.

– Mallory, kochana, wchodź – zaćwierkała z triumfem.

Udało się jej jednak zachować godną pani domu kontrolę na ułamek sekundy przed tym, zanim stopa Mallory przekroczyła próg.

– Cmok, cmok. – Nad tacą ucałowała w powietrzu nowego gościa i pokazała głową kierunek. – Wszyscy są tam, kochanie.

Właśnie serwuję koktajle.

– Cześć wszystkim!

Ładna główka Mallory pochyliła się w ukłonie. Z blond warkoczami, ubrana w koszulową minisukienkę wyglądała jak statystka w filmie z lat sześćdziesiątych. I jak zawsze była błogo nieświadoma napiętej atmosfery panującej w pokoju. Szybko rozładowała ją swoją pogodną obecnością. Miała niezwykłą umiejętność roztaczania ciepła, szczęścia i dobrej woli, gdziekolwiek by się nie znalazła.

Mallory i jej mąż Vince odkryli, że spodziewają się dziecka, kiedy Mallory była jeszcze nastolatką, i wydawało się, że narodziny córki zatrzymały ich zegar. Słuchali młodzieżowej stacji radiowej, mieli strony na Facebooku, maszyny bilardowe i hip-hopowe plakaty. A ich piętnastoletnia Tilly była bardziej ich kumpelką niż dzieckiem.

Mallory cieszyło to, że ludzie czasem brali Tilly za jej młodszą siostrę.

– O kurde, to takie śmieszne – chichotała wtedy.

Zawsze chciała mieć mnóstwo dzieci i latami próbowała zajść w ciążę, aż odkryła, że Vince miał na to inny pogląd i po kryjomu zrobił sobie wazektomię. Było to dla niej ciężkie przeżycie, ale w końcu wybaczyła mężowi, akceptując fakt, że Tilly będzie jej jedynym dzieckiem.

– Ale jestem głodna – oznajmiła, wyciągając rękę po tartinkę.

Sera i Chantrea uśmiechnęły się, przewidując jej reakcję.

– Są z cukru – wyjaśniła Jacqueline. – Nasz wieczór ma nazwę „Słodkości dla słodkich”. Sera się wyłamała, przynosząc

krokieciki – dodała.

– Ale frajda – pisnęła Mallory, wrzucając do buzi lukrowe warzywo. – Hmm, pycha. Ale miałaś pomysł!

Jacqueline pogodnie się uśmiechnęła.

– Dziękuję – powiedziała skromnie, a w środku poczuła ciepło i ukojenie.

Warto było wstać o czwartej rano.

– No dobra – odezwała się Mallory. – Co się dzieje? Coś mnie ominęło?

– Nic szczególnego – odpowiedziała Sera. – Niedawno przyszliśmy. – Przyjęła z ręki Jacqueline dopracowany koktajl. – Pyszny, dziękuję.

– Dobry Boże, przy tej ilości cukru wszystkie nabawimy się cukrzycy. – Chantrea odstawiła drinka. – Przykro mi, ale nie jestem zbytnią amatorką słodocy. Czy te krokieciki się robią? Umieram z głodu.

Jacqueline spojrzała na nią groźnie.

– Już sprawdzam.

– Wyobraźcie sobie te kalorie – mruknęła Sera, kiedy Jacqueline oddaliła się poza zasięg jej głosu. – Tylko od tego drinka przybyło mi dwa i pół kilograma – żaliła się, wciągając resztę przez słomkę i klepiąc się po brzuchu.

– A co ja mam powiedzieć? – stęknęła Chantrea. – Musiałam zmienić służbowy mundur na rozmiar dziesięć. NIGDY nie nosiłam dziesiątki.

– Wiecie – zachichotała Mallory, wrzucając do ust kolejnego cukrowego szparaga – ile bym nie jadła, nie mogę jakoś przybrać na wadze.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, Sera poszła otworzyć drzwi.

– Cześć, Sam – powiedziała do ulistnionej postaci stojącej na schodach. – Dlaczego przebrałeś się za krzak?

– Bukieciki dla wszystkich! – wykrzyknął, wchodząc i wyciągając w stronę pań pęczki ziół. – Mam tu szałwię, szczypiorek, kolendrę, natkę pietruszki. No i oczywiście miętę. Dużo mięty. Nie wiem, dlaczego wszędzie się rozrasta. Nie mogę

się teraz pozbyć tej cholery. I nie mam pojęcia, co można z nią robić, oprócz tego, że dodaję ją do jogurtu, jeśli robię jakąś grecką potrawę. Ktoś wie?

– Ja wiem – zgłosiła się Jacqueline z głębi korytarza. – Dam ci swój przepis na lody miętowe.

– Tak przypuszczałem, że ty na pewno coś mi doradzisz. Jak się masz?

Sam poszedł w stronę, skąd dobiegał jej głos, żeby wręczyć jej bukietik ziół.

– Myślicie, że jest gejem? – spytała Mallory, z powątpiewaniem patrząc na zioła.

– Nie! – odpowiedziały jednocześnie pozostałe dwie.

– Nie zwróciłaś uwagi na jego buty? – spytała Sera. – Trochę brudne, no i co tydzień ma te same conversy.

– I trochę od niego zalatywało w zeszłym tygodniu – powiedziała Chantrea.

– Właśnie – zgodziła się z nią Sera. – Nie żeby śmierdział, ale trochę było czuć. Jakby pracował w ogrodzie i nie umył się przed wyjściem. Jaki homoseksualista by tak zrobił?

– Może macie rację – zawahała się Mallory. – No i pytał mnie o moją koleżankę, Phoebe, tę, która reklamuje bikini...

– Co ty mówisz? – podchwyciła ochoczo Sera. – Opowiadaj natychmiast!

– Och, był na plaży z dziewczynkami, a ja byłam z Tilly i Phoebe. Przedstawiłam ich sobie. Zadzwoił wieczorem i pytał o nią.

– Ho, ho. – Dziewczyny powitały jego powrót do pokoju.

– O co chodzi? O czym rozmawiacie? – spytał podejrzliwie, biorąc kieliszek z koktajlem.

Sięgał też po szparagi, ale kiedy napotkał wzrok Chantrei, która lekko pokręciła głową, zrezygnował z przekąski.

– Mówimy o tobie, nie z tobą – powiedziała Mallory.

– Co? Nie możecie mi tego robić. O co chodzi?

– Rozmawiałam z Phoebe – zdradziła Mallory z psotną miną.

– Ach tak – odpowiedział, udając nonszalancję.

– Chętnie się z tobą spotka.  
– Naprawdę? – zapał i uniósł się w fotelu. – To znaczy...  
naprawdę? – obniżył głos do barytonu.  
– No. Uważa, że jesteś słodki.  
– O kurczę, nie będę wiedział, co robić ani co mówić!  
Spojrzał na nie przestraszony.  
– Możesz zacząć od tego, żeby nie mówić „o kurczę” –  
powiedziała Chantrea, rzucając się na krockieki, kiedy tylko  
Jacqueline z tacą weszła do salonu.  
– Nic się nie martw, po prostu bądź sobą. – Sera klepnęła go  
w kolano. Poczła się jak stara mężatka.  
– Właśnie organizujemy Samowi randkę – wyjaśniła szybko  
Mallory zdziwionej Jacqueline. – Chce, żebym pomogła mu  
wybrać ciuchy.  
– Nieprawda – zaprotestował.  
– Tak, tak. Chcesz – powiedziała Mallory, również klepiąc go  
po kolanie i ignorując protest.  
– Ale...? – jęknął, szukając wsparcia u Sery.  
– No dobra, gdzie najlepiej ją zabrać? – zastanowiła się  
Mallory.  
– Chwila, przecież to moja randka – zaprotestował ponownie.  
– Nie, kiedy jesteś w grupie kobiet. – Sera uśmiechnęła się  
znacząco.  
– Ale poważnie – powiedziała Chantrea. – Gdzie byście z nią  
poszły?  
– Wiem, do The Lounge – zaproponowała podekscytowana  
Mallory. – To teraz najmodniejszy klub.  
– A hotel Park Hyat? – spytała Jacqueline. – Jest taki  
wykwintny.  
– Zbyt poważny, Jacqueline – odpowiedziała Mallory. – Za  
bardzo staroświecki.  
– Zgoda – zadeklarowała Jacqueline i gwałtownie zmieniła  
temat. – A może by tak późne śniadanie w weekend?  
– Mówisz o randce Sama? – spytała zdezorientowana Sera.  
– Nie, ale byłoby wspaniale, gdybyśmy kiedyś zrobili takie

rodzinne spotkanie. Może w niedzielę? Ja wszystko przygotuję, wy tylko byście wzięli swoich bliskich.

Przez chwilę nikt się nie odezwał, myśląc o zebraniu dzieci, rodziców i teściów.

Jacqueline wzięła ich milczenie za zgodę.

– No to ustalone – powiedziała zachwycona, że ma w planach kolejne wydarzenie towarzyskie. – Będę musiała wymyślić jakiś dobry temat na taką okropną pogodę.

W końcu członkowie kółka dziewiarskiego sięgnęli po włóczkę i zabrali się za swoje projekty.

Po mniej więcej godzinie wytężonej pracy, spowolnionej nieco przez efekty wypitych koktajli, spakowali swoje dzieła i pożegnali się z gospodynią.

Sera schodziła po schodach z Chantrea.

– Wpadniesz na coś konkretnego po tym słodczowym szaleństwie? – zażartowała, wiedząc, że przyjaciółka wciąż potrzebuje rozmowy.

– Jesteś pewna, że to nie za późno? – spytała Chantrea.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała.

Kiedy weszły do domu, Sera z wielką ulgą stwierdziła, że teściowa poszła już spać.

Zaatakowały kuchnię w poszukiwaniu sera pleśniowego i krakersów, dodały do tego wytrawne chardonnay i rozsiadły się przy kuchennym stole.

– No – powiedziała Sera. – Wyrzuć to wreszcie z siebie.

Chantrea wpatrywała się w migoczącą świecę na kuchennym stole.

Sera widziała, jak maska pustej obojętności zsuwa się z twarzy przyjaciółki, która w końcu zaczęła opowiadać głosem tak monotonnym, jakby była w transie.

– W kwietniu 1975 roku miałam pięć lat. Mieszkaliśmy w Phnom Penh – zaczęła. – Byłam jeszcze mała, więc nie byłam świadoma, że wokół toczy się wojna domowa. Wiedziałam, że dorośli są zaniepokojeni. Rodzice rozmawiali do późnej nocy. Czasami słyszałam wybuchające na pobliskich przedmieściach bomby, a strzały z broni ręcznej były na porządku dziennym, ale nie bardzo zwracałam na to uwagę. Bardziej interesowały mnie moje lalki i najlepsza przyjaciółka Phinny Ung, która mieszkała obok.

Wtedy rząd poddał się Czerwonym Khmerom.

Rodzice się denerwowali, ponieważ ojciec był oficjelem w departamencie wojskowym starego rządu, więc wiedzieliśmy, że nasza rodzina może być wzięta na cel przez nowy reżim.

Moja matka była znanym muzykiem: grała na khmerskim flecie. Czerwoni Khmerzy byli przeciwni tradycyjnej, kambodżańskiej kulturze i aresztowali wielu znanych artystów i muzyków. Wielu z nich nikt więcej nie zobaczył.

Pewnej nocy Phinny Ung i jej rodzina zostali zabrani przez żołnierzy. Jej ojciec był ministrem w poprzednim rządzie. Obudziły nas krzyki. Czasami wciąż je słyszę. Rodzice powiedzieli, że musimy wyjechać z miasta do domu mojej ciotki na wsi. Spakowaliśmy wszystko, co się dało, do samochodu i wyjechaliśmy przed świtem. Pamiętam, że byłam podekscytowana, jakbyśmy wyjeżdżali na wakacje. Nie miałam pojęcia, jaki jest cel podróży.

Ale wszyscy w Phnom Penh próbowali zrobić to samo.

Nowy rząd wydał dekret, że każda osoba w mieście musi wrócić do wioski, w której się urodziła. Hałas silników i ruch na ulicach był zatrważający. Siedziałam na tylnym siedzeniu, trzymając w objęciach lalkę. Samochód posuwał się kilka metrów na godzinę. Matka zmusiła mnie, żebym położyła się na siedzeniu, i nie pozwoliła mi patrzeć przez okno, bo ludzie byli bici przez żołnierzy i zostawiani na śmierć. Przejechanie krótkiego dystansu na obrzeża miasta zajęło nam dobę, ale wtedy skończyła się benzyna i to był koniec podróży.

Szliśmy godzinami. Krwawiły mi stopy i pamiętam, że parę razy zasnęłam na stojąco. Ojciec dźwigał torbę z wodą, ryż, garnek i inne niezbędne rzeczy, ale dał radę parę razy ponieść i mnie. Był bardzo surowym człowiekiem, ale nigdy nie podniósł na mnie głosu ani nie był na mnie zły, kiedy upadłam. Matka była w ciąży i była już bardzo wycieńczona. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek.

Zasypiałam, mając jako poduszkę torbę matki, ale widziałam, jak rozpalają małe ognisko, żeby spalić dokumenty. Następnego dnia wyruszyliśmy przed świtem, dołączając do tysięcy innych. To było jak olbrzymie morze ludzi, cierpienia i śmierci. Nigdy nie zapomnę zapachu, który wypełniał mi nozdrza i usta.

Chantrea otarła łzy spływające po jej twarzy, a Sera ścisnęła ją za rękę.

– To był smród rozkładających się ciał; ludzi, którzy nie byli wystarczająco silni, żeby iść dalej, albo zabici przez żołnierzy. Było ponad czterdzieści stopni i z każdym dniem smród stawał się intensywniejszy. Kilka razy omdlałam i ojciec musiał mnie podnosić i prowadzić dalej. Wydaje mi się, że w tym czasie przestałam już cokolwiek odczuwać; przytłoczyły mnie ból i okropieństwo tego, co się działo wokół.

Jednego dnia widziałam, jak żołnierz wyrwał niemowlę jakiejś matce i uderzył nim o drzewo. To się jakby działo poza rzeczywistością; nie mogło być prawdziwe. Potem zawłókł ją do chaty, a ona wołała o pomoc. My szliśmy dalej. Co innego mogliśmy zrobić? Jestem w stanie o tym mówić tylko dlatego, że przeszłam wieloletnią terapię psychologiczną. Musiałam.



Wspomnienia tego koszmaru rujnowały mi życie. Budziłam się w nocy z krzykiem, błagając o wodę.

– Wodę? – spytała Sera.

– To chyba było najgorsze – odpowiedziała Chantrea. – Pragnienie. Nasz zapas wody skończył się po paru dniach. Przeżyliśmy, pijąc wodę stojącą w kałużach, ale nigdy nie było jej wystarczająco dużo. Wioski, które mijaliśmy, były spalone i opuszczone. Wiem, że rodzice stracili nadzieję, że odnajdziemy ciotkę.

Szliśmy w grupie około osiemdziesięciu pięciu osób, wszyscy z nadzieją, że coś lub ktoś nas uratuje. Któregoś dnia o zmierzchu, jakieś pięć dni po tym, jak opuściliśmy miasto, paru mężczyzn zeszło z piaszczystej drogi w pola, żeby poszukać wody.

Było strasznie gorąco. Słońce zachodziło, a my siedzieliśmy, czekając, i żywcem zjadały nas komary. Nagle usłyszeliśmy huk. Matka zasłoniła mnie swoim ciałem, a ja zaczęłam płakać ze strachu. Mężczyźni weszli na minę lądową i kilku z nich zginęło. Trzej, którzy wrócili z wiaderkiem brudnej wody, musieli spojrzeć w oczy kobietom, które właśnie straciły mężów. Jedna z nich rzuciła się w piach i leżała tak całymi godzinami; nie wydawała żadnych dźwięków, ale z jej oczu bez przerwy płynęły łzy. Tej nocy przyszli żołnierze – zadrżała Chantrea. – Spaliśmy wszyscy na polu, kiedy obudzili nas nastoletni chłopcy z AK 47 w dłoniach. Kazali nam wstać i iść. Nie wiedzieliśmy gdzie. Nie pozwolili nam się zatrzymać przez cały dzień i część następnej nocy. Niektórzy zostawali na poboczach, padając z braku wody i sił.

Jej głos zmienił barwę.

– Kiedy ktoś upadł, żołnierze śmiali się i pluli na niego, a potem... bili ich w głowę kolbą karabinu i zostawiali na pewną śmierć.

Załamał jej się głos.

– Matka upadła i żołnierz zjawił się błyskawicznie. Krzyczałam i próbowałam jej bronić. Uderzył ją mocno kolbą... w brzuch. Zwinęła się z bólu. Tak bardzo się bałam. Ojciec uklęknął przy niej i pomógł jej wstać. A ja krzyczałam... Nie chciałam,

żeby umarła. Potem kazali nam się zatrzymać i zbudować obóz. Zmusili wszystkich mężczyzn i chłopców, żeby z nimi poszli. Kiedy ojciec całował mnie i matkę na pożegnanie, nie wiedziałam, że nigdy więcej go nie zobaczymy.

Trzydziestu mężów, ojców i synów poszło z żołnierzami, a kobiety, starcy i dzieci czekały na poboczu drogi. Tej nocy matka poroniła.

Żołnierze wrócili sami, umazani krwią. Kazali nam wstać i popędzili nas dalej. Matka ledwo szła, ale szepnęła do mnie, że okolica wydaje się jej znajoma. Spędziła tu szczęśliwe lata jako dziecko. Szliśmy do północy, dotarliśmy do zrujnowanej świątyni buddyjskiej. Żołnierze dali nam parę łyżek ryżu i padliśmy na twardą kamienną podłogę. W nocy obudziła mnie matka. Bawiła się w opuszczonej świątyni jako dziecko i wiedziała, że za ołtarzem jest ukryte pomieszczenie. Żołnierze palili i śmiali się na zewnątrz. Powoli prześlizgnęliśmy się do ołtarza i wcisnęliśmy między sprofanowaną, kamienną figurę Buddy a ścianę. Otwór prowadził do zimnego pokoju bez okien. Siedziałyśmy tam skulone, wstrzymując oddech. Aż do świtu. Kiedy żołnierze pognali grupę dalej, wymknęliśmy się stamtąd, czołgając się, żeby nikt nas nie zobaczył.

Przez następne dwa tygodnie przemykałyśmy po drogach, zakradałyśmy się do wiosek, żeby zdobyć coś do jedzenia, aż w końcu matka zdołała przeprowadzić nas przez granicę z Tajlandią. Podróżowałyśmy wiele dni i dotarłyśmy do Bangkoku, a matka znalazła placówkę Czerwonego Krzyża. Wtedy pokazała mi coś, co ukrywała przez ten cały czas. W rąbek sukienki wszyła małą paczuszkę. „Te szmaragdy i diamenty są z naszyjnika, który dostałam od twojej babci – powiedziała. – To nasz bilet do ziemi obiecanej. Do Australii”.

Po raz pierwszy zasugerowała, że w ogóle możemy mieć jakąś przyszłość. Chociaż zostałyśmy już tylko we dwie, po raz pierwszy w ciągu tych prawie dwóch miesięcy zobaczyłam w jej oczach cień nadziei. Wymieniła kamienie na dziesięć tysięcy bahtów, co było żalną sumą, ale wystarczyło, żeby uratować nam

życie. Słyszała o kapitanie statku, który mógłby nas zabrać do cudownego miasta o nazwie Darwin, gdzie dostałybyśmy jedzenie, dom i pracę.

Faktycznie, po kilku dniach na nabrzeżu czekała na nas łódź. Ale to nie była łódź pasażerska, a zwykły kuter rybacki. Zamiast ładunku ryb przewoził uchodźców. To było piekło i nie wiem, jak udało nam się je przeżyć.

Chantrea się zawahała.

– Kapitan trzymał nas zamkniętych i stłoczonych. Od czasu do czasu wydawał małe porcje ryżu i ryb. Za toaletę służyły nam wiadra, które opróżnialiśmy przez luk. Większość z nas cierpiała na chorobę morską i różne problemy gastryczne. A obiecane paszporty okazały się kolejnym kłamstwem.

Pewnej nocy kapitan otworzył drzwi, żeby nas wypuścić, mówiąc, że dotarliśmy do Darwin. W ciemnościach widzieliśmy olbrzymie fale. Pamiętam, jak z przerażeniem spojrzałam w czeluść pod nami, na brzeg i później na matkę. Nie musiałam nic mówić. Potaknęła głową. Musiałyśmy stąd dopłynąć. Kilka osób nie umiało pływać i nie chciało skoczyć, ale załoga po prostu wyrzuciła ich za burtę.

Sera nabrała powietrza i w jej oczach pojawiły się łzy.

Chantrea ciągnęła dalej.

– Woda była całkiem ciepła, a szczęśliwym zrządzeniem losu fala uniosła mnie i mamę, a potem pchała w kierunku brzegu. Ogarnęła mnie euforia. Było tak, jakby ten nowy kraj wziął nas w powitalne objęcia. Oczywiście pewnie wiesz, jak przyjmowano wtedy uchodźców i jak to wciąż wygląda. Zdajesz sobie sprawę, że moja radość nie trwała długo. Na plaży czekali na nas żołnierze. Myślałam, że zaczną do nas strzelać, ale załadowali nas na ciężarówki i zawieźli na noc do hotelu dla uchodźców. Następnego dnia zabrali nas w miejsce, które wyglądało jak więzienie – ośrodek dla uchodźców.

Ale przynajmniej przeżyłyśmy i byłyśmy bezpieczne. Przez następnych parę miesięcy starałyśmy się jakoś odzyskać siły. Matka poruszyła niebo i ziemię, żeby zdobyć dla nas wizy

pobytowe, co trwało dziewięć miesięcy. Aż w końcu siedzieliśmy w autobusie do Sydney, żeby rozpocząć nowe życie.

Widzieliśmy Sydney w telewizji w ośrodku dla uchodźców i wiedzieliśmy, że to miasto dla nas. Matka mówiła, że jego energia i ludzie przypominają jej Phnom Penh sprzed wojny.

Dzięki *Ulicy Sezamkowej*, którą oglądałam w ośrodku, szybko nauczyłam się angielskiego, więc matka myślała, że łatwo będzie mi się przystosować w szkole. Ale podstawówka była torturą.

Grupa, która rządziła w szkole, była gorsza niż Ku-Klux-Klan. Atakowali każdego, kto nie był biały. Moją koleżankę Kimmy, która przyjechała z Wietnamu, znaleziono pewnego dnia powieszoną za stopy na drzewie. Nikt nawet nie zawiadomił policji. Nauczyciele nie mogli albo nie chcieli niczego zrobić.

Ja i inni odmieńcy staraliśmy się schodzić im z drogi, ale nie zostawiali nas w spokoju. Kiedyś Bill, największy z nich, z gęstymi rudymi włosami i tatuażem AC/DC, który sam sobie zrobił, syknął mi w ucho, co on i jego kumple chcieli zrobić ze mną tego popołudnia w jego pokoju. Zmroził mnie szok – jedyne, o czym mogłam myśleć, to ta kobieta i żołnierze na drodze za Phnom Penh. Nie opuszczałam klasy, żeby być bezpieczna. Nie mogłam powiedzieć matce. Była taka dumna ze swojej australijskiej córki i pracowała wiele godzin w sklepie spożywczym, żeby starczyło nam na jedzenie i ubranie.

– Boże, kochanie... – szepnęła Sera.

– Zdecydowałam, że będę walczyć – powiedziała groźnie Chantrea, zaciskając pięści. – Nauczyłam się walki ulicznej i zaczepki szybko się skończyły, a ja po raz pierwszy czułam, że jestem bezpieczna i kontroluję sytuację. Przez pięć lat po ukończeniu szkoły pracowałam w różnych miejscach, robiąc różne rzeczy, aż zdecydowałam, że jedyną szansą, żeby coś osiągnąć, są studia uniwersyteckie. I tam poznałam Danny'ego – Danny'ego O'Leary. Studiował medycynę i wszystkie dziewczyny na kampusie mdlały na jego widok.

Sera uniosła się na krześle z zainteresowaniem. Nigdy nie

słyszała, żeby Chantrea mówiła o ojcu Sally.

– Chyba jego ego zostało lekko nadszarpnięte tym, że nie uwiodły mnie od razu jego błękitne oczy – westchnęła. – Sera, już jest strasznie późno. Jesteś pewna, że chcesz zarywać noc dla pokręconej historii mojego życia?

– Oczywiście – potwierdziła Sera. – Nie możesz teraz przestać.

– No dobrze. Danny... Im bardziej zastawiał na mnie sidła, tym bardziej go ignorowałam. Chyba przerodziło się to w rywalizację... Nie wiem... Życie w domu z matką było chore. Chciałam uwolnić się od wszystkiego, co przypominało mi Kambodżę i nasze dziedzictwo, ale ona upierała się, że powinnam mówić w naszym języku i być dumna, że pochodzę z tak pięknego kraju.

Próbowałam jej tłumaczyć, że Australijczycy nienawidzą Azjatów; że powinna przestać ogłaszać wszem i wobec, skąd pochodzimy. Powiedziała, że to ja powinnam się wstydzić.

Więc zaczęłam umawiać się z Dannym i wykombinowałam, że ślub z nim da mi możliwość ucieczki od mojej kultury. Mało feministyczne podejście...

Zaszłam w ciążę w ciągu jakichś pięciu minut po beznadziejnym ślubie w urzędzie stanu cywilnego, a Danny, który ciężko się napracował, żeby mnie usidlić, stracił zainteresowanie. Nawiązał za to całkiem bliską znajomość z narkotykami. Częściej był naćpany niż trzeźwy i dalej już było tylko w dół. Oblał egzaminy, a potem w ogóle rzucił uniwersytet. Nie miał pracy, więc musiałam przerwać studia zaraz po tym, jak się urodziła Sally. Do dziś mnie to naprawdę wkurza – powiedziała cicho.

– Mogę to zrozumieć – odpowiedziała z sympatią Sera.

– Pracowałam w agencji turystycznej, a Danny miał zajmować się Sally. Ale nawet ten wysiłek był za duży dla tego leniwego dupka. – Zatrzęsa się ze złości i otarła łzy. – Kiedyś, w przerwie obiadowej, wróciłam do domu, żeby zobaczyć, jak sobie radzą. Danny stracił przytomność, leżał na kanapie, a na podłogę rozlała się woda z jego szklanej fajki do palenia haszu. Moje małe

biedactwo leżało w łóżeczku czerwone od płaczu.

Spakowałam się i wróciłam do matki. Oczywiście była przeszczęśliwa, mając Sally w objęciach; zadowolona, że moje nieodpowiednie małżeństwo z tym śmieciem należało do przeszłości, a ja byłam znowu tam, gdzie mogła mnie strofować i dręczyć przez cały dzień. Danny nigdy się nie odezwał. Skurwysyn.

Mieszkanie z matką nie jest aż tak złe. Przynajmniej pomaga mi przy Sally. Bez jej wsparcia nie mogłabym zacząć pracy jako stewardesa, a potrzebna mi dobra praca, żeby odłożyć na edukację Sally i może kupić kiedyś większy dom. Ale naprawdę się wkurzam, jak zaczyna wciskać Sally w gardło to całe kambodżańskie gówno. Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas robiła mi to za plecami – dławiła się z emocji. – To, że jestem z Kambodży, przyniosło mi tylko ból i cierpienie, dlatego poprzysięgłam sobie, że Sally nigdy nie będzie musiała przez coś takiego przechodzić.

Sera chciała powiedzieć, że teraz Australia jest zupełnie innym miejscem, krajem rasowej tolerancji, otwartym na innych. Ale czy mogła to odpowiednio ocenić z własnej perspektywy? Czy naprawdę jej kraj był bardziej sprawiedliwy i tolerancyjny niż kiedyś? Może Chantrea miała rację, nie chcąc, żeby Sally identyfikowała się z tą częścią swojej kultury, która mogła odsunąć ją od rówieśników.

– I to wszystko. Cała moja historia. Z oczywistych powodów byłabym wdzięczna, gdybyś zatrzymała ją dla siebie – powiedziała Chantrea, patrząc na zegarek. – Jest pierwsza. Muszę już iść.

Sera przytuliła przyjaciółkę.

– Jestem tutaj, kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować.

– Dziękuję, kochanie. To wiele dla mnie znaczy.

Stojąc w drzwiach, Sera patrzyła, jak przyjaciółkę pochłania ciemność.

Powietrze było coraz chłodniejsze, choć blask słońca wciąż przypominał o odchodzącym lecie.

– Nigdy nie mam dość tego widoku – westchnęła Sera, kiedy jechały bmw x5 z Mallory przez most prowadzący do portu.

– Jest wspaniały – zgodziła się przyjaciółka, obserwując białe żaglówki rozrzucone po zatoce jak gwiazdy na nocnym niebie.

– Naprawdę nam się poprawiło, odkąd Vince awansował. Co miesiąc dostaje nieprzyzwoity bonus i kiedy tylko chcemy, możemy korzystać ze służbowej motorówki.

Sera uśmiechnęła się kwaśno. Nigdy nie była wielką fanką Vince’a. Robił zbyt dużo zamieszania wokół siebie. „Był jak... Jest na to takie określenie – zastanawiała się, patrząc z mostu. – Mam je: onanista!”

Mallory poznała go, kiedy pracowała jako kelnerka w ekskluzywnym hotelu, zaraz po tym, jak rzuciła szkołę. Od tego czasu byli razem. Choć ona i Mallory były nierozłączne od pierwszej klasy podstawówki, nie mogła zrozumieć romansu przyjaciółki i takiego szybkiego ślubu ze starszym o dziesięć lat handlowcem z Melbourne. Nie mogła uwierzyć, że Mallory, z jej cudowną, zupełnie wypraną z egoizmu osobowością, mogła być z Vincem szczęśliwa. Z nim, z facetem, który obcinał paznokcie u nóg, zabawiając gości!

Sera czuła się też trochę winna. W zasadzie opuściła przyjaciółkę. Przecież poleciała za Bellą i została stewardesą zaraz po tym, jak skończyła szkołę. Może to był jeden z powodów, że Mallory tak szybko związała się z tym prostakiem.

Vince był krzykliwy, przysadzisty i wszystko robił na pokaz. Dostawała gęziej skórki, kiedy widziała jego okulary przeciwsłoneczne Dolce & Gabbana osadzone na włosach postawionych na żel, T-shirty Paula Smitha i džinsy Diesla na chudym i płaskim tyłku.

– A wczoraj wieczorem przyniósł mi ogromny bukiet róż. Jest taki romantyczny! – mówiła dalej Mallory.

– Z jakiej okazji? – spytała podejrzliwie Sera.

– Bez okazji. Powiedział, że mnie po prostu kocha – westchnęła, poprawiając na piegowatym nosie olbrzymie okulary przeciwsłoneczne Gucci.

– Hmm. – Sera mocno zacisnęła zęby, żeby nie rzucić sarkastycznej uwagi.

Jakie to słodkie ze strony Mallory, że uparła się na ten dziewczynski wypad.

– Za ciężko pracujesz – zasugerowała. – Najwyższy czas, żebyśmy się razem zabawiły.

Musiła przyznać, że to była kusząca propozycja. Od tygodni nie miała chwili dla siebie, robiąc bezsensowne zakupy, chodząc na lunche i wypróbując nowy makijaż. Po przedpołudniu spędzonym w centrum kosmetycznym zmierzały teraz w stronę kolejnego przystanku: zasłużonej przerwy na lunch w luksusowym przedsiębiorstwie handlu jachtami, gdzie pracował Vince.

Sera próbowała przekonać Mallory, żeby zjeść coś po ich stronie portu, ale przyjaciółka powiedziała, że ma dla niej niespodziankę.

– No, to co z tą niespodzianką? – spytała, gdy jechały nad zatoką.

– Wiesz, to może nie do końca niespodzianka, ale może być niezły ubaw – powiedziała z uśmiechem Mallory. – W firmie jest nowy handlowiec. Absolutnie fantastyczny.

– No i...? – Sera wzruszyła ramionami. – Obie jesteśmy mężatkami, zapomniałaś?

– Nie, w ogóle nie rozumiesz. Wiesz, jaka jest szkoła, do której chodzi Tilly?

– Tak. Musisz pokazać wyciąg z konta, zanim cię wpuszczą.

– No – zgodziła się Mallory. – A szkolna plotka głosi, że żony naszych miejskich bogaczy kupują tu mężom łodzie tylko ze względu na tego nowego faceta. Mówią, że uwiódł już całą radę matek, jedną po drugiej.



– Co?! – Sera uwielbiała takie skandale.

– Wiem, przezabawne. Ale żeby uwierzyć, trzeba zobaczyć. Jeśli wystarczająco długo będziemy jadły, na pewno dostrzeżesz, o co chodzi.

Kiedy weszły do salonu wystawowego, powitały je strzeliste białe kadłuby olbrzymich łodzi. Mallory rozejrzała się, szukając męża. Skrzeczący śmiech zwrócił ich uwagę. To Vince uwalony na ladzie recepcji wypinał w ich stronę tyłek odziany w prążkowane spodnie. Tleniona recepcjonistka zachichotała, patrząc na niego baranym wzrokiem.

– O, jest tam – powiedziała Mallory. – Cześć, kotku!

Vince podskoczył gwałtownie.

– Co wy tu robicie?

– Przyjechałyśmy na lunch. Pomyślałam, że zrobimy ci niespodziankę – powiedziała wesoło Mallory, chcąc go objąć.

Zatrzymał ją.

– Nie przy wszystkich.

– Przepraszam. – Opuściła rękę.

Sera zerknęła na recepcjonistkę i zatkało ją, kiedy zobaczyła pełne jadu spojrzenie, którym taksowała przyjaciółkę.

– Cześć – zaszczebotała Mallory nieświadoma sprowokowanej przez siebie nienawiści. – Nie znamy się jeszcze. Ty pewnie jesteś Sharee.

Wyciągnęła rękę do nowej pracownicy.

– A, tak. Dzień dobry – odpowiedziała Sharee i zaoferowała wiotką wytatuowaną dłoń.

Jad już odpłynął z jej oczu, ale nie sprawiło to, że wygląd zyskał na atrakcyjności. „O rany, ta to potrzebuje przeróbki”, pomyślała Sera, mając na myśli łamliwe białe włosy z rozdwojonymi końcówkami i za bardzo umalowane oczy.

– Witamy na pokładzie, jak mówią w żeglarskim świecie – zaczęła Mallory. – Właśnie zamierzamy iść coś zjeść. Może się do nas przyłączysz?

– Nie, pracuję – powiedziała Sharee i stanęła tyłem do Mallory, przekładając stertę papierów z miejsca na miejsce.

– Może następnym razem – rzuciła Mallory i poszły do kafeterii.

– Dziwna dziewczyna – skomentowała, kiedy usiadły. – Ale jeśli szef jest zadowolony... – zachichotała.

„No nie, biedna Mallory”, pomyślała Sera.

Zamówiły latte, wodę gazowaną, sałatkę z suszonych pomidorów i rukoli, focaccio z prosciutto i siedziały, obserwując rozwój sytuacji.

Było trochę jak na obcej planecie – planecie braku umiaru. Potencjalni klienci podjeżdżali luksusowymi autami – kolejne bardziej prestiżowe niż poprzednie. Wszyscy mogli poszczycić się opalenizną nabytą na ekskluzywnych plażach widoczną spod koszulek polo i sportowych marynarek. W przeciwieństwie do nich agenci handlowi płci męskiej, ubrani w garnitury Hugo Bossa, wyglądali tak, jakby dopiero wyszli z Wall Street.

Żeńska część załogi zmysłowo prezentowała się w obcisłych kostiumach, z dużymi dekoltami i włosami z pasemkami upiętymi na czubkach głów. Kiedy klienci przepuścili już pieniądze na pływającą limuzynę, do pracy przystępowały dziewczęta, sprzedając im podstawowe, niezbędne do życia akcesoria: sondę ultradźwiękową, przyciemnione szkło, urządzenia do odbioru prognoz pogody i kotwicę.

Mallory i Sera zszokowane napawały się atmosferą i rozgrywającym się przed nimi swoistym teatrem bogactwa, głupoty i próżności.

Nagle Mallory chwyciła przyjaciółkę za ramię.

– Nie wierzę! – syknęła, wskazując na łodzie Stingray prezentowane po drugiej stronie salonu. – To Suzette Martin. Żona Marvinina Martina od telefonów komórkowych.

– No nie. To ta suka, która w przedszkolu wsadziła Chantrei nóż w plecy – odpowiedziała Sera.

Ukryte przy stoliku za palmą obserwowały, jak kobieta schodzi po drabinie z tyłu łodzi. Za nią podążał nieprzyzwoicie atrakcyjny czarnoskóry mężczyzna.

– To on – potwierdziła szeptem Mallory.

- Wygląda, jakby mógł narobić problemów.
- Aha – zgodziła się przyjaciółka. – Naprawdę się cieszę, że Vince nie musi robić takich rzeczy, żeby wyrobić normę.

Thomas z irytacją uniósł głowę, słysząc brzęk tłuczonej porcelany. Ostatnią rzeczą, jaka się stłukła w domu, a stało się to sześć miesięcy temu, była nowa misa na owoce. Skrupulatne śledztwo przeprowadzone nocą na ich internetowym koncje bankowym wykazało, że kosztowała sto czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Taka niefrasobliwość.

Spojrzał w lustro i przyglądził bródkę. Podobało mu się, że ostatnio trochę posiwiiała. Wyglądał dzięki temu bardziej dystyngowanie. Obciągnął białe mankiety koszuli tak, żeby wystawały spod rękawów granatowej, dwurzędowej marynarki dokładnie na dwa i pół centymetra.

To przykre, że Jacqueline wybrała akurat niedzielę, żeby zaprosić tych ludzi z kółka dziewiarskiego. Choć jednocześnie nawet się cieszył, że będzie mógł zaprezentować im swój wspaniały styl życia. Umył mercedesa, osobiście nadzorował odkurzanie swojej nowej pary koni z epoki Ming i zatwierdził przemyślane menu Jacqueline. Może i jest niezdarą, ale na pewno ma godny podziwu talent w kuchni.

Oczywiście znał już sąsiadów – Serę i Tony'ego. Sera była słodką dziewczyną; nie z odpowiednich sfer, ale czarującą.

Wsunął na nogi skórzane mokasyny i zszedł na dół sprawdzić postępy w kuchni. Przechodząc obok chłopców, którzy byli pochyleni nad szachownicą, zmierzwił włosy Joshuy, gratulując mu w ten sposób doskonałego ruchu gońcem.

Jadalnia wyglądała olśniewająco w odcieniach zieleni i bieli. Szklanki na wodę były w kolorze limonki, a kłująca w oczy biel serwetek i porcelany odcinała się od zielonego obrusu.

W kuchni uwijała się żona w fartuszkach, jedną ręką rozbijając do miski jajka, a drugą przewracając strony książki kucharskiej.

– Jadalnia wygląda oszalamiająco, kochanie – powiedział, muskając jej policzek.

Zarumieniła się.

– Och, naprawdę tak sądzisz?

Ale zanim miała szansę w pełni zachłysnąć się komplementem, spytał:

– Słyszałem, że coś się stłukło?

– A, to... Przykro mi, kochanie, to tylko bliźniaczka tej miski, w której są jajka. Próbowałam ją złapać, ale upadła.

Jedyną odpowiedzią była uniesiona brew. Podszedł do zlewu, żeby umyć ręce.

„Tutaj zrobiłem już chyba wszystko, co miałem zrobić” – przelatujący w myślach listę. Zdjął pokrywę z grilla, z zadowoleniem zauważając, że błyszczący, wziął prysznic, samochód był czysty, a jego gabinet uporządkowany i godny wybitnego lekarza.

– Chyba przejadę merca irchą – powiedział.

– Świetny pomysł, kochanie. – Jacqueline nerwowo spojrzała na zegar. – Ja już prawie kończę. Jeszcze tylko muszę przygotować trzy dania, sos holenderski i zamieść patio.

Jeśli to miała być sugestia, to nie zwrócił na nią uwagi.

Thomas zstępował po frontowych schodach do swojej dumy i radości. Mercedes Benz S-Class Saloon był tylko dla ludzi sukcesu. Długo go pożądał i w końcu się zdecydował, w ubiegłym roku podatkowym. Wyjął irchę ze schowka na rękawiczki i podniósł liście, które nierozważnie upadły na maskę samochodu.

Niewiele wiedział o Vincencie Rimmelu, mężu Mallory. Co prawda kiedyś go poznał, gdy chciał zostać właścicielem łodzi. Thomas wiedział, że Vince jest bardzo zamożnym człowiekiem, ale swoimi krzykliwymi akcesoriami i wątpliwymi manierami przypominał piłkarskiego celebrytę. A jego żona, Mallory, to głupol. Nie jest typem, z którym powinna obcować osoba kalibru Jacqueline.

Zdecydowanie podobała mu się natomiast buta tej stewardesy – Belli, siostry Sery. Ucieleśniała typ skończonej wyniosłości, co podziwiał w ludziach, więc było mu przykro, gdy usłyszał, że dziś jej nie będzie.

Nie poznał jeszcze tego nowego faceta, Sama Harveya. Architekt – sensowny zawód – ale tylko totalna cipa mogła dołączyć do żeńskiego kółka dziewiarskiego.

Chantrea była interesująca, atrakcyjna i niebezpieczna. Chociaż na początku wzdragał się na widok jej dzikich manier i nadmiernej otwartości, to zauważył, że sprawiały mu przyjemność ich słowne potyczki, i odkrył, że jest naprawdę błyskotliwa.

Z domu sąsiadów dobiegł go jakiś dźwięk. Tony wychylał się, żeby zamknąć okno swojej pracowni, więc w powitalnym geście uniósł do niego rękę.

– Dzień dobry – zawołał wesoło Tony. – Niedługo się widzimy.

Tony zamknął okno i wrócił do rachunków. Udało mu się dziś wystawić faktury dla wszystkich klientów. A że okna wciąż są brudne... Umyje je po południu.

Nawet się cieszył na to spotkanie. Schodząc na dół, żeby pomóc Serze, pozbierał rzeczy pozostawione przez dzieci: lalkę Dorę, broń Spidermana, wstążkę do włosów zawiązaną między poręczami, butelkę... A co to za wypukłość w torbie Barbie? Oczywiście jego taśma miernicza. Wrzucił wszystko do szuflad na zabawki, a swoją taśmę położył poza zasięgiem.

Thomas był w porządku, sztywny i straszliwy snob, ale gdy wlał w siebie parę piw, to się rozluźniał. A dziewczyny – kupa śmiechu. Szkoda tylko, że nie będzie Belli. Kiedy zaczął umawiać się z Serą, nie mógł zrozumieć, dlaczego jego nowa dziewczyna jest tak przywiązana do siostry. Szybko odkrył, że Bella była jej podporą i najlepszą przyjaciółką. Kiedy byli świeżo po ślubie, Sera nie mogła wybrać tkaniny na zasłony bez telefonu do Belli. Teraz było już lepiej, ale wciąż często rozmawiały.

Sera pochylała się nad zmywarką.

– Jaka ulga dla moich zmęczonych oczu! Co za tyłek! – zaśmiał się, szczypiąc ją w pośladek.

– Tony! – pisnęła.

– Potrzebujesz pomocy? Odrobiłem już całą pracę domową – powiedział i wybrał z miski jabłko, które pochłonał trzema kęsami.

– Co wolisz: dokończyć zmywarke czy ubrać dzieci? Masz wybór.

– Zdecydowanie zmywarke – oznajmił i przejął od niej naczynia.

– Tchórz – zaśmiała się i pobiegła na górę.

– Nie te džinsy, NIENAWIDZĘ tych džinsów! – Tony usłyszał piskliwy głos Harry’ego dryfujący w dół schodów.

Pokręcił głową. Wiedział, o które spodnie chodzi. Harry tak je lubił, że Sera kupiła drugą taką samą parę. Ale oczywiście druga para nie była taka sama, bo Harry dostrzegał subtelną różnicę między uzurpatorem a swoim faworytem.

Zadzwoił telefon. Tony podniósł słuchawkę.

– Tony Wilson.

– Mamy przynieść jakiś alkohol?

Vince Rimmel. Miał bardzo denerwujący zwyczaj nieprzedstawiania się, myśląc, że każdy wie, kim jest.

– Cześć, Vince. Co tam? – Tony starał się być miły.

– Wiesz, jak jest. Skubanie owieczek jak co tydzień. Wiesz, o co chodzi.

Tony nie wiedział, ale przytaknął i wrócił do pytania, które Vince zadał na początku rozmowy.

– Nie wiem, czy coś było ustalone. Poczekaj chwilkę.

– Sera, Vince chce wiedzieć, co z alkoholem! – krzyknął.

– My bierzemy butelkę szampana – usłyszał.

– Szampan, chłopie, chyba odpowiedni na tę porę dnia – powiedział w słuchawkę.

– Dobra, wezmę francuski. Dziewczyny to lubią.

Vince rozłączył się bez pożegnania. Podciągnął czarne džinsy i sklął w duchu krawca, który niewystarczająco je skrócił. W zasadzie te białe buty Pумы mają podwyższone podeszwy, więc spodnie nie będą się wlokły po ziemi. Sprawdził czubek swojej głowy. Tak, okulary Dolce były na swoim miejscu.

Nie chciał iść na tę cholerną imprezę. Wszyscy przyjaciele Mallory to takie nudne bubki. Zwłaszcza ten Thomas – pokręcony kutas, a Tony zachowuje się jakby jego gówno nie śmierdziało. A

te siostry – stewardesy, nadęte księżniczki. Choć ich orientalna przyjaciółeczka jest w porządku. No, poza tym takie wyjście to zawsze dobra sposobność poszerzania sieci kontaktów.

Poszedł sprawdzić, jak daleko jest Mallory. Tilly nie wróciła jeszcze po nocy u koleżanki, więc przy odrobinie szczęścia może się udać, zanim wyjdą. Czuł nadchodzący ból głowy, a nie było lepszego lekarstwa na wszelkie dolegliwości niż szybki numer. Miał szczęście – Mallory wciąż ma na sobie tylko majtki. Fantastycznie wygląda jak na trzydziestopięciolatkę. Podziwiał jej zgrabne ciało, kiedy buszowała w szufladzie z bielizną.

– Jak tam, Mal? Mamy czas na małe pieprzonko?

– Vince – zaśmiała się – jesteś niezaspokojony!

– Trudno zaprzeczyć. Ile to było razy w nocy? Trzy? Cztery?

– Chyba jednak dwa. O, tu jesteś. – Wyciągnęła różowo-turkusowy biustonosz pasujący do majtek.

– Było przynajmniej trzy – naburmuszył się.

Wsunęła różową sukienkę-tubę na szczupłe ciało, a na nogi błękitne szpilki z odkrytymi palcami.

– Cześć! – Na dole trzasnęły drzwi.

– Tilly! – zawołała, a kiedy córka stanęła w drzwiach sypialni, spytała: – No i jak było?

– Fantastycznie, na MTV był świetny program o Justinie Timberlaku.

– Boże, on jest super! – pisnęła Mallory.

– Miałaś być godzinę temu, Til – warknął Vince, wyładowując frustrację na córce.

– No wiem – odpowiedziała i przewracając oczami, rzuciła w kąt torbę i poszła po dietetyczną colę.

– Gotowa, skarbie? Idziemy. – Mallory weszła za nią do kuchni.

– Muszę tam iść? Ci dwaj chłopcy są tacy nudni. Chcą tylko gadać o Dungeons i Dragons.

– Prooooszę – jęknęła przymilnie matka.

– No dobrze, ale pod warunkiem że będę mogła wziąć nintendo.



– Zgoda – powiedziała Mallory.

Po wymianie uścisków dłoni i pocałunków wszyscy usiedli na patio, gdzie czekały na nich koktajle. Młodsze dzieci ulokowano przed odtwarzaczem DVD, a starsze nieugięcie się ignorowały. Mężczyźni nadzorowali grillowanie.

– Czy to twój merc przed drzwiami? – spytał Vince Thomasa.

– Tak, mój. Wspaniała bestia – rzucił luźno Thomas.

– Słyszałem, że mają problem z ABS-em. Czy przypadkiem ludzie nie zgłaszają reklamacji?

– Nie, nie ma żadnych problemów. Chcesz się przejechać?

– Dzięki, stary, nie chciałbym, żeby ktoś mnie zobaczył za kółkiem samochodu dla starszych panów! – zarechotał Vince.

„To takie miłe, że Jacqueline zaprosiła również babcię”, myślała Sera, patrząc na pogrążone w rozmowie starsze panie. Joan wydawała się zrelaksowana, a Dara Kim pokazywała jej zdjęcia Sally w przeróżnych pozach.

Chantrea i Sam wymieniali uwagi o problemach życia w pojedynkę, a tu Sera nie mogła wiele wnieść, więc rozejrzała się za gospodynią. Oczywiście haruje w kuchni. A Mallory wyciera naczynia.

Weszła do środka.

– Ale zapachy – powiedziała do Jacqueline. – Jak mogę pomóc?

– Och, jesteś kochana. Zetrzyj skórkę z cytryny, a ja w tym czasie zaniosę Joan herbatę.

Na patio rozległ się dźwięk telefonu Sery leżącego na stole. Tony zerknął na ekran.

– To Bella, lepiej odebrać.

Poszedł do środka, żeby dać żonie komórkę.

– Kochanie! – krzyknęła Sera do telefonu. – Zgadnij, gdzie jesteśmy? Bawimy się świetnie u Jacqueline! Tak się cieszę, że dzwonisz. Chciałam cię zapytać...

Tony wrócił na taras i usiadł obok Sama i Chantrei.

– Dobrze, że zauważyłem, bo jakby nie odebrała tego telefonu... lepiej nie mówić.

- Są ze sobą bardzo związane? – spytał Sam.
- Niewyobrażalnie. Bella przez całe życie była dla Sery opoką. Na początku miałem wrażenie, że umawiam się z obydwoma. Kiedy mąż Belli gdzieś wyjeżdżał, Sera upierała się, żeby siostra szła z nami na każdą randkę.
- Boże, to koszmar mieć starszą siostrę za przyzwoitkę – powiedział Sam.
- Tak, bywało trochę dziwnie. Za każdym razem, jak o coś pytałem, Sera odpowiadała, patrząc na Bellę, jakby szukała aprobaty – tłumaczył Tony. – Wiesz, ich dzieciństwo nie było usłane różami. Bella praktycznie wychowywała Serę. Rodzice się nimi nie interesowali, dom był zapuszczony, a ich życie raczej chaotyczne.
- To wyjaśnia, dlaczego Bella ma fioła na punkcie porządku – powiedziała Chantrea. – I dlaczego zadaje sobie tyle trudu, żeby się upewnić, że jest porządek.
- Wydaje mi się, że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsywne – przyznał Tony. – Jak ją poznałem, myślałem, że to po prostu snobka, ale jest za bardzo spięta i zbyt surowa dla siebie, nie dla innych.
- Wciąż są od siebie tak uzależnione? – spytał Sam.
- Trochę to się zmieniło. Bella stara się ostatnio trzymać dystans; nie bywa często w Sydney. Twierdzi, że to ze względu na pracę, ale chyba próbuje zostawić Serze trochę miejsca. Poza tym myślę, że nie układa się jej w małżeństwie. Chantrea, znasz Curtisa. Co myślisz?
- Chantrea spojrzała niepewnie.
- Naprawdę nie wiem, co o nim sądzić. Nie chciałabym za dużo mówić, ale nie ma najlepszej reputacji. Domyślasz się, o co chodzi.
- To okropne – powiedział Tony. – Biedna Bella, nie zasługuje na to. Jest niesamowita, Sam – próbował wytłumaczyć. – Zawsze pamięta o urodzinach, przysyła prezenty bez okazji, zawsze wie i dzwoni, kiedy Sera jej potrzebuje, i jest cudowna dla dzieci. A, i czy wspomniałem, że jest szczerze wyposażona w

najdłuższe nogi świata?

– Spokojnie, tygrysie! – zaśmiała się Chantrea. – Ale to prawda z tymi nogami.

– No to mam nadzieję, że jej się jakoś ułoży – powiedział z galanterią Sam. – Przecież na to zasługuje.

Cholera! – Sera pochyliła się do lustra.

Starła smugę czekoladowego lukru, która ciągnęła się od oka w dół policzka.

Bella miała w końcu pojawić się w mieście, więc Sera chciała wszystko jak najlepiej przygotować. Dzieci mają być jak małe aniołki, piknik godny ikony domowej kuchni, a ona ma być tak zadbana i wyglądać tak wspaniale, jak jej idealna starsza siostra.

Nieregularny rozkład dnia Joan nie gwarantował im prywatności, więc Sera wpadła na zabawny pomysł, żeby zorganizować zimowy piknik w ogrodzie botanicznym.

– Piknik? – powiedziała Bella do telefonu na drugim końcu świata. – Dlaczego?

– Bo będzie świetnie i dzieciom na pewno się spodoba – zdecydowała Sera.

– Och, dzieci... No tak, oczywiście – odpowiedziała Bella tonem osoby, której wolność pozwala przenosić się w różne miejsca na świecie na każde życzenie.

Oczywiście kochała Serę, braci, siostrzenicę, siostrzeńca i bratanków. Ale zamiast wisieć im nad głowami, przeradzając się w irytującą, wszechwiedzącą, bezdzielną ciotkę, wołała kochać ich z daleka, wpadając z krótkimi wizytami i hojnymi prezentami.

W stylu życia, który wybrała, była też odrobina samoobrony. Jeżeli będzie ciągle w biegu, nie zapaści nigdzie korzeni i nie wybuduje gniazda. Nie zaryzykuje już kolejnego wielkiego błędu. Najlepsze hotele na całym świecie były dla niej wystarczająco dobrym domem.

Dzień pikniku rozpoczął się typowym dla Sydney bladym błękitem nieba, które z czasem przybrało ciemniejszą barwę. Chmury odeszły w kierunku Melbourne, wiatr do Adelajdy, a deszcz spędzał czas w swoim ulubionym miejscu – Hobart.

Sera przez cały ranek była w szale stylizacji. Wszystko musiało wyglądać jak najlepiej. Samo przygotowanie ubranek dzieci zajęło jej godzinę.

Dla siebie ostatecznie wybrała czarne legginsy i jaskrawożółtą sukienkę, którą kupiła w poprzednim tygodniu. Spędziła wieki, susząc włosy, podkrecając, a potem znowu prostując. Nałożyła pełny makijaż, jak do pracy, i wykończyła go, rozsmarowując bronzer. A kiedy przewiesiła przez ramię wielką czarną torbę Miu Miu, poczuła się prawie dobrze.

Skończyła lukrować czekoladowe babeczki i je spakowała. Włożyła aioli ze startą skórką cytryny do starego pojemnika na kawę. Owijając kurczaka folią, zauważyła z satysfakcją, że dobrze się upiekł, a sałatka, którą kupiła w delikatesach, wyglądała całkiem smakowicie.

Dzieci biegały po domu podekscytowane tym, że zobaczą ciocię Bellę. Zawsze przynosiła im prezenty.

Kiedy przyjechali, Bella siedziała już na ławce pod drzewem. Wyglądała zachwycająco w płóciennych spodniach i białym polo Abercrombie and Fitch, z narzuconym na ramiona różowo-białym sweterkiem. Włosy miała ściągnięte w długi blond kucyk, tak gładki, jakby wyprasowała go żelazkiem. Nawet jej białe tenisówki wyglądały elegancko. Zbliżając się, Sera zauważyła, że siostra metodycznie, po trzy razy sprawdza telefon i zegarek, włosy natomiast dwa razy.

„Jest taka idealna. Dlaczego nie może się zrelaksować?”, zastanawiała się.

– Kochanie. – Bella wstała i mocno objęła siostrę. – Tak się cieszę, że cię widzę. Cudownie wyglądasz.

– Dziękuję, Bella – odpowiedziała Sera.

Chciała odplacić jej podobnym komplementem, ale mówienie Belli, że dobrze wygląda, to jakby mówić Stephenowi Hawkingowi, że jest niegłupi.

– Cześć, ciociu – pisnęły zawstydzone dzieci.

– Cześć, Madeline. Cześć, Harry. Mam dla was prezenty.

Dzieci krzyknęły podekscytowane i rzuciły się na paczki.

Ekscytacja szybko zamieniła się w niepewność, a Harry pytająco spojrział na ciotkę znad pary džinsów. Po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech uznania.

– Hurra, džinsy! Fajne. Założę teraz.

Niezdarnie wyplątał się ze swoich idealnie dobranych spodni Gapa w biało-niebieskie paski i wciągnął białe džinsy Calvina Kleina.

– Bella, białe spodnie dla trzyletniego chłopca? – zapytała Sera, kiedy mały powędrował do piknikowego koszyka znaleźć coś na przekąskę.

Bella nie miała wielu słabych punktów, nawet w kwestii wychowania dzieci, więc Sera zawsze czerpała z nich pewną satysfakcję.

– Co? – rzuciła Bella. – Jemu się podobają.

Nie obchodziło jej, że czas ich przydatności wynosił dwie minuty. Jej siostrzeńcowi bardzo się spodobały.

– Ooo – zabrzmiał dziecięcy głosik.

Chłopca i jego białe džinsy pokrywała zawartość rozerwanego opakowania czipsów. Wytarł pomarańczowe okruchy o spodnie i pobiegł wspinać się na drzewo.

– Bardzo dziękuję, ciociu – powiedziała Madeline. – Jest przepiękny. – Kryształowy łabędź Swarovskiego lśnił w promieniach słońca.

– O Boże, zaraz go zbijesz! – krzyknęła od razu Sera.

– Nie, nie zbiję – usłyszała.

– Lepiej ja się nim zajmę – powiedziała matka.

– Nie! – uparła się Maddy.

Sera pokręciła głową i spojrzała na Bellę.

– Kryształ?

– No co? – powtórzyła Bella, patrząc na niewątpliwą radość siostrzenicy.

– Wspaniałe prezenty, dziękuję, że o nich myślisz – powiedziała Sera, żeby nie wyjść na niewdzięcznicę. Była jednak trochę rozczarowana, że siostra nie pomyślała o tym, żeby i jej przywieźć z obcych krajów jakiś drogi prezent. – Jak podróże

wokół globu? Dalej cię cieszą?

– Styl życia bogatych i sławnych. To cała ja – odpowiedziała Bella z sarkazmem. – Sama przecież wiesz, że od środka nie wygląda to tak cudownie.

– Pracowałam tak tylko przez rok. A trudno nazwać egzotyką loty na lokalnych trasach. Kocham twój świat: bielizna w Mediolanie, fryzjer w LA, perfumeria w Nowym Jorku.

– Wszystkiego tam nie kupisz. Czasami chciałabym tak jak wy, iść do galerii handlowej w Bondi i tam zrobić zakupy.

– Ta! Wymień to wszystko na naszą galerię. – Sera poczuła uścisk w gardle. – Choć może masz rację. Dzieci nie pomagają w karierze zawodowej, ale mamy razem tyle zabawy. Naprawdę cieszę się, że są. Uzupełniają mnie.

Sera wiedziała, że to niegodziwe i niesprawiedliwe z jej strony wyrzucać Belli w twarz jej bezdzietność, ale rozpaczliwie chciała mieć coś, cokolwiek, czego nie miała siostra.

Jej zadowolona z siebie mina zrzędnęła, kiedy ciszę parku zakłócił pisk.

– Maaamo! – krzyczał Harry. – Maddy mnie bije, popchnęła mnie.

– To on zaczął – broniła się Maddy. – Zburzył czarodziejski ogród mojego łabędzia.

– Wcale nie!

– Wrzucił tam zdechłego ptaka.

– Ona kłamie!

– Słyszałaś, mammo?

Sera uśmiechnęła się do siostry.

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić – oznajmiła pogodnie, a przynajmniej taką miała nadzieję. – Nauczyłam się to ignorować. – Kolejny przenikliwy krzyk zakłócił spokój kaczej rodziny na stawie. – Poza tym nigdy się tak nie zachowują. Nie wiem, co w nich wstąpiło – powiedziała, a jej lewa brew zaczęła drgać. – Po prostu to ignorujemy.

– Właśnie to robię. – Bella uszczknęła winogrono.

– Rozmawiałaś ostatnio z mamą? – spytała Sera.

Rozluźniła kontakt ze swoją tasmańską rodziną, co pozostawiło w niej uczucie ulgi lekko podbarwionej poczuciem winy. Była zadowolona, że nie musi ostatnio wysłuchiwać jęków i narzekań matki, choć nie do końca czuła się z tym dobrze.

– Tak, dzwoniła w zeszłym tygodniu, jak byłam w Rzymie – mruknęła Bella.

„Do mnie nie zadzwoniła”, pomyślała Sera i od razu zganiała się za głupotę. Przecież tego właśnie chciała – nie słyszeć matki.

– Czego chciała? – zapytała.

– Żeby przelała pieniądze na jej internetowe konto do zakładów, bo znowu spodziewa się pewnej wygranej.

– Chyba żartujesz! – krzyknęła Sera. – Mam nadzieję, że tego nie zrobiłaś!

– A co miałam robić? Próbowałam ją sczyścić, ale zaczęła to swoje „Nigdy nas nie odwiedzasz”, więc pięćdziesiąt dolarów nie wydało mi się zbyt wygórowaną kwotą, żeby się jej pozbyć.

– Dobrze, że nie zadzwoniła do mnie. Na pewno bym się z nią pokłóciła.

– Pewnie dlatego nie zadzwoniła – powiedziała Bella.

– Tak, w dodatku nie oddzwoniłam, jak telefonowała w zeszłym miesiącu. Jak ojciec? Znalazł już pracę?

– Nie, kręgosłup znów mu wysiadł. Ale nie sądzę, żeby za bardzo się tym martwił.

Ich rozmowa została przerwana rozdzierającym krzykiem Maddy.

– No tego już za wiele! – Sera podniosła się i wrzasnęła: – Czy wy się w końcu uspokoiacie?! Wszystko powiem ojcu. – Pomaszerowała przez trawę. – Mam już dosyć takiego zachowania! A prosiłam, żebyście dzisiaj były grzeczne. – Głos uwiązał jej w gardle, kiedy doszła do rabaty, w której kotłowały się dzieci.

– Nie obchodzi mnie, kto zaczął. Jesteście już na tyle duzi, że powinniście wiedzieć, jak się zachowywać. Harry, zniszczyłeś swoje nowe dzinsy! – Spojrzała gniewnie na dwoje upačkanych dzieci i pogroziła palcem. – To ostatnie ostrzeżenie. Przysięgam,



że jak nie przestaniecie się bić, to was pozabijam gołymi rękami.

Wróciła do Belli niezadowolona ze swojego wybuchu. Maską szczęścia rodzinnego opadła i ukazała się pod nią brzydka rzeczywistość.

– To tylko dzieci. Nie powinnaś się tak przejmować – powiedziała Bella w trosce o siostrę. – A z plamami na spodniach też sobie poradzisz.

Sera skubnęła kanapkę i nadąsana wpatrywała się w dal. Obok nich przeszła para, trzymając się za ręce i chichocząc. Ona miała krótką spódniczkę. On myślał, że jest piękna.

– Boże, czasem tego nienawidzę – westchnęła Sera.

– Nienawidzisz czego? – spytała Bella.

– Wszystkiego.

– Nie mów tak, Sera, masz wspaniałe życie.

– Jeśli jest takie wspaniałe, to dlaczego tak podle się czuję?

– No dobrze. Opowiadaj – zaproponowała Bella.

– Cholerna Joan doprowadza mnie do szaleństwa – zaczęła Sera.

– Tak, widzę pewne oznaki – przyznała Bella. – To zawsze ryzyko wprowadzać się do teściowej, a zwłaszcza wtedy, gdy jest tak wpatrzona w swojego jedynaka. Co znów zrobiła?

– To głupio zabrzmiało, ale poszło o poszewki... – Sera wyrzuciła z siebie smutną, pożałowania godną historię tanich tekstyliów i próbek prześlicznych materiałów. Kiedy skończyła, opuściły ją siły. – Ty masz wszystko – latasz po świecie, chodzisz do klubów i na przyjęcia z gwiazdami, kupujesz bez cła, bez troski i bez tłuszczu. A ja, ja jestem tu uwięziona. Jestem w pułapce decyzji, który z cholernych płynów do zmywania wybrać. Odwieźć dzieci, odebrać dzieci, iść do pracy, wrócić z pracy, supermarket, warzywnik... To tak obrzydliwie nudne, że chce mi się wyć, ale muszę to robić, bo tkwię w tej pułapce – zamilkła, żeby nabrać powietrza.

Użalanie się nad sobą zaczynało ją obezwładniać. Kiedy Bella, jak to zwykle bywało, nie chwyciła jej w kojące objęcia, podniosła głowę. Siostra patrzyła na nią z gniewem.

- Jak możesz?! – zapytała.  
Sera szerzej otworzyła oczy: nie tego się spodziewała.
- Jak możesz, do cholery! Nie masz zielonego pojęcia o tym, jak wygląda moje życie. Najmniejszego.
- Jakież tam mam, nie sądzisz? – powiedziała niepewnie Sera. – Jeździsz w różne fajne miejsca i to często.
- Boże, Sera, ty masz wszystko. Masz wspaniałego męża, dom, dla którego wielu by zabiło, świetną pracę w branży, którą zawsze kochałaś, i dwoje zdrowych, cudownych dzieci. Jak możesz siedzieć tu i się mazać?
- To nie takie słodkie, jak się wydaje. – Zaczęły drgać jej usta. – Nie takie jak twoja praca.
- Sera, moja praca to cholernie ciężka praca. Spróbuj walczyć dzień i noc z rozwydrzonymi bachorami, z układaniem ich do snu, karmieniem, pomagając im uporać się z każdym atakiem złości. I mówię tu o dorosłych bachorach. Niech dotrze do ciebie, że twoja dwójka nie da się porównać z czternastoma pasażerami pierwszej klasy, z których każdy zrobi wszystko, żeby mi pokazać, gdzie jest moje miejsce.
- To może być trochę dokuczliwe.
- Przez te piętnaście lat pracy na międzynarodowych trasach zatrzymał mi się okres i ciągle źle się czuję po lotach. Jakbym nie próbowała się nawodnić, i tak cały czas jestem odwodniona. Ciągle muszę przyjmować błonnik, żeby nie rozsadziły mnie gazy jak zdechłej foki w pełnym słońcu.
- Och – powiedziała Sera. – O tym nie pomyślałam.
- Nie mam prawdziwego domu ani rodziny, bo w każdej strefie czasowej na świecie spędzam mniej więcej tyle samo czasu; najbliższe związki mam z załogą, z którą pracuję, a i ta potrafi zmieniać się z lotu na lot.
- A Curtis? Z nim przecież często się widzisz.
- Sera, Curtis zostawił mnie trzy miesiące temu.
- Bella! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – Sera była zszokowana.
- Bo za każdym razem, kiedy dzwonię, masz tyle własnych

problemów, że nie chciałam ci dodawać moich.

– Bella, kochanie. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

Sera wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia siostry.

Powinna była wiedzieć, to było takie oczywiste, ta świnią nawet do niej próbowała uderzać. Dlaczego wtedy nie powiedziała o tym Belli.

– Co się stało?

– Miał romans. Tak naprawdę miał ich wiele. A ja byłam na tyle głupia, żeby to zobaczyć.

– Jasna cholera, Bella! To musi być dla ciebie straszne. –

Sera patrzyła na siostrę z niedowierzaniem. Biedactwo, tyle czasu to w sobie dusiła. – Nie jesteś głupia, jesteś lojalna. Chciałaś po prostu wierzyć w prawdziwą miłość.

– Byłam głupia. Za wcześnie wyszłam za męża. Wpadłam z deszczu pod rynnę.

Sera trzymała dłoń siostry, a wspomnienie domu rodzinnego zaciemniało jej myśli jak chmura słoneczny dzień. Pamiętała wrzaski; chłopców kotłujących się i bijących, kłócących się rodziców, stękającą i narzekającą matkę, zawsze ze wszystkiego niezadowoloną. Pamiętała obecny wszędzie smród papierosów. To wszystko było takie przygnębiające; podarte zasłony, zepsute meble i... hałas, ciągle tyle hałasu. Hałas. Wróciła nagle do rzeczywistości. Hałas. Gdzie jest hałas? Wstała.

Bella spojrzała na nią wciąż pogrążona w swoich myślach.

– Co się stało?

– Nie ma hałasu – powiedziała Sera ze ściśniętym gardłem.

Pobiegła w stronę rabaty, gdzie ostatnio widziała dzieci.

Maddy rysowała patykiem w piachu wizerunek łabędzia. Podniosła głowę i spojrzała na matkę.

– Mamusiu, bardzo kocham mojego łabędzia. Popatrz.

Sera przerwała córce.

– Maddy, gdzie jest Harry?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– HARRY! – wrzasnęła Sera. – HAAARRY! – Podbiegła dwa kroki w przód.

Spojrzała w lewo: ulica Macquarie była niebezpieczna. Czy tam najpierw powinna pobiec? Spojrzała w tył: jeziorko. Ale przecież nie mógł przejść obok nich niezauważony. A może? Usłyszałyby przecież plusk. Na pewno? Spojrzała w prawo. Wiedziała, że pół kilometra dalej jest ogrodzony sześciometrowy spadek, ale kiedy to ogrodzenie zatrzymało jej małą małpkę? Ogarnęła ją panika.

Chantrea była wcześniej – o cały dzień. „Sally będzie zachwycona”, pomyślała, wyskakując z samochodu i biegnąc w stronę przedszkola. Nie mogła się doczekać tego wykradzonego czasu z córką.

Po wywiadówce leżała w łóżku, myśląc o tym, ile rzeczy powinna zapewnić Sally, żeby dzieciństwo córki było lepsze niż jej własne. Tak bardzo za nią tęskniła, kiedy była w pracy, i czuła, że Sally wolałaby kilka dni spędzić z mamą w domu. Tyle chciała zmienić, ale nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

Matka ciągle mówiła, że głupio zrobiła, posyłając dziecko do ekskluzywnego przedszkola zamiast zwykłego, albo że jest niemądra, odkładając pieniądze na prywatną szkołę. Ale Chantrea była nieugięta. Musiała posłać Sally do prywatnej szkoły i trzymać się modnej dzielnicy, nawet jeśli ich domek był taki marny. Chantrea była pewna, że właśnie ten adres powoduje, że Sally jest zapraszana na prestiżowe przyjęcia dla dzieci.

Chociaż inne matki z reguły były uprzejme, Chantrea często czuła się w tym towarzystwie nieswojo. Ale nie przejmowała się tym. Sally zdobywała przyjaciół, była akceptowana i nikt nie znał jej historii. Świat Chantrei był uporządkowany, jedynym wyjątkiem było przejmujące uczucie, że ona i córka tracą coś wyjątkowego i bardzo ważnego: wspólnie spędzony czas.

Zdecydowała zacząć od niewielkich zmian. Zaczęła już dzisiaj, od wolnego dnia. Zrobi córce niespodziankę, odbierając ją wcześniej. Będą mogły spędzić razem całe popołudnie. Może nawet porozmawia z kierownikiem, żeby obciął jej trochę zmian. Potrafi radzić sobie z pieniędzmi, będzie musiała tylko bardziej zacisnąć pasa.

Teraz, kiedy wprowadzała swój plan w życie, czuła się jak psotna dziewczynka. Uśmiechnęła się radośnie do dyrektorki przedszkola i pewna siebie wpadła do klasy.

Nancy spojrzała na nią zdumiona.

– Czy Sally czegoś wczoraj zapomniała? – spytała.

– Słucham? – Chantrea potrząsnęła głową. – Nie, przyszedłam, żeby ją odebrać... – zamilkła, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że córki nie ma w grupie siedzącej po turecku na dywanie. – Gdzie ona jest? – zapytała; serce jej galopowało, krew odpłynęła z twarzy, a przez głowę przechodziły setki przerażających scenariuszy.

Nancy szybko podeszła do niej, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Och, nie. Chantrea, wszystko jest w porządku, nie panikuj. Po prostu ma jeden z domowych dni. Przepraszam, myślałam, że wiesz.

– Domowych dni? – Chantrea starała się nie krzyczeć.

– Tak nazywa je twoja matka.

– Ale ona przecież pracuje. Kto opiekuje się Sally? – naciskała Chantrea.

– Przykro mi, nie wiem. Mam nadzieję, że nie zrobiłyśmy nic złego – powiedziała Nancy.

Chantrea była w domu w dziesięć minut. Jej mózg się gotował. Sally na pewno nie była chora: matka by od razu zadzwoniła. I nie mogła być w domu sama. Ale z jej walniętą matką wszystko było możliwe.

Z piskiem opon zajęchała pod szereg domków. Obcasy jej kozaków ze złością stukały o chodnik, kiedy mijała dwa pierwsze niewielkie budynki i dotarła do trzeciego z nich, nawet mniejszego od pozostałych.

Wybuchy śmiechu i dźwięki muzyki wypełniały powietrze. Część jej ciała rozluźniła się, bo wiedziała, że Sally jest przynajmniej bezpieczna. Zajrzała do środka przez szklany panel frontowych drzwi i osłupiała na widok jej matki i córki skaczących po pokoju jak para obłąkanych małpek. Ulgę szybko zastąpiła fala gniewu.

Wpadła do pokoju. Sally, szykująca się właśnie do skoku z kanapy na podłogę, zamarła na widok matki. Podobnie jak babcia stojąca na czworakach.

– Co tu się dzieje? – spytała Chantrea, kątem oka widząc piętrzące się na stole małe maski, obrazki i rysunki w podejrzanie kambodżańskim stylu. – No, co tu wyprawiacie? – powtórzyła lodowatym tonem.

– A tobie o co chodzi? – zareagowała ostro matka oburzona, że zostały nakryte. – Po prostu trochę zabawy dla dziecka. – I ruszyła do stołu posprzątać rękodzieła. – Bawimy się, prawda, Sally?

– Tak! – Sally wróciła do życia. – Fajnie się bawimy. Spójrz, namalowałyśmy boga małp – Hanumana, a teraz wykonywałyśmy małej taniec Hanumana. Zademontrowała parę złożonych kroków uzupełnionych przeciwionym układem rąk.

Chantrea zauważyła, że dziecko ma w ręku wąską rurkę.

– A to co, Sally? Czy to wydaje te okropne dźwięki, które słyszałam, wchodząc?

– Tak, mamusiu. To khmerski flet babci. Już naprawdę dobrze sobie z nim radzę.

Żeby to zilustrować, podniosła flet do ust. Z instrumentu popłynęły kruche, natrętne dźwięki.

Chantrea zakryła uszy rękami.

– Przestań, natychmiast przestań wydawać ten okropny hałas. Oddaj mi to!

– Ale, mammo! – Sally patrzyła na matkę z urazą.

– Jak możesz tak mówić do tak utalentowanego dziecka? – zbesztła ją Dara Kim. Jak na tak małą kobietkę potrafiła być przerażająca, gdy ktoś jej się sprzeciwił. – Ma wyjątkowy dar, wyjątkowy talent. – Prostując się na całe swoje sto dwadzieścia pięć centymetrów, powiedziała z dumą: – I ma go po babci.

– Tak, to na pewno ma po babci. Robienie za moimi plecami rzeczy, które są surowo zakazane w tym domu – wybuchła Chantrea. – Sally, idź do swojego pokoju.

– Mammo! – zaprotestowała córka.

– W tej chwili, Sally. Do pokoju.

– To niesprawiedliwe, nie cierpię cię – dąsała się pięciolatka, drobiąc małymi nóżkami wzdłuż korytarza.

– Nie możesz tak robić, mamó – zaczęła Chantrea. – Nie możesz robić z niej kambodżańskiej dziewczynki.

Dara Kim posiniała. Jej kostki na zaciśniętych pięściach były białe.

– A ty nie możesz wyprzeć się dwóch tysięcy lat kultury mojego kraju. Kim ty jesteś? Czerwonym Khmerem?

Chantrea miała dosyć. Walczyła, żeby uciec od kambodżańskich korzeni przez większość swojego życia, ale wszędzie coś musiało jej przypominać, że była inna i nie stąd. A teraz to: największa zdrada. Jej mała Sally zmieniała się w kogoś z tego zapomnianego przez Boga kraju tortur i cierpienia. To było więcej, niż mogła znieść.

– Dosyć tego, mamó! Nie mam zamiaru dłużej tego tolerować. Jeśli nie zaniechasz tych kambodżańskich popisów, na które nie ma miejsca w naszym nowym życiu, będę musiała się wyprowadzić. – Wyraz twarzy Dary jeszcze ją zdopingował. – Tak, odejdę. Zabiorę ze sobą Sally i przeprowadzimy się do innego miasta. Nie będziesz mogła nas znaleźć.

– Nie śmiałybyś odebrać mi Sally – szepnęła Dara.

Chantrea widziała, że starsza kobieta zdaje sobie sprawę z tego, że przegrała.

– Nie prowokuj mnie, mamó.

Podeszła do drzwi i właśnie zamierzała z hukiem je za sobą zatrzasnąć, kiedy usłyszała syk matki:

– Reżim Pol Pota zabił milion siedemset tysięcy naszych ludzi. Dziewięćdziesiąt procent artystów i muzyków zaginęło lub nie żyje. Kto przekaze naszą kulturę naszym wnukom, jak nie ja?

Chantrea cicho zamknęła drzwi i wróciła do samochodu.



Chantrea siedziała na brzegu w rezerwacie Tingara, przez łyzy wpatrując się w wody zatoki.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Jak matka może jej to robić?

Wystarczy spojrzeć na to miejsce, które jest teraz ich domem. „Dlaczego nie chce zostawić przeszłości za sobą?”, zastanawiała się Chantrea, kopiąc kępki trawy.

Parę razy głęboko nabrała powietrza, żeby stłumić szloch. Kiedy już obeschły łyzy, wyprostowała się i objęła wzrokiem otaczający ją krajobraz. To takie niezwykle miejsce. Kilka łodzi spokojnie dryfowało przez wody zatoki, inne bujały się beztrudnie na cumach; piękne piaszczyste plaże szeroko się rozciągały na tle lśniących wód portu; nad złotymi piaskami wznosiły się poszarpane klify, a ponad wszystkim górowało piękno buszu.

W jej głowie pojawiły się sceny z kambodżańskiego dzieciństwa – najpierw horror i uczucie straty – a potem trochę małych, szczęśliwszych wspomnień; lekko zatarty wizerunek ojca i wioski, w której mieszkała babka; łagodny śmiech matki i poczucie domu, rodziny i ciepła. Jej oczy znów wypełniły się łzami. Myślała o matce i wszystkim, przez co przeszła i co straciła. Matka wciąż jeszcze hołubiła radosne i znaczące wspomnienia ze swojego kraju. Chantrea tak bardzo by chciała, żeby Dara Kim pozwoliła im wejść w jasną, radosną przyszłość, która je przyzywała. Wiedziała, że matka kocha Australię i zawsze była pierwsza, aby zasugerować wycieczkę krajobrazową czy weekend w muzeum. Ale nie mogła wiedzieć – nie widziała – jak bardzo Sally może być prześladowana, jeśli podąży za ich rodzimą kulturą.

Zdecydowała się na spacer portową ścieżką widokową. Wiatr nie był na tyle mocny, żeby chłodzić jej odkryte ramiona, a słońce grzało w plecy, kojąc również myśli.

Przyciągnął ją widok kawiarni i obietnica podwójnego

espresso; rozejrzała się za wolnym miejscem.

– Stolik dla dwóch osób? – spytała kelnerka, patrząc na kogoś za jej plecami.

Zdezorientowana Chantrea odwróciła się, żeby ujrzeć stojącą tuż za nią Jacqueline gadającą przez telefon.

– Tak, kochanie – mówiła. – Odbiorę te rzeczy dla ciebie, jak tylko odwożę chłopców na piłkę nożną.

Kiedy zauważyła Chantreę, po twarzy przemknął jej lekki cień niezadowolenia zastąpiony natychmiast szerokim uśmiechem. I choć Chantrea wolałaby pobyć sama, niż pić kawę z Jacqueline, potaknęła kelnerce i wystawiła się na gorące powitania.

– Kochanie! Bardzo się cieszę, że cię widzę! – krzyknęła Jacqueline z taką ekscytacją, jakby właśnie przed chwilą odkryła nietuczający crème brûlée.

– Tak, to ci niespodzianka – odpowiedziała Chantrea, nadstawiając policzki do pocałunku.

Nie były ze sobą blisko. Miały zupełnie inne spojrzenie na rodzicielstwo i wychowanie dzieci. Chantrea była zdania, że kobieta musi mieć coś w życiu poza domem i dziećmi, Jacqueline natomiast uważała, że matka powinna być cały czas w domu i reagować na każde wezwanie. I podczas gdy Chantrea podejrzewała Jacqueline o ukryty rasizm, ta chowała w sobie jedynie nienawiść do stylu, w jakim nosiła się koleżanka, a zwłaszcza do jej sportowych torebek.

Więc były tu obie – nieprzyjazne sobie osoby uwięzione w klatce towarzyskich subtelności. Usiadły przy stoliku, zamówiły kawę i udawały, że są zachwycone tym, że na siebie wpadły. Jacqueline paplała o porannych zakupach, głupiutkich synkach, którzy ciągle czegoś zapominali, i najdroższym mężu, który był tak zajęty, że nie pamiętał o ich rocznicy ślubu; nie żeby miała mu to za złe, oczywiście.

Chantrea uśmiechnęła się blado, wrzeszcząc w myślach: „Proszę, Boże, po prostu mnie teraz zabij”.

– Co cię sprowadza w takie miejsce? – spytała Jacqueline, wkładając na twarz maskę doskonałego słuchacza. – Ciągle jesteś

taka zajęta, latasz po całym świecie. Nieczęsto można cię spotkać wałęsającą się po mieście.

– Och, po prostu mam wolny dzień, więc pomyślałam, że się przejdę. Tu jest tak ładnie.

Jacqueline, która miała wyjątkowy talent mówienia nieodpowiednich rzeczy w nieodpowiednim momencie, dodała:

– Ale dlaczego nie jesteś z córeczką? Chyba rzadko masz taką możliwość.

– Moja mama dziś się nią zajmuje. Są tak zajęte zabawą, że tylko im przeszkadzałam.

– Ale jak mogłabyś przeszkadzać? Jesteście taką małą rodziną. Powinnyście być razem jak najwięcej – upierała się Jacqueline.

– Jacqueline, to skomplikowane. Robią coś, co nie do końca mi się podoba. W porządku? – Chantrea pochyliła się i chwyciła szklankę z wodą, trochę rozlewając trzęsącą się ze złości ręką.

– Co cię tak zdenerwowało? – Jacqueline naprawdę się przejęła.

– Nic takiego, tak naprawdę to głupie. Moja matka uczy Sally kambodżańskiej kultury. A mnie się to nie podoba.

– No tak – powiedziała Jacqueline ze znajomością rzeczy. – Matki, babcie i córki to nigdy nie jest łatwe. A co robi? Pozwala jej jeść azjatyckie słodycze czy oglądać telewizję przez całą noc? Ja na początku bardzo się złościłam na swoją matkę, kiedy rozpuszczała chłopców.

– Nie, to nie to. To... tak trudno wytłumaczyć – zaczęła Chantrea.

Chcąc dokładnie wyjaśnić wszystko Jacqueline, opowiedziała o swoich obawach, że Sally może nie czuć się w pełni Australijką, że może być prześladowana z powodu swojego pochodzenia i o szoku, jaki przeżyła, gdy dowiedziała się, co matka robi za jej plecami.

Jacqueline słuchała uważnie i ze zrozumieniem.

Chantrea skończyła mówić, trochę zawstydzona, że ze wszystkich osób to właśnie przed Jacqueline tak się wyżyliła.

– Może cię to zdziwi, ale całkowicie rozumiem postawę Dary Kim – powiedziała Jacqueline.

Chantrea nie mogła powstrzymać się przed sarkazmem.

– Masz rację, jestem zdumiona. Jak ty mogłabyś to zrozumieć? Pochodzicie z zupełnie różnych światów.

– Ona jest matką i ja jestem matką. Ona się stara zrobić to, co najlepsze dla ciebie. Ona cię kocha, Chantrea.

Ta aż się zagotowała.

– Jeśli chciałyby robić to, co najlepsze dla mnie, to zrobiłaby to, o co ją proszę, i skończyła z tymi bzdurami.

– Nie, wtedy uległaby tobie – powiedziała łagodnie. – Musi czuć, że wasza spuścizna jest bardzo istotna dla rodziny. Jak każda matka chce robić to, co dla ciebie dobre, a niekoniecznie to, co chcesz, żeby robiła.

– Tak, chyba widzę w tym jakiś sens – stwierdziła wolno Chantrea; gniew powoli ją opuszczał. – Ale dlaczego nie zauważa, jak ważne dla mnie jest, żeby zostawić to wszystko za sobą?

– Buntujesz się. Jeszcze tego nie widzisz, ale kiedy jej zabraknie, będziesz żałowała, że nie prosiłaś, żeby ci opowiedziała więcej o swojej rodzinie i przeszłości twojego kraju. Masz wielkie szczęście, że pochodzisz z tak pięknego kraju, Chantrea. Byłam w Angkor Wat ze stowarzyszeniem zajmującym się ochroną sztuki. Piękno i historia tego miejsca są nadzwyczajne. A co mamy tutaj w temacie historii? Łodzie pełne kryminalistów? Kiedy Australijczyk chce pogrzebać głębiej niż o parę pokoleń, wracamy do krajów naszych przodków, czy to Polska, Niemcy, Wietnam, czy Anglia.

Chantrea była oszołomiona tym, jak wiele sensu zawierają słowa Jacqueline.

Jacqueline zaśmiała się.

– Choć muzyka kambodżańska nie jest zbyt przyjemna dla ucha; bez składu i ładu.

– Czekaj – wybuchła Chantrea. – Zanim wyjechaliśmy z Phnom Penh, moja matka była znanym muzykiem. Grała na khmerskim flecie, który ma naprawdę piękny dźwięk. Sally chyba odziedziczyła jej talent.

– Dla każdego coś miłego – powiedziała Jacqueline. – Jeśli twoja córka lubi muzykę, powinna posłuchać, jak moi chłopcy grają na skrzypcach. Powinnaś może o tym pomyśleć dla Sally – piękny dźwięk i niezwykle wszechstronny instrument. No i zawsze tyle zabawy na przyjęciach.

Nabrała głęboko powietrza, starając się nie wpadać w panikę.  
– Bella, ty biegnij na ulicę – zaordynowała. – Maddy, zostań tutaj i obserwuj jeziorko. Je idę w stronę toalet.

Sera pognęła do budynku, w którym mieściły się toalety publiczne. Wpadła do męskiej, zaskakując biznesmena, który właśnie podciągał suwak.

– Harry, jesteś tu?! – zawołała i pobiegła do damskiej, ale i tam nie było po nim śladu.

Wyszła i rozejrzała się we wszystkie strony. W oddali zobaczyła policjanta na koniu. Zawołała go i popędziła w jego kierunku.

– Mój synek – wysapała bez tchu – ma tylko trzy latka. Nie widział go pan?

– Jaki kolor włosów? – Policjant od razu przeszedł do konkretów.

– Ciemne – odpowiedziała.

To wydawało się takie nierzeczywiste.

– W co był ubrany?

– Czerwona koszulka i spodnie w biało-niebieskie paski, nie, białe džinsy... O Boże. – Trzęsa się ze strachu.

Policjant przekazał informację przez krótkofalówkę, powiedział jej, żeby została na miejscu, i oddalił się.

Pobiegła na miejsce pikniku, ale z twarzy Maddy i Belli wyczytała, że nie znalazły Harry'ego.

– Maddy, kochanie, pomyśl! – błagała córkę. – Kiedy ostatni raz widziałas Harry'ego?

– No, jak rysowaliśmy – zaczęła Maddy.

– Tak? Mów dalej – poganiała ją Sera.

– I wtedy zobaczył kaczkę i powiedział, żebym na nią spojrzała. A ja powiedziałam, że nie mogę, bo jestem za bardzo zajęta.

– I co wtedy?

– Już nic. – Maddy wzruszyła ramionami.

– Założę się, że poszedł za tą kaczką. Maddy zostań z ciocią.

Sera szybko poszła w stronę jeziora, panika rozsadzała jej głowę. Popatrzyła na stojącą wodę. Nie ma kaczek. Marzyła o tym, żeby jej zmysły namierzyły synka; żeby poczuć z nim jakąś telepatyczną więź. Nic.

Ostatnie, co mu powiedziała, to, że ma ochotę go zabić. Jej dłoń powędrowała do ust, żeby powstrzymać odruch wymiotny. A jeśli... Stała bezradnie na ścieżce i rozglądała się. Nie ma go już jakieś dwadzieścia minut. Stanowczo za długo. Bella i Maddy rozpytywały przechodniów.

Gdzie były kaczki? Spojrzała w dół zbocza. Do policjanta dołączył drugi i rozmawiali, pokazując w jej kierunku. Gdzie ten ogrodnik, który tu wcześniej był? Jeśli ktokolwiek wie, gdzie są te cholerne kaczki, to właśnie on.

Nagle zauważyła go kopiącego w rabacie z daliami.

– Kaczki! Gdzie są kaczki?! – krzyknęła, pędząc w jego stronę. Zmusiła się, żeby wziąć oddech. – Zaginął mój trzyletni synek. Ostatnio widziano go, jak szedł za kaczkami.

– Widziałem rodzinę kaczek – powiedział. Mówił wolno, najwyraźniej głosem zarezerwowanym dla niedorozwiniętych oraz spanikowanych matek. – Są tam, w pobliżu figowca – powiedział, wskazując ręką.

– Dziękuję! – krzyknęła, a nadzieja pognała ją przez ogromny trawnik w kierunku wielkiego drzewa.

Widziała kiwające się kaczki, ale ani śladu Harry'ego. Podbiegła bliżej. Legginsy podjechały jej w górę, ale się tym nie przejęła.

– Harry! – Krzyk zabrzmiał jak zduszony szloch. Spróbowała jeszcze raz: – Harry!

Przestała biec i słuchała. Kaczki przestały się ruszać i spojrzały na nią. Musi tu być. Nie wie, gdzie jeszcze może go szukać.

I wtedy zobaczyła małą stopę wystającą zza olbrzymiego

korzenia. Za nią pojawiło się ramię, a za nim twarz z szerokim uśmiechem.

– Mamo, popatrz, kaczkę.

Pod Serą ugięły się nogi. Upadła. Schowała twarz w dłonie. Kiedy spojrzała w górę, jej mały mężczyzna dreptał w jej stronę z szyszką w wyciągniętej dłoni i z niepokojem na twarzy.

– Nie płacz, mamusiu, jesteś najpiękniejszą mamusią.

Chwyciła go w objęcia, a jej ciałem wstrząsały fale płaczu.

Bella nie panikowała, czekając z Maddy w miejscu pikniku. Wiedziała, jakie są dzieci; na farmie chłopcy włóczyli się godzinami i nikt się nie denerwował. Była pewna, że Harry wkrótce się znajdzie. Jednak z upływem czasu zaczęła się trochę niepokoić. Tak naprawdę, kto chce mieć dzieci. Tyle z nimi problemów. Sera jest bardziej zgryźliwa i spięta niż kiedykolwiek wcześniej, dorośli nie mogą spokojnie dokończyć jednego zdania i teraz ta bezsensowna panika. „Dzięki Bogu, że nigdy nie miałam dzieci”, pomyślała zadowolona z siebie.

Sera pojawiła się z Harrym w ramionach i ulgą wypisaną na twarzy. Bella niespodziewanie poczuła łzy w oczach. To obraz macierzyństwa, jakiego nie знаła. Wszystkie te lata, które spędziła, goniąc, wrzeszcząc, karmiąc, czyszcząc swoje rodzeństwo, nie miały nic wspólnego z macierzyństwem. To była po prostu praca, praca, za którą nikt nie dziękował, nie nagradzał, nie przytulał. Teraz zrozumiała, że mogło być inaczej, i poczuła szok.

Maddy zaczęła płakać.

– O co chodzi, kochanie? – spytała Bella. – Zobacz, z Harrym wszystko w porządku.

– Nie, popatrz – załkała dziewczynka.

Na jej dłoni leżał cenny kryształowy łąbędź Swarovskiego ze złamaną szyjką.



Sam szukał mężczyzny; jakiegokolwiek faceta. Odkąd owdowiał, odbieranie córki ze szkoły stało się przerażającym skokiem w dżunglę kobiecego pożądanego i uwagi.

Jeśli tylko spotkałby na boisku jednego ojca, jakoś by to było; ale w pojedynkę stanowił łatwą zdobycz dla wielu samotnych matek.

Idąc w stronę szkoły, patrzył na tłum rodziców: ani jednego chromosomu Y w zasięgu wzroku. Westchnął, jego myśli powędrowały do wieczornej randki z modelką bikini. Co do cholery mu się wydawało? Nie był przecież typem faceta, który umawia się z modelkami. A nawet, jeśli się głębiej zastanowić, nie był tym typem faceta, który umawia się z kimkolwiek.

O czym ma z nią rozmawiać? Czy taki rodzaj kobiet potrzebował komplementów, a może to tanie? Wciąż nie zdecydował, gdzie ją zabrać; nie chciał przekombinować. Ale zdawał sobie sprawę, że jeśli nie będzie miał planu, może wyglądać tak, jakby mu było wszystko jedno. Co lubiły robić? Co lubiły jeść? Czego chcą kobiety? Zaśmiał się do siebie. Jeśli by znał odpowiedź na to pytanie, to byłby milionerem.

Kiedy wszedł w bramę szkoły, wszystkie myśli o zbliżającej się randce wyfrunęły mu z głowy. W tym miejscu musi utrzymywać przytomność umysłu. W zeszłym tygodniu został obdarzony trzema wymownymi uśmiechami i jednym numerem telefonu, zanim jeszcze dotarł do drzwi.

Nazywał je poszukiwaczkami. Rozwiedzione kobiety rozpaczliwie szukające partnera; kogoś, kto ulży im w trudach wychowawczych; kto pomoże z kredytem i zaspokoi to, co Samowi wydawało się niezaspokajalnymi potrzebami – jeśli sposób, w jaki zwykle się o niego ocierały na boisku, mógł być wyznacznikiem. Nie pamiętał, żeby kobiety były tak napastliwe te parę ładnych lat temu, kiedy jeszcze był kawalerem – i naprawdę

go to przerażało.

Jedna była szczególnie zdeterminowana – Muriel, która nastawała na niego od dnia, w którym pochował żonę. Czaiła się (i ubierała) jak lampart, miała osobowość (i śmiech) pustułki i subtelność grzebiącego w śmieciach szopa. I wprawiała go w straszne zdenerwowanie. W czasie pierwszej rozmowy na boisku przeskoczyła od pytania o wiek dzieci do tego, dlaczego nie nosi obrączki ze zdumiewającym brakiem łączników.

Utorował sobie drogę przez gąszcz gigantycznych torebek przyczepionych do niewielkich, opalonych postaci, żeby nie stać w tłoku, ale mieć też widok na drzwi szkoły. Jeszcze nie zobaczył Muriel, więc wyrwało mu się głębokie westchnienie ulgi.

– Cześć, przystojniaku. – Zakrzywione pazury oplotły jego biceps.

Boże, jako gazela dużo by nie osiągnął.

– Muriel! – wykrzyknął i cofnął się o krok od jej dekoltu przed upadkiem w przepaść.

– Jak leci, Sammy, kochanie, biedactwo moje? – mruzczała, wywołując reakcję, która, jak miała nadzieję, jest sympatycznym wyduchem warg, a nie kwaśną miną.

– Wszystko w porządku, u nas naprawdę świetnie, w porządku, żadnych problemów. – Sam wiedział, że się jąka, ale był owładnięty żądzą ucieczki.

Rozejrzał się nerwowo, ale jedyne, co widział, to inne stojące w pobliżu matki mierzące go wzrokiem, jakby nie mogły się zdecydować, jakie warzywa będą najbardziej pasowały do potrawy z Sama.

– To takie trudne, prawda? – westchnęła z dramatyzmem. – Konkurencja jest naprawdę twarda. Ja to wiem, wierz mi.

„Założę się, że wiesz”, pomyślał Sam. Zobaczył innego ojca, Dave’a, wchodzącego w bramę. Wykorzystał całą siłę woli, żeby dosięgnąć go myślami i ściągnąć do siebie. Ale jako profesjonalny sportowiec Dave nie miał zbyt dużo w departamencie umysłu, a i to, co miał, wykorzystywał pewnie do chodzenia. Zwykle ciągle komentarze Dave’a na temat sportu męczyły go, ale teraz z

radością przetrwałby opowieść o całym meczu, bramka po bramce, jeśli by tylko Dave podszedł i go uratował.

– Myślę, że byłoby wspaniale mieć kogoś, z kim można się przyjaźnić. – Muriel spojrzała na niego, zamrugła sztucznymi rzęsami i posłała uśmiech. – Wiesz, o co mi chodzi. Taka przyjaźń bez zobowiązań.

– Tak, wygląda na dobry plan – wymamrotał, nie słuchając, co mówi, bo strzelał oczami do Dave'a, który w końcu to zarejestrował, uniósł w powietrze wielkie ramię i zaczął przepychać się przez torebki.

– Naprawdę? – Pisnęła Muriel, wzbudzając u Sama poczucie zagrożenia.

Co powiedział?

– No wiesz, tak, mam na myśli, że dla ciebie, na twoje potrzeby to dobry plan. To znaczy dla ciebie... DAVE, CHŁOPIE! Jak ja się cieszę, że cię widzę. – Wyciągnął rękę na powitanie i było to warte każdej zgniecionej kostki.

– Sam, chłopaku! – Dave walnął go w mięsień naramienny tak mocno, że cieszył się, że daleko nie odleciał. – Jak tam ta główniana drużyna All Blacks, koleś? Nieźle im przyłożyliśmy, co?

– Tak, Dave, to naprawdę było coś.

Muriel pograżyła się z powrotem w damskiej dżungli, wydając niezadowolone pomruki.

W końcu rozbrzmiał dzwonek i Isabelle wpadła w objęcia ojca.

– Chodź, cukiereczku – powiedział. – Uciekamy stąd i odbierzemy siostrę.

Luksusowe mieszkanie Belli mogło się poszczycić rozległym widokiem portu, co rekompensowało położenie na czwartym piętrze wysokościowca z lat osiemdziesiątych.

Przed balkonem rozpościerała się panorama najpiękniejszych miejsc Sydney.

Podstawowym kryterium przy zakupie jej pierwszego mieszkania był wspaniały widok. Wytrwałość się opłacała. Wkrótce zastąpiła zaspokajanie potrzeb w butikach Versace projektowaniem wnętrza nowego nabytku. I ona, i Sera ubóstwiały kiedyś pełne złocień i kolorów dzieła tego projektanta, które były dla nich antytezą wszystkiego, co wiązało się z ponurym dzieciństwem. Szybko jednak z tego wyrosły i odkryły inną modę.

Ich ulubionymi markami przed trzydziestką stały się Ralph Lauren, DKNY czy Lisa Ho. Trzydziestoparoletnia Sera wciąż lubiła trochę pstrokacizny, ale zbliżająca się do czterdziestki Bella stonowała swój wygląd, wybierając wyrafinowane stroje Armani.

Jednak w jej domu było inaczej. Otworzyła drzwi wejściowe, uśmiechnęła się i przeprowadziła inspekcję trzypokojowego mieszkania, które było jej pomnikiem Versace.

Powierzchnia ścian w salonie była przetarta granatem, z wytłoczonymi złocnymi lilijkami. Jego środek zajmowała kanapa w kolorze królewskiego błękitu usiana poduszkami przyozdobionymi złotymi głowami Meduzy. Idąc do sypialni, stąpało się po delikatnych perskich dywanach. Duże łóżko obejmowały narzuty ze sztucznych norek w kolorze czerwonego wina i rózu, brokatowy baldachim i welwetowy zagłówek.

Bella zrzuciła szpilki i po starannym wyczyszczeniu schowała je do pierwszej z dziesięciu szaf; sekcji butów na wysokim obcasie.

Wyjęła spinki do włosów, wkładając jedną po drugiej do

specjalnego pojemniczka. Schyliła głowę i potargała zwykle pieczołowicie ułożoną fryzurę. Szybko związała włosy w zwykły koński ogon i czterokrotnie sprawdziła, czy nic nie odstaje. Później ułożyła ubrania w przeznaczonych dla nich miejscach w szafie, wciągnęła dresowe spodnie i ulubioną flanelową koszulę.

Nagle poczuła przytłaczający ją przymus sprawdzenia, czy drzwi wejściowe są zamknięte.

Oczywiście sprawdziła je już po wejściu do domu (dwukrotnie), więc logika podpowiadała, że są zamknięte. Wzięła głęboki oddech, policzyła do dziesięciu i uczucie przymusu minęło. Pogratulowała sobie siły woli.

Otworzyła MacBooka Air i podczas gdy ściągały się e-maile, wpatrywała się w światła miasta.

Zwykle zadzwoniłaby już do Sery, może umówiłaby się z nią na poranną kawę. Ale nie miała ochoty. Bardzo przeżywała to, że straciła kontrolę nad sobą w ogrodzie botanicznym; takie kłapanie nie było w jej stylu.

To w końcu nie wina Sery, że Bellę zmęczyło ciągłe wysłuchiwanie wszystkich. Sera po prostu robiła to, co zawsze; zrzucała problemy na siostrę i oczekiwała, że zostaną jakoś rozwiązane. Ale Bella miała dość. Była zmęczona. Rozpad małżeństwa był dla niej bolesnym doświadczeniem i poważnie zachwiał jej poczuciem własnej wartości. Przygniatała ją ta świadomość straty – nie tylko Curtisa – ale idei szczęśliwego pożycia, na którym tak bardzo jej zależało. Tak bardzo, że przez lata zaprzeczała prawdzie.

Miała kiedyś prawdziwych przyjaciół. Curtis zawsze zniechęcał ją do przyjmowania gości, więc odizolowała się i przez ostatnich parę lat skoncentrowała tylko na nim. Teraz była sama.

Ciężko pracowała od czasu rozpadu małżeństwa, głównie po to, żeby odwrócić od tego uwagę i uniknąć siedzenia samotnie w cichym mieszkaniu. Wyczerpywała ją sama myśl o tym, żeby podjąć wysiłek odnowienia kontaktów z dawnymi przyjaciółmi. Wiedziała, że trudno jej będzie sprostać upokarzającym wyjaśnieniom.

Wróciła do laptopa i sprawdziła pocztę. Zobaczyła wiadomość od Sery.

*Kochana Bello, jestem głupią, samolubną krową. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Zawsze mogłam na ciebie liczyć, a nawet nie zauważyłam twojego cierpienia. Proszę zadzwoń, jak będziesz w Sydney. Bardzo chciałabym się z tobą spotkać, bez dzieci. Twoja Sera.*

Bella uśmiechnęła się i podniosła słuchawkę telefonu.

– Dwieście cztery, dwieście pięć...

– Kochanie, co u ciebie? – Sera wylewnie przywitała się z siostrą, wchodząc do baru.

Bella cieszyła się, że ją widzi, ale nie zdążyła zliczyć wszystkich białych kafelków na podłodze, zanim weszła.

Otrząsnęła się i zsunęła z barowego stołka, żeby ją uściskać.

– Ślicznie wyglądasz – ucieszyła się Sera, chcąc załagodzić niedawne nieporozumienia.

– Ty też – powiedziała Bella mniej przekonująco, patrząc na pomarańczową twarz Sery i jej oczy umalowane na dziwny szary kolor.

– Ostatnie spotkanie nie bardzo się udało. Przepraszam – zaczęła Sera, kiedy już zajęły stołki przy barze i zamówiły gin z tonikiem.

– Nie bądź głupia. To ja powinnam przeprosić. Powinnam wiedzieć, kiedy się zamknąć – powiedziała Bella.

– Przestańmy się już nad tym rozwodzić. W tej chwili najważniejsza jesteś ty. Co się stało z Curtisem?

Bella czuła się tak, jakby miała w ustach kłęby waty. Nie mogła tego z siebie wykrztusić, nie mogła się przyznać, że poniosła porażkę. Spojrzała na swój biały T-shirt, był nieskalany, sprawdziła paznokcie, zegarek, buty.

Sera chwyciła jej dłonie, żeby powstrzymać ich kompulsywne ruchy.

– Przestań, kochanie. Jesteś taka nerwowa. To przecież ja, mnie możesz zaufać, ja nie będę cię oceniać. Chcę cię tylko wysłuchać.

Te kojące słowa podziałały. Bella opowiedziała jej o wszystkim; o zdradach, fałszu, ciągłym krytycyzmie, który cechował jej małżeństwo. Że nieważne, jak bardzo się starała, nie udawało jej się zyskać uznania męża; nigdy nie była dla niego wystarczająco dobra.

Sera pokręciła głową; była wstrząśnięta i smutna. Jej biedna siostra.

Bella wierzyła jego krytyce; przeżywała jego odrzucenie i jeszcze ciężiej walczyła o to, żeby stać się lepsza – we wszystkim, żeby znów ją pokochał.

– Naprawdę myślałam, że jeśli nie będę takim nieudacznikiem, jeżeli będę lepsza, szczęśliwsza, ładniejsza, to znowu mnie zechce. Teraz widzę, że zrzucił na mnie swoje uchybienia, że potrzebował mnie jako przyczyny swojego niezadowolenia, ponieważ to znaczyło, że nie musi brać żadnej odpowiedzialności za własne problemy. Zabrało to trochę czasu i pieniędzy na terapię, Sera, ale krok po kroku zaczynam wychodzić z cienia tego związku. I wiesz co? – przerwała i rzuciła siostrze stanowcze spojrzenie. – Już nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby ktokolwiek tak mnie potraktował. Nigdy się nie uzależnię od nikogo na tyle, żeby uwłaczało to mojemu poczuciu godności. – Łzy spływały jej po policzkach; szybko je otarła.

Serę bolało serce, kiedy widziała, jak jej siostra cierpi.

– Tak mi przykro, Bella, że nie było mnie przy tobie w tych trudnych chwilach – szepnęła.

– To ja się o siebie nie zatroszczyłam – westchnęła Bella. – Byłam z nim przez dwadzieścia lat. I po co? Spójrz teraz na mnie – samotna, bez dzieci, bez przyjaciół i z pracą, której muszę się trzymać, chociaż psuje mi kręgosłup. A on się żeni. – Łzy przeszły w szloch.

Sera opłotła siostrę ramionami.

– Ale nie czujesz już nic do niego? – spytała z niepokojem.

– Nie wiem, na początku myślałam, że tak, ale pracowałam nad tym na terapii. Chyba raczej nie mogę uporać się z poczuciem zmarnowania tych wszystkich lat.

– Dzięki Bogu i za to – powiedziała Sera z ulgą. – W pewnym sensie to nawet dobrze, że się żeni, to jakby symboliczne zamknięcie. Możesz zacząć od nowa.

Kelner dostarczył im nowe drinki i siostry rozmawiały do późnej nocy.

Kiedy Bella wróciła do domu, była wyczerpana, ale zadowolona. Ten wieczór był oczyszczający; Sera dała jej ogromne wsparcie.

Tego właśnie potrzebowała.



Jenny, sąsiadka Sama, od czasu do czasu opiekowała się dziewczynkami. Kiedy był już gotowy do wyjścia na spotkanie o ósmej, wszystkie trzy oddawały się lekturze Małej Syrenki. Miał nikłą nadzieję, że będą błagały go, żeby został w domu. Brak powodu do odwołania randki trochę go rozczarował.

Wsiadł do saaba i jechał słabo oświetlonymi ulicami do głównej alei Paddington.

Nie mógł uwierzyć, że tak się denerwuje. Co niespecjalnie przystojny, trzydziestosiedmioletni ojciec dwójki dzieci mógł wykroić z randki z modelką bikini? Myśli, że kim jest, Hugh Hefnerem?

Dotarł do baru Darlo trochę wcześniej, żeby spokojnie, o ile to możliwe w piątkowy wieczór, napić się piwa. Żeby rozluźnić napięcie.

Pomijając hałas, bar Daro był niezwykle kojącym miejscem. Oko architekta cieszyła kiczowata mieszanka stylu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Zupełnie jak w jakimś domu – nieskomplikowanie i swojsko. Goście byli zróżnicowaną zbieraniną. Modne typki w obcisłych dżinsach grający w bilard, śródmiejscy kolesie z metalicznymi dodatkami, dwóch ubranych w Armaniego biznesmenów z poluzowanymi krawatami próbujących szczęścia u długonogich blondynek; gotycka kelnerka plotkująca z grupą stałych bywalców, pijących tu pewnie od paru dziesięcioleci.

Phoebe powoli weszła do środka. Kobiety w barze podniosły głowy: atrakcyjne z zazdrością, te brzydsze z trwogą. Jeden z chłopaków przy bilardzie dał koledze kuksańca i wskazał kierunek ruchem podbródka. Kolega od razu zaczął się ślinić.

Obsługa baru zwyczajnie się gapiła. Dwóch transwestytów, delikatnie opierających się o barowe stołki, rzuciło na nią okiem.

– Ale gorąca laska. Taką bym przeleciał – powiedział jeden głębokim głosem.

– Ty suko! – pisnął drugi, klepiąc przyjaciela po nabrzmiałym bicepsie.

Sam nie wiedział, jak zebrać siły, żeby wstać i powitać tę boginię. Dziękował za każdy jeden ze swoich stu dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów, patrząc na jej sylwetkę, jeszcze podwyższoną przez kozaki na niebotycznych szpilach. Maleńka brązowo-zielona sukienka delikatnie opływała opaloną skórę.

– Phoebe, cieszę się, że cię widzę – powiedział Sam, uśmiechając się nerwowo i cmokając ją w policzek.

– O kurde – zapiszczała. – Dopiero teraz do mnie dotarło, jaki jesteś podobny do Micka Jaggera!

– Naprawdę?

– O tak, bardzo. Ale nie teraz, jak jest stary. Nie że ty jesteś stary czy coś. Ale wiesz, kiedy był młody. No wiesz, tak w twoim wieku.

Czar prysnął. Goście wrócili do swoich spraw. Transwestyci sprzeczali się nad drinkami, gracze w bilard wrzucali kule, inni kontynuowali rozmowy, a Sam mówił do kogoś, kto wydawał się ładną dziewczyną.

– Napijesz się czegoś, Phoebe?

– O kurde, a co? Wielbłąd jestem?

– Noo nie... Chyba nie jesteś wielbłądem... To co byś chciała?

– Co za uwodziciel! – zarżała ze śmiechu. – Dla mnie piwko, mój drogi.

Sam poszedł do baru.

Czy powiedziała do niego – mój drogi? Nienawidził tego, podobnie jak każdej formy spoufalania z ludźmi, których dobrze nie znał. Grace też tego nienawidziła. Uśmiechnął się na jej wspomnienie. Jezu, jaką był patetyczną fajtłapą. Jest na pierwszej randce z piękną kobietą i wspomina zmarłą żonę. Tragiczne. Ale tak bardzo mu jej brakowało. Oddałby wszystko, żeby teraz wrócić do domu i jeszcze raz wziąć ją w ramiona.

Kupił drinki i wrócił do stolika.

– No więc powiedziałam do fotografa: Nie ma, kurwa, takiej możliwości, żebym wszystko zgoliła, trochę trzeba zostawić. No bo po co mi brazylijskie bikini, jak nie jestem w Brazylii? No po co, pytam? NIGDY nie zamierzam już z nim pracować!

Sam poczuł się lekko wstrząśnięty. Czy ona mówiła do niego przez cały czas, kiedy go nie było? Czy tylko tak trenuje?

– Naprawdę? – zapytał na tyle uprzejmie, na ile było go stać.

– No mówię ci!

Wyprostowała plecy i czekała. Najwyraźniej teraz jego kolej.

– Jak to jest być modelką?

Chciał uderzyć się własną pięścią. Co za idiotyczne pytanie, straszny z niego głąb.

– O kurde? – kwiknęła, jakby właśnie zapytał ją o sens życia.

– To takie cudowne. Szczerze, cieszę się, że spytałeś. – I pojechała...

W pewnej chwili myślał, że przestała. Ale to tylko, żeby wziąć oddech. Zaczęła znowu.

W końcu zastopowała, bo chciała więcej piwa. Kiedy wrócił, powiedziała:

– Mogę tak opowiadać i opowiadać. Ale teraz ty powiedz coś o sobie. Masz dzieci czy jak?

Sam uśmiechnął się z dumą, gdy poruszyła jego ulubiony temat.

– Tak. Mam dwie córki, mają na imię...

Przerwała mu.

– Kocham dzieci. Wiesz, trudno w to może uwierzyć, ale kiedyś sama byłam dzieckiem.

– No... tak. Wszyscy byliśmy.

– O kurde – zaparło jej dech. – To takie, takie głębokie, jakbyś był filozofem czy coś. Wiesz, jestem taka stara, prawda? Wyglądam staro? Na ile lat wyglądam?

– Och, nie chciałbym zgadywać – wymamrotał Sam.

– No, kurde. – Pochyliła się i klepnęła go żartobliwie. – Jak myślisz, ile mam lat? Nie wkurzę się, obiecuję.

– Nie wiem... Dwadzieścia siedem?

– Co?! Jak możesz tak do mnie mówić, łajdaku? –  
Skrzyżowała ramiona i oparła się o kanapę.

– No to powiedz, ile masz lat.

– Dwadzieścia siedem, ale nie o to chodzi.

– No... dobrze – powiedział powoli i przeprosił ją, bo chciał pójść do ubikacji.

Zamówili pizzę i dopili piwo. Na szczęście ktoś puścił głośniejszą muzykę, więc Sam nie musiał już słuchać. Często potakiwał i starał się wyglądać w miarę przytomnie.

Nadszedł czas, żeby zawołać jej taksówkę. Od jakiegoś czasu mieszała piwo z wódką, więc nie szła zbyt pewnie na wysokich obcasach.

– Oczywiście, taksówka prosto do domu – bełkotała. – Jesteś taki super. Wpadniesz do mnie?

– Nie, powinienem wrócić do dziewczynek.

– No tak, stary facet z dziećmiakami – wymamrotała, waląc się na siedzenie taksówki. – Jesteś cudowny. Zadzwoń – zawołała, kiedy samochód odjeżdżał.

– Dobranoc! – krzyknął Sam.

– Jesteś cudowny – dobiegł go głęboki głos.

Odwrócił się i zobaczył jednego z transwestytów, który opierał się o ścianę, pałac papierosa, i mrugał do niego okiem z długimi rzęsami.

Stał oparty o wejściowe drzwi do domu. To było potwornie wyczerpujące. Co z nim było nie tak? Piękna kobieta praktycznie rzuca się na niego, a on nic. Od śmierci Grace minęły już dwa lata, ale może wciąż nie był gotowy. Może Grace była jego jedyną miłością i nie powinien tego powielać. Może samotność jest mu przeznaczona.

Wszedł do kuchni, żeby napić się soku, i zobaczył swoje odbicie w oknie. Nie zmienił się za bardzo, odkąd miał dwadzieścia parę lat. Wciąż był umięśniony, wciąż miał gęste czarne włosy – może fryzura nie za bardzo modna. Ale ciągle był tym samym facetem. Wrócił myślami do kawalerskich czasów, przed Grace. Kobiety zwracały na niego uwagę, a chodzenie na

randki było trochę łatwiejsze.

Zapiszczała komórka. Nowa wiadomość. Od Phoebe.

*I <3d 2nite*

*4u A3*

*ur@gtbt*

*TMB*

*P*

Co to, do diabła, znaczy?

Domyślił się, że w 2nite chodziło o ten wieczór, ale reszta równie dobrze mogłaby być w suahili. Starannie wklepał w komórkę:

*Dziękuję za miły wieczór. Sam*

Odpowiedź przyszła po mniej więcej nanosekundzie.

*AYSOS*

Zdecydował, że musi poprosić Mallory, żeby mu to odcyfrowała, i z westchnieniem wyłączył telefon.

Leżał w łóżku, wpatrując się w sufit. Pamiętał, o co chodziło w znajdowaniu partnerki. Musiała być chemia. Mógł przeżyć miesiące celibatu, ale kiedy trafił na kobietę, której usta go rozpały, której sposób poruszania się powodował, że ugiwały się pod nim kolana, której głos sprawiał, że wstrzymywał oddech, wtedy wiedział, że będzie to niezwykle związek. Takie rzeczy nie zdarzały się często, ale kiedy już się zdarzyły, to jakby tornado szalało mu w brzuchu. Tak było z Grace. Na pewno nie było tak z Phoebe.

Kiedy obudził się następnego ranka z piaskiem w oczach i trampkiem w buzi, wspomnienia poprzedniej nocy rozsadzały mu głowę. Boże, ta cholerna baba! Wracając powoli do świadomości, poczuł, że o skroń opiera mu się drobna stópka. Próbował rozprostować nogi, ale przygniatał je jakiś ciężar. Spojrzał w dół i zobaczył śpiące na kołdrze dwie dziewczynki.

Nie było sensu teraz ich przekładać, bo i tak niedługo trzeba wstać. Chwycił swoją ulubioną spłowiałą bluzę z kapturem i cichutko zamykając drzwi, poszedł do kuchni. Napędzając czajnik, zauważył dziurę w szwie mankietu. Cholera, tak lubi tę bluzę.

Pociągnął za nitkę, zastanawiając się, jak to naprawić.

Kupili ją z Grace, kiedy pojechali na wyprawę kempingową niedługo po tym, jak się poznali. Wyraźnie pamiętał bezchmurne błękitne niebo i podniecenie Grace pierwszym wyjazdem pod namiot. Żartował, że będzie jak księżniczka na ziarnku grochu, ale tak bardzo chciał na niej zrobić wrażenie, że wydał mnóstwo pieniędzy, kupując każdy kempingowy gadżet, jaki udało mu się znaleźć.

Zabrał wszystko oprócz własnego plecaka i pierwszego wieczoru w szortach i T-shircie trząśł się jak listek. Grace ogrzała go w nocy, a kiedy leżał w jej ramionach, słuchając rechotu żab, dziękował gwiazdom na niebie, że zesłały mu tak niezwykłą kobietę.

Następnego ranka, mimo że idiotycznie wyglądał w przymałej różowej bluzie od dresu Grace, zabrał ją do miasteczka, gdzie uśmiechali się ze skromnej oferty jedyne sklepiku. Wybrał bluzę z kapturem, która dumnie nosiła nadruk z nazwą miasteczka.

Woda się zagotowała. Spojrzał w dół i przeczytał nazwę. Pitt Town. Tak bardzo chciał tam wrócić.

Joan wiedziała, że u sąsiadów nikogo nie ma, ale żeby się upewnić, zastukała w drzwi od podwórza.

Potem weszła, otwierając sobie kluczem, który Jacqueline na wszelki wypadek zostawiła Serze. Patrzyła na nieskazitelną kuchnię wyglądającą tak, jakby przygotowano ją do zdjęć do któregoś z magazynów wnętrzarskich.

Zajrzała do przypominającego muzeum salonu i cmoknęła z dezaprobatą. Chyba jednak woli nieporządek Sery niż ten zimny, idealnie dopracowany dom. Każde dzieło sztuki starannie wyeksponowane, a żeliwne narzędzia do kominka tak dokładnie wyczyszczone, że jeśli wytarłaby je o jedwabną brzoskwiniową kanapę, na pewno nie zostawiłyby żadnej plamki. Na antycznym stoliku do kawy widać było precyzyjnie ułożony wachlarz czasopism. Wzrok Joan zatrzymał się na szufladzie zabytkowego damskiego biureczka z wypolerowanym uchwytem wyłożonym masą perłową.

„Na litość boską”, myślała Jacqueline, jadąc mercedesem w stronę domu. Co ma przygotować dla dwudziestu spoconych piłkarzy na jutrzejszy wieczór? Daniel nie powinien z dnia na dzień zapraszać całej drużyny.

„Ale przecież – pomyślała z rozjaśnioną nagle twarzą – może zrobić przyjęcie w stylu hawajskim, a Thomas upiecze coś na grillu. To mogłoby rozchmurzyć ten ponury zimowy tydzień”. Zrobiłaby szwedzki stół z przekąskami na bazie ananasa. Wjeżdżając do garażu, zastanawiała się, czy chłopcy będą chcieli założyć hawajskie naszyjniki z kwiatów.

Joan przeszła z powrotem do kuchni, studiując drewniane szuflady z kryształowymi uchwytami. Wysunęła jedną.

Niemal się z niej wylewało. „Biedna kobieta”, westchnęła Joan. Przeglądała zawartość – nowoczesne haczyki na ścierki, łyżeczki do parfait i mnóstwo innych rzeczy, aż znalazła to, czego

szukała.

Słyszac wjeżdżający do garażu samochód, wsunęła do kieszeni swetra swoją łyżeczkę do herbaty z wizerunkiem księcia Karola i księżnej Diany i wymknęła się przez tylne drzwi.

Jacqueline wyciągnęła siatki z bagażnika. Kiedy wsuwała klucz w zamek wejściowych drzwi, przez jej ciało przebiegł ostatni dreszcz emocji związanych z wyprawą do sklepów. Rzuciła torby na kuchenny stół i z przyjemnością rozejrzała się po błyszczącej kuchni. Zauważyła, że jej szuflada, jej specjalna szuflada jest otwarta. Poczula ucisk w żołądku.



Pomimo zimowych deszczów rozpoczęli remont. Koparka przypuściła atak na kolejną ścianę, co bardzo ucieszyło Harry'ego.

– Mamo, nie widziałaś tego!

Podskakiwał na krześle w kuchni, obserwując postępujące zniszczenia.

Sera wpadła do kuchni z plecakami wiszącymi w zgięciu łokcia, w jednej dłoni trzymając szczotkę do włosów, w drugiej wiadomość dla przedszkola.

Uśmiechnęła się do synka.

– Fascynujące, prawda?

– Tak, mamo, patrz, rozwalają to!

Harry z radością obserwował posunięcia maszyny od czasu, gdy z hałasem wjechała o ósmej rano na podwórze.

Sera nie mogła uwierzyć, że wreszcie wygrała ciężką bitwę o remont kuchni.

Uśmierzyła niepokój Tony'ego o kredyt i poradziła sobie z niespodziewanym i gwałtownym oporem Joan, żeby rozebrać brzydkie patio.

Teściowa poddała się tylko dlatego, że nie potrafiła odmówić Tony'emu. Serze zdawało się rano, że słyszała, jak płacze w swoim pokoju, i martwiła się, czy to nie pierwsze oznaki Alzheimera.

Ale w końcu jej projekt był w trakcie realizacji. Tony poinstruował kierowcę koparki, zanim wyszedł do pracy, a Sera zamierzała spędzić część dnia, szukając kafelków i blatów.

Pod koniec tygodnia mają wejść budowlańcy. Przedtem trzeba wyburzyć całą tylną ścianę i wypatroszyć kuchnię. Całość ma zająć około sześciu miesięcy.

Sera wiedziała, że Tony denerwuje się kosztami, ale była przekonana, że dadzą sobie radę. W związku z jego pracą kupią materiały po cenach hurtowych, a żeby zaoszczędzić na robociźnie, sami będą pracować w wolne dni. Podobał jej się ten

pomysł; już widziała siebie w kombinezonie roboczym, z włosami związanymi chustką i czarującą smugą gipsu na nosie.

Nie potrzebowała wielkiego i drogiego domu, a jedynie trochę więcej przestrzeni.

Oczywiście będą też potrzebne nowe meble – nie mogli oglądać telewizji, siedząc na podłodze. No i nowy telewizor, najlepiej plazma. Dzieci byłyby zachwycone.

Próbowała to powiedzieć mężowi: że będzie oszczędna i mogą się ograniczyć do laminatu. Wytłumaczył jej cierpliwie, że w związku z położeniem nieruchomości nie może być niedoinwestowana. To przecież Paddington. Przyszli kupujący będą oczekiwali pewnych standardów. Nie mogli zrobić dobudówki z prefabrykatów. Musiała wtapiać się w dom, mieć odpowiednio wysoki sufit, na zewnątrz nie może być widać, że została dobudowana, a okna muszą być najwyższej jakości.

Serę frustrowało takie rozumowanie. Ona próbowała oszczędzić pieniądze, a on upierał się, żeby je wydawać. W końcu uzgodnili budżet i zamierzała twardo się go trzymać, żeby obydwójce dostali to, czego chcieli.

Zerknęła na zegar mikrofalówki. „O rany, trzeba iść po samochód”. Po drodze zajrzała do Joan. Znalazła ją siedzącą na łóżku i patrzącą smutnym wzrokiem przez okno. „Co za zadowolona baba”, pomyślała. A to taki ekscytujący dzień. Joan powinna się cieszyć, że polepszają standard domu.

– Wszystko w porządku, Joan? – spytała.

Teściowa skierowała na nią czerwone, spuchnięte oczy.

– A czy to cię w ogóle obchodzi?

– Oczywiście, że obchodzi. Co się dzieje?

Joan westchnęła.

– To jest mój dom rodzinny – dom, do którego weszłam jako młoda żona – i nie mogę znieść myśli, że jest niszczone.

– Joan – powiedziała Sera. – Przykro mi, że tak się tym przejmujesz. Ale robimy to, żeby było lepiej. Mieszka nas tu pięć osób i dobrze, żeby nam było wygodnie.

– Tu jest tyle historii, Sera, tyle rzeczy, o których nic nie

wiesz.

– Jakiej historii? Może mi opowiesz? – spytała delikatnie Sera.

Joan patrzyła na nią długo i z powagą, jakby oceniając, czy można jej zaufać.

– Nie rozumiesz i nigdy nie zrozumiesz – zdecydowała i odwróciła się do okna.

Sera poddała się, z ulgą zamykając za drzwiami Joan wraz z jej historią.

Przestronna przymierzalnia była wyposażona niemal tak dobrze, jak garderoba Oprah Winfrey. Ściana luster odbijała wyłożone jedwabiem fotele, a stolik do kawy z drzewa cedrowego oferował mrożoną zieloną herbatę i suszone figi.

Wieczorowa suknia, którą przymierzała Bella, okazała się nieco problematyczna. Nie miała pojęcia, jak udało jej się skończyć w chmurze powiewnego szyfonu, kiedy wpadła tu tylko po prostą sukienkę. To siła przekonywania pracownic sklepów na Rodeo Drive. Te kobiety to wypedikiurowane, mordercze pszczoły atakujące z furią każdego potencjalnego klienta, jaki tylko postawi w sklepie nogę. Potrafiły wyniuchać jego możliwości finansowe, rzucając tylko okiem na torebkę, okulary przeciwsłoneczne i buty. A każdy, kto wchodził z czymś z najnowszej kolekcji Valentino, co ona nieopatrznie zrobiła, był natychmiast prezentowany królowej matce – kierownicze sklepu czy w terminologii LA wiceprezesowi dostarczania motywacji. Ta niezwykle przekonująca dama sprawiła, że Bella umościła się w wyłożonym dywanami przepastnym pomieszczeniu, zanim zdążyłaby wymówić słowo liposukcja.

Gorset sukienki w stylu empire wydawał się kończyć tam, gdzie zaczynały się przedramiona, a linia cięcia przechodzić pośrodku biustu. Sznurowania wskazywały, że zdecydowanie nie powinno się pod nią zakładać stanika, ale cienki materiał nie oferował żadnego podparcia. Kiedy Bella pieczołowicie unosiła po raz trzeci prawą pierś, żeby przekonać ją, że powinna pozostać w granicach dekoltu, królowa pszczół włożyła głowę przez ciężkie zasłony z tafty.

- Potrzebujesz pomocy? – uśmiechnęła się promiennie.
- Ta sukienka jest dziwnie skrojona – stwierdziła Bella. – Gorset jest trochę za długi jak na mój biust.
- Zobaczmy. Niedawno mierzyła ją dziewczyna z dużo

większym biustem i na nią pasowała idealnie. Może trzeba coś poprawić.

Z brakiem zażenowania, zarezerwowanym zwykle dla osób robiących mammografię, złapała Bellę za biust i upchnęła go na właściwe miejsce. Po chwili opadł ciężko o dobrych dziesięć centymetrów.

– Kochana, to nie sukienka ma dziwny krój, to twoje piersi. Jaki głupek je robił? – Ze współczuciem popatrzyła na Bellę.

– Robił? Nikt ich nie robił, są naturalne. – Bella nigdy nie karmiła piersią i uważała, że jej biust w rozmiarze B wygląda całkiem dobrze, biorąc pod uwagę czterdzieści lat grawitacji.

– Naprawdę? No cóż. Naturalny biust. – Kobieta ściągnęła usta. – Przykro mi, proszę pani, ale nie sądzę, że mamy w sklepie cokolwiek, co by na panią pasowało.

Bella spojrzała na nią zdumiona.

– Nic? W całym sklepie nie macie nic dla kobiety, która nie powiększyła sobie piersi?

– Widzi pani, dostosowujemy się do większości. Ale mogę zaproponować jedną linię spodni.

– Spodnie? I to wszystko? – Bella zdzierała z siebie sukienkę i wkładała własne ubranie.

– Tak, tylko... czy ma pani implanty pośladków?

– Nie! – krzyknęła Bella.

– Cóż, mamy resztki kolekcji odłożonej dla naszych klientów *au naturel*.

– Nie musi się pani martwić – powiedziała Bella. – Dziękuję za wszystko.

Kobieta oddaliła się, zostawiając Belli trochę prywatności, żeby skończyła się ubierać. Zapięła kozaki i usiadła w fotelu. Wzięła łyk herbaty. Była pewna, że to produkt beztłuszczowy, bezkofeinowy, bezmleczny i bezcukrowy.

Jak mogła skończyć, żyjąc w tak pokręconym świecie, gdzie z własnej nieprzymuszonej woli wchodziła do sklepów, które miały ofertę tylko dla ludzi z plastiku? W świecie, w którym ona cierpliwie znosiła zepsutych i rozpieszczonych, kiedy latali w

miejsca, gdzie ich jeszcze bardziej psuto i jeszcze bardziej rozpieszczano.

Nie planowała unoszenia się w tej dziwnej globalnej bańce. Przypomniała sobie czasy, gdy zaczynała latać. Myślała, że pomaga łątać budżet domowy, jest produktywna, ma niezależne od męża dochody.

Teraz tak się w tej niezależności okopała, że odcięła się od wszystkich. Nie miała nawet roślinki na parapecie, o którą musiałaby się troszczyć.

A potem był dreszcz podniecenia, kiedy Sera dołączyła do niej w liniach lotniczych. Musiała ją wszystkiego uczyć. Naiwnie powiedziała jej wtedy, że chodzi o podróże, poszerzanie horyzontów, poznawanie innych kultur. A wyszło na to, że chodziło o sklepy z butami i wyposażenie hoteli. Gdzie tkwił błąd?

To był cudowny dzień, kiedy Sera przyjechała do Sydney. Oczywiście przywiozła ze sobą wszystkie zwykłe problemy i rozpakowała je wcześniej niż walizkę, ale tak już między nimi było.

– Jak to im nie powiedziałaś? – Pamięta, że stała w kuchni klitki, w której mieszkali z Curtisem, z rękami na biodrach.

Siedemnastoletnia Sera była już u niej trzy dni.

– No nie powiedziałam. Nie zauważą. – Leżała na kanapie, oglądając muzyczne klipy.

– Sera, jesteś ich córką; zwariują z niepokoju. I usiądź, kiedy do ciebie mówię.

Bella podeszła i wyłączyła pilotem telewizor.

– Jeśli uciekasz do innego miasta, odległego o dwa stany, musisz zacząć brać odpowiedzialność za swoje czyny. Weź telefon i zadzwoń do mamy. W tej chwili.

– Muszę? – jęknęła Sera.

– Tak! Już pewnie szuka cię policja.

Sera podniosła słuchawkę i wykręciła numer rodziców. Po dwóch sygnałach ją odłożyła.

– Nikt nie odpowiada.

– Daj mi to – powiedziała z gniewem Bella i ponownie

wybrała numer.

– Cześć, mamó – odezwała się. – To ja. Sera jest u mnie...  
Ach, tak? Skąd wiedziałaś...? No dobrze. Tak, wiem... Tak, to ma sens. Nie ma problemu. Zadzwoń później.

– Widzisz, wcale się nie denerwowała – stwierdziła Sera. –  
Mają to gdzieś.

– No dobrze, nie była zdenerwowana. Podśluchała, jak robisz rezerwację na samolot przez telefon, więc pomyślała, że będziesz u mnie. Powiedziała, że pewnie masz swoje powody, żeby nawet się nie pożegnać. Oni się martwią, Sera, tylko po prostu są inni. To nie znaczy, że cię nie kochają. Musiałaś ich bardzo zranić taką ucieczką.

– Dadzą sobie z tym radę. Co na obiad?

Nie minęło dużo czasu, a otworzyły butelkę sauvignon blanc, usiadły do stołu i przesiedziały pół nocy. Śmiały się i rozmawiały, robiły plany i wspominały. Sprzątając o pierwszej w nocy kuchnię, Bella spojrzała na swoją siostrzyczkę, szczęśliwa, że do niej przyjechała. Wreszcie znalazła się z powrotem pod jej skrzydłami, gdzie przecież było jej miejsce.

Bella dopiła herbatę i wstała, zarzucając torbę na ramię. Nie powinna być aż tak nadopiekuńcza. Powinna była zachęcać Serę, żeby częściej stawała na własnych nogach. Ale nie robiła tego, pozwoliła zapanować nad sobą poczuciu winy i dopieszczała ją przez całe życie. Kiedy kilka tygodni temu spotkały się w barze, Sera była cudowna, ale przecież zawsze wracała do starych przyzwyczajień, czego wynikiem było wyraźne, rosnące rozgoryczenie. Naprawdę musiały porozmawiać.

Wyszła ze sklepu, przyrzekając sobie, że jej noga nigdy tu nie postanie.

Sally, wyrwiesz mi rękę ze stawu! – utyskiwała łagodnie Chantrea. – No idę, idę.

– Ale, mamusiu, to mój najbardziej ulubiony sklep na świecie. Pospiesz się.

Rodzinną wycieczka do wielkiego sklepu z książkami w pasażu handlowym Newtown była gałązką oliwną podaną przez Chantreę matce, bez konieczności przyznawania się do porażki. Dara Kim poczuła ulgę, że w życiu rodziny znów zapanował spokój.

Główna ulica jak zwykle buzowała energią i eklektyczną mieszanią ludzi. Przedstawiciele bohemy filozofowali nad szklankami latte, studenci w martensach przeczesywali ciuchlandy w poszukiwaniu skarbów, a młode rodziny w ufarbowanych ubraniach i dredach kupowały organiczną żywność. Blondynki z prowincji ugięły się pod ciężarem siatek i wołały, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski, jaki wyjątkowy i interesujący jest Newtown.

Chantrea poprosiła Sally i mamę, żeby poczekały na nią i poszła sprawdzić cenę torebki Diora na wystawie sklepu. Kiedy czekały, zatrzymała się obok nich mała dziewczynka z babcia.

– Cześć, jak masz na imię? – zaczęła dziewczynkę Sally.

– Patsy – odpowiedziała nieśmiało.

– Jak masz na imię? – spytała babcia małą po khmersku, powtarzając za Sally.

– Moja babcia przyjechała na wakacje z Kambodży. Nie mówi po angielsku – wyjaśniła Patsy.

Sally rozpromieniła się.

– To moja babcia i też jest z Kambodży.

Starsze kobiety wymieniły uśmiechy i zaczęły pogawędkę w swoim języku.

– Mamo – zawołała Chantrea z wejścia sklepu – tu można



płacić tylko gotówką. Masz coś przy sobie czy muszę iść do banku?

Dara Kim odeszła, żeby podać córce pieniądze, a ich nowe przyjaciółki poszły do przejścia dla pieszych. Patsy pomachała im na do widzenia, a kiedy autobus zwalniał przed przystankiem, ku zgrozie Sally, babcia dziewczynki zrobiła krok z krawężnika prosto pod nadjeżdżający pojazd.

– Uwważaj! – krzyknęła po khmersku przerażona Sally, a kobieta szybko cofnęła nogę.

Autobus przejechał tuż przed jej poszarzałą twarzą.

Chantrea i Dara Kim patrzyły, stojąc jak zamurowane w drzwiach sklepu.

Babcia Patsy, blada i roztrzęsiona, z ukłonem dziękowała Sally, wyrzucając potok khmerskich słów. Sally odpowiedziała, rozumiejąc każde zdanie z jej wypowiedzi.

Dara Kim i Chantrea objęły Sally, a starsza kobieta i wnuczka zapewniły, że już czują się dobrze, i znów poszły w stronę przejścia dla pieszych.

Sally spojrzała na mamę z niepokojem.

– Przepraszam, mamusiu. Wiem, że nie lubisz języka z Kambodży, więc staram się go przy tobie nie używać.

Chantrea była zbyt wstrząśnięta, żeby odpowiedzieć. Jej dziecko jest nie tylko dwujęzyczne, ale jeszcze myśli na tyle szybko, że mogło zapobiec tragedii. Spojrzała na córkę i coś się w niej zmieniło. Nagle zrozumiała wszystko, co chciała przekazać jej matka o ich historii i przyszłości.

– Kochanie, jestem z ciebie taka dumna. I wiesz co? Chciałabym, żebyś mi pomogła się nauczyć khmerskiego.

Cholera!

Bellę zdenerwowała własna niezręczność, kiedy słoik z sosem upadł jej na podłogę.

– No, perfekcyjna Bella zrobiła błąd – zażartował Asif, wchodząc do kuchni pokładowej. – I co to może znaczyć? Uniósł doskonale zarysowane brwi i przeciskając się w wąskim przejściu, uderzył w jej biodra swoimi.

– Och, zamknij się, Asif.

Słowa Belli odbiły się od jego szerokich ramion. Uśmiechnął się przyjaźnie.

Zajrzała do niewielkiego piekarnika, żeby sprawdzić, czy parówki już gotowe. Jeszcze dwie minuty. Stała, patrząc na piętrzące się w kuchni paczki. Filiżanki – przeczytała. Filiżanki. Przeczytała znowu. Filiżanki. Pieprzony Curtis! Filiżanki. Białe, proste filiżanki. Wiedziała, że są czyste i pedantycznie poukładane w pudełkach. Filiżanki.

**PIEPRZYĆ GO!**

Od czasu, gdy zadzwonił z wiadomością o zaręczynach, minęły wieki, a ona wysłała podpisane papiery rozwodowe dopiero przed dzisiejszym lotem do LA. I dobrze się z tym czuła. Było, minęło. Niech się szczęści jemu i nowej żonie. Nic jej to nie obchodzi. Dała już sobie z tym spokój. Filiżanki. Czyste, uporządkowane filiżanki.

Otworzyła opakowanie. Były tam, poukładane. Wszystkie na swoich miejscach. Zupełnie jak ona: pozbierane, zorganizowane, spokojne.

Jej uwagę przyciągnęły skwierczące kielbaski, rozłożyła je równo na talerzach. Wytarła małą kropkę tłuszczu z brzegu naczynia. Kropla się rozmasała, więc znowu ją wytarła, tym razem z większą energią. Nie było jej już widać, ale wycierała, żeby się upewnić, że znikła.

„Biedna Sera, jest taką dobrą matką. I jest taka zajęta. Ciężko pracuje, dba o teściową, a ten remont przysporzy jej jeszcze więcej stresów”. Powinna do niej zadzwonić.

Znów wytarła brzeg talerza, szukając jakiegokolwiek śladu na porcelanie.

Może wziąć kilka dni wolnego i porwać ją i dzieci do jakiegoś pięciogwiazdkowego hotelu w Sydney? Podnieciła się własnymi myślami. Mogłaby zabrać dzieci na zwiedzanie miasta i umówić Serę na masaż i trochę jej dogodzić; może nawet zamówiłaby dostawę obiadów na cały tydzień, kiedy kuchnia będzie remontowana, a wtedy...

Zatrzymała się nagle.

„Cholera – pomyślała. – Znowu to robię”.

– Nic tam nie ma, moja ty zaburzona osóbkco – powiedział Asif, wyrywając Bellę z zamyślenia. – Możesz już zacząć serwować?

– Ach tak, oczywiście – mruknęła i powiesiła dokładnie złożoną ściereczkę na poręczu, zrywając ją zaraz stamtąd i wrzucając do pojemnika na brudy. – O Boże, o czym ja myślę? Przecież wycierałam tą ścierką jedzenie. Mogłabym przenieść jakieś zarazki.

– Bella – westchnął Asif, tym razem raczej z niepokojem niż w żartach. – Musisz trochę odpuścić, najdroższa.

Zignorowała go i poszła podać posiłek pasażerom. Przechodząc obok dziewczynki siedzącej na miejscu 2A, zatrzymała się, żeby sprawdzić, jak się czuje.

– Podoba ci się lot, Ruby? – spytała.

– Tak, dziękuję. Robię album ze zdjęciami z mojego występu baletowego – odpowiedziała dziewięciolatka. – Widzisz?

Bella wkroczyła w ponadwymiarową przestrzeń pierwszej klasy i usiadła na małym siedzeniu naprzeciwko ślicznej dziewczynki.

– Jesteś baleriną. To świetnie! – uśmiechnęła się na widok zdjęć Ruby w różnych kostiumach.

– Tak, tu jestem jako syrenka, a tu w *Dziadku do orzechów*. I

spójrz na to, to moje ulubione, tu jestem księżniczką.

– Cudowne – powiedziała z uśmiechem Bella. – Jesteś tu taka opalona. Ten koncert był latem?

– Nie, każą nam nakładać samoopalacz.

– Jak to? – zdziwiła się Bella.

– Tak, moja mama nie była zadowolona. – Bella zerknęła na drugą stronę rzędu, gdzie drzemała matka dziewczynki. Ruby ściszyła głos: – Za bardzo się wstydziłam w salonie kosmetycznym, żeby zdjąć kostium kąpielowy, więc teraz mam paski na ramionach. Miałam problemy z nauczycielką baletu.

– Mam nadzieję, że nie popsulo ci to występu.

– Nie, już w porządku. Skończyłam z baletem. Teraz zajmuję się gimnastyką, bo to fajniejsze. Lubiłam balet, ale nie cierpiałam egzaminów.

– Założę się, że będziesz świetną gimnastyczką – powiedziała Bella, oddając jej album.

– Dziękuję. – Ruby wróciła do klejenia.

Bella uśmiechnęła się do jej pochylonej głowy. Rzadko nawiązywała kontakt z dziećmi podczas lotów. Gaworzyła do niemowlaków wraz z resztą załogi i pilnowała, żeby podróżujący bez opiekunów czuli się komfortowo i mieli wszystko zapewnione, ale coś ją przyciągało do tej dziewczynki. Przez cały lot czerpała dużą przyjemność z jej towarzystwa.

Zawsze myślała, że bycie matką to tylko mycie i gotowanie. Nigdy by nie pomyślała, że można się cieszyć obecnością dziecka. To nie dawało jej spokoju, kiedy następnego dnia zwiedzała szykowne butikie na Rodeo Drive. Czy chodzi o tę dziewczynkę, czy może ona sama się zmienia?

Po raz pierwszy coś w środku się uspokoiło i dało początek nadziei, pragnieniu przyszłości, której myślała, że nigdy nie będzie miała. W tej chwili dokładnie wiedziała, czego chce.

Przeszły do salonu. Dom Mallory był jak ukłon w stronę miejsc, gdzie kręcono Big Brothera. Sera lubiła ten młodzieżowy styl, który doskonale pasował do rodziny przyjaciółki.

Niski, modułowy komplet wypoczynkowy ze sztucznego zamszu można było rozłożyć w wygodne leżanki, po bokach których ustawiono stoliki. Maszyna do bilardu zajmowała jeden, a wielki symulator jazdy na nartach drugi róg pokoju. Młodzieżowe czasopisma wały się na stoliku do kawy, a ściany zajmowały plakaty gwiazd rocka z autografami. Nachosy czekały na rozpoczęcie dzisiejszego spotkania Szali i żali.

Uwagę Sery przykuło dzieło wiszące nad kominkiem. Metalowa rama obejmowała serię różnej wielkości kótek ze stali szlachetnej, rozpychających się o miejsce. Sprawiały wrażenie baniek unoszących się do nieba.

– Mallory, bardzo mi się podoba ta nowa rzeźba – powiedziała. – Co to za artysta? Nie widziałam jeszcze czegoś podobnego.

– Oj, żaden tam artysta – zaśmiała się Mallory. – Zrobiłam to w któreś deszczowe popołudnie.

– Żartujesz chyba. Ale jak? – Sera zawsze była pod wrażeniem artystycznego zmysłu Mallory, ale ta instalacja wyglądała bardzo profesjonalnie.

– Poszłam do sklepu hydraulicznego, kupiłam parę rzeczy i je posklejałam.

– Ale to takie precyzyjne i delikatne. Naprawdę masz oko do formy.

– Dzięki, po prostu mam trochę zabawy – odpowiedziała Mallory i spojrzała w stronę drzwi wejściowych, bo dzwonek oznajmił czyjeś przybycie. – Super. Goście przyszli.

W rekordowym czasie podano drinki – nie mogły się doczekać, żeby usłyszeć o randkowych perypetiach Sama. Kciuk

Mallory błyskawicznie przesuwał się po klawiaturze jego telefonu.

– O Boże, Sam, ona chce iść z tobą do łóżka! – pisnęła.

– Co? – Sam mało nie zakrztusił się piwem. – Skąd to wiesz?  
– naciskał, nachylając się nad ramieniem Mallory, która odszyfrowywała esemesy, jakie dostał od Phoebe po ich pierwszej i jedynej dotąd randce.

Członkowie kółka dziewiarskiego Szale i żale spotkali się w domu Mallory na comiesięcznym posiedzeniu, ale jedyne, co do tej pory zdołali zrobić, to dokładna analiza spotkania Sama z modelką bikini.

Drapiąc się z zakłopotaniem w głowę i czerwieniąc niemiłosiernie, Sam spojrzał na Chantree i Jacqueline z prośbą o wsparcie, ale w ich szeroko rozwartych oczach i potakiwaniu nie zobaczył nic oprócz zachęty.

– Mallory – powiedziała Chantrea. – Co tam jest napisane?

– Pierwsza linia to, że jej się podobało – wyjaśniła Mallory, wskazując na I <3d 2 nite. – Widzicie ten znaczek z trójką? To oznacza serduszko. Potem pisze 4U A3, co – jak wszyscy wiedzą – znaczy dla ciebie zawsze, wszędzie, w każdym miejscu. – Czyli wyraźnie widać, że ma na myśli seks.

– Oczywiście, widać – powiedział z sarkazmem Sam i ukrył twarz w dłoniach. – Boże, jestem taki stary, taki do tyłu.

Mallory dalej oddawała się kryptografii.

– Potem jest @teotd ur@gibt, czyli że jesteś taki dobry, że nie możesz być prawdziwy. A TMB znaczy...

– To wiem, prośba o odpowiedź. Aż tak stary nie jestem, domyśliłem się.

– No to wyrwałeś ją – wyszczerzyła się do niego Mallory. – Coś dalej z tego będzie?

– Wysłałem jej odpowiedź, że to był miły wieczór – przyznał się.

Skwitowały to wybuchem śmiechu. Nawet Jacqueline nie mogła powstrzymać chichotu nieprzystającego damie.

– No nie, Sam, napalona modelka bikini mówi, że chce się z tobą rznąć, a ty odpowiadasz, jakbyś spotkał się z Pipi –

powiedziała Chantrea.

– Wydawało mi się to kulturalne i uprzejme! – próbował się bronić Sam.

– Odpowiedziała coś? – spytała Sera.

– Tak, ale nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy. Przeleć w dół, Mallory.

Mallory zgodnie z prośbą szybko przeczytała i uśmiechnęła się z ubolewaniem.

– No cóż, twoja kultura i wdzięk położyły szansę na seks. Napisała ASOS, czyli głupi jesteś czy co.

– O cholera. – Sam nie mógł się powstrzymać.

Odrzucił głowę w tył i rżał. Dziewczyny dołączyły i wkrótce wszyscy łapali oddech i ocierali z twarzy łzy śmiechu.

– Randki są naprawdę straszne – jęknął. – Musisz się śmiać, bo inaczej trzeba by płakać. I – przyznał – jest coś jeszcze.

– Co? – wykrzyknęły chórem.

– Zacząłeś, to musisz powiedzieć – stwierdziła roześmiana Mallory.

– No dobrze. Miałem jeszcze jedną randkę w zeszłym tygodniu. Z kobietą, z którą przyjaźniłem się na uniwerku. Wpadliśmy na siebie na ulicy, jak byłem z dziewczynkami. Słyszała o Grace, a kiedy powiedziała, że też jest samotna, zaprosiłem ją do indyjskiej knajpki.

Gadali do późna i żadne oczko, ani prawe, ani lewe, nie zostało zrobione tej nocy. Chantrea wspomniała krótko o różnicy zdań z matką, otwierając tym tamę dla opowieści o matkach i teściowych. Mallory uraczyła ich ostatnią plotką dotyczącą jamajskiego sprzedawcy w salonie Vinca, robiąc aluzję do dam z towarzystwa znikających z nim w kabinach luksusowych jachtów. A Jacqueline poinformowała wszystkich o nowej technice usuwania plam z pomidorów.

Nadszedł czas, żeby się rozejść.

Kiedy się żegnali, Jacqueline napomknęła:

– Sam, ta twoja druga randka? Ze starą przyjaciółką.

– Tak? – powiedział, zapinając kurtkę.

– Jestem pewna, że jeśli nie byłaby nadmiernie wymagająca, to trzymałaby się swojego męża. Wygląda to tak, jakby go odepchnęła.

Pozostałe kobiety zgromiły Jacqueline, ale Sam cmoknął ją w policzek, uśmiechnął się i powiedział:

– Dobranoc, Jacqueline.



Szukały czegoś na pogrzeb – przynajmniej Mavis – a Joan chętnie przyłączyła się do zakupów, żeby uciec od bałaganu i hałasu towarzyszących remontowi.

Mavis chciała znaleźć elegancki blezer w kolorze wina na stypę po szwagrze, a Joan aż się paliła, aby zbadać ofertę nowego sklepu z butami ortopedycznymi. Zaparkowały samochód, napiły się po filiżance wstrętnej herbaty w gastronomicznej części centrum handlowego i rozdzieliły się w poszukiwaniu swoich celów.

Joan ładne parę razy przegoniła znękaną młodą sprzedawczynię tam i z powrotem, mierząc kilkanaście rodzajów obuwia, aż w końcu wybrała granatowe mokasyny i kremowe sznurowane buty z siateczki. Wróciła na miejsce spotkania usatysfakcjonowana zdobyczą.

Tuż przed sobą zobaczyła nagle Jacqueline, która wchodziła do L'Ocitane. Schowała się za dużą reklamą wiszącą w oknie wystawowym, zachowując jednak dobry widok na buszującą w sklepie sąsiadkę.

Zjawił się przy niej przystojny młody sprzedawca i namawiał, żeby wypróbowała nowy krem do rąk. Jacqueline posłała mu czarujący uśmiech i wskazała coś po drugiej stronie sklepu. Kiedy się odwrócił, szybko wsunęła do kieszeni płaszcza jakąś małą butelkę.

Sprzedawca wrócił z produktem, o który prosiła Jacqueline, ale ona tylko spojrzała, pokręciła głową i wyszła ze sklepu z triumfalnie podniesioną głową. Joan zauważyła na jej policzkach rumieniec, a na twarzy szeroki uśmiech: zdecydowanie była na haju.

Serce Jacqueline waliło, kiedy dotykała buteleczki perfum w kieszeni. Miała ochotę głośno się śmiać ze swojej zuchwałości i z odwagi. Dreszcz podniecenia przeszywał jej ciało, twarz rozpalał

zar. Odeszła szybko, chcąc jak najprędzej oddalić się od sceny zbrodni. Po kilku krokach zorientowała się, że idzie w złym kierunku. Musiała przecież kupić chłopcom w David Jones koszule do szkoły.

Odwróciła się i serce znowu zaczęło jej szybciej bić. Oddech się skrócił. Tuż obok L'Ocitane stała Joan. Widziała ją? Czy ją przyłapała? Nie, na pewno nie. Nie ta wścibska stara baba. Usiadła ciężko na ławce w głównej alei, a uczucie przyjemności zastąpił niepokój.

Joan na pewno nie była taka spostrzegawcza. No i po co miałyby się kręcić i ją szpiegować. Nie, to niemożliwe, nikt nigdy nie może się dowiedzieć. Przecież ona jest ideałem, supermamą. Tą, Która Zawsze Robiła Wszystko Dobrze. Kradzież sklepowa to taka głupia i niewiele znacząca zbrodnia. Taka żenująca.

Ale jeśli ją jednak widziała? Co mogłaby zrobić? I wtedy do niej dotarło. Najgorsza kara! Jej dłoń dotknęła rozpalonego policzka. Nie to. Wszystko, tylko nie to. Już raczej poszłaby do więzienia. Jeżeli Joan ją widziała, to Jacqueline Bouvier – perfekcyjna, świątobliwa, nieskazitelna Jacqueline Bouvier – mogła stać się przedmiotem sąsiedzkich plotek!

Mallory pędziła przez most z opuszczonym dachem samochodu i muzyką włączoną na cały regulator, śpiewając razem z wykonawcą piosenki i rozkoszując się nietypowym dla wczesnej wiosny ciepłym wieczornym powietrzem.

Jej kochany Vince był ostatnio taki roztargniony. Codziennie pracował do późna, długo prowadził ważne rozmowy telefoniczne w ogródku – teraz nawet chodził do pracy w niedziele, biedactwo.

„Seks też na tym ucierpiał”, pomyślała z żalem. Był za bardzo zmęczony i zestresowany, żeby oddawać się ich regularnym, szalonym i brawurowym praktykom łóżkowym. Mallory nie mogła zrozumieć, dlaczego inne kobiety narzekały na seks z mężami. Nawet Sera traktowała to jak obowiązek. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

„Ale będzie super”, pomyślała z podnieceniem. Vince znowu długo pracował w salonie i wiedziała, że będzie tam sam. Miała koszyk z ostrygami, czekoladą, szampanem i jacka danielsa zmieszanego z colą dla Vince’a. Zamierzała uwieść go w pracy.

Wjechała na parking sklepu z zaopatrzeniem dla zwierząt, obok salonu męża, żeby móc się niepostrzeżenie zakraść. Pod płaszczem miała czerwone majteczki z pęknięciem w kroczu, usztywniony biustonosz z koronki i pas do pończoch.

Wślizgnęła się przez tylne drzwi i poszła prosto do pomieszczeń socjalnych, położyła koszyk na kuchennym stole i otworzyła drzwi prowadzące do powierzchni biurowej. Nie było go przy biurku, a światła były pogaszone, więc popchnęła ciężkie szklane drzwi do salonu.

Z jednego rogu olbrzymiego pomieszczenia dobiegł ją dźwięk pracujących dysz jacuzzi. Vince zainstalował je kiedyś, razem z pergolą i małym patio, żeby stworzyć w salonie wrażenie luksusu.

Chichocząc z podniecenia, na paluszkach zbliżyła się do

podświetlonego ciepłym światłem spa. Okrążyła wielki dziób łodzi i w oczy uderzyła ją scena, której znaczenie dotarło do niej dopiero po kilku sekundach.

Co do kurwy nędzy? Seks? W jacuzzi? Zarejestrowała tlenioną, przemoczoną grzywę i wytatuowane, anemiczne plecy przyjmujące pchnięcia.

– O, tak, kotku, jesteś moim małym pieprzonym króliczkiem, prawda, kotku? – doszło ją rżenie Vince’a.

Mallory zbladła; podłoga się przechyliła. Złapała się łodzi, żeby utrzymać równowagę. Przecież Vince ją tak nazywał. Trzęsła się, zrobiło jej się nagle zimno w tych satynach i koronkach. Nie tylko nazywał tak teraz kogoś innego, ale jej mąż pieprzył kogoś innego w spienionej wodzie.

Zwymiotowała przy drzwiach samochodu. Trzęsącymi się rękami zdarła z siebie z obrzydzeniem stanik i pas do pończoch, zostawiając je na asfalcie. Z tylnego siedzenia wzięła sukienkę, szybko ją włożyła i opadła na przednie siedzenie. Wychyliła się przez okno i znów zwymiotowała.

Musiała stąd odjechać – nie wiedziała gdzie. Musiała pędzić najszybciej, jak to możliwe, dotrzeć w bezpieczne miejsce, jak najdalej od tego, co widziała.

Zarzuciła samochodem, wyjeżdżając na ulicę. Po twarzy spływały jej kaskady łez, rozpuszczając klej na sztucznych rzęsach. Z furii starała się je zdjąć, ale lewa przykleiła się pod okiem, zasłaniając widok.

Wcisnęła mocno pedał gazu, skręcając na autostradę, i uderzyła prosto w śmieciarkę cofającą się na podjeździe po lewej. Nie było czasu, żeby hamować. Jej mały golf owinął się na masywnym pojeździe, nie wyrządzając mu większej szkody.

Potworny dźwięk tłuczonego szkła, pisk hamulców ciężarówki i brzęk gnieczonego metalu wdarł się w rytm wodnej miłości.

– Co to, do diabła, było? – powiedział Vince, odsuwając się od sondującego języka Sharee.

Spojrzała w stronę, skąd dobiegł hałas, i nasłuchiwała.

– A kogo to obchodzi – stwierdziła i podniosła maskę do nurkowania.

Jacqueline była wykończona. Tego popołudnia stała się jeszcze lepsza niż zwykle. Zgłosiła się na ochotnika do pomocy w szkolnej stołówce, umyła, wypolerowała i odkurzyła nie tylko swój samochód, ale i Thomasa. Wysprzątała garaż, kupiła wszystko, czego chłopcy potrzebowali na zieloną szkołę, zarezerwowała wizyty u dentysty dla wszystkich trzech mężczyzn jej życia, ugotowała i podała obiad – ich ulubiony boeuf bourguignon. Po obiedzie, kiedy mąż poszedł do gabinetu, a chłopcy byli na górze, odrabiając lekcje, upiekła ciasto cytrynowe i podrzuciła je ojcu Thomasa do domu opieki.

Kiedy w końcu rzuciła klucze na stolik w przedpokoju i weszła do kuchni, była już dziesiąta. Opadła jej szczęka. Przy stole siedziała Joan, jedząc mandarynkę.

– Cześć, Jacqueline – powiedziała.

– Joan, co ty tutaj robisz?

– Pomyślałam, że musimy porozmawiać – oznajmiła spokojnie starsza kobieta.

Jacqueline udawała niewiniątko.

– Ale, Joan, co może być aż tak ważne, że musimy o tym rozmawiać w środku nocy? Może pogadamy kiedy indziej. Może...

– Daj sobie spokój, Jacqueline – odpowiedziała cicho Joan. – Lepiej wstaw wodę.

Jacqueline z ulgą przeszła do roli gospodyni, robiąc herbatę i podając Joan filiżankę drżącymi rękami.

– Usiądź, kochana. – Joan skinęła głową w stronę krzesła naprzeciwko i pełna niepokoju Jacqueline usiadła. – Ciężko ci z tym, prawda? – zaczęła Joan.

– Co masz na myśli? – spytała podejrzliwie Jacqueline.

– Życie, mąż, dzieci – to wszystko takie trudne.

– Dziękuję, jakoś sobie z tym radzę – broniła się Jacqueline,

zerkając w tył, żeby się upewnić, że drzwi kuchni są zamknięte.

– Wiem, że dajesz radę. Nawet sądzę, że robisz naprawdę dobrą robotę. Jesteś świetną gospodynią.

Kruche ego Jacqueline ucieszyło się z komplementu i trochę się rozluźniła.

– Wydaje mi się niemożliwe, że ktoś tak zajęty jak ty może jeszcze upiec najlepsze babeczki owocowe, jakie kiedykolwiek jadłam.

Tu ją miała. Jacqueline promieniała: była teraz jak plastelina w rękach Joan.

– A to miejsce... przypomina muzeum. Musi być niezwykle ciężko utrzymywać je w takim stanie przez cały czas.

– Wiesz – przyznała Jacqueline – to faktycznie niełatwe. Ale Thomas chce, żeby było tak, jak lubi, kiedy wraca do domu, więc nie bardzo mam wybór. On tak ciężko pracuje. Ortodonci mają teraz straszny natłok klientów.

– A ty? Ty też bardzo ciężko pracujesz, też masz ciągle natłok spraw. I twoja praca jest chyba ważniejsza; wychowujesz dwóch młodych ludzi, żeby kiedy pójdą w świat, byli produktywnymi członkami społeczeństwa. Wszystko, co robi Thomas, to czyni ładne uśmiechy jeszcze ładniejszymi i życzy sobie za tę przyjemność jak byk rozplodowy.

Jacqueline zaśmiała się, ale szybko spoważniała.

– Wiem, Joan. Mam tyle problemów. Leżę w nocy w łóżku i zamartwiam się chłopcami – czy za bardzo, czy za mało się o nich troszczę? Czy jestem wystarczająco dobrą żoną i czy utrzymuję dom zgodnie ze standardami męża? Muszę wszystko robić dobrze. Jeśli jest dobrze zrobione, Thomas jest zadowolony, a wtedy i ja jestem zadowolona, no i cała rodzina jest bardziej szczęśliwa. Widzisz? Wszystko zaczyna się od Thomasa.

– Wiesz – powiedziała Joan – przypomina mi to mój związek z moim zmarłym mężem, Barrym. Był takim ponurym człowiekiem. Bardzo surowym. Oczywiście za moich czasów wymagało się, żeby kobiety zostawały w domu. Krzywo patrzyło się na te, które pracowały, bo niby zaniedbywały swoje rodziny.

– Właśnie – powiedziała sztywno Jacqueline. – Całkowicie się z tym zgadzam.

– Ale jakim kosztem, Jacqueline? – spytała Joan. – Jakim kosztem dla nas, kobiet? Robiłam dokładnie to, co ty teraz: robiłam wszystko dla mojej rodziny. Poświęcamy sen, wygląd, przyjaźnie, młodość. I po co? Żeby nasi synowie i mężowie mogli iść i się realizować? A co z nami?

– Ale Joan, to właśnie wybrałam – pomagam moim mężczyznom, żeby byli doskonali.

– A czy kiedykolwiek brałaś pod uwagę, że doskonała kobieta może być nawet doskonalsza od mężczyzny? – spytała Joan.

– Oczywiście, że może. – Jacqueline skrzyżowała ramiona. – Ale nie ja. Ja nie mogłabym zrobić kariery, nie jestem wystarczająco zdolna.

– Jacqueline, jesteś dla siebie bardzo niesprawiedliwa, a taka ciągła presja i napięcie mogą wywołać niebezpieczne objawy, moja droga – powiedziała łagodnie Joan.

– Co masz na myśli? – Głos Jacqueline był twardy jak stal.

– Myślę, że wiesz. Nie winię cię, rozumiem. Czujesz się przytłumiona i niezauważana. Mnie się też to przytrafiło, kochanie. Robiłam rzeczy, które zagrażały mojemu małżeństwu i mojej reputacji. I bardzo mi się nie podoba, że teraz to samo dzieje się z tobą.

– Nie wiem, o czym mówisz – upierała się Jacqueline, nie patrząc Joan w oczy.

– Jacqueline – powiedziała Joan, wskazując wzrokiem szufladę po drugiej stronie kuchni. – Wiem, że dla ciebie to rodzaj ucieczki, ale ten mały nawyk jest naprawdę niebezpieczny.

– Proszę, nie mów o tym nikomu – błagała Jacqueline, łapiąc dłonie Joan. – To takie podniecające przez chwilę, ale później czuję się okropnie i nienawidzę siebie.

– Wiem, kochanie, wiem. Poczucie winy jest okropne, prawda?

– Ale potem znowu to robię, już w następnym tygodniu –



ciągnęła Jacqueline. – I znowu, i znowu. I za każdym razem, gdy mi się uda, czuję taką ulgę i tak mocno przygniata mnie poczucie winy, że przysięgam, że nie zrobię tego nigdy więcej. Ale idę i to robię! Nie rozumiem.

Rozpłakała się.

– Daje ci to poczucie kontroli, a że nikt cię nie złapał – jeszcze – masz też swój mały sekret. I pewnie cię wtedy ogarnia ogromne poczucie wolności.

– Tak, to właśnie to! Poczucie wolności! – Jacqueline spojrzała na Joan zaczerwienionymi oczami. – Chcę tylko złamać wszystkie reguły, być szalona przez parę minut i mieć choć trochę czegoś, co jest tylko moje.

– Dlaczego nie myślisz o tym, żeby znaleźć pracę? – spytała Joan.

Jacqueline wpatrywała się w blat stołu, drapiąc niewidoczną plamkę. Podniosła oczy na Joan.

– Nie mogłabym. Po prostu bym nie mogła. Nie dałabym rady, byłabym do niczego.

– Szkoda, kochanie – oznajmiła Joan. – Ja myślę, że możesz robić wszystko, co tylko byś chciała.

W pokoju panowały egipskie ciemności. Oczy Belli zaczynały się już do niej przyzwyczajać, ale zastanawiała się, w jakim jest mieście. To jeden z efektów ubocznych jej pracy. Rzadko pamiętała, gdzie jest, kiedy się budziła.

Zanim odpowiedziała sobie na pytanie geograficzne, poczuła dziwny ucisk w piersi. Czuła się okropnie. Dlaczego?

Nadeszły wspomnienia z poprzedniego wieczoru. Pozwoliła sobie na mały wypad do hotelu Palazzo Versace w nadziei, że odciągnie to jej uwagę od wydarzenia dnia: ślubu Curtisa.

Pojawiły się wizje jej własnego ślubu. Były tak wyraźne, jakby szła środkiem kościoła zaledwie w zeszłym tygodniu. Ale zanim łzy litości nad sobą spłynęły jej po bokach twarzy i wlały się do uszu, wzięła się w garść.

Usiadła i chwyciła chusteczkę do nosa. Dość tego, miała przed sobą intensywny harmonogram zaspokajania własnych potrzeb i żaden szybki ślub na Malediwach nie będzie w stanie tego zepsuć.

Nacisnęła guzik otwierający zasłony i ciepłe promienie słońca Queensland oświetliły kremowo-złoty wystrój pokoju. Bella starała się skupić na relaksującym otoczeniu i uspokoić oddech.

W spa owinęła się ciasno miękkim szlafrokiem, dotknęła włosów, sprawdziła paznokcie, spojrzała w dół na pedikiur; a potem powtórzyła całą procedurę i jeszcze raz. Zdała sobie sprawę z tego, co robi, dopiero wtedy, gdy inni goście zaczęli dziwnie na nią patrzeć. Podniosła czasopismo i starała się na nim skupić.

Później ukojona delikatnym dotykiem kosmetyczki, nie pozwalając sobie na rozważania o Curtisie i jego ślubie, wróciła myślami do poranka. Chyba z dziesięć razy szła do lustra, żeby upewnić się, że nic nie zalega jej między zębami, nie wypadła żadna rzęsa i nie rozmazała się szminka. Potem wydawało jej się, że odkryła plamkę na torebce, co zajęło kolejne piętnaście minut

czyszczenia, doczyszczania i polerowania, zanim z satysfakcją przyznała, że musiała sobie wymyślić tę plamkę.

Kiedy kosmetyczka nałożyła jej na twarz maskę i zostawiła Bellę samą, zaczęły oplatać ją znajome macki paniki. Jej mózg przywołał obraz Curtisa żeniącego się z młodszą, ładniejszą kobietą i zdała sobie sprawę z tego, że myśli o nim wywołują u niej reakcję fizyczną. Od razu wciąga brzuch i sprawdza paznokcie.

Teraz wyraźnie widziała, że to jest powiązane. Obsesyjne skłonności były spowodowane jej uczuciami do Curtisa. Nie chciała już liczyć kafelków na podłodze i spędzać życia przed lustrem w dążeniu do perfekcji. Miała dosyć czucia się niewystarczająco doskonałą. Może dziś ma szansę skończyć z natręctwami. Samo znalezienie ich katalizatora było dużym postępem i czuła, że jest gotowa na więcej.

Podniosła lewą rękę i tak długo szarpała za akrylowe przedłużenie paznokcia wskazującego palca, aż ukazał się pod nim jej własny, krótki. Spojrzała na zrujnowany manikiur i zalała ją fala rozpacz, ale wzięła głęboki oddech i spojrzała ponownie.

Tym razem nie wyglądał już tak źle. Może uda jej się odkryć, kto się kryje pod tą rozpaczliwą walką o perfekcję. Zaśmiała się nerwowo.

Mallory chciała więcej środków znieczulających. Żeby zmniejszyć ból, ale przede wszystkim stłumić żal w sercu. Mogła sobie poradzić z dolegliwościami spowodowanymi połamanymi żebrami i zgniecionym biodrem, ale cierpienie emocjonalne było zbyt duże. Za każdym razem, gdy pielęgniarka wpuszczała do jej organizmu dawkę opiatów, pogrążała się w błogiej nieświadomości i mijało palące uczucie zdrady, które prześladowało ją, gdy była przytomna.

Ale dzisiaj odłączyli jej kroplówkę, powiedzieli, że poradzi już sobie bez niej. Mallory uważała, że nie mają racji: nie wiedziała, jak kiedykolwiek będzie mogła sobie poradzić.

„To śmieszne, jak mówią o bolącym sercu”, myślała, patrząc na ciężkie deszczowe chmury za oknem. „Faktycznie czuję ból w klatce piersiowej; jakby ząbkowany nóż wbijał się w moje serce”. Lekarz powiedział, że to przez złamane żebra. Ale ona wiedziała lepiej.

Dzisiejszy, pierwszy od wypadku prysznic był potwornie męczący. Ale pragnęła bólu fizycznego, więc wypluła słabe środki przeciwbólowe, które dała jej pielęgniarka. Jeśli nie mogła już wpadać w narkotyczne zapomnienie, może zatraci się w przenikliwym bólu poranionego ciała.

Kobieta, którą zobaczyła w dużym lustrze w łazience, była starsza o piętnaście lat. Nie rozpoznawała siebie w tej smutnej postaci, z opadniętymi kącikami ust i opuchniętymi oczami. Włosy jak strąki zwisały po bokach twarzy. Usta i policzki, zwykle różowe z podniecenia, były szare. Jedynym kolorowym punktem był zielonkawo-żółty siniak na policzku i pod okiem. Nad dekoltem wiszącej na jej wymizerowanym ciele szpitalnej koszuli wystawały kości obojczyków.

Leżała w łóżku, obserwując chmury uwalniające swoją zawartość na wieżowce, i jej oczy poszły ich śladem. Już nie

próbowała powstrzymać płacz. Miała wrażenie, że tylko to robi od czasu wypadku.

Kiedy przyjaciele dowiedzieli się, jakie wydarzenia poprzedziły kraksę, dbali o jej zranioną duszę, tak jak pielęgniarki troszczyły się o jej połamane kości. Sera trzymała ją za rękę, cierpliwie słuchała i ocierała jej łzy. Sam zaoferował, że pobije Vince'a, a potem spędził godzinę, delikatnie szczotkując i zaplatając zaniedbane włosy Mallory w jej ulubione warkoczyki, tak jak robił to córkom. Jego delikatny dotyk spowodował, że płakała jeszcze mocniej.

Kiedy Chantrea usłyszała o wszystkim, rzucała gromy, wściekała się i kopnęła krzesło dla gości z metalowymi nogami. Myślała o tym, żeby poprzecinać Vince'owi opony, wymalować graffiti na ścianach salonu i włożyć mu do bagażnika zdechłą rybę.

Jacqueline syknęła z niesmakiem i choć raz nie sugerowała, że Mallory mogłaby być lepszą żoną. Wiedziała, kiedy trafiała na ścierwo.

Mallory odwróciła głowę, słysząc otwierające się drzwi, i z odrętwieniem patrzyła na męża, który wszedł do jej prywatnego pokoju, trzymając w objęciach naręczce długich róż.

– Cześć, jak się czujesz? – zapytał, delikatnie kładąc kwiaty na końcu łóżka.

– Dobrze – odpowiedziała matowym głosem.

– Wystraszyłaś nas. Dzięki Bogu, że wyszłaś ze śpiączki.

– Tak – mruknęła, pragnąc znowu się znaleźć w tym cudownym, ciemnym miejscu.

– Kochanie, tak bardzo cię przepraszam – powiedział Vince z drżeniem w głosie. – Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

Uniósł jej dłoń i lekko ścisnął. Spojrzała na niego, rozpaczliwie chcąc mu wierzyć.

– Kocham cię, moje maleństwo. Wiesz, że cię kocham najbardziej na świecie.

– A co z Sharee? – spytała. – Ją też kochasz?

Vince prychnął.

– Oczywiście, że nie. To był głupi, głupi błąd. To zdarzyło się

tylko raz. Za dużo wypilem. Nie myślałem. Tak dużo pracowałem, że mózg mi przestał funkcjonować. Musisz mi uwierzyć, kochanie, musisz.

– Vince, chciałabym. – Oczy Mallory znów wypełniały się łzami.

Vince przetarł swoje oczy i pociągnął nosem.

– Proszę, Mallory, ty i Tilly tak dużo dla mnie znaczą. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś ode mnie odeszła.

– Jestem pewna, że Sharee by cię przyjęła – powiedziała gorzko Mallory.

– Naprawdę nic między nami nie ma. To skończone; to tylko mała wulgarna puszczalska. Zagięła na mnie parol. A ja wyszedłem na bezwolnego, beznadziejnego dupka, bo dałem fiutkowi zawładnąć moją głową. Co mogę zrobić, żeby cię odzyskać, moja najpiękniejsza żono?

– Cóż – powiedziała Mallory, patrząc na niego z powątpiewaniem i mając nadzieję, że postępuje właściwie. – Będziemy musieli iść na terapię małżeńską.

– Oczywiście – oznajmił z uśmiechem, wiedząc, że mu się udało. – Coś jeszcze?

– Będziesz musiał wyrzucić Sharee z pracy.

– Wyrzucona! Już jej tam nie ma! Zrobię to jeszcze dziś.

– Och, Vince – roztkliwiła się.

Koszmar się skończył; razem przejdą przez to wszystko.

Objął jej małe obolałe ciało, a ona szlochała w jego ramię.

– Już dobrze, kochanie. Już dobrze, twój Vince jest z tobą. Będę cię chronił. Już nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Vince, tak cię kocham. Myślałam, że cię straciłam – powiedziała, szlochając.

– Nie bądź głuptaskiem. Nigdy mnie nie stracisz, przenigdy. Zawsze będę przy tobie, przyrzekam, moja śliczna mała dziewczynko. Przyrzekam, że już nigdy cię nie zawiodę.

Co założyć? W co się ubrać? Kolejna bluzka sfrunęła z wieszaka, żeby skończyć na piętrzącej się na podłodze stercie. Ręce Jacqueline drżały, kiedy przetrząsała rzędy wiszących w szafie jedwabi i dzianin.

Wyjęła z szafy kolejną kandydatkę i przyłożyła do siebie. Beż był poważny. Beż był skromny, ale dodawał pewności siebie. Rzuciła bluzkę na ziemię, a sama opadła na łóżko.

Co sobie myślała? Rozmowa o pracę, na miłość boską? Nie powinna była słuchać rad Joan. Lepiej spędziłaby czas, odwiedzając Mallory albo zanosząc potrawkę Tilly. A teraz zmagала się z tą idiotyczną sytuacją, która już powoduje chaos i zmienia ją w roztrzęsioną ruinę. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Brzuszek wystawał jej nad rajstopami, kasztanowe kosmyki zachodziły na twarz, a blask oczu był przyćmiony brakiem snu.

Kto ją będzie chciał w cukierni? Cukiernie to wyrafinowane, eleganckie miejsca, gdzie francuskie ciasta są delikatnie ułożone na koronkowych paterach; gdzie doskonała herbata jest sączona z najlepszej porcelany. A cukiernia Laurent Boulangerie była jeszcze lepsza. Była francuska!

W końcu zdecydowała się połączyć czarną spódnicę do kolan z białą bluzką, naśladowując sposób, w jaki nosili się elegancy pracownicy światowej sławy cukierni. Wpięła w koszulę srebrną broszkę w kształcie babeczki. Na szczęście.

Kiedy wchodziła do sklepu, trzęsły się jej kolana. Przy ladzie tłoczyli się klienci, zamawiając brioszki, bagietki, eklerki, croissanty i placki.

Menedżer, Andre, miał ciężki francuski akcent, któremu kłam zadawały jego rude włosy i piegi. Odsunął dla niej jedno z krzeseł z kutego żelaza, spojrzał na jej krótkie CV i z powrotem na nią.

– Jak się miewasz? – zapytał. – Korzystasz ze słońca?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała nerwowo Jacqueline. – Na zewnątrz jest pięknie.

– A w środku? Podoba ci się to miejsce? Co o nim myślisz?

Jacqueline popatrzyła na ogromny biały żyrandol, czarno-białe tłoczone tapety, delikatne trójkondygnacyjne patery i przebłyski różu, które tu i ówdzie podkreślały to czysto paryskie wnętrze. I wypieki, chleby, ciasta, góry elegancko ułożonych delikatesów, które wydawały się lśnić w witrynach.

– O tak – westchnęła – to najpiękniejszy sklep, w jakim kiedykolwiek byłam.

– Dobrze! To bardzo dobrze! Będiesz tu pracować. Będiesz pracować u Laurenta.

– Ale... ja nie mam doświadczenia... Nie umiem obsługiwać kasy. – Nagle uderzyło w nią zwątpienie.

Ten facet miał nie po kolei w głowie, że ją zatrudniał. Miała czterdzieści lat i nigdy nie pracowała.

– Uff – eksplodował. – Mamy kasjerkę. Spójrz na siebie: jesteś piękna, widać w tobie pasję do ciast, masz już odpowiednie ubranie. I podoba ci się mój sklep. A to z kolei mi się podoba, bo to jest piękne miejsce. I możesz tu nosić tę broszkę z babeczką, jest bardzo ładna. Zaczynasz w poniedziałek, o jedenastej.

Jacqueline siedziała oniemiała.

Andre wstał i strzelił palcami na kogoś niewidzialnego.

– Monique, ici maintenant. Les escargots sont terribles!

– Krzyczę na nich po francusku – zwierzył się Jacqueline – bo to dużo ładniej brzmi.

W mgnieniu oka Jacqueline pożegnała się i wyszła, łapiąc promienie słońca Sydney, nie mogąc się nadziwić, jak niespodziewany obrót nabrało jej życie.

Nagle dotknęła w panice policzka. Jak na Boga zamierza powiedzieć o tym Thomasowi i chłopcom?



Tydzień temu Bella zadzwoniła do Sery. Miała być w Sydney i chciała spędzić z nią trochę czasu. Po wypadku Mallory zdała sobie sprawę, że życie jest zbyt krótkie na niesnaski z siostrą. Zarezerwowała dla nich apartament w pięciogwiazdkowym hotelu na weekend. Pobędą trochę razem, pośmieją się, pogadają i postarają się załatać wyrwę, która powstała między nimi.

Sera poczuła ulgę, kiedy Bella zatelefonowała z ofertą. Od ostatniego wyjścia układało się trochę lepiej, ale wciąż utrzymywało się pomiędzy nimi lekkie napięcie. A po ostatnich sprzeczkach z Tonym noc poza domem wydawała się dobrym pomysłem.

Zwykle spędziłyby godziny, planując, w co się ubrać, i dobierając dodatki na tę krótką wyprawę do swojego starego świata. Tym razem było inaczej. Z krótkiej rozmowy telefonicznej wyczuła, że Bella chce zobaczyć ją, prawdziwą ją. Poza tym była trochę zmęczona ciągłą walką o dobry wygląd. Nie, żeby od razu miała się pozbyć akrylowych paznokci czy zrobić coś równie drastycznego, ale czuła się dziś bardziej zrelaksowana. To ma być spotkanie dwóch siostr, nie pokaz mody.

Kiedy dzieciaki i Tony radośnie pochłaniali naleśniki na sobotnie śniadanie, a Joan miała już filiżankę swojej herbaty, Sera pobiegła na górę i wrzuciła na siebie pierwszą rzecz, która jej wpadła w rękę: czarną koszulową sukienkę i czarne legginsy, a do tego perły – idealnie. Upchnęła beżowo-czerwony komplet do swojej ulubionej, wielkiej torby Versace (podarunek od Belli) i wskoczyła do samochodu, ledwo spojrzawszy na rodzinę.

Będzie fantastycznie. Dobrze byłoby wrócić do przyjacielskich relacji z przeszłości i zostawić za sobą niedawne napięcia.

Bella nie mogła się doczekać spotkania z siostrą. Nie pamiętała, kiedy udało im się spędzić trochę czasu razem, tylko we

dwie. Pogratulowała sobie świetnego pomysłu na dziewczynski weekend. Zarezerwowała podwójny masaż w spa na sobotnie popołudnie. Kiedyś poszłaby raczej na złuszczenie kwasami, ale ostatnio zauważyła, że jej starzejąca się skóra na twarzy nie poprawia się za bardzo mimo tak drastycznego zabiegu. Może jeśli zelżeje napięcie w barkach i mięśniach pleców, to i twarz się rozluźni, a wtedy będzie wyglądać trochę młodziej.

Wiedziała, że Sera też potrzebuje dopieszczenia. Była taka spięta, kiedy rozmawiały przez telefon. A jeśli będzie chciała, zawsze może przerzucić się na botoks.

Bella jak zwykle martwiła się o młodszą siostrę. Szaleńcze dążenie do zachowania urody zaczynało zbierać żniwo. Nie ma już znaczenia, jak mocno kobieta stoi na ziemi albo czy jest prawdziwa. Mieszkanie w Sydney, Melbourne, LA czy w Nowym Jorku praktycznie gwarantowało, że nie zabierze jej dużo czasu, żeby zacząć uważać przedłużone włosy czy rzęsy, powiększony biust albo sztuczną opaleniznę za normalny stan.

Ale wiedziała, że rozpaczliwa walka Sery miała znacznie głębszą przyczynę niż życie w wielkim mieście. To była blizna – jedyna rzecz, o której siostry nie mogły rozmawiać.

Kiedyś próbowała poruszyć ten temat, pytając Serę, czy wciąż jej przeszkadza. Siostra udała, że nie usłyszała pytania, i szybko przeszła do innych spraw.

Bella wiedziała, że Sera obciąża ją winą. Oczywiście, że tak, ma do tego pełne prawo. Przecież to Bella miała się nimi opiekować i nie wykonała należycie swojego zadania. Matki często nie było w domu i owszem, była trochę żałosna. Ale biorąc pod uwagę ich ubóstwo, beznadziejnego ojca i pięcioro dzieci poniżej sześciu lat, i tak robiła, co mogła. Bella od zawsze wiedziała, że to nie zaniedbania matki zmusiły ją do przyjęcia roli opiekunki Sery, a jej własne poczucie winy.

„Ale to było wtedy, a dziś jest nowy dzień”, pomyślała z pozytywną energią, kiedy wysiadała z taksówki. Uśmiechnęła się do odzwiernego w uniformie, który oddał uśmiech jej długim opalonym nogom.

W tej chwili chodziło tylko o połączenie na nowo dwóch siostr. Ale pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić, to zdjąć tę krótką spódniczkę. Nigdy nie nosiła krótkich spódniczek przy Serze.

Sera wjechała na podjazd hotelu. Odźwierny uśmiechnął się do jej dekoltu, pomagając jej wysiąść z samochodu.

– Zaparkować, proszę pani? – spytał.

– Tak, dziękuję – powiedziała i zapięła górny guzik sukienki.

Po drodze zatrzymała się w sklepie, żeby kupić Belli mały prezent w podziękowaniu za miniwakacje. Trzymając białą paczuszkę przewiazaną jaskrawą malinową wstążką, nacisnęła guzik windy.

– Kochanie! – wykrzyknęła radośnie Bella, otwierając drzwi apartamentu.

– Kochanie! – odpowiedziała Sera i mocno się uścisnęły.

Na policzkach obu siostr widniały odciski szminki, bo nie zawracały sobie głowy cmoknięciami w powietrzu, jak to robiła większość ich koleżanek. Uśmieły się i przez następne piętnaście sekund szorowały sobie nawzajem skórę kciukami, żeby pozbyć się znaków prawdziwego uczucia. Ale ciepło pocałunku pozostało. Wydawało się, że wszystkie urazy poszły w zapomnienie.

– Wejdz i usiądź – powiedziała Bella, omiatając ręką przestronne wnętrze, bogato urządzone w neutralnej palecie kolorystycznej.

Biały żyrandol był w formie kiści żywicznych rogów. Mnóstwo luksusowych poduszek w opalizujących barwach porozkładano na kremowych tapicerowanych kanapach.

– To... jest... niesamowite! – Sera nabrała powietrza i kręciła się w kółko na środku pokoju. – Jestem tak podekscytowana, że mogłabym skakać na łóżku – pisnęła.

– Bardzo proszę – powiedziała Bella i otworzyła podwójne drzwi po obu stronach salonu, aby pokazać dwa olbrzymie łoża pokryte świeżą białą pościelą i czekoladowymi narzutami ze sztucznego futra.

– Poważnie? – Sera spojrzała na siostrę jak dziecko proszące matkę o pozwolenie.

W odpowiedzi Bella zrzuciła buty i rzuciła się z impetem na łóżko, podskakując na jego sprężynach i śmiejąc się z miny Sery.

Siostra szybko dołączyła i trzymając się za ręce, skakały w górę i w dół jak dwa dzieciaki. Bella sięgnęła po pilot od telewizora i włączyła MTV. Otoczyły je kwadrofoniczne dźwięki popowej muzyki, co jeszcze bardziej wzmocniło głupawkę.

Rozpoczęła się naprawdę głupia piosenka i opadły na łóżko. Głowa Sery opierała się na brzuchu Belli.

– Pamiętasz *Venus* Bananaramy? – spytała Sera.

– Jak mogłabym nie pamiętać? – odpowiedziała Bella z uśmiechem. – Ile to razy DJ grał ją dla nas tamtego lata?

– To było chyba moje najlepsze lato – szepnęła Sera. – Pamiętasz te fałszywe dokumenty, które mi zrobiłaś?

– Nie było wyjścia – albo wyrobić ci fałszywe dokumenty, albo siedzieć w domu i się tobą opiekować. A pamiętasz ten wieczór, kiedy byliśmy w barze i przyszła mama?

– Tak, nie było dobrze – potwierdziła cicho Sera.

– Przecież ciebie nawet nie zauważyła. Udało ci się!

– Nie o to mi chodziło. – Wstała. Zabawa się skończyła. Czas zmienić temat. – Jak tam dzisiejszy lot?

– Och, jak zwykle. Nie będę cię zanudzać szczegółami.

Kupiłam nam butelkę szampana w sklepie bezcłowym.

Bella przeszła do salonu i z hukiem ją otworzyła. Korek odbił się od zyrandola.

– Nigdy tego nie robisz – powiedziała Sera, siadając po turecku na kanapie w oczekiwaniu na kieliszek.

– Czego? – Bella podała go siostrze i usiadła naprzeciwko w fotelu, podciągając pod siebie stopy.

– Nigdy nie opowiadasz o swoich lotach, o swoim dniu, o swoim życiu.

– Oczywiście że tak, po prostu nie chcę cię zanudzić.

– Nie, ostatnio dużo o nas rozmyślałam. Ty słuchasz tylko moich wynurzeń o moich głupich zmartwieniach.

Upiła szampana, czekając na reakcję siostry.

– To jest mój obowiązek – powiedziała z uśmiechem Bella.

Nie podobało jej się, że rozmowa zmierza w tym kierunku.  
– Nie jest.  
– Oczywiście, że jest: ty narzekasz, ja słucham, pijemy.  
Fantastycznie. Na zdrowie.  
– I nie ma nic, o czym ty byś chciała pogadać?  
– W zasadzie jest. – Kieliszek Belli zadzwięczał, kiedy odstawiała go na granitowy blat stołu. – Chciałabym porozmawiać o mamie. Powinnaś do niej pojechać. Tęskni za tobą i dziećmi.  
– Już w to wierzę, że tęskni za dziećmi! Ona pewnie nawet nie zna ich imion.  
– Sera, nie bądź taka, ona naprawdę pragnie się z tobą zobaczyć. Nie może zrozumieć, dlaczego z nią w ogóle nie chcesz rozmawiać.  
– Rozmawiam. Mówiłam ci, że do niej dzwoniłam. W zeszłym tygodniu?  
– W zeszłym miesiącu. Dzwoniłaś również dwa miesiące przed tym.  
– No dobra, może i tak. Ale to zawsze się tak okropnie kończy. Nienawidzę tego. I nieprawda, że z nią nie rozmawiam. Tylko nie chcę, żeby przeszłość wpychała w moje życie te poplamione nikotyną paluchy.  
– Sera, to twoja matka. Chciałaby po prostu od czasu do czasu pogadać.  
– Pogadać! Raczej pojęczeć.  
Bella zaczęła się denerwować.  
– Zabawne, to samo powiedziała o tobie. – Pragnęła cofnąć te słowa, jak tylko wyszły z jej ust.  
– Co? – Sera skoczyła na równe nogi. – Widzisz, to właśnie jedna z tych głupich, obraźliwych rzeczy, które mówi. Dlaczego miałabym się nią przejmować, jeśli ona nigdy mną się nie przejmowała? I widziała mnie tego wieczoru. Widziałam, jak na mnie patrzy, kiedy tańczyłam. Ale nawet się nie przejęła, że jej czternastoletnia córka pije alkohol w hotelowym barze. Jak byś nazwała taką matkę?  
– Wiem, że cię zauważyła – powiedziała Bella. – Miałam

straszne problemy następnego dnia, ale nie mówiłam ci, bo nie chciałam, żebyś myślała, że to twoja wina.

Sera otworzyła usta.

– Za karę spaliła mi wszystkie czasopisma. – Głos Belli był cichy, niemal szeptala. – Wtedy wyjechałam.

W ciągu paru sekund Sera uświadomiła sobie, że to ona sama nieumyślnie spowodowała, że ziścił się jej największy koszmar. To była jej wina. To przez nią siostra wyjechała na kontynent. Zostawiając ją samą w tym szambie. Jeszcze bardziej się rozłościła.

– Jeśli nie zobaczę mamy już nigdy więcej, Bella, to będzie twoja wina. Nie powinnaś była mnie tam zostawiać. Nie wiesz, jakie paskudne było moje życie po twoim wyjeździe. Nie miałam nikogo. Nikogo.

– A, to moja wina, że będąc nastolatką, nie mogłaś zrobić prania i zadbać o siebie? Dobrze, zrzucaj winę na mnie. Obwiniaj mnie o wszystko. – Głos Belli ociekał sarkazmem.

– Oczywiście, że mogę cię winić. Nie miałabym tej cholernej blizny, gdyby nie ty.

Pojawiła się. Blizna. Słowa Sery zawisły w powietrzu pomiędzy siostrami. Bella zawsze miała poczucie winy za oszczędzenie Sery, ale to było jak policzek. Przyszedł czas wyboru. Więc wybrała. Teraz i tu, po latach obwiniania się, myślenia, co by było gdyby i jeśli tylko. Bella zdecydowała, że to nie była jej wina. Takie rzeczy się zdarzają. Dzieci miewają wypadki. A życie toczy się dalej.

– To nie była moja wina, Sera – powiedziała cicho do siostry.  
– Nie powinnaś się była wspinać na okap.

Kiedy wypowiedziała te słowa, poczucie wolności dreszczem przeszło przez jej ciało.

Sera prychnęła z niedowierzaniem. Wstała i podniosła torebkę. Wychodzi. To wszystko bzdury.

Ale pewne rzeczy musiały zostać powiedziane. Bella poszła za siostrą do drzwi.

– Dzieci codziennie ranią się w głupich wypadkach

domowych. Przykro mi, że to stało się tobie. Bardzo mi przykro. Ale ja codziennie ciężko pracowałam, opiekując się waszą czwórką. Pewnie to pamiętasz, ale nie zdajesz sobie sprawy z tego, że to była ciężka praca fizyczna. Szłam spać wykończona. Cały dzień w szkole, potem ten chlew, podać obiad i posprzątać. Potem ty się rzucałaś i płakałaś przez sen, więc starałam się ciebie uspokoić, ale ja dużo snu nie zaznałam. Nie było temu końca. Nie mogłam się doczekać, żeby od tego uciec, żeby uwolnić się od rodziny. Żeby uwolnić się od ciebie.

Sera ze zdumieniem patrzyła na swoją starszą siostrę, swojego obrońcę, swojego Anioła Stróża. To były tylko pozory.

– Jak, kurwa, możesz! – krzyknęła. – Ty skoncentrowana na sobie krowo!

Cisnęła torbą Versace przez pokój. Odbiła się od ściany i ciężko wylądowała na marmurowej podłodze niemającej zbytniego szacunku dla luksusowej skóry i delikatnych włoskich szwów. Sera stanęła z rękami na biodrach. Nie ma takiej możliwości, żeby teraz wyszła.

– Jak ja mogę? – odpowiedziała wściekła już Bella. – Ty bezczelna gówniario! To ty dbasz tylko o siebie! To wokół ciebie ma kręcić się świat; ty odebrałaś mi dzieciństwo, wdarłaś się bez zaproszenia w moją młodość i dalej narzekasz, że nie poświęcam ci wystarczająco dużo uwagi.

– Ale przecież sama tego chciałaś. Powiedziałaś, że lubisz się mną opiekować! Powiedziałaś, że mogę być z tobą w Sydney. – Sama słyszała swój ton rozpieszczonej dziewczynki.

– Nie rozumiesz? To było z poczucia winy. Nie mogłam się tobą nie opiekować. Całe lata obwiniałam się za tę bliznę. Odciążałam mamę z wielu prac, żeby móc być twoim strażnikiem. Mówiłam, że pójdę na szkolne występy zamiast niej. Nawet przygotowywałam ci drugie śniadanie, kiedy ona robiła je chłopcom. Za każdym razem, gdy patrzyłam na twoją nogę, jeszcze dalej się posuwałam w tej roli. Mama nie była taka zła, jak myślisz, Sera. Ja cię jej odebrałam.

Sera oparła się o ścianę. Trzęsły się jej kolana i pozwoliła

ciału osunąć się na podłogę. Zgarbiła się i objęła rękami nogi. Była tak bardzo zdezorientowana.

– Więc przez cały ten czas...? – Spojrzała na Bellę oczami umazanymi tuszem.

– Przez cały ten czas starałam się odpokutować za tę straszną bliznę na twojej nodze.

Słowa odbijały się między nimi, aż wreszcie z ust Sery padło:

– Ale to nie jest twoja wina, Bella. Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić.

– Wiem, że tak nie myślałaś. A teraz wiem też, że to nie była moja wina. – Usiadła na podłodze obok siostry. – Teraz już to wiem.

Patrzyły na listwę podłogową, na której nie było nawet odrobiny kurzu, oswajając się z prawdą. Pasowała im obu nawet bardziej niż jakakolwiek designerska marka kiedykolwiek w ich życiu.



Sera podpisała rachunek i odebrała tacę od kelnera. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała, jak mężczyzna odwraca się i odchodzi.

– Hmm, niezły tyłeczek – skomentowała, stawiając tacę na stoliku do kawy.

– Ty starucho z kudłatymi myślami. Mogłabyś być jego matką – zaśmiała się Bella.

– No to co na obiad? Chyba czas mi powiedzieć, co to za wielka niespodzianka.

– Zgadnij – powiedziała Sera, trzymając obie ręce nad srebrnymi pokrywami.

– Nie wiem, *foie gras*?

– Nie. Podpowiem tylko, że to coś, co najbardziej lubisz.

– Coś, co najbardziej lubię... Hmm, czyli coś, co ty myślisz, że lubię... Pewnie myślisz, że to kawior. Zgadłam?

– Nie.

– Zupa z homara i tuzin ostryg?

– Nie.

– Chyba nie nudnawa sałatka Cezara?

– Nie, to twój absolutny, sekretny faworyt, o którym nie wie nikt na świecie.

Bella gapiła się na siostrę i coraz szerzej otwierała oczy.

– Ale nie...?

– Oczywiście!

– To nie może być...?

– Ale jest!

Obie pisnęły z zachwyty, kiedy Sera uniosła srebrne pokrywy. Krzyczały teraz razem:

– Podwójny cheeseburger z frytkami!

– I bekon! – dodała podniecona Sera.

– Bekon, mniam! – Język Belli rolował się i ślinił.

– Nie mam śmiałości zapytać, co jest w tych srebrnych

naczyniach – zapytała.

– Zgadnij.

Bella już wiedziała, w którą stronę zmierzać.

– Lody czekoladowe!

– Z... – odpowiedziała Sera.

– Czekoladowymi czipsami?! – pisnęła Bella.

– I... – Sera uśmiechnęła się.

– POLEWĄ CZEKOLADOWĄ!

– O KURCZE!

Rzuciły się na ucztę, wrzucając frytki i burgery do ust tak szybko, jak mogły.

– Patrz, zrób tak – powiedziała Bella, wkładając frytkę w lody.

– To trochę niesmaczna dekoracja, proszę... – Sera zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

– To nie niesmaczne, to piękne – oznajmiła Bella z pełnymi ustami.

– Zapomnieli o polewie! – zmartwiła się Sera.

– Co?! – jęknęła Bella. – Widzisz, to problem z tymi pięciogwiazdkowymi hotelami, są za dobre! Za takie pieniądze nie można mieć jakiegoś byle czego.

– Ale przynajmniej możemy znowu popatrzeć na kelnera. – Sera wykręcała numer do obsługi.

Bella patrzyła na siostrę z drugiej strony pokoju. Widziała bose stopy, spodnie dresowe, smugi rozmazanego tuszu na twarzy, zwykły kucyk.

– Wiesz, Sera, wyglądasz absolutnie pięknie.

Sera odwróciła się z drwiącym wyrazem twarzy, gotowa wybuchnąć.

Zanim to nastąpiło, Bella powiedziała szybko:

– Naprawdę. Powinnaś częściej wyznawać zasadę mniej to więcej. Pasuje ci to. Pod tym całym bronzerem ukrywasz świetną skórę, a proste spodnie i podkoszulek podkreślają twoją niezwykłą figurę. Powinnaś częściej tak wyglądać.

Zamiast wyśmiać taką opinię, Sera spojrzała zdziwiona.

– Naprawdę? – spytała, po raz pierwszy w życiu w pełni przyjmując do siebie komplement.

– Naprawdę – powiedziała Bella. – *Au naturel*, zwalasz z nóg.

Kiedy już każdy jeden okruch węglowodanów i tłuszczów został pochłonięty, odstawiły tacę na korytarz, żeby ktoś inny się nią zajął, i usiadły z powrotem na kanapach ze świeżymi bąbelkami w smukłych kieliszkach.

Sera omiotła wzrokiem nieskazitelny nie tak dawno apartament, który teraz przypominał pokój w akademiku.

– To miejsce jest jak chlew – powiedziała.

Bella zachichotała.

– Czynniki przejmowania się? Zero.

– Co w wiadomej sprawie? – Obie miały świadomość, że pyta o zaburzenia obsesyjno-kompulsywne Belli.

– Cóż, siostrzyczko, jak wiesz, przez lata się leczyłam. Zdecydowałam, że to już koniec.

– Co?! Zawsze byłaś wielką zwolenniczką terapii.

– Tak. I wciąż jestem. Ale na razie dość tego. Nastąpił przełom. – Bella uśmiechnęła się z niecierpliwością i usiadła twarzą do Sery.

– To się stało wtedy, gdy był ślub Curtisa. Cały dzień spędziłam w spa, wróciłam do pokoju, zrzuciłam rzeczy na podłogę, płakałam całą noc, a rano patrzyłam na tę stertę ciuchów i nie miałam potrzeby, żeby je uprzątnąć.

– Ty wariatko – zażartowała Sera.

– A potem je kopnęłam. I rozleciały się po pokoju. Szal wylądował w poprzek łóżka, pończochy na kubelku do lodu, majtki zwisały z żyrandola. Opróżniłam całą walizkę i wszystko rozrzuciłam.

– Niemożliwe. To nienormalne... to znaczy nienormalne dla ciebie.

– Tak, niezwykle, ale bardzo wyzwalające. Jeszcze wyrzuciłam wszystko z kosmetyczki w łazience. I nawet wycisnęłam pastę do zębów do umywalki. A potem oczywiście

pozrywałam ręczniki z wieszaków. A wiesz, że muszą zawsze wisieć w równym rzędzie.

– Faktycznie, wiem – przyznała Sera.

– I przez cały czas się śmiałam. To nie był taki złowieszczy, histeryczny śmiech; to swego rodzaju eksperyment. Żeby zobaczyć, czy mogę to zrobić i czy robi to na mnie wrażenie. I nie zrobiło. W ogóle się nie przejmowałam. Nic się nie stało. Niebo się nagle nie otworzyło ani nic z tych rzeczy. Oczywiście musiałam zostawić pokojówce duży napiwek, ale oprócz tego nic.

– To świetnie! Jestem pod wrażeniem!

– Potem – nie uwierzysz – nie chciało mi się wszystkiego układać. Siedziałam na kanapie i wegetowałam, a kiedy już musiałam wyjść, wrzuciłam wszystkie rzeczy do walizki. No dobrze, zwinęłam je trochę. Ale nie miało to nic wspólnego ze zwykłym pedantycznym pakowaniem.

– Dobra dziewczynka! – zachichotała Sera, myśląc o Belli z bałaganem w walizce. – Czy te cuda ustaną?

Siedziały i wpatrywały się w przestrzeń, myśląc o tym, jak długą drogę przebyły ich relacje w tak krótkim czasie. W końcu Sera przemówiła.

– Wiesz, zawsze byłaś dla niego za dobra – powiedziała cicho.

– Tak, wiem – odpowiedziała Bella i energicznie stuknęły się kieliszkami.

Członkowie kółka dziewiarskiego spotkali się, żeby pomóc Mallory w jutrzejszym powrocie do domu po tygodniu spędzonym w szpitalu. Jacqueline, Sam i Chantrea czekali już w korytarzu, kiedy dotarła tam Sera. Uściskali się serdecznie. Cieszyli się, że przyjaciółka szybko wraca do zdrowia.

Weszli razem do jej pokoju, jak zwykle ścisząc głosy i przyoblekając spokojny i życzliwy wyraz twarzy dla wyczerpanej nadmiarem emocji Mallory.

Powitał ich nadspodziewanie przyjemny obraz. Mallory siedziała w wózku inwalidzkim. Przebrała się w modną, zapinaną na suwak bluzę z kapturem w ostrym odcieniu różu. Na twarzy miała makijaż, a włosy błyszczące i uczesane.

– Mallory! Nie wierzę! Wyglądasz absolutnie fantastycznie. – Sera była przy niej pierwsza i pochyliła się, obejmując jej szczupłe ciało.

Inni podchodzili kolejno, ofiarując podarunki, cmokając w policzki, nie mogąc dać wiary takiej przemianie fizycznej.

Mallory uśmiechała się do przyjaciół.

– Wrócił do mnie – powiedziała z dumą, jakby co najmniej zwyciężyła w biegu maratońskim. – Wciąż mnie chce! – Twarze przyjaciół się wydłużyły. – Nie rozumiecie? Wybrał mnie, a nie tę małą dziwkę!

– Mallory – powiedziała Sera z taką łagodnością, na jaką ją było stać. – Jesteś pewna, że to dla ciebie dobre?

Spędziła całą noc, słuchając jej płaczu, patrząc jak ból, udręka, zdrada niszczą jej wątłą duszę. Nie mogła uwierzyć, że w tak krótkim czasie przyjaciółka mogła zrobić tak duży zwrot i wrócić do męża.

– Oczywiście, że tak. Mówił, że bardzo przeprasza, że Tilly i ja jesteśmy najważniejsze na świecie i że nie ma zamiaru nas zostawiać. I że z nią zrywa. Przyjedzie po mnie jutro i zabierze

mnie do domu.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy ty jesteś nienormalna? – Myśli pozostałych wyraziła Chantrea.

– Ale Chantrea... kochanie? – zdziwiła się Mallory. – Nie widzicie tego? Wygrałam! Zakończył romans. Już po wszystkim; wracamy do normalności.

Sam nie mógł się powstrzymać. Mallory była taką cudowną osobą, a Vince najwyraźniej jest dupkiem.

– Sądzę, że nie powinnaś tego robić. A przynajmniej daj sobie czas na przemyślenie – prosił.

– Sam, siedziałam tu godzinami i się zastanawiałam. Co jeszcze mogę zrobić, na litość boską? – odpowiedziała, wskazując ręką połamaną nogę. – Nie bardzo mogę iść na tańce albo na miły spacer.

Przełknęła gorycz rosnącą jej w gardle zdeterminowana, żeby utrzymać dobry nastrój.

– Oczywiście, że myślałam o tym, w kółko i w kółko, i wiem, że się o mnie martwicie i chcecie dla mnie jak najlepiej. Nie mogę zostać sama, nie widzicie tego? Nie miałabym pojęcia, jak żyć samotnie. Potrzebuję Vinca. I – oznajmiła z dumą – on też mnie potrzebuje.

Jak zawsze pragmatyczna Jacqueline z doświadczenia wiedziała, że niewiele można zrobić, żeby przekonać zakochaną kobietę do czegokolwiek, co ma sens.

– Cóż – powiedziała – gratuluję ci, kochanie. Mam nadzieję, że będziecie oboje szczęśliwi. – I pochyliła się, żeby przytulić przyjaciółkę.

Chantrea straciła zimną krew. Złapała Jacqueline za ramię i wyciągnęła ją na korytarz. Inni składali Mallory nieszczerze gratulacje.

– Co ty, do diabła, robisz? Dlaczego jej gratulujesz? To jakby gratulować komuś, u kogo właśnie zdiagnozowano śmiertelną chorobę. Jak możesz to robić? – Chantrea była wściekła.

Kilka miesięcy temu Jacqueline inaczej zareagowałaby na

gniew Chantrei, ale teraz widziała, że ten atak nie ma nic wspólnego z jej osobą.

– Chantrea, wiem, jak się czujesz, to bardzo frustrujące.

– Masz rację, kurwa, to jest frustrujące. – Chantrea rozejrzała się, jakby szukała czegoś, w co ma kopnąć.

– Uspokój się, takim zachowaniem nikomu nie pomożesz.

Oddychaj głęboko.

Chantrea popatrzyła na nią zdumiona. Oczekiwała, a pewnie nawet pragnęła kłótni; chciała rozładować złość. Zamiast tego, zgodnie z radą Jacqueline, wzięła kilka głębokich oddechów i od razu lepiej się poczuła.

– Jedyne, co możemy zrobić, to być przy Mallory, kiedy to znowu się posypie. To wszystko. Nie możemy powstrzymać tego, co nieuniknione; ale bądźmy blisko, żeby ją złapać, jak znów upadnie.

– Ale to takie niepotrzebne, Jacqueline – powiedziała Chantrea. – Nie musi znów upadać. Czy ona tego nie widzi?

– Chyba oczywiste, że nie widzi tego, co dla nas jest zupełnie jasne. Ale nie możemy jej mówić, co ma robić albo jak ma się czuć. Musimy tylko być przy niej, żeby pozbierać rozrzucone kawałki, kiedy wreszcie się ocknie.

– Tak, już rozumiem. – Chantrea westchnęła głęboko. – Przepraszam za mój wybuch.

– Nie ma sprawy. Chodźmy do promiennej panny młodej.

– ...i wiecie, gdzie mnie zabiera za parę tygodni, żeby to uczcić? – usłyszały Mallory paplającą do innych.

– Gdzie? – spytała Sera, starając się brzmieć w miarę entuzjastycznie.

– Na narty! On uwielbia narty.

Chantrea spojrzała na zagipsowaną od palców do biodra nogę.

– Jakie to miłe z jego strony – odpowiedziała, rzucając Jacqueline szybkie spojrzenie.

Zniebieskiego kabrioletu Nissan 300 ZX rozlegały się bębniące dźwięki piosenki Destiny's Child puszczonej na cały regulator. Sharee gwałtownie skręciła na wolne miejsce parkingowe i wyłączyła silnik, jednocześnie wyciszając muzykę ku uldze dwóch starszych pań czekających na przystanku autobusowym.

Sharee, jej włosy i torebka opuściły samochód, ukazując przy tym nogi tak cienkie, jak unoszące je szpilki. Trzasnęła drzwiami i wpadła do pubu. Była w paskudnym nastroju. Vince zadzwonił godzinę wcześniej ze złowrogim „Musimy pogadać”. Wiedziała, o co chodzi. Wiedziała, z czym wyskoczy ten posłuszny mężuś, jej bilet do lepszego świata.

Teraz, kiedy żonka była w szpitalu, miała pewność, że Vince będzie chciał się wykręcić z ich ustaleń. A tak dobrze wszystko zaplanowali. Vince miał zostawić tę głupawą Mallory i zainstalować Sharee w fantastycznym apartamentowcu; do tego prywatna masażystka, plazma i wakacje w Vanuatu.

Sharee Burns sukcesywnie podwyższała standard zamożnych mężczyzn, z którymi się spotykała, od kiedy miała osiemnaście lat. Pierwszy był tylko kierownikiem w firmie ubezpieczeniowej, ale pensję miał całkiem niezłą. Jednak zanim zdołała rozbić jego małżeństwo, żona wszystkiego się domyśliła i przepisała rodzinne dobra na siebie, a potem wzięła go do sądu, żeby wydusić jeszcze więcej. Został z takimi alimentami i takim bagażem emocjonalnym, że do niczego się już nie nadawał. Sharee szybkoitko go rzuciła.

Klapnęła przy barze i głośno sączyła przez słomkę malinową wódkę, robiąc przegląd gości. Nie zaszkodzi popatrzeć.

Jej kolejny podbój wydawał się bardziej obiecujący: bogaty i całkiem młody, prowadził wielką firmę. Należała do jego rodziny, więc miał każdą zabawkę, o jakiej można by pomarzyć: wspaniałą



posiadłość w Port Douglas, jacht i oczekiwanie ogromnego spadku. Ale kiedy wkurzyła jego narzeczoną, Alice, wkurzyła również całą rodzinę, a skostniała matrona zabrała mu pieniądze i zabawki szybciej, niż mógł wymówić słowo „spadek”. Na drodze miłości nauczyła się bezcennych prawd: nie zadzieraj z rodziną i sprawdź, do kogo należy majątek.

Wydawało się, że Vince będzie odpowiedni – ostatni rzut na taśmę, żeby złowić grubą rybę, zanim osiągnie ją trzydziestka. Vince oznaczał dla niej złotodajne poletko i żadna żona z połamanymi nogami nie zepsuje jej planów.

Oczywiście, wiedziała, że może być problem od chwili, gdy Vince domyślił się, że Mallory widziała ich w jacuzzi. Zupełnie poszarzał na twarzy, kiedy zauważył koszyk piknikowy w kuchni i buty tej głupiej suki na parkingu. Próbowwała odwrócić jego uwagę, spontanicznie wpychając mu rękę w spodnie, ale zwyczajnie ją odepchnął.

Od czasu, gdy ta durna krowa rozbiła się na ciężarówce, spotykali się tylko na szybkie numerki. Sharee miała świadomość, że jej dni są policzone. Na szczęście kilka miesięcy temu w porę zainwestowała w mały pakiet ubezpieczeniowy, przestała używać kapturka. Od dłuższego czasu wiedziała, że jest w ciąży, ale czekała, żeby mu to ogłosić w najbardziej korzystnym dla siebie momencie. Ta chwila właśnie nadeszła. Jest uzbrojona i gotowa do działania. „Niech tylko spróbuje mnie rzucić. A zgotuję mu największy pieprzony szok w życiu”, myślała.

Vince jak zwykle wszedł do pubu, gadając przez telefon. Jego ulubione okulary przeciwsłoneczne w stałej pozycji na czubku głowy, fioletowa koszula przyozdobiona dobranym krawatem. Musiała przyznać, że świetnie się ubierał. Wystylizowane żelazem włosy tworzyły modny nieład.

– Witaj, mała – powiedział i cmoknął ją w policzek. – Jim Beam z colą. Dziękuję, stary – rzucił do barmana. – No i jak tam, psotny kotku? – Wpatrywał się w jej dekolt.

– Super, misiu. A u ciebie? – Uśmiechnęła się czarująco, zadowolona, że pamiętała, żeby odpiąć dwa górne guziki i

odsłonić nowy koronkowy biustonosz La Perli unoszący piersi, który teraz przyciągał jego uwagę.

– Dużo pracy, kotku, bardzo dużo pracy. Poważny klient z Hongkongu skubie właśnie przynętę. Duży interes. Chce zupełnie nową Boadiceę. Po czymś takim mógłbym przejść na emeryturę.

– Boadicea? Przecież nie mamy takich jachtów – powiedziała.

– Oczywiście, że nie mamy! Kosztują po pięćdziesiąt milionów dolarów! Amerykańskich! Nie wspominając już o długości ponad dwudziestu metrów. Nie zmieściłaby się w naszym doku, nie mówiąc o salonie wystawowym.

– To dlaczego klient rozmawia z tobą, jeśli nie masz łodzi?

– Ale on o tym nie wie, prawda? – odpowiedział Vince. – Muszę tak się starać, żeby myślał, że ją mam, dopóki jej nie załatwię.

– Dlaczego po prostu nie skierujesz go do sprzedawcy, który ma taki jacht? – spytała Sharee.

– Bo to nie włoży mi do kieszeni trzech milionów prowizji, no nie? Chryste, nie masz zielonego pojęcia o interesach. – Spojrzał na nią i przekazał gestem barmanowi, że potrzebują dolewkę.

– Teraz, kotku, musimy porozmawiać. Biorąc pod uwagę sytuację z Mallory, to nie najlepszy czas... – zaczął.

Sharee zastopowała go w przedbiegach.

– Tak się cieszę, że chciałeś się dzisiaj ze mną zobaczyć. Mam wspaniałą wiadomość, ty szelmo. Wiem, że będziesz zachwycony.

Vince, zbity z tropu jej wylewnością, rozproszył się na chwilę.

– Co to takiego?

– Jestem w ciąży.

Orzeszek, który właśnie podrzucił, spadł i wylądował mu w gardle. Zakrztusił się. Zamurowało go. Upił drinka, żeby przepłukać usta i wychrypiał: – Co?

– Jestem w ciąży! Już prawie cztery miesiące! Czy to nie

wspaniale?

– Ale nie możesz być. Miałem wazektomię. – Pokręcił zdezorientowany głową.

Teraz naprawdę to spieprzyła. Sharee miała w głowie chaos. Przykleiła do twarzy uśmiech, starając się znaleźć rozwiązanie dla tej niespodziewanej sytuacji. Cholera, cholera, cholera!

– Oj, mój drogi – powiedziała w końcu. – Czy coś mogłoby powstrzymać twoich malutkich zwinnych pływaków? –

Wyszczrzyła się do niego i wczepiła w biceps. Jeśli kiedykolwiek był czas, żeby mu schlebiać, to właśnie teraz. – Jesteś niezwykłym facetem. Słyszałam, że zdarzają się takie rzeczy. Podobno nawet dość często w przypadku bardzo męskich osobników.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem.

– Na pewno! Jak parę drobnych cięć mogłoby powstrzymać twoją siłę? – kontynuowała, zanim mógł zebrać myśli. – Nie widzisz? Tak miało być, jesteśmy sobie przeznaczeni. To dziecko to cud. Och, ty mój opiekunie, ty bohaterze. – Położyła dłonie na brzuchu i westchnęła radośnie, pewna, że zaraz zupełnie go pograży. Wiedziała, że to będzie duża wygrana. – I po prostu wiem, że to będzie chłopiec.

Podziałało. Cały nad nią się rozpląwał. Siedzieli przy barze przez następną godzinę: planowali, rozmawiali i śmiali się; starali się wyczuć ruchy płodu; gadali o przedszkolach i szkołach, położnikach i porodach w wodzie.

Kiedy Vince zostawiał matkę swojego nienarodzonego dziecka, wirowało mu głowie. To prawda, to był cud. Czas iść do przodu. Był to winien tej kobiecie i swojemu małemu synkowi. Mallory da sobie radę. Till była już przecież prawie dorosła. Pora na nowy start. Przekaze tę wiadomość swojej starej rodzinie czysto i prosto. Zedrze to jak plaster. Na pewno na początku przeżyją szok, ale poradzą sobie. W końcu najważniejsze jest szczęście. Jego szczęście.

Mallory po raz pierwszy doceniła otwartą przestrzeń w swoim domu z przyczyny innej niż estetyczna. Nie była przyzwyczajona do poruszania się nieporęcznym wózkiem inwalidzkim po szerokim holu z przodu domu, a modne duże wejście było czystym błogosławieństwem.

Vince zamknął drzwi i rzucił jej szpitalną torbę na fotel w salonie.

Dzięki ciężkiej pracy Sery dom lśnił czystością. Podłogi błyszcząły i wszystko było dokładnie wysprzątane. Sera wspomniała, że wpadła umyć naczynia, jednak wyglądało na to, że nieźle się naharowała. Nie było tu tak czysto od lat. A, czego Mallory jeszcze nie odkryła, lodówka była pełna domowych potrawek i sosów do makaronu, a półki uginały się od wypieków życzliwych sąsiadów, przyjaciół i znajomych ze szkoły Tilly.

Vince poprowadził wózek do kuchennego stołu ze szklanym blatem i odstawił na bok jedno z krzeseł. Kiedy mijali schody, zauważyła swoje odbicie w wielkiej lustrzanej ścianie. Westchnęła zszokowana. Szykując się tego ranka w szpitalu, myślała, że jak na swój stan wygląda zupełnie nieźle. Ale z dala od poranionych, chorych i starych, z powrotem we własnych pieleszach, nie mogła uwierzyć w to, co mignęło jej przed oczami.

Naprawdę była inwalidką. Twarz pozbawiona życia, zapadnięte oczy, a siniaki żółcące się pod rozcięciami i bliznami nadawały jej bardzo zgorzkniały wygląd. Złamana ręka była zamknięta w gipsie od czubków palców do ramienia, a złamaną nogę trzymała wyprostowaną przed sobą.

Dziwnie było znaleźć się w domu. Mallory denerwowała się, była bezbronna i nie wiedziała, jak sobie poradzi. Nie miała pojęcia, gdzie będzie spać, jak zająć się Tilly, jak zrobić pranie czy iść do toalety bez pomocy pielęgniarek, do których się przyzwyczaiła.

Oczywiście, wiedziała, że może liczyć na przyjaciół, a Tilly, która była już dużą dziewczynką, na pewno też okaże się pomocna. Ale najważniejsze, że Vince był przy niej. Był wciąż jej, był w domu i miał zamiar pomóc jej przejść przez ten potworny okres.

A teraz był w kuchni: jest taki fantastyczny, wstawiła wodę na herbatę, przygotowuje ciasto, które pojawiło się w magiczny sposób. Uśmiechnęła się do niego, ale on opuścił wzrok, kiedy tylko ich oczy się spotkały. Wziął jej torbę i fachowo ją rozpakował, wrzucając brudne rzeczy do pralki, a pozostałe zanosząc na górę. Słyszała, jak chodzi po piętze, odsuwa i zasuwana szuflady. Będzie bezpieczna w rękach swojego mężczyzny, wiedziała o tym.

Jej myśli poszybowały i zaczęła w głowie projektować swoje następne dzieło, może coś z drewna wyrzuconego przez morze na ścianę w kuchni. Vince zszedł na dół i zajął się robieniem herbaty. Przyniósł jej filiżankę, czasopismo i kawałek ciasta orzechowego.

– Skąd to ciasto? – zapytała, skubiąc kawałek.

– Od tej starej, co mieszka przy końcu drogi, obok kwaciarni – powiedział. – Ostatnio było tu zwariowane lotnisko. Bóg jeden wie, skąd wszyscy się dowiedzieli, że wracasz do domu, ale pieprzony dzwonek nie przestawał dzwonić i wszyscy przynosili jakieś jedzenie. Zastanawiałem się, czy nie wystawić znaku, żeby wsadzili sobie te wszystkie starania. Nie można było usiąść na pięć minut.

– Ale to takie miłe, że się troszczą. Kto przychodził? Chciałabym im podziękować.

– Nie znałem mniej więcej połowy. Ale daj spokój z nimi. Jak ty się czujesz? Potrzebujesz czegoś na ból?

– Nie, kochanie, czuję się dobrze, dziękuję. I bardzo dziękuję za dzisiaj, byłś cudowny.

– No cóż, zrobiłem herbatę, rozpakowałem torbę, więc tyle tu po mnie. Czegoś jeszcze ci potrzeba?

Mallory popatrzyła na męża z wąłym uśmiechem.

– Tylko ciebie – powiedziała cicho.

– A tak, przejdźmy do tego. – Vince zaczął nagle wyglądać

zdecydowanie niekomfortowo. Stanął tyłem do Mallory i oparł się na zlewie przy oknie z widokiem na basen i kort tenisowy. – Obawiam się, że mam raczej złą wiadomość.

Mallory spojrzała na niego ze zmrozoną twarzą.

– Bardzo mi przykro, że ci to robię, Mallory. Jesteś świetną dziewczyną i tak dalej, ale zmuszony jestem postąpić właściwie z uwagi na mojego syna. – Oddalił się z jej pola widzenia.

Mallory skamieniała. Z jej ust wydobył się jedynie pytający bulgot. Starła się odwrócić w jego stronę głowę, ale gips na ramieniu uniemożliwiał jej ruchy.

– Nie powiedziałem tego do końca jasno, prawda? – Znowu pojawił się przed jej oczami. – Sharee jest w ciąży i muszę z nią zostać. I być ojcem dla mojego synka. Wiesz, że zawsze chciałem syna, a ty nie mogłaś mi go dać. Więc to cudowne, że teraz go mam.

– Ale przecież miałaś wazektomię. Mogliśmy mieć syna. Ja chciałam dużo dzieci! – Mallory nie wiedziała, co się dzieje.

Miała świadomość, że skupia się na drobiazgach, ale nie mogła zmierzyć się z tym, o czym naprawdę jej mówił.

– Tak, z twoją rodziną, w której rodziły się same dziewczynki... Nie potrzeba mi było babinca w domu! – Uśmieł się ze swojego żartu. – Otóż wygląda na to, że jeden z moich pływaczków się przedostał. Prawdziwy cud.

Rozpaczliwe tłumaczenia Mallory zostały uciszone. Teraz tylko patrzyła na tego obcego człowieka.

– O cholera, zobacz, która godzina. Muszę lecieć. Mamy wizytę u położnika. Przepraszam, złotko. – Pochylił się i przepraszająco pogłaskał jej włosy, jakby była szczeniakiem, którego zostawia się na zewnątrz w deszczowy dzień.

I poszedł. Trzaśnięcie drzwi wejściowych niosło się po pustym holu i salonie.

Mallory siedziała jak posąg, a cisza wdzierła się we wszystkie kąty domu. Już nie było bólu. Odszedł. Mały głosik gdzieś w jej wnętrzu szepnął: „A nie mówiłam”.

Piętnaście minut później sięgnęła drżącą ręką po chłodną

herbatę. Nienawykła do precyzji lewa dłoń nie poradziła sobie z filiżanką. Strumień ciemnego napoju rozlał się po stole i spłynął na podłogę. Nie miała jak posprzątać.

Co? – Tony jedną ręką przyciskał słuchawkę, a drugą zatykał lewe ucho, żeby móc cokolwiek usłyszeć w tym hałasie. – Mama pilnuje dzieci! – krzyczał do telefonu. – Przychodź, jesteśmy w Royal, zaraz za rogiem. Pomimo głośnej muzyki udało mu się usłyszeć parę urywków usprawiedliwienia. – Poczekaj, Sera, wyjdę na zewnątrz. W ogóle cię nie słyszę.

Przepychał się przez tłum rozchwianych kufli. Wyszedł z pubu i stanął na wąskim chodniku.

– Przepraszam, kochanie, już lepiej. Może byś wpadła? Chciałbym cię zobaczyć. Wszyscy chłopcy tu są. Świętujemy zakończenie prac. Niektórzy wzięli ze sobą żony i dziewczyny.

Uniósł w górę oczy, słysząc długą listę powodów.

– Wyglądasz dobrze, Sera – zapewniał. – Wyglądasz pięknie... Nie musisz wcale układać włosów... Wrzucić na siebie jakieś dzinsy. To tylko pub.

Wiedział, że nie wygra tej bitwy. Nie było łatwo wyrwać jej gdzieś bez odpowiedniego wyprzedzenia, a zwłaszcza do pubu. Poddał się.

– No dobrze, kochanie, bardzo chciałbym, żebyś przyszła. Jeśli dasz radę, to świetnie. Już nigdzie razem nie wychodzimy. Teraz jest okazja. Dobrze, na razie, Kocham cię. – Rozłączył się z westchnieniem.

Mokrą ulicą przejechało szare volvo, spryskując jego dzinsy mgiełką wody. Czuł się samotny. Brakowało mu jej. Brakowało mu partnerki, dziewczyny, kogoś, kto by przy nim był. Już nie byli jednością, nie tworzyli zespołu. Zostało tylko dwoje ludzi żyjących pod jednym dachem – jak jacyś współlokatorzy.

Wszedł do środka i podszedł do baru. Coraz bardziej czuł, że Sera się od niego oddala. Za każdym razem, gdy ją całował czy próbował przytulić, ledwo to znosiła. Nie odtrącała go, to było bardziej subtelne. Brak entuzjazmu, kiedy brał ją w objęcia, łamał



mu serce. A on ją uwielbiał. Jest taka mądra, tak sprawnie organizuje swoje, nie, do diabła, życie ich wszystkich. I jest taka słodka. Należy do osób, o których nowo poznani ludzie mówią później: taka miła, taka czarująca, taka zachwycająca. I uśmiecha się tak ładnie, gdy coś ją ucieszy. Kiedyś ja ją cieszyłem.

Tony wiedział, że libido kobiet zmniejsza się po urodzeniu dzieci. Nie oczekiwał, że będą się kochać za każdym razem, gdy tylko się dotkną. Ale widział, że Sera czuje dyskomfort. Mógł wyraźnie odczytać sygnały, kiedy przytulał się do niej w łóżku, a jej niepodatne ciało sztywniało, wysyłając wszelkie możliwe wiadomości, że chce, żeby zostawiono je w spokoju.

A on chciał się tylko popieścić. „Czy proszę o zbyt wiele? Nie zawsze chodzi o seks. Wbrew powszechnej opinii mężczyźni mają i inne potrzeby”, pomyślał, kręcąc głową. Poczł się lekko oburzony swoją sytuacją. Chciał jedynie szacunku, uwagi, rozmowy: to proste, miłe elementy każdego związku. Choć nawet teraz czuł się nieźle podniecony.

W pubie Royal było czyste szaleństwo. Stoły do bilardu zatłoczone, piwo znikowało w gardłach tak szybko, jakby goście obawiali się prohibicji. Freddy i George, jego współpracownicy, zaprosili go na parę kresek koki w męskim kiblu.

Zaśmiał się.

– To nie dla mnie, chłopcy. Jestem ojcem rodziny, nie bawię się w takie rzeczy.

Dyskutował o kładzeniu podłóg ze swoim kumplem, Shanem Petersonem, i czuł się miło wstawiony. Wypił pewnie trochę więcej, niż powinien, co nie powstrzymało go przed powiedzeniem tak, kiedy jeden z chłopaków postawił przed nim kieliszek. Płonąca sambucca wstrząsnęła nim i przekształciła miłe rozluźnienie w uczucie oszołomienia.

Mężczyźni oparli się o wysoki okrągły stół pośrodku sali i oddali się głębokiej, poważnej rozmowie o kobietach, której żaden z nich raczej nie będzie pamiętał następnego rana. Nagle Shane wytrzeszczył oczy.

– Co do cholery...?! – wykrzyknął i odwrócił się. – A, to ty –

oskarżył niewielką platynową blondynkę, która właśnie uszczypnęła go w tyłek.

Włosy dziewczyny były upięte na czubku głowy, a pojedyncze pasma zwieszały się wokół twarzy i na szyi. Tony odgadł, że jest młoda. Nie tylko z powodu braku zmarszczek na twarzy, która obdarzała go teraz ładniutkim uśmiechem, oczekując prezentacji, ale i dziwnej aury, właściwej tylko osobom wierzącym w młodość. Obcisłe džinsy opinały jej biodra, a zwiewna bluzka odchyliła się, ukazując jędrne piersi. Niewielki kawałek pikowanego materiału kończył się tuż pod biustem, pretendując do miana kurtki.

– To jest Tony. Tony, to jest Taylah... Stara przyjaciółka.

– Raczej masz na myśli stara miłośniczka, Shane –  
zażartowała i wyciągnęła smukłą dłoń przedłużoną przez perłowe paznokcie.

– Miło cię poznać – powiedział Tony.

Taylah uśmiechnęła się i zatrzepotała w odpowiedzi doczepianymi rzęsami.

– Miło cię poznać, Tony. Shane, dlaczego ukrywasz przede mną najfajniejszych kumpli? Ten facet jest super.

– No co ty... – zachnął się Tony.

Rozkwitł, słysząc taką pochwałę, i szybko zdecydował, że stojąca naprzeciwko niego dziewczyna jest czarującą młodą damą.

Shane wymamrotał coś o koniu i zniknął. Tony uśmiechał się szeroko, prowadząc lekką rozmowę z prowokacyjną Taylah. Flirtowanie było dla Tony'ego niczym woda na młyn. Bawiły go uwodzicielskie potyczki słowne. A dużo czasu upłynęło, od kiedy ktoś tak atrakcyjny zwrócił na niego uwagę.

Sambucca i Bailey's, które kolejno wypili, znieczuliło mu ciało i nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, że wsunęła mu pod kurtkę rękę i obejmuje go w pasie. Bardzo współczuła mu bólu krzyża, który ostatnio się nasilił. I powiedziała, że ma na to najlepsze lekarstwo.

– Najważniejsza jest umiejętność radzenia sobie ze stresem – mówiła. – Musisz się zrelaksować. Wyrzucić stres na zewnątrz,

rozładować się.

– Naprawdę? – spytał zafascynowany taką głębią. – Zwykle idę do kręgarza.

– Nie, wierz mi, słodki chłopcze, jest zdecydowanie lepsza metoda rozładowania napięcia niż twoja. – Posłała mu spojrzenie pełne takiej żądy, że tylko martwy nie wyczułby insynuacji.

Tony'emu mocniej zabiło serce. Była taka seksowna.

– Nikt nie musi się dowiedzieć – powiedziała. – Zaslugujesz na coś dobrego.

Tak, zasługiwał.

– Tony – szepnęła mu do ucha – jest taki cichy pokoik na tyłach. Chciałbyś pójść tam ze mną?

Mała nimfetka oplotła potężne ramię Tony'ego na swojej talii i prowadziła go w kierunku schodów na tyłach pubu. Tony potknął się i przewrócił, ale z powrotem się podniósł.

– Sera! – Z drugiej strony pubu dobiegł krzyk. – Cześć.  
Wszystko w porządku?

Chłopaki uwielbiali Serę. Często, jeśli pracowali na budowie w pobliżu, przynosiła im jedzenie albo zgrzewkę piwa na koniec pracy. George i Freddy chwycili ją z radością i unieśli nad ziemię w mocnym uścisku.

– Sera, Sera, Sera! – śpiewali powitalną pieśń, a każdy członek załogi Tony'ego dawał jej całusa albo uścisk.

Shane podkradł się do Taylah.

– To żona Tony'ego – szepnął. – Przegrałaś.

– Cholera – powiedziała i wtopiła się w tłum, żeby namierzyć inny cel.

– Sera? – powiedział pod nosem Tony. Jego mózg starał się nadażyć za rozwojem sytuacji. – Sera! – wykrzyknął, kiedy wreszcie przez alkoholową mgłę dotarło do niego, że przyszła. Przepychał się tam, gdzie w otoczeniu kolegów stała jego żona. Rozstąpili się, żeby przepuścić szefa. Jego twarz rozświetlił wielki uśmiech i szeroko rozłożył ramiona, wytrącając szklanek z ręki niezadowolonego klienta. – Sera, przyszłaś! Przyszłaś!

– Cześć, pijaku. – Przyjęła jego słoniową zrećność ze śmiechem. – Co tu się dzieje?

– Tylko parę drinków z chłopakami. Tak się cieszę, że przyszłaś. Zaraz ci coś zamówię. Barman, kieliszek najlepszego chardonnay dla mojej żony! I kolejka dla chłopców! – Tony oparł się o bar i zawisł na żonie. – Cieszę się, że przyszłaś. Kurczę, dobrze wyglądasz.

– Też się cieszę, Tony. Jak praca?

– Praca świetnie, drinki po pracy świetnie, ja świetnie. Ale

dobrze wyglądasz.

– Wiem, Tony – powiedziała, poklepując go po plecach. – Właśnie to powiedziałeś.

– Ale tak jest – upierał się. – Zawsze tak jest. Jesteś wspaniała. I dajesz się lubić, wszyscy cię lubią. Wiesz to, prawda? Wszyscy. – Odwrócił się w stronę sali. – Kto kocha Serę? – wykrzyknął w tłum.

– MY! – odkrzyknął chór męskich głosów.

Tłuszcza była już wystarczająco pijana, żeby całym sercem kochać wszystkich.

Szafa grająca przestała oddawać hołd INXS i ktoś z lepszym gustem muzycznym przejął stery. Zabrzmiało *Bulevard of Broken Dreams* Green Day.

– Pamiętasz to? – Tony złapał Serę za rękę i patrzył jej z powagą w oczy. – Pamiętasz? Chodź, zatańcz ze mną.

Objęli się, a ich ciała bujały się w takt piosenki, która tak wiele dla nich znaczyła przed dziewięcioma laty.

W dniu, kiedy się poznali, w 2000 roku, Tony jako ostatni zgłosił się do odprawy samolotu. Długie, czarne kosmyki wchodziły mu do oczu, policzki miał zaróżowione po biegu z baru na drugim końcu terminalu, żeby zdążyć na lot z Hobart do Sydney.

– Przepraszam bardzo – powiedział do stewardesy, przekładając z ręki do ręki laptop i brązową zamszową kurtkę i szukając w kieszeniach karty pokładowej. Rzucił jej zuchwały uśmiech. – Byłem tak pochłonięty rozmową ze starym górnikiem w barze, że nie mogłem się od niego uwolnić.

Udało mu się w końcu namierzyć nieco wymiętoloną kartę pokładową w tylnej kieszeni dzinsów.

– Oj, wygląda tak, jakbym jej używał zamiast podkładki pod piwo. – Zaśmiał się ponownie.

– Proszę się nie martwić, proszę pana – powiedziała Sera. – Pańskie siedzenie nietrudno będzie znaleźć: to jedyne wolne miejsce.

– O kurczę, czy wszyscy długo na mnie czekali?

– Proszę się nie martwić – powtórzyła, zachowując profesjonalną postawę. – Jeśli mógłby pan zająć już swoje miejsce, kapitan będzie mógł zacząć lot.

Tony zauważył, że wpatruje się w jej usta, patrzy, jak poruszają się, kiedy mówi.

– O, tak, oczywiście, już to robię – powiedział, biorąc się w garść.

Przeciskając się korytarzem do swojego miejsca, czuł się trochę podniecony i zakłopotany. Obarczał winą guinnessa. Kiedy zaświecił się sygnał, żeby zapiąć pasy, wrzucił kurtkę na półkę nad głową, precyzyjnie się do okna przez kolejnych dwóch pasażerów i położył laptop pod poprzedzającym fotelem.

Sera z nieruchomą twarzą przedstawiała pasażerom zasady bezpieczeństwa podczas lotu. Włosy ujarzmione przez spinki i lakier i te usta ukryte za fasadą czerwonego błyszczycy. Tony widział w myślach zakwitający na jej twarzy uśmiech, złociste włosy opadające miękko na ramiona i te usta, ach, te usta. Zdecydował wtedy, że ma misję do wypełnienia. Wywoła uśmiech na twarzy tej pięknej dziewczyny – nie służbowy uśmiech linii Air Australia, ale prawdziwy, tylko dla niego, i to przed końcem lotu.

Serce Sery waliło tak mocno, kiedy chłopak z czarnymi lokami wszedł na pokład, że była pewna, że to usłyszy, mimo profesjonalnego tonu, jaki starała się zachować. Było coś ujmującego w jego nieporządnej fryzurze, oczach w kolorze kakao, a nawet jego zapach powodował przyjemny dreszczyk.

Nie silił się na subtelności i wykorzystywał każdą okazję, żeby ją rozśmieszyć.

– Orzeszki? – spytała, serwując napoje.

– Nie, są raczej jak piłeczki tenisowe – odpowiedział.

Uroczę próby zdobycia jej uśmiechu działały, ale tylko w jej wnętrzu. Nie mogła tak łatwo się poddać. Całą siłą woli starała się zachować profesjonalny chłód. Parę razy pobiegła do kuchenki przyłożyć do rozpalonych policzków chłodną chusteczkę i pooddychać głęboko.

Wielu pasażerów próbowało ją podrywać w przeszłości. To

jeden z minusów tej pracy. Zaakceptowała nawet kilka zaproszeń na obiad, a jedno z takich spotkań przerodziło się w krótki związek. Ale nigdy nie czuła czegoś podobnego.

Po wylądowaniu Tony stał i zbierał swoje rzeczy. Był całkiem pewien, że pod powierzchnią kryje się ktoś lubiący żarty i pyskaty – widział ten błysk w oku, kiedy udawała, że nie zauważa jego dowcipów. Ale nie udało mu się rozbić tej profesjonalnej skorupy. Na razie.

Ostatnia szansa; stała w drzwiach, jak automat powtarzając pasażerom słowa pożegnania:

– Dobranoc, dziękujemy, że wybrali państwo Air Australia. Dobranoc, dziękujemy, że wybrali państwo Air Australia.

Dla niego zmieni tę formułkę, myślał, dochodząc do drzwi. Czy coś się już nie wydarzyło między nimi?

– Dobranoc, dziękujemy, że wybrali państwo Air Australia – powiedziała do niego.

Opadły mu ramiona. Nie trafił do niej. Przygnębiony wyszedł z samolotu, kierując się do rękawa.

– Przepraszam pana? – Odwrócił się na dźwięk jej głosu. Przywitała go ta sama maska profesjonalizmu. – Upuścił pan kartę pokładową – powiedziała i wyciągnęła w jego stronę kawałek papieru.

– Och, to nie moja – zaczął, ale zauważył napisany na górze numer telefonu.

Wziął kartę i spojrzał na dziewczynę.

Uśmiech na jej twarzy był tak szczery, czysty i obiecujący, jak sobie wyobrażał. Stał tam oniemiały, trzymał kartę i uśmiechał się do niej.

– Dziękujemy, że wybrał pan Air Australia – powiedziała, ale tym razem z odrobiną radości i ciepła.

W zasadzie przefrunął przez halę przylotów.

Miejsce odbioru bagażu było jak karuzela w lunaparku, samoloty jak gołąbki, a kolejka taksówek wydała mu się łańcuchem stokrotek.

Kiedy tylko dotarł do domu, wykręcił drżącymi palcami

numer zapisany na karcie pokładowej.

Gdy tego wieczoru Sera weszła do baru Fringe, jak zwykle był tam tłum imprezowiczów. Powinna była pewnie zaproponować bardziej intymne miejsce, ale zanim pozwoli na to, żeby rozwinął się z tego jakiś związek, musi się upewnić, że jej rozum zgadza się z ciepłym uczuciem w sercu. W końcu ten Tony to zupełnie obcy człowiek.

Muzyka dudniła, ludzie skakali – zupełnie jak jej puls. Nigdy wcześniej nie była tak zdenerwowana przed randką. Co takiego było w tym facecie, że jest taka roztrzęsiona?

Miała już dosyć samotnego życia, ale od wielu miesięcy nie starała się znaleźć partnera. Nie było to warte zawodów i rozczarowań. Wiedziała, że zniechęcą się, jak tylko zobaczą jej bliznę. Cierpiała, idąc przez życie samotnie. Ale może teraz będzie inaczej?

Jej wzrok instynktownie podążył do stolika w rogu przy oknie. Właśnie wtedy popłynęły pierwsze słowa hitu Green Day.

A oczy Sery spotkały się z oczami Tony'ego. Podeszła i obydwójce zaczęli mówić w tym samym czasie.

– Właśnie myślałem o tej piosence!

I tak stała się ich piosenką, a Green Day ich zespołem.

– Pamiętasz, Sera? Pamiętasz? – Tony miał przymknięte oczy, a jego głowa zwieszała się na ramieniu Sery.

– Pamiętam, kochanie – zamruczała spokojna w jego bezpiecznym uścisku.

– Do diabła, Sera! – Jego nastrój zmienił się w sposób typowy dla osób pod wpływem. Złapał ją za ramiona i odsunął. – Co się z nami stało? Było tak idealnie, tak dobrze. Co się stało?

– Nie rób tego, Tony. Nie teraz, nie tutaj – prosiła.

– To kiedy, Sera, kiedy? Pomędzy twoimi cholernymi manikiurami? Dasz radę mnie zmieścić?

Sera rozejrzała się wokół. W ich stronę kierowano zainteresowane spojrzenia; ucichły rozmowy.

– Tony – powiedziała tak spokojnie, jak mogła – chodźmy do



domu, tam porozmawiamy.

– Nie, Sera, to nie ma sensu, nic już do mnie nie czujesz. A Talyah tak. Talyah myśli, że jestem seksowny.

– Kto to jest Talyah? – Głos Sery był zimny jak lód.

Talyah, będąca świadkiem sceny, zrobiła krok do tyłu i ukryła się za plecami dwóch ochroniarzy, którzy stali blisko.

– Nie ma znaczenia. To nikt taki! A co z tym Samem? Spędzasz z nim więcej czasu niż ze mną.

– Tony, gadasz bez sensu. – Serę zaczął ogarniać gniew. Nie tak wyobrażała sobie wieczorne wyjście. – Ja wychodzę. Idziesz ze mną?

– Nie, mam dość. Rzygać mi się chce, że muszę tylko usługiwać w domu. Zostaję z kumplami, przynajmniej ich obchodzę.

Sera spojrzała na zwisające pijackie szczęki i świecące naćpane oczka Freddy’ego i Georga.

– No to super, Tony. Baw się dobrze.

– I będę, Sera. A ty lepiej poważnie o nas pomyśl, bo ja mam dosyć tego gówna!

Wzięła płaszcz i poszła do drzwi. Odwróciła się, żeby jeszcze raz spytać, czy pójdzie do domu, ale był już przy barze i zamawiał whisky.

Sera wyobrażała sobie, jaką założy sukienkę, jaki nekrolog ukaże się w gazetach, a nawet jaka muzyka będzie na pogrzebie Tony'ego.

– Och, do cholery! – krzyknęła głośno i odrzuciła kołdrę, nie mając już nadziei na sen.

Gdzie on, do diabła, jest?

Powłokła się do kuchni zrobić kawę bezkofeinową. I kto to, cholera, jest Talyah? Co w niego dzisiaj wstąpiło? Po raz setny zadawała sobie to pytanie. Przeniosła się do salonu i spojrzała przez okno na czarne niebo.

Cała półkula jest pogrążona we śnie, a ona czeka. Ale na co? Na gliny, które zapukają do drzwi i powiedzą, że wydarzył się straszny wypadek? Na męża, który wróci i powie, że od niej odchodzi? Na to, żeby świat się zawalił? Nie wiedziała, co ma się stać, ale była na to przygotowana; gotowa wybuchnąć, gotowa zareagować.

Wróciła z pubu w paskudnym nastroju, trzasnęła kuchennymi drzwiami, nie zważając na śpiące dzieci i Joan, i nałała sobie wielki kielich białego wina. Tony zachował się jak kutas. Jak może tak się upijać i rzucać w nią oskarżeniami? I kto to, do cholery, jest Talyah?

Jej wściekłość szybko została zastąpiona przez obawy, przewłaszczone potem przez poczucie winy. To jej wina. Rzuciła się na zniszczoną sofę i gapiała na świecące fioletowo pręty starego elektrycznego grzejnika. Ostatnio była dla niego taka oschła. Nie, kurwa! To jego wina: jak może być poza domem przez całą noc i pozwalać jej tak się zamartwiać? Zabije go.

Wzięła głęboki oddech i próbowała medytować. Taki nadmiar emocji może wywołać wrzody. Ale niewiele na to pomoże. Tyle złego działo się teraz w jej życiu; jakby wszyscy wokół się zmówili. Matka była do niczego, dopiero udało się

wyjaśnić problemy z siostrą, a teraz mąż zachowuje się jak kompletny skurwysyn! Co takiego zrobiła, że zasłużyła na tyle cierpienia?

Znad kominka uśmiechał się do niej rząd fotografii: dzieci; ona i Tony w dniu ślubu, tak bardzo w sobie zakochani; ona i Bella na trzydziestych urodzinach siostry, patrzące na siebie z uczuciem. Wpatrywała się w zdjęcia przez parę minut, wspominając chwile i ludzi, którzy wzbogacili jej życie. Bezruch w domu napępiał ją niepokojem, łzy spływały po policzkach. Miała szczęście; prawdziwe szczęście. Dzieci, mąż, siostra, przyjaciele – i tak, nawet rodzice – kochali ją i troszczyli się o nią. Tak głęboko pograżyła się w swoich niedorzecznościach, że straciła poczucie tego, co naprawdę było ważne w jej życiu. Winiła wszystkich za własne niezadowolenie. Na policzki wypłynął jej gorący, czerwony strumień wstydu. Zachowywała się jak rozwyrzony dzieciak w sklepie z zabawkami.

Biedna Bella próbowała się tylko uwolnić z kajdanów macierzyństwa, które jej narzucono i które musiała tak długo nosić. A ona się bała: bała się odpuścić, bała się, że jeśli nie będzie Belli pochylającej się nad każdym jej problemem, nie będzie miała się do kogo zwrócić.

– Boże, muszę wreszcie dorosnąć – szepnęła do siebie, przerażona nagle świadomością, w jaki sposób zachowywała się wobec najbliższych.

Westchnęła głęboko. Nadszedł czas, żeby stać się poważnym i przejąć trochę odpowiedzialności za własne życie. Ogarnął ją lęk, czy aby nie jest za późno, aby uratować jej małżeństwo.

Podskoczyła na dźwięk samochodu. Tylko ktoś przejeżdżał. Opadła z powrotem na sofę i podniosła słuchawkę. To nie ma sensu, bo znów włączy się poczta, tak jak przez całą noc. Rzuciła ją na kanapę.

Fala strachu podeszła jej do gardła. Mało nie zalała się łzami w panice. Jednak to uczucie szybko przerodziło się w gniew – przypomniała sobie, jaka jest na niego zła za to, że musi się tak denerwować. Była zupełnie zdezorientowana.

Wspomniała wydarzenia wieczoru. Kiedy Tony zadzwonił i upierał się, żeby rzuciła wszystko i przyszła, była naprawdę wkurzona. Przez cały dzień marzyła o tym, żeby wcześniej się położyć, z pilotem do telewizora i filiżanką w ręku. A Tony pstryknął palcami i spodziewał się, że przybiegnie do niego, bo on chce się bawić? Typowe.

Odłożyła słuchawę i nagle wieczór w łóżku nie wydawał się już tak zachęcający. Nie czuła się dobrze z tym, że on zaprasza, a ona odmawia. Pomyślała, że chyba ma szczęście – mąż błaga żonę, żeby z nim wyszła. Ilu z nich tak robi? Większość prawdopodobnie cieszy się z okazji do zabawy bez drugiej połowy, a jej kochany Tony błaga przez telefon, żeby dołączyła do niego w pubie. Ostatnio była dla niego okropna. Ona o tym wiedziała, on o tym wiedział, a ona wiedziała, że on wie.

Ale oboje udawali, że w ich małżeństwie panuje harmonia. I to było groźne. Zupełnie jakby prosić się o problemy. Musiała bardziej się postarać. Musiała mu pokazać, że się o niego troszczy. A pub był tuż za rogiem.

Jej pijane kochanie tak się ucieszyło, gdy przyszła. Napięcia ostatnich miesięcy odfrunęły. Wróciło ciepło. Śmiała się razem z nim, kiedy potykali się na parkiecie, wspominając pierwszą randkę.

A potem ta nagła odmiana. Zdawała sobie sprawę, że przemawia przez niego alkohol, który często działał jak serum prawdy. Ale miał rację. Miał, biedak, pełną rację. Jednorazowy wypad do pubu nie mógł zadośćuczynić miesiącom zaniedbań.

Sera ukryła twarz w dłoniach. Tym razem z oczu popłynęły jej łzy żalu za szkody, jakie wyrządziła ich małżeństwu. Była zaabsorbowana jedynie własną osobą. Egoistka. Zdała sobie nagle sprawę z tego, dlaczego to robiła. Był zbyt idealny. Za dobry. Nie zasługiwała na niego. Nie była dla niego wystarczająco dobra. Tony był taki cudowny, był podporą rodziny, zawsze wspierał żonę, brał jej stronę w sporach z Joan. Nie zasługiwała na kogoś takiego, więc po prostu się przed nim zamknęła.

Kiedy go dziś zobaczyła, pijanego, agresywnego,

niedoskonałego, zrozumiała, że to tylko człowiek. Z wadami, wkurzony, porywczy i piękny. Szamotał się tak jak ona. „Proszę, niech się okaże, że musiał tylko wyszaleć się w złości i nie miał jakiegoś wypadku – modliła się. – Proszę, proszę pozwól mi go zobaczyć, żebym mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kocham i jak bardzo przepraszam”.

Patrzyła w ciemność za oknem. Pierwsze głosy ptaków zwiastowały nadchodzący dzień. Wkrótce wszędzie słońce. Czekala.

Tony wtoczył się na schody, ledwo trzymając się na nogach. Przeżywał właśnie te błogie parę minut między stanem upojenia a kacem, ale już zdawał sobie sprawę z tego, co go niedługo czeka.

Jak mógł najciszej, przekręcił klucz w zamku i wślizgnął się do domu. Sera będzie wkurzona. Jeszcze nigdy nie przepadł na całą noc. Teraz, kiedy alkohol już trochę wyparował, zdał sobie sprawę z tego, co robił: szedł bezmyślnie, aż doszedł do plaży, w miejsce, gdzie dawno temu oświadczył się Serze. Już nie był zły, tylko zmęczony i bardzo smutny.

Na paluszkach zakradał się do salonu, żeby zalec na sofie, i podskoczył, kiedy z ciemności wyłoniła się biała postać.

– Sera, przestraszyłaś mnie. Przepraszam, naprawdę. Powinienem być zadzwonić. – Jego słowa zatrzymały jej miękkie usta.

Teraz był również zdezorientowany.

– Nie, to ja cię przepraszam, mój kochany mężu – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham.

Poprowadziła go do kanapy, położyła i głaskała jego włosy przez dwadzieścia sekund, które wystarczyły, aby zasnął.

Jacqueline westchnęła z zadowoleniem, przeglądając swoje ukochane książki kucharskie w poszukiwaniu inspiracji. Nie mogła uwierzyć w to, jak bardzo zmieniło się jej życie w tak krótkim czasie.

Praca z Andre i resztą załogi w Laurent Boulangerie była najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęła. Zaprzyjaźniła się ze współpracownikami, cieszyła się, kiedy klienci rozpoznawali ją na ulicy, a najbardziej radował ją wyraźny talent do pracy w przemyśle usługowym.

Jej poczucie własnej wartości wzrosło, a ona rozkwitła. Była bardziej pewna siebie i zrelaksowana, nie oceniała już innych tak pochopnie. Jej własna rodzina nie mogła się nadziwić tym zmianom, ale powitała nową, lepszą Jacqueline z otwartymi ramionami. Chłopcy raczej przychodzili do niej po radę, niż traktowali jak pomoc domową, i nawet Thomas zaczął rozmawiać z nią o pracy.

Ale najbardziej zdziwiona była ona sama. Nigdy by nie przypuszczała, że może być cenionym pracownikiem. Jej nowa praca była jak bułka z masłem. Obsługiwała klientów z takim samym namaszczeniem, jak podawała posiłki rodzinie i gościom. Andre był zachwycony troską i precyzją, jaką przykładła do prezentacji dań. Jej wędzony łosoś na żytnim chlebie miał więcej finezji, niż gdyby najlepszy szef kuchni poukładał na nim kapary. I Andre prawie zemdlął na widok zrobionych przez nią różyczek z pomidorów.

To takie pasjonujące móc pracować z poczuciem celu; być docenianym przez klientów i współpracowników. Jacqueline naprawdę czuła, że jest ważnym członkiem zespołu, daje swój wkład, grają do jednej bramki. Cieszyła się, kiedy zbierając naczynia, widziała, że są praktycznie wylizane do czysta.

Ale pierwszy dzień nie był łatwy. Po reakcji w domu myślała

nawet, żeby zadzwonić do Andre i rzucić pracę, zanim ją zaczęła.

Ku jej zdziwieniu najbardziej przeciwni byli chłopcy, a nie Thomas. Dwa dni po tym, jak zaakceptowała ofertę Andre, poprosiła ich do stołu i zamiast potrawki przedstawiła perspektywę pracy.

Trzy pary oczu patrzyły na nią z niedowierzaniem.

– Ale nie możesz – jęknął Joshua. – Przecież zawsze jesteś w domu, kiedy wracamy ze szkoły. Kto nam wtedy robi podwieczorek?

– Jesteście już obaj na tyle duzi, żeby otworzyć sobie drzwi i zrobić podwieczorek – powiedziała.

– Może i jesteśmy – burknął nadąsany Daniel. – Ale to wcale nie znaczy, że chcemy.

– Jasne, ty jesteś od tego. I jak masz zamiar ugotować obiad, jeśli przez cały dzień cię nie będzie? I zrobić te wszystkie inne rzeczy, jak... no wiesz, podrzucić mi torbę z ciuchami sportowymi, gdy ich zapomnę jak dzisiaj? – Joshua zgarbił się, wydymając dolną wargę.

– Tato – zwrócił się Daniel do ojca jak mężczyzna do mężczyzny. – Jestem pewien, że nie zgodzisz się na to. Przecież nie możecie oboje pracować. Zarabiasz wystarczająco dużo, długo pracujesz. Potrzebujemy mamy w domu, prawda?

Thomas siedział i słuchał. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Wiedzieli, że jego zdanie, jako ojca rodziny, jest ostateczne. Jacqueline pamiętała, jak nieprzenikniona była jego twarz; myślała, że jej marzenie o niezależności skończyło się, zanim się zaczęło.

– No, dobrze – powiedział. – Pomyślmy o tym logicznie, chłopcy. Zastanówmy się, jakie za i przeciw pracy mamy można wymienić, z jej punktu widzenia.

– W porządku – powiedział Daniel, unosząc palec wskazujący. – Przeciw: nie będzie w stanie nic nam upiec, jeśli będzie piekła dla innych. Przeciw: nie będzie mogła tak często odbierać nas ze szkoły. Przeciw: nie będzie miała czasu, żeby coś zrobić w domu, a ja naprawdę lubię mieć codziennie wysprzątany

pokój.

– I nie będzie mogła pomagać w stołówce szkolnej, a zawsze mam jedzenie za darmo, jak tam jest – wtrącił Joshua.

– A za? – zapytał ojciec z uniesioną brwią.

– No nie wiem, pewnie więcej pieniędzy i rzeczy dla nas – powiedział Daniel.

– Wszystko, co wymieniliście, jest w stu procentach oparte na waszych potrzebach. A ja pytałem o za i przeciw z pozycji mamy. Jak myślicie, co może z tego mieć?

– Hmm – zaczął Daniel, który był nieprzyzwyczajony myśleć o innych. – Chyba nie będzie musiała ciągle być w domu.

– Zaczęłaś dobrze – powiedział Thomas.

– I będzie miała więcej punktów w CV. Nauczy się nowych rzeczy.

– Mogłaby przynosić do domu jakieś dobre jedzenie.

Oczywiście dla siebie – dodał Joshua.

– A jakaś przyjemność? – spytał Thomas. – Żaden z was nie myśli, że mama może mieć trochę przyjemności z tego, że gdzieś wyjdzie i będzie pracować z ludźmi, którzy mają podobne zainteresowania?

Zwrócili wzrok na Jacqueline siedzącą po drugiej stronie stołu. Była oszołomiona wsparciem męża.

– Mamo – odezwał się Daniel. – Czy to sprawiałoby ci przyjemność?

Mogła jedynie uśmiechnąć się i potaknąć, a jej oczy wypełniały łzy. Po raz pierwszy rodzina zadała jej to pytanie.

Wtedy Thomas wydał werdykt.

– Jacqueline, do pewnego stopnia zgadzam się z chłopcami, rodzina zawsze powinna być na pierwszym miejscu.

Pokiwała żarliwie głową, czując, że jest bliska wygranej.

– Wspaniale sobie radzisz z utrzymaniem domu, ale teraz, gdy chłopcy są na tyle duzi, żeby przejąć trochę odpowiedzialności za własne sprawy, i – spojrzał na synów – zwłaszcza z uwagi na to, jakie mają egoistyczne podejście do twojej roli w tym domu, myślę, że byłoby korzystne, gdybyś pracowała przez część dnia.



– Och, to wspaniale! – krzyknęła. Była tak szczęśliwa, że miała ich wsparcie, choć niezbyt duże. – Pewnie nie będę mogła rzucić wszystkiego, jak tylko zadzwonicie, ale na pewno możecie liczyć na moją pomoc – dodała.

– To im wyjdzie tylko na dobre, Jacqueline. Nauczą się sami zaspokajać własne potrzeby – zapewnił ją Thomas. – A co to za smakowity zapach?

Jacqueline skrupulatnie zanotowała kilka pomysłów na desery w nowiutkim notatniku i wróciła myślami do pierwszego dnia pracy. Upłynął w deszczu mąki, latte, herbat i białych papierowych torebek pełnych delikatesów. Tak się złożyło, że był też dniem wypłaty i pod koniec zmiany czekała na nią koperta z pieniędzmi. Sześćdziesiąt siedem dolarów. Jej własnych. Sama je zarobiła.

Wyszła na słońce i pogłaskała kopertę. Czuła się tak, jakby to było zdecydowanie więcej. Jakby to było pięć tysięcy dolarów. W przeszłości, gdy wydawała pieniądze męża, uważała sto dolarów za drobniaki. Ale jej własny zarobek był znaczny, rzeczywisty.

Szła chodnikiem, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po towarach wystawionych w oknach butików. Przechadzała się aleją Guilfoyle zadowolona, że chłopcy mają tego popołudnia dużo zajęć.

Przyciągnął ją chłodny spokój sklepu z wyposażeniem wewnątrz. Spojrzała na ceny świec i z podziwem pogłaskała pikowaną kołdrę. Jej oczy przyciągnęła porcelanowa mydelniczka w kształcie ananasa. Taka ładna. Odwróciła ją, żeby zobaczyć cenę. Sześćdziesiąt siedem dolarów. „Co za zbieg okoliczności”, pomyślała.

Poczuła znajome ciarki w końcówkach palców. Instynktownie zanotowała, że ekspedientka jest zajęta układaniem nowych elementów wystawy i wróciła do mydelniczki. Naprawdę ją chciała. Byłaby idealna do jej łazienki. Poczuła nagły przypływ adrenaliny i ciepło na policzkach.

Zarobiła dziś sześćdziesiąt siedem dolarów. W pracy. „Jeśli chcesz, możesz to kupić”, pomyślała. Ale te pieniądze kosztowały

ją czas i ciężką pracę. Odłożyła mydelniczkę na półkę. Przemyśli to. Wychodząc ze sklepu, skinęła na do widzenia dziewczynie porządkującej okno wystawowe.

Jacqueline przesunęła książki kucharskie na jedną stronę i wzięła nowy, lśniący kalkulator. Jej palce przebiegały przez klawisze, a w myślach układała plan. Po paru tygodniach pracy w Laurent Boulangerie doskonale dawała sobie radę z każdą stroną codziennej działalności firmy i nawet zajmowała się zamówieniami. Jakby coś w jej wnętrzu spało zimowym snem i zostało pobudzone do życia. Nagle zrobiła się głodna nowych wyzwań.

Nie zajęło długo, aby poczuła, że najwyższy czas ruszyć dalej. „Wystarczy zamoczyć stopy, żeby poczuć pragnienie zanurkowania w nowe życie”, pomyślała. Nie chciała zawieść ekipy Laurenta – oczywiście nie rzuci pracy – ale na horyzoncie Jacqueline Bouvier pojawiło się nowe wyzwanie. Zamierzała otworzyć własny interes.

Już poinformowała o tym Thomasa, dając mu do zrozumienia, że nie pyta o pozwolenie. Nie potrzebowała pomocy finansowej: miała dobrze zainwestowany spadek, który przynosił miły dochód. Thomas przez parę minut grzmiał, iż Jacqueline musi się upewnić, że w domu nic się nie zmieni. Potem przyznał, że odkąd pamięta, nie wydawała się bardziej szczęśliwa i ku jej zdziwieniu znowu wyraził wsparcie.

Przeszukiwała internet, nakupowała książek o tym, jak stawiać pierwsze kroki w domowym biznesie, rozmawiała z właścicielami małych lokalnych firm i wiedziała już więcej na temat bezpieczeństwa i ochrony pracy, podatków od przychodów i podatków handlowych czy numerów regon, niż kiedykolwiek wiedział jakikolwiek szef ogromnej korporacji.

Otrzymała pocztą potwierdzenie rejestracji nazwy firmy, więc Ciasteczkowa Dama mogła już zacząć działać. Myślała o trzech klientach; właścicielach lokalnych kawiarni, którzy mieli okazję próbować wyrobów Jacqueline na imprezach szkolnych i bardzo wysoko oceniali jej tort Pawłowej, babeczki owocowe i

ciasto marchewkowe. Mogła bez trudu spodziewać się obrotu w wysokości tysiąca ośmiuset dolarów tygodniowo, wyliczyła szybko na kalkulatorze. A w Andre znalazła niezwykłego mentora, który dawał jej entuzjastyczne rady, pod warunkiem że obieca nie robić żadnych francuskich wypieków, żeby nie konkurować bezpośrednio z jego firmą.

Gdy wieczorem Thomas z chłopcami wrócili do domu, byli zaskoczeni, że nie powitał ich zapach jedzenia grzejącego się w piekarniku. Chociaż przez ostatnie tygodnie ciężko pracowała, zawsze udawało jej się tak zorganizować, żeby codziennie przygotować im ciepły wieczorny posiłek.

– Co na obiad? – zapytał podejrzliwie Thomas, wchodząc do kuchni i widząc żonę siedzącą nad papierami.

– Pomyślałam, że może wyskoczysz i kupisz coś na wynos. Proszę. Miałam bardzo pracowity dzień.

Thomas już zaczynał otwierać usta, żeby wyrazić niezadowolenie, ale dostrzegł chłopców przybijających piątki z radości. Jedzenie na wynos nie zdarzało się często w tym domu. Praca matki miała i dobre strony.

– Jacqueline – powiedział Thomas. – Jeśli twoje małe hobby ma w ten sposób wpływać na nasze życie, to nie oczekuj, że będę zadowolony.

Podniosła wzrok i zdjęła okulary.

– Thomas, biorąc pod uwagę to, że to nie do końca hobby, a bardziej biznes, mogę cię zapewnić, że od czasu do czasu będzie miał wpływ na życie rodzinne. Może, dla odmiany, i ty mógłbyś się czasem dla mnie poświęcić. Jedzenie na wynos raz na ruski rok raczej cię nie zabije, wierz mi.

– Nie jestem pewien, czy taki był plan... – wymamrotał pod nosem, idąc do samochodu, żeby dostarczyć rodzinie wieczorny obiad.

– Daniel, kochanie – odezwała się Jacqueline, wracając do książek kucharskich. – Czy mógłbyś wrzucić teraz pranie do suszarki?

– Jasne, mamó – odpowiedział syn, o dziwo, chcąc sprawić

przyjemność swojej nowej biznesmami.

– Mamoooo! – usłyszała po chwili jego krzyk. – A która to jest suszarka?

Wśród po południu Tony zaczął się czuć prawie normalnie. Kiedy zbliżył się do czterdziestki, jego okazjonalne kace trwały dłużej, niż te, które miał w wieku dwudziestu paru lat. Wtedy, żeby stanąć na nogi, wystarczyło rozpuścić parę tabletek z zestawem witamin i wziąć zimny prysznic. Przekładając narzędzia z furgonetki do składziku, myślał, że dobrze było być tak niezniszczalnym jak za młodu.

Teraz nocna eskapada oznaczała zniżkę energii do granic letargu, utratę krótkotrwałej pamięci i złe samopoczucie przez parę kolejnych dni. Tym razem było nawet gorzej; ciągnęło się za nim morze wyrzutów sumienia. Boże, jak podle się czuł. Biedna Sera, tak bardzo starała się ożywić ich związek, rzuciła wszystko i dołączyła do niego w pubie, a on musiał otworzyć tę swoją głupią gębę. A potem jeszcze nie wrócił na noc! Poczucie winy długo go nie opuści.

Wszedł przez dziurę w remontowanej ścianie, z przyjemnością zauważając, że prace posunęły się trochę do przodu. Nie musiał wołać, żeby wiedzieć, że nikogo nie ma w domu. Wyczuwał pustkę.

Jego marny nastrój jeszcze się pogorszył. Nienawidził wchodzić do pustego domu. Piski dzieci, narzekania matki i nawet ciągła aktywność Sery sprawiały, że czuł się dobrze, jak w bezpiecznym gnieździe. Ale puste gniazdo jest tylko kupką patyków.

Usiadł na fotelu matki, nie zapalając nawet światła, żeby rozjaśnić mrok. Powinien zrobić sobie filiżankę herbaty, ale nie chciało mu się. Nie było warto robić czegoś tylko dla siebie.

Od piątku Sera była dla niego taka miła. Przytulała się i czuliła. Nie wiedział dlaczego. Błogo usnął w sobotę nad ranem, kiedy delikatnie głaskała go po czole. Później wzięła mamę i dzieci do muzeum, żeby pozwolić mu się zregenerować. Czasami

była jak anioł. Nie rozumiał, dlaczego nie precysemu ją przez maszynkę za to, że nie wrócił do domu.

Do tej pory nie mieli okazji spokojnie porozmawiać: dni były wypełnione do granic możliwości dziećmi, gośćmi, pracą. Nie udało im się pobyć razem więcej niż kilka minut – z wyjątkiem łóżka, ale wtedy byli już tak wyczerpani, że mogli tylko się przytulić i zapaść w sen.

Musieli porozmawiać. Chciał jej powiedzieć, że te głupie słowa naprawdę nic nie znaczą. Gdzie oni wszyscy są? Wiedział, że to wina kaca, ale był tak zmęczony i rozstrojony emocjonalnie, że chciało mu się płakać.

Zauważył wiadomość na stoliku do kawy. Serce zabiło mu mocniej. Pusty dom? Notatka? Nie! Wiedział, że mają konflikt, ale notatka? Zgarnął ją i omal nie przedarł, spiesząc się, żeby otworzyć kopertę i przeczytać to, co zawiera.

Słowa były krótkie, pisane ręką Sery. Łzy rozmyły litery, ze złością otarł oczy.

Najdroższy mężu,  
pamiętasz, jak kiedyś bawiliśmy się w szukanie skarbów?  
Niespodzianka! Mam dla ciebie zagadkę. Z nadzieją, że masz na to chrapkę i nie jesteś zbyt zmęczony.

Całusy, Sera

*PS Musisz zacząć jak najszybciej, bo czekam po drugiej stronie! Do zobaczenia wkrótce, nie zgub się.*

*Wskazówka nr 1*

*Czerwone róże*

*I fiołków bukiet*

*Jest ich pięć, ale jedna*

*Powoduje a-psik*

Tony zdziwiony wpatrywał się w kawałek papieru. Odwrócił

stronę, spodziewając się, że zobaczy tam PPS: „A tak przy okazji, odeszliśmy od ciebie”. Ale z tyłu kartki nic nie było.

Znów spojrzał na notatkę; uśmiechnął się tak szeroko, że aż poczuł ból w uszach. Pocałował kartkę i znowu, i znowu. Kocha go! Dowodem na to było to głupie szukanie skarbu. Wstał szybko i triumfalnie wyrzucił rękę w górę. Pędząc po schodach, przeskakiwał po trzy stopnie. Rzucił robocze ubranie w ką, wciągnął dzinsy, koszulkę polo i granatowy wełniany sweter i w ciągu paru minut był z powrotem na dole.

Włączył silnik i zdał sobie sprawę z tego, że nie ma pojęcia, gdzie się wybiera. Kiedy czytał notatkę, był tak skołowany, że nie zebrał myśli, żeby ją odszyfrować.

No dobrze, fiołki i róże, a-psik – to pewnie odnosi się do alergii Sery na gipsówkę, malutkie białe kwiatki, których używają floryści do wykończenia bukietów. Kiedy po raz pierwszy przyniósł jej kwiaty, przyłapał ją, jak wyrzucała gipsówkę do śmieci, wszystko inne ułożyła w wazonie. Powiedziała, że ma uczulenie. Później okazało się, że gipsówka nie powoduje u niej żadnych objawów, uważała tylko, że jest paskudna, a nie chciała ranić jego uczuć.

Więc musi być coś z kwiaciarnią.

Ale to odniesienie do piątki?

– No jasne! – powiedział głośno.

Kwiaciarnia na skrzyżowaniu pięciu dróg. Nacisnął pedał gazu i w kilka minut dotarł do ulubionego miejsca zakupów Sery.

– Jo! – zawołał, wchodząc do sklepu. – Widziałaś Serę?

– Przestań węszyć! – Jo zaśmiała się zza lady. – Nie wolno mi tobie pomagać.

– Nie musisz, chyba to rozpracowałem – powiedział z uśmiechem i otworzył drzwi chłodni.

Rzeczywiście, do wiązki gipsówki czekała przypięta kolejna kartka.

Tym razem oczekiwał dreszczu emocji, nie przerażenia.

– Dobry jesteś! – powiedziała Jo.

– Bo dobrze ją znam – odpowiedział z dumą.

W samochodzie otworzył list.  
*Wskazówka nr 2*

*Do linii końcowej daleko*

*Króciutkim spodenkom się marzy*

*Niedzielne bieganie po...?*

*Dogonisz mnie?*

Co? Przeczytał jeszcze raz. O co, do diabła, chodzi?  
Króciutkie spodenki – chyba zrozumiał. Jak się zaczęli spotykać, żartowała, że jego spodenki do biegania są takie miniaturowe. Biegali zawsze w niedzielę rano po plaży. Oczywiście, niedzielne bieganie! Po plaży! Zaśmiał się i włączył silnik.

Zaparkował niedaleko plaży w parku i spojrział na list. Gdzie mogła schować następną wskazówkę? Do linii końcowej daleko. To może znaczyć, że na początku. Umawiali się zwykle na ulicy Waratah. Pojechał dalej, a na przystanku autobusowym, gdzie się spotykali, była kolejna koperta przyklejona taśmą do reklamy. Uśmieł się, gdy zobaczył, że to reklama poradnika, co, gdzie i kiedy dzieje się w mieście. Musiała się ucieszyć z takiego zbiegu okoliczności.

*Wskazówka nr 3*

*YY UR*

*YY UB*

*ICUR YY 4 Me*

To rozłożyło go na łopatki. Jakiś slangowy kod. Najpierw trzeba będzie go złamać, a potem popracować nad znaczeniem wskazówki, którą ten kod niewątpliwie zawierał.



Siedział w samochodzie, marszcząc czoło. Robiło się ciemno i w parku nie było już zwykłego tłumu biegaczy i miłośników psów.

Patrzył na litery. UR to pewnie „you are” – ty jesteś. Ale podwójne Y? Końcówka to może być „I see you are” – widzę, że jesteś. Ale YY? Popatrzył w przestrzeń, potem z powrotem na kartkę, uważnie się w nią wpatrując. Dwa Y to może „why, why” – dlaczego, dlaczego? Ale to nie miałyby sensu. A gdyby dodać końcówkę liczby mnogiej: dwa „whys”? Zaraz, może nie „whys”, a „wise” – wymowa prawie taka sama, a znaczenie inne – mądry. Wiadomość od razu stała się tak jasna, jak światło dnia, jak dziecięca wyliczanka: „Too wise you are, too wise you be, I see you are too wise for me”.

Świetnie. Uśmiechnął się i położył ręce na kierownicy. Ale zaraz. Dokąd jechać? Co to ma znaczyć? „Too wise”, czyli za mądry... Czyżby do biblioteki? Dla nich jako pary biblioteka nie miała szczególnego znaczenia. Encyklopedia? Uniwersytet? Nie, bez sensu. Wise. Jakaś iskierka pojawiła się w głębinach jego pamięci.

Zaraz, zaraz... Oczywiście Wyse i syn. Dwóch panów Wyse. Importerzy włoskich kafelków. Spędzili tam cudowne sobotnie popołudnie zaraz po tym, jak urodziła się Maddy, przetrząsając góry importowanej ceramiki. Jakby prowadzili wykopaliska archeologiczne. To był fantastyczny, niewielki sklep, z piwnicą pełną zakurzonych skrzyń. Tony nie miał już wątpliwości i śmiał się cicho, pędząc do celu.

Oczywiście, gdy tylko światła samochodu omiotły fasadę starego budynku, zauważył liścik włożony w zamkniętą kratę z kutego żelaza zabezpieczającą drzwi. Wyszedł z samochodu, wziął kopertę i otworzył podeksycytowany. Bawili się tak z Serą przez wiele lat i czerpali z tego niezwykłą przyjemność. Zupełnie zapomniał o jej zwariowanym poszukiwaniu skarbów. A przecież nawet zwykły piknik potrafiła w ten sposób ubarwić. Była taka kochana, że przywróciła tę część ich przeszłości, która zawsze ich cieszyła.

*Wskazówka nr 4*

*Osiemnaście trzydzieści pięć*

*Piasek, ale nie na brzegu*

*Pod inną nazwą równie*

To jakaś bezładna paplanina. Nigdy tego nie odgadnie. Spojrzał na zegar w samochodzie. Już siódma. Może powinien do niej zadzwonić? Powiedzieć, że ma lekkie opóźnienie? Nie, to by zepsuło zabawę.

Osiemnaście trzydzieści pięć – czy to jakaś data? A piasek, ale nie na brzegu? Brzegi i piaski są wszędzie wokół Sydney, ale uderzyło go słówko „nie”. Gdzie piasek nie jest na brzegu? Pod inną nazwą równie? Róża pod inną nazwą równie słodko by pachniała? Romeo i Julia? Słodki? Róże?

1835, piasek nie na brzegu... Zaraz, zaraz. Chyba wie, co miała na myśli. Piasek nie na brzegu to bunkier piaskowy. A róża to zatoka Rose.

Ucieszyła go własna inteligencja. Sera zorganizowała dla niego przyjęcie-niespodziankę na trzydzieste piąte urodziny w klubie golfowym w zatoce Rose. Kiedy z trzema kolegami skończyli rundę osiemnastu dołków i poszli się napić, ona czekała już w barze z ich pięćdziesięcioma najbliższymi znajomymi.

Naprawdę głęboko każe mu sięgać do zakamarków pamięci z tym szukaniem skarbów. Skarby to wspomnienia, powroty do przeszłości zmuszające go do zatrzymania się i przypomnienia sobie szczęśliwych chwil w ich związku. Nie mógł już się doczekać, żeby ją zobaczyć i wziąć w ramiona.

Dojechał na miejsce i spojrzał na wielki znak klubu golfowego. Tak jak myślał, z tyłu była przyczepiona kolejna kartka.

– Ostatnia wskazówka. Numer 5 – przeczytał.

Nawet nie musiał na nią patrzeć. Wiedział, że Sera będzie w

Icebergs, w restauracji, w której jej się oświadczył.

Pędził ulicami, zastanawiając się, czy znajdzie jakiegokolwiek miejsce w tej niemożliwej do zaparkowania okolicy. Tak bardzo chciał już dotknąć Sery, że nie miał ochoty na długi marsz od publicznego parkingu przy plaży.

W głowie tańczyły mu wspomnienia. Tego wieczoru, kiedy się jej oświadczył, wyglądała nieziemsko w długiej, obcisłej, jasnoniebieskiej sukience bez pleców. Bardzo się denerwował; był pewny, że go odrzuci. Pamiętał pierwszy remont domu, wspólne zakupy, radość z odkrywania każdego elementu wystroju. Znow wspomniął imprezę urodzinową; wspólne bieganie, dzieci, wakacje.

Przez ostatnich osiem lat przeżyli tyle radosnych chwil. Nie było łatwo, jak w każdym małżeństwie. Czasem trudno to było znieść. Ale przecież było się o co bić, było nad czym pracować. Mieć przyjaciela na zawsze, takiego jak miał w Serze, to najpiękniejszy dar w życiu.

Miał szczęście i szybko wślizgnął się na wolne miejsce parkingowe. Wysiadł i wbiegł do restauracji. Ignorując kelnera, rozglądał się po wnętrzu. Jego oczy napotkały znajomą sylwetkę, którą tak pragnął zobaczyć. Jego żonę.

Sera siedziała przodem do wejścia zdziwiona, że jej sprytny chwyt zadziałał, a mąż dotarł tu wcześniej, niż się spodziewała. Tony przeszedł przez salę i mocno ją objął. I, jak zamierzał, mocnym uściskiem wydobył z jej ust śmieszny cichy pisk.

– Udało ci się! – powiedziała, kiedy już ją puścił. – Spryciarz!

– Trochę kłopotów miałem.

– Ale wiedziałam, że wszystko sobie przypomnisz – odpowiedziała z radością.

Siedzieli naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce.

– To było jak ożywiony album ze zdjęciami. Wysłałaś mnie w podróż przez urywki naszego życia – powiedział. – Jesteś niesamowita, kobieto!

– Domyśliłaś się? Obawiałam się, że to może być zbyt

subtelne.

– Domyśliłem się. – Spojrzał na nią. – Sera, przepraszam za tamten wieczór.

– Tony, proszę, nie. To mnie powinno być przykro. Ja do tego doprowadziłam. Byłam ostatnio dla ciebie bardzo oschła.

– Rozumiem, uwierz mi. Jeśli ktokolwiek wie, pod jaką byłaś presją, to tylko ja.

– Co nie znaczy, że muszę cię traktować jak gówno tylko dlatego, że mam trochę stresów – zaprotestowała.

– Sera, nie powinienem tak cię naciskać, tylko trochę odpuścić.

– Tony, czuję się taka brzydka, zwyczajna i nudna. Może to kryzys wieku średniego wcześniej mnie dopadł, sama nie wiem, ale nie mogę się znieść i kulę się za każdym razem, gdy na mnie patrzysz, bojąc się tego, co możesz zobaczyć.

Tony spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie wierzę, że to słyszę. Kochanie, jesteś teraz ładniejsza niż w dniu, w którym się poznaliśmy. A wierz mi, nigdy wcześniej nie widziałem kogoś tak pięknego!

– Tony, ja mówię poważnie. Nie szukam komplementów. Myślę, że moja blizna wygląda z wiekiem coraz gorzej. Wiem, że to brzmi niepoważnie, ale jej brzydota przyprawia mnie o gęsią skórę.

– Jaka blizna?

– Tony! Mówię poważnie.

– Ja też, Sera. Po pierwsze nie widziałem jej od lat, ciągle ją zakrywasz, po drugie naprawdę nigdy nie zwracałem na nią uwagi. To po prostu część ciebie. – Spojrzał jej w oczy. – Jest coś jeszcze, prawda? Nie chodzi tylko o wygląd. Co się dzieje?

Był przerażony, że tak niewinne pytanie spowodowało potok łez.

– Sera, co się dzieje?

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra, Tony. Nie widzisz tego? Nie nadażam. Jestem zmęczona ciągłym dążeniem do perfekcji. Widzę, co przydarzyło się Mallory, Belli i połowie

mam z przedszkola. I tak się boję, że i mnie to spotka. Patrzę na ciebie i zapiera mi dech w piersiach. Jesteś atrakcyjny, mądry, doskonały. Spójrz, jak dobrze idzie ci w pracy, skończyłeś prywatną szkołę, twoi znajomi pochodzą z właściwych sfer. A ja jestem tylko wystrojoną małą dziewczyną, która tak naprawdę nigdy na ciebie nie zasługiwała, i jestem przerażona tym, że mogę cię stracić. Myślę, że próbowałam zahartować się na to, co nieuniknione, przygotować na chwilę, gdy mnie rzucisz dla kogoś młodszego, ładniejszego, mądrzejszego. Odgradzałam się od ciebie, od nas. Wiem, że nie jesteś tego rodzaju typem, nie zrozum mnie źle, ale piękne kobiety potrafią być bardzo przekonujące, a ty jesteś żyłą złota dla tych wszystkich drapieżnych poszukiwaczek.

Tony siedział i słuchał z niedowierzaniem.

– Ty to mówisz poważnie? – zapytał w końcu.

Opuszczone kąciki jej ust podpowiedziały mu, że tak.

– Sera, kiedy dziś przyszedłem do domu i nikogo nie było...

A przy okazji, gdzie są dzieci?

– W kinie, z babcią Joan.

– Super. Więc kiedy przyszedłem do domu i zobaczyłem tę kartkę na stole, wiesz, co pomyślałem?

– Nie, co?

– Myślałem, że odeszłaś. Myślałem, że wszystko się skończyło, że wzięłaś dzieciaki i poszłaś.

– Co? Jakbym faktycznie mogła tak zrobić, zostawiając ci tylko krótki liścik.

– Ale tak pomyślałem. I mało nie udusiłem się z żalu. Na rozkładanym fotelu mamy.

Sera roześmiała się na taką wizję.

– Ale potem, kiedy już wiedziałem, że chcesz ze mną grać w tę swoją grę, prawie krzyczałem z radości i się śmiałem. Poczułem ulgę i byłem tak szczęśliwy, że cię nie straciłem.

– Więc oboje baliśmy się, że drugie go zostawi?

– Na to wychodzi.

Spojrzeli na siebie, rozumiejąc, jak byli głupi i jak bardzo brak porozumienia mógł zagrozić ich związkowi.

– Umawiamy się, że od teraz będziemy rozmawiać, zanim będzie za późno? – spytał żonę Tony.

– Na pewno – zgodziła się.

– Podobało ci się szukanie skarbu? – zapytała, podnosząc menu.

– Tak, ale niektóre wskazówki były straszne – powiedział.

– Ostatnia była prosta.

– Wiesz, nie czytałem jej. Jak już wiedziałem, że to ostatnia, domyśliłem się, że będziesz tutaj.

– Żartujesz chyba. Tak łatwo we mnie czytać? – zaśmiała się. Sięgnął do kieszeni, wyjął kawałek papieru i przeczytał jej ostatnią wskazówkę.

*Zakochujemy się*

*Roztopiłeś mojego serca lód*

*Tu mi się oświadczyłeś*

*A ricotta wsiąkała w kruchy tarty spód*

Dobrze, Bella, zadzwonię do niej, przestań już mnie zamęczać, proszę! – Ton Sery miał więcej wspólnego z popołudniowym korkiem niż z prośbą siostry, ale też nie potrzebowała teraz wykładu.

Od czasu pojednania w hotelu jej relacja z Bellą miała zupełnie inne, bardziej przyjacielskie oblicze. Nie powstrzymywało to jednak Belli przed ciągłym przypominaniem o matce czy próbami wymuszenia na niej, żeby kontaktowała się z rodzicami częściej niż kiedykolwiek przedtem.

Słaby głos Belli dobiegający z zestawu głośnomówiącego w samochodzie rywalizował z rykiem autobusu, który właśnie ją mijał.

– Nie zamęczam cię. Mama wydaje się trochę przybita i potrzebuje z kimś porozmawiać, to wszystko.

W przeszłości Sera zgodziłaby się z siostrą, dusząc złość w sobie. Teraz przynajmniej mogła dać wyraz swojej głębokiej frustracji.

– Przepraszam, jeśli jestem trochę opryskliwa, to te cholerne korki. Jaki mama ma problem tym razem?

– Podnoszą czynsz i szaleje z niepokoju.

– Więc pewnie chce pieniędzy? – powiedziała Sera.

– Cóż, nie wspomniała o tym. Po prostu z nią porozmawiaj, proszę.

– Jestem naprawdę zajęta. Zobaczę, czy dam radę. – Sera nie zamierzała składać żadnych obietnic.

Pożegnały się i rozłączyły.

Światła zmieniły się już trzy razy, a ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Bębniła palcami po kierownicy i przerzucała stacje radiowe. Naciskała kolejne przyciski, przełączając głupie gadki i reklamy, aż w końcu wyłączyła radio.

„Cholerni rodzice – pomyślała. – Nie mogą dla odmiany

sami rozwiązać swoich problemów? Jaka jest ich rola? Rodzice powinni pomagać dzieciom, nie na odwrót. Spójrzcie na mnie, to moja praca – ciągle uganiam się wokół spraw dzieci i daje mi to radość. To mój obowiązek, od tego jestem. Czy ktoś mi się odpłaci? Kiedy ja będę mogła być małą dziewczynką, oddać się narzekaniom i dostać trochę wsparcia? Nie mogę być doradcą w przypadku każdego małego problemu, jaki ma ta kobieta”.

Spojrzała na zegarek. Została jej jeszcze godzina do odebrania dzieci. Chantrea była w mieście; może wpadnie do niej i pogadają. Rozsądne podejście Chantrei bywało czasem brutalne, ale przynajmniej służyła radą. Wysłała jej esemesa. Odpowiedź przyszła natychmiast. „Wpadaj. Właśnie odbieram Sally. Będę za 5 minut”.

Drzwi otworzyła Dara Kim.

– Wchodź, wchodź. Chantrea zaraz będzie. Daj na siebie popatrzeć. Jesteś taka szczupła. Wszystkie teraz jesteście za szczupłe. Dlaczego nic nie jecie? Chodź, usiądź. Dam ci coś do jedzenia.

Wszystkie protesty świata nie powstrzymałyby Dary Kim od wyładowania lodówki, więc Sera usiadła przy stole w kuchni i cieszyła się jej matczyną troską.

Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Uwielbiała szaloną kolekcję ozdóbek Dary Kim. Jedną półkę zajmowały wyłącznie solniczki i pieprzniczki o zwierzęcych kształtach. Inna ugięła się pod ciężarem zdjęć Sally i Chantrei. Na półce z książkami dumnie zajmowały miejsce pamiątki z podróży po Australii: złoty samorodek z Broken Hill, opalowy otwieracz do listów, kula śnieżna z koalą, Święty Mikołaj w szortach do surfingu.

– Proszę, zjedz to – powiedziała Dara i postawiła przed nią talerz ryżu ze smakowicie pachnącym kurczakiem. – Chcesz herbatę? Zieloną? Czarną?

– Poproszę czarną z łyżeczką cukru.

– Nie chcesz mleka, prawda? Mleko w herbacie... Wciąż nie mogę zrozumieć, jak można to pić.



– Może troszeczkę? – Sera prosiła o wybaczenie za swoje okropne, zachodnie wyczucie smaku.

Drwiące sapnięcie wydobyło się z ust Dary, kiedy stawiała na stole karton mleka.

– Nalej sobie – powiedziała, jakby to było zbyt niesmaczne, żeby mogła w tym uczestniczyć.

Zapewniwszy gościowi to, co mogła, usiadła naprzeciwko.

– Co u ciebie, Dara? – spytała Sera, unosząc paleczki. – Wciąż tak ciężko pracujesz?

– Jak zwykle. W zeszłym tygodniu przepracowałam pięćdziesiąt godzin, ale nie narzekam.

– To dobrze, chociaż masz prawo. – Sera wgrzyła się w kurczaka. Przepyszny. Co to za zioła?

– Jak mogłabym się skarżyć? Popatrz, jakie mam wspaniałe życie. Spójrz na to miasto, w którym żyję, i moją Sally – moja mała księżniczka. Jestem pewna, że ma królewskie geny, te maniery, ten wdzięk. I jest bardzo utalentowana. Nie mam na co narzekać. Wszyscy ciągle narzekają. Ludzie są zbyt zachłanni, za dużo chcą.

Sera zauważyła grymas na twarzy Dary, kiedy wstała, żeby nalać do dzbanka gorącej wody.

– Dara, czy coś cię boli? Boli cię noga?

– Och, to nic takiego, tylko kolano. Lekarz mówi, że może być potrzebna operacja. Ale to nic takiego. Przeżyję. To od dźwigania. Nie mamy teraz w sklepie pomocnika, więc muszę dźwigać ciężkie pudła. Ale niedługo mają kogoś zatrudnić i mi się poprawi.

– Jesteś niezwykła. – Sera nie chciała zdradzać, że wie o ich przeszłości od Chantrei, ale ta kobieta wydawała jej się bohaterką. To, przez co przeszła, jak udało jej się samej stworzyć dla swojej córki nowy dom w nowym kraju. – Chciałabym, żeby moja mama taka była.

– Jest – powiedziała prosto Dara Kim i rzuciła Serze kategorię spojrzenie.

– Nie, nie jest. Nie poznałaś jej. Zupełnie nie jest do ciebie

podobna.

– Jest kobietą. Czyli jest jak ja. I jak ty. Wszystkie jesteśmy takie same.

– Ale ona nie jest taka troskliwa. Zawsze ma mnóstwo własnych problemów, ciągle narzeka, nie daje sobie rady z życiem tak jak ty.

– Jest człowiekiem. Ma... jakie jest na to słowo ...swoje sprawy. Może nie ma przyjaciół, z którymi mogłaby porozmawiać. Może to tobie ufa i chce się zwierzyć.

– Cóż, do tej pory nie myślałam o tym w ten sposób – powiedziała Sera. – Ale tak naprawdę to matka powinna troszczyć się o dzieci. Tak jak moją rolą jest troska o moje dzieci. No wiesz, cykl się powtarza.

– A tam. W tym wieku powinnaś już myśleć bardziej dorośle. Ile masz lat? Dwanaście?

Sera spojrzała na nią zaskoczona. Już wiedziała, skąd Chantrea ma swoją bezpośredniość.

– Nie, to zupełnie nie tak. Chodzi o to, że ciągle skarży się przez telefon na różne rzeczy. I nigdy nie słucha, co ja mam do powiedzenia.

– Tak już jest. Jest człowiekiem. A ta Jacqueline to twoja przyjaciółka, prawda?

– Tak, przyjaźnimy się.

– Na spotkaniu w jej domu ciągle nawijała o tych swoich dwóch chłopcach. Dobrze jest mieć synów, tak, jest z tego bardzo dumna, ale nie jest zbyt skromna. Nie mogła przestać o nich mówić.

– Tak, Dara, wiem, ale mi to nie przeszkadza. Taka już jest. Musi się sprawdzać. Tak naprawdę trochę mi jej żal, bo rodzina nie poświęca jej wiele uwagi, rodzice nie żyją, potrzebuje przyjaciół, którzy jej wysłuchają. Nie mam nic przeciw temu, żeby być jej powierniczką. I wiesz, jest zdecydowanie lepiej, od kiedy ma swój biznes. A że ma parę przyjaciółek, którym może się zwierzać, nie potrzebuje już upominać się o uwagę.

– Hm – powiedziała tajemniczo Dara, wpatrując się w Serę.

Sera słusznie odebrała to jako sygnał do zastanowienia się nad tym, co właśnie powiedziała.

– Myślisz, że powinnam tak samo traktować mamę? Ale to co innego. Ona jest moją matką.

– Nie matką. Zawsze na pierwszym miejscu jest kobieta. Jeśli będziesz ją traktować tak, jak traktujesz przyjaciółki, będziecie się lepiej dogadywać.

W tej chwili wpadła do kuchni Sally i rzuciła się na babcię.

– Gaela, Yay! – dobiegło z głębi objęć Dary.

– Gaela, Sally. Jak było w przedszkolu, maleństwo?

– Bardzo fajnie. Jestem najlepsza w kolażach. Widzisz? – Pokazała tablicę z przyklejonymi do niej różnego rodzaju kawałkami.

– To bardzo dobre.

– Tak, muszę się zgodzić – powiedziała Sally. – A teraz przykleję to na ścianie w moim pokoju. Cześć, Sera, do widzenia, Sera.

I już jej nie było.

– Jaka miła niespodzianka! – Chantrea weszła, dźwigając siatki z zakupami. – Przepraszam, że tak długo mi zeszło. Musiałam zrobić przystanek w sklepie. Wina?

– Nie, dziękuję. Muszę lecieć. Teraz ja muszę odebrać dzieciaki. Ale wkrótce się zobaczymy, obiecuję.

– Ale dopiero przyszłam! – zaprotestowała Chantrea. – Mówiłaś, że chcesz o czymś pogadać.

– Nie, zmieniłam zdanie, przepraszam. Zadzwoń. Cześć, kochana. Cześć, Dara, dzięki za jedzenie i pogawędkę. – Sera uścisnęła je i wyszła.

Idąc ulicą do miejsca, gdzie zaparkowała samochód, czuła się jakby wyższa, silniejsza, bardziej niezależna. Dara miała dużo racji.

Dlaczego nigdy nie spojrzała na to pod takim kątem? Marlena była kobietą wychowaną tak, a nie inaczej, miała własną historię, własne życie, a to wszystko składało się na osobę, którą była dzisiaj. Sera musiała dostroić swój sposób myślenia. Ta osoba

borykała się z własnymi problemami i odczuwała własne radości. Faktycznie, wszystkie były takie same. Czego ona, do diabła, oczekiwała?

Jak tylko zamknęła drzwi samochodu, nacisnęła gaz i wybrała numer telefonu.

Odebrano po dwóch dzwonekach.

– Halo? – zabrzmiał głos matki.

– Cześć, mammo, to ja. Co u ciebie?

Joan nie mogła już wytrzymać w domu pełnym robotników – ciągle walenie i burzenie ścian, nie wspominając o przekleństwach. Za duży hałas, żeby móc spokojnie pooglądać telewizję w salonie, więc musiała zostać w sypialni.

Przeczytała od deski do deski dwa plotkarskie czasopisma i zauważyła, że jest dopiero druga po południu. A jeszcze się nie umyła. Na pewno nie skorzysta z łazienki na dole. Te brudasy ciągle łąziły robić, Bóg wie co, w jej prywatnej łazience, więc na pewno któryś z nich by na nią wpadł. Pójdzie na górę, tam będzie miała przynajmniej odrobinę prywatności.

I to właśnie dzisiaj. Naprawdę dokuczało jej prawe biodro. Ostatnio trudno jej było się poruszać. Nie, żeby ktoś się tym przejął. Sera ciągle szwendała się po mieście, a Tony zamęczał się pracą do późna. Biedne dziecko.

Umówiła wizytę u lekarza, ale jej doktor przeszedł na emeryturę, dlatego musiała iść do młodego ważniaka, który wyglądał tak, jakby przed chwilą skończył podstawówkę. A ta trzpiotka, recepcjonistka, nie miała o niczym pojęcia. Inaczej nie kazałaby nikomu z takim bólem czekać na wizytę aż do piątku.

Stękając i biadoląc, weszła na górę do wyłożonego kamieniem nieba Sery i przygotowała sobie kąpiel. Przejrzała szafki w poszukiwaniu magnezowej soli kąpielowej, która pewnie złagodziłaby trochę ból. Ale na coś tak praktycznego nie ma miejsca w tej eleganckiej łaźni pełnej luksusowych płynów i kremów, zauważyła niezadowolona. „Te bzdety musiały kosztować tysiące dolarów”, pomyślała, podniosła jeden słoik i pokręciła nosem, czytając skład.

– Za moich czasów używało się tylko zwykłego kremu ochronnego – stwierdziła.

Znalazła próbkę żelu do kąpieli Clarins i wlała do wanny sporą ilość.

– Pewnie dostanę od tego wysypki – mruknęła i zanurzyła się w gorącej wodzie.

Wyszła z wanny po długiej kąpieli w zdecydowanie lepszym nastroju. Wytarła się i owinęła starym, bawełnianym szlafrokiem. Przeszła do małżeńskiej sypialni, żeby wyrzucić przez okno na plac budowy. Przynajmniej ci idioci już się pakują i wcześniej sobie pójdą.

Dach nowej części domu zakrywał miejsce, gdzie kiedyś było jej ulubione patio. Gardło ścisnął jej smutek. Wiedziała, że Tony i Sera planowali brukowany dziedziniec na końcu ogrodu, ale nie zmniejszało to bólu, jaki czuła po utracie patio.

Nie wiedzieli, jak dużo dla niej znaczyło. Nie mieli pojęcia, co wydarzyło się tam wiele lat temu i jak bardzo na zawsze zmieniło to jej życie. Ale skąd mogliby wiedzieć? Była tam jeszcze tylko jedna osoba i nawet ona nie знаła całej historii.

Wydobyła się z nieprzyjemnego odrętwienia i zostawiła wspomnienia na rozebranych bruku.

W połowie schodów nadepnęła na zabawkę któregoś z dzieci. Jej prawa stopa się skręciła, biodro nie wytrzymało. Upadła do przodu i sturlała się ze schodów. Próbowwała się poruszyć, doczołgać do telefonu, ale przenikliwy ból zwichniętego biodra powstrzymywał nawet najłżejsze ruchy. Była unieruchomiona. W agonii bólu. I nic nie mogła zrobić. Zupełnie nic – mogła tylko czekać, aż ktoś przyjdzie.

„Moja głowa”, pomyślała Sera, wspinając się na schody obładowana siatkami i wlokąc za sobą dwójkę dzieci. Co za dzień. Co za straszny, beznadziejny dzień. W dodatku chyba za dużo wypila poprzedniego wieczoru w Icebergs.

Od szóstej rano, kiedy wstała, zrobiła już tyle rzeczy. Robotnicy przyszli jak zwykle o siódmej, a że przyzwyczaili się zaczynać dzień od filiżanki kawy, nie byli w stanie podnieść żadnego narzędzia, zanim baristerka Sera nie spełniła swojego obowiązku.

Maddy przypomniała sobie w ostatniej chwili, że potrzebuje flamastry i taśmę klejącą. Do tego jeszcze problemy z wentylacją,

które spowodowały, że nie tylko cały dom wypełnił się dymem po przypaleniu tosta, ale włączył się alarm przeciwpożarowy, któremu towarzyszyły krzyki przerażenia Harry'ego.

Joan narzekała i skarżyła się na chore biodro; Tony usprawiedliwiał się, że musi lecieć na inną budowę.

– A co jest nie tak z naszą? – skomentowała nieco zbyt głośno Sera, kiedy wychodził, czym wywołała zupełnie niepotrzebną małżeńską sprzeczkę.

Może i mieli w nocy fantastyczny seks, ale byli też normalnym małżeństwem.

A potem było już tylko gorzej. Każdy ze sklepów sieci meblowej, w której wypatrzyła kanapę, odsyłał ją do innego salonu, gdzie na pewno mają ją na stanie. Ale w każdym salonie okazywało się, że jakimś cudownym sposobem została ona właśnie zastąpiona przez inną. A pięciocentymetrowa próbka materiału, którą pokazywali jej sprzedawcy, raczej nie była wystarczająca do podjęcia poważnej decyzji o zakupie.

Ledwo zdążyła na swoją popołudniową zmianę. Był to dzień wypłaty emerytur, więc całe centrum handlowe było pełne starych kwok gdczących nad rękawiczkami i kapeluszami, próbujących kremy i perfumy i rozpytujących o każdy produkt z jej stoiska w najdrobniejszych szczegółach. A później kupowały pudełko wazeliny kosmetycznej i szły do działu gastronomicznego skorzystać ze specjalnej oferty dla seniorów.

Potem zadzwonili robotnicy, żeby ją poinformować, że wychodzą wcześniej, bo nie dostarczono materiałów, których potrzebują. Skrzywiła się. To jej wina: zapomniała w zeszłym miesiącu zamówić blaty.

Jako ostatnia odebrała dzieci z przedszkola, o czym nie zamierzały jej dać zapomnieć. Głodne i zmęczone bezustannie kłóciły się w drodze do domu.

– Dlaczego jest czerwone? – ciągle pytał Harry, coraz bardziej złościąc się na jej niesatysfakcjonujące tłumaczenia.

Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, była fizycznie i psychicznie wykończona. Włożyła klucz w zamek. Co jeszcze może dziś pójść

nie tak?

U podnóża schodów leżało dziwnie wygięte ciało Joan. Głos, który się z niego wydobywał, był zduszony i słaby.

– No, wreszcie jesteś. Gdzie, do cholery, tak długo byliście?



Dzwonek roweru zmusił Bellę do zejścia na skraj ścieżki do biegania. Była sobą zachwycona, bo przez całe dwa kilometry od restauracji nie zatrzymała się, żeby odpocząć.

Od pierwszego objawienia w Palazzo Versace odkryła o sobie tak wiele nowych rzeczy. Jedną z bardziej radosnych było to, że kocha biegać. Przestała regularnie uprawiać jogging lata temu, kiedy Curtis okazał niezadowolenie z jej czerwonych policzków i spoconych pach.

Ale była z powrotem na szlaku, nie przejmując się tym, że mokre pasma włosów przyklejają się do jej twarzy i szyi. Dobrze być znowu w Sydney. Nie mogła uwierzyć, że tak długo unikała miasta. Ale kiedy prześladowało ją widmo rozbitego małżeństwa, a siostra uchwyciła się jej jak tonąca, trudno było cieszyć się tym miejscem. Jednak teraz, kiedy obie sprawy nabrały innych barw, mogła spokojnie rozkoszować się wspaniałymi widokami, architekturą i rozrywkami miasta.

Odkąd dynamika ich relacji się przesunęła, Bella bardziej niż kiedykolwiek cieszyła się z towarzystwa Sery. Były teraz na równym poziomie, już nie tylko jak starsza i młodsza siostra. To było dużo zdrowsze.

Poczuła również ulgę, że Sera zaakceptowała w końcu ograniczenia matki i utrzymywała z nią cieplejsze stosunki. Nigdy nie będzie idealną matką – nie przestanie nagle zgłaszać potrzeb i żądań – ale teraz, kiedy córki dzwonią do niej na zmianę, mniej narzeka, a więcej rozmawia.

Restauracja znów pojawiła się w polu widzenia i Bella była zadowolona, że tak poprawiła czas. Nie biegała, żeby utrzymać figurę, biegała, bo to kochała. To była jej medytacja.

Obok przegalopował koń, opryskując ją śliną. Zaśmiała się i starła ją z twarzy.

Nie było jej w grafiku lotów przez cały tydzień, więc

wykorzystywała wolny czas, spotykając się każdego dnia z jednym ze starych przyjaciół. Musiała kupić wiele prezentów dla nowych dzieci i do nowych domów. Tyle miała do nadrobienia. W sobotę leciała do Hongkongu i po raz pierwszy od lat była niezadowolona, że musi opuścić miasto.

Przyspieszyła na ostatnich stu metrach i sprintem skończyła okrążenie. Chodziła w kółko z rękami na biodrach, dopóki nie minęła zadyszka.

Ocierając pot z czoła przedramieniem, skrzywiła się na widok brudnej smugi na grzbiecie dłoni. Wytarła ją o koszulkę. I tak idzie do prania.

Przy restauracji z autokaru wysypywał się tłum gości na jedną z organizowanych tu świątecznych imprez pracowniczych. Puls Belli zwolnił, a oddech się uspokoił.

Nagle przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. Weekend w Hongkongu z Serą, tylko one dwie. Tym razem bez wielkich kłótni. Mogła zarezerwować dla nich pokój w hotelu Peninsula, pochodziłyby po sklepach, a Sera miałyby trochę relaksu, którego potrzebuje. A poza tym teraz, kiedy Sera tak bardzo jej już nie pochłaniała, Bella mogła jej robić małe przyjemności, kiedy tylko miała na to ochotę.

Wyjęła iPhone'a z tylnej kieszeni i zadzwoniła do młodszej siostry z dobrą nowiną.

Sera wybiegła z przedszkola i ruszyła do samochodu. Ma sześć godzin na to, co zwykle zabrałoby dziesięć. Malarze kładli dziś ostatnie pociągnięcia, więc musiała pędzić do domu, żeby ich wpuścić. Musi zadzwonić do Joan do szpitala i sprawdzić, czym znowu obraziły ją pielęgniarki. Nowe meble też przyjeżdżały tego ranka, a firma telekomunikacyjna obiecała, że przyślą kogoś do instalacji gniazdka telefonicznego między dziewiątą rano dziś a Gwiazdką.

Jeśli tylko uda jej się zmusić siłą woli swój telefon, żeby nie dzwonił, ma szansę ze wszystkim się wyrobić. Spojrzała na niego. Ten mały technologiczny cud był zarówno darem niebios, jak i potężnym bólem głowy.

Jakby wiedząc, że o nim myśli, zaczął dzwonić. Tony. Uśmiechnęła się, ostatnio jest taki kochany, ale nie w chwili, gdy ona ma tyle na głowie. Dobrze wiedziała, że telefonuje tylko wtedy, gdy chce, żeby coś zrobiła.

– Cześć, kochanie – zaszczębiotała, starając się, żeby nie wyczuł jej obaw.

– Cześć, kochanie – powtórzył. – Słuchaj, potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobiła.

„O Boże, gdzie jeszcze to mam zmieścić?”, pomyślała.

– To bardzo ważne. Potrzebna jest karta medyczna mamy, polisa ubezpieczenia zdrowotnego i karta członkowska towarzystwa. Dwadzieścia minut rozmawiałem z firmą ubezpieczeniową i jest jakiś problem. Muszę wiedzieć, jak mama jest ubezpieczona.

Sera wiedziała, że Tony jest na granicy z powodu hospitalizacji Joan.

– Chirurg chce jutro zrobić jej operację biodra, więc szpital musi dzisiaj mieć wszystkie dane.

Ostatnie dwa dni spędziła, biegając wokół Joan – wożąc jej

ulubione cukierki, kapcie, ubrania do i ze szpitala – miała już trochę dosyć. Ale uśmiechnęła się, mając nadzieję, że złagodzi to ton jej odpowiedzi.

– Jasne. I tak jestem w drodze do domu. To gdzie są te papiery?

– Mówi, że w różowym pudełku na górnej półce w jej szafie, w kopercie, na której jest moje imię. Możesz podrzucić to do szpitala? I tak pewnie planowałaś do niej wpaść?

– Tak, tak, oczywiście – skłamała i skręciła w stronę domu.

Była z powrotem na budowie. Rzuciła wzorniki i próbniki na stolik w holu i poszła prosto do pokoju Joan. Miło było wejść, kiedy nie panował tu zapach sklepu z ciuchami z drugiej ręki. Zwykle ponure pomieszczenie było teraz jasne i radosne; rozsunała wcześniej wszystkie zasłony i pootwierała okna.

Otworzyła drzwi szafy i cofnęła się przerażona na widok upchanych tu rzeczy. Rząd granatów, morskich zieleni i kasztanów zaatakował jej oczy przyzwyczajone do innego gustu. Wzorzyste swetry, obszerne jedwabne komplety i olbrzymia ilość wyrobów z boucle walczyły o miejsce.

Zauważyła różowe pudełko zakopane pod stertą ortopedycznego obuwia, na dole szafy. To musi być to. Było pełne pamiątek; zdjęcia, wycinki z gazet, pocztówki. Do diabła, jak można być tak niezorganizowanym? Czy kiedykolwiek słyszała o szafkach na akta? Albo przynajmniej o albumach?

Szybko przerzucała poblakłe wspomnienia w poszukiwaniu koperty. Uśmiechnęła się na widok pożółkłego wycinka z marca 1968 roku dumnie ogłaszającego przyjście na świat jej męża. W końcu, na dnie, znalazła kopertę z zagiętymi rogami i napisem „Tony”.

W środku było kilka zapisanych ręcznie stron, przetartych na zgięciach, jakby przeglądano je przez wiele lat nieliczoną ilość razy.

Przeczytała pierwszą linijkę: „Mój kochany Tony, to najtrudniejszy list, jaki kiedykolwiek musiałam napisać...”.

Szybko zasłoniła kartki. To nie było przeznaczone dla jej

oczu. To najwyraźniej bardzo prywatne przesłanie. Nie mogła tego czytać... A może mogła?

Nieemożliwe. Czują się rozdarta. Ale nie była w stanie się powstrzymać. Odkładając na bok poczucie winy, że wkrada się w prywatne życie Joan, otworzyła list. W końcu, uspokajała się, był zaadresowany do jej męża, a oni bez problemu otwierali swoją korespondencję.

Już po kilku wersach zdała sobie sprawę, że list wcale nie jest skierowany do jej męża. Czytając, zaczęła kręcić głową.

– Nie – powiedziała. – Nie, to nie może być prawda. Nie może.

Kiedy skończyła ostatnią linijkę, oparła się ciężko o ścianę, jakby ktoś ją postrzelił.

Jej rodzina miała się zmienić na zawsze.

Trzy tygodnie później Joan była gotowa na powrót do domu. Sera odebrała ją i ulokowała w sypialni, a Tony wpadł na krótko z pracy, żeby przywitać się z matką, pocałować w policzek i wręczyć bukiet kwiatów. Poświęcił jej wystarczająco dużo czasu, żeby zdobyć parę punktów, ale zbyt mało, żeby wysłuchać tyrady skarg.

Kiedy tylko wyszedł z domu, Sera zamknęła drzwi wejściowe, odłączyła telefon i weszła do pokoju Joan.

Pacjentka siedziała na łóżku, podparta wieżą puchowych poduszek. Czasopisma wały się na narzucie. Długopis przesuwiał się po krzyżówce dotyczącej celebrytów, dowodząc, że jej wiedza na temat spraw intymnych gwiazd była równa tej, którą mieli paparazzi.

Nie podniosła wzroku.

– Poproszę herbatę, Sera – zaordynowała, nie przestając wpisywać haseł.

Sera zignorowała potrzebę teściowej i przystawiła do łóżka krzesło. Pochylając się, delikatnie i powoli wyjęła z jej ręki czasopismo.

Joan surowo spojrzała nad okularami zdziwiona takim nieposłuszeństwem.

– Musimy porozmawiać – powiedziała Sera.

Joan zbladła i uniosła ręce do ust. Wiedziała.

Oczy Joan były pełne łez, a obraz rozmyty i pozbawiony kształtów. Spoglądała w okno. Westchnęła głęboko i odwróciła się do swojej synowej.

Sera była wstrząśnięta. Czas jakby odpłynął z oczu Joan. Były cieplejsze, młodsze. Zniknęło jej znajome zimne spojrzenie. Sera nigdy nie widziała jej tak delikatnej, niemal pięknej.

– W moich czasach było inaczej, kochana – zaczęła. – Dziewczynki wychowywało się na obowiązkowe i uległe kobiety. Oczywiście, były te, które paliły biustonosze, ale wszystkie myślałyśmy, że mają nie po kolei w głowie. My byłyśmy te dobre – debiutantki – a poza tym, po co biegać wokół, wygłaszając przemowy, robić karierę zawodową, robić te wszystkie męczące rzeczy, kiedy i tak trzeba wstawić pieczeń i posprzątać?

W moim otoczeniu nie patrzyło się dobrze na pracujące kobiety. Wyszłam za mąż wcześnie, tak naprawdę zostałam do tego przymuszona. Nie to, żeby zaaranżowano małżeństwo, ale kobiety w rodzinie i reszta środowiska zdecydowali, że ponieważ Barry był zaprzysiężonym rewidentem – bardzo odpowiedzialnym i ciężko pracującym – jest odpowiednią partią. W tamtych czasach mąż musiał tylko wystarczająco dużo zarabiać, żeby utrzymać dom na odpowiednim poziomie. Zapomnij o takich rzeczach, jak najlepszy przyjaciel, partner, bratnia dusza. Na początku chciałam zacząć pracować, tylko jako pielęgniarka, ale Barry się nie zgodził. Moje miejsce było w domu. To była jedyna poważna kłótnia, jaką mieliśmy przez cały czas trwania małżeństwa.

– Nigdy się nie kłóciliście? – Sera nie mogła uwierzyć.

– Tylko ten raz. Ale było nieźle, wierz mi. Wybił dziurę w ścianie naszej pięknej kuchni. Później pokażę ci gdzie. Szybko nauczyłam się, jak utrzymywać spokój. Po co ciągle słuchać wrzasków? Dzisiaj młodzi ludzie w ogóle nie mają zahamowań.

Joan opowiadała o latach sprzątnia, zakupów i gotowania

oraz o tym, jak próbowała zabić godziny nudy dzierganiem. Rozpaczliwie pragnęła dziecka, które wypełniłoby radością pozbawiony życia dom w Paddington, ale lata mijały, a ciąża nie nadchodziła.

– Musisz zrozumieć, moja droga – tłumaczyła – moje małżeństwo było jak życie w domowych kajdanach. Pożądanie czy pasja to były pojęcia z romansów. I co to, do diabła, jest orgazm? Nie miałam zielonego pojęcia!

Sera usiadła wygodniej na krześle i słuchała historii z odległych czasów, której nigdy wcześniej nie słyszała.

Joan bardzo chciała kochać. Nigdy nikogo naprawdę nie kochała, nie oddała się całkowicie i weszła w związek małżeński z potrzebą poświęcenia się dla drugiej osoby.

Po ośmiu latach prób zajścia w ciążę, popadła w depresję. Poddała się i ledwo była w stanie zajmować się domem, zmagając się z codziennym bólem bezdzietności.

Rosła wrogość Barry'ego w stosunku do żony, którą winił za bezdzietny związek. Unikał cichego domu, kiedy tylko mógł, spędzając czas najczęściej w pracy albo w klubie.

Joan rozpaczliwie chciała poczuć się lepiej. Dwa lata opłakiwała swoją bezpłodność, zmagając się z uczuciami wyparcia, wstrząsu, złości. W końcu trafiła w ciemne miejsce bez nadziei zwane żalnością, gdzie każdy dzień jest posępny i trwa bez końca. Kiedy wyszła z tunelu, zrozumiała, że w jej życiu nie ma nic. Ale ocalała i zwróciła się w stronę swojego pięknego domu. On został jej dzieckiem. Z werwą wzięła się za jego upiększanie.

Uszyła zasłony, zrobiła na szydełku serwety, położyła tapety, uplotła podwieszane kosze, nawiozła paprocie i upiekła pieczeń. Krok po kroku. To, co zaczęło się jako strategia przetrwania, przerodziło się w sposób życia. Nie doświadczała wielu radości czy uniesień, ale wkrótce była w stanie przeżyć dzień bez chęci popełnienia samobójstwa.

Pewnego razu jej mąż postanowił wprowadzić w życie trend na gotowanie na zewnątrz i kupił grill. Drzwi od podwórza wychodziły prosto na trawnik i suszarkę do bielizny, więc



wymyślił, że wybudują patio, gdzie zainstaluje się nowy sprzęt. Joan miała się wszystkim zająć, co przyjęła z ulgą, bo wymalowała, wykleiła i wydziergała każdy centymetr kwadratowy wnętrza domu i szukała nowego celu dla swoich umiejętności.

Usunięto trawnik i suszarkę do bielizny, grunt został wypoziomowany i przygotowany do ułożenia płyt. Szef Barry'ego zarekomendował do tej pracy gościa z Włoch.

– Wiesz, jak ci Italiańcy dobrze sobie radzą z kamieniem – radził. – Słyszałeś o Placu św. Marka w Wenecji?

Pierwszego dnia Antonio zjawił się o ósmej rano, żeby przyjąć instrukcje od pana domu. Barry polecił Joan podać mu kawę. Bardzo dokładnie wymieszała kawę rozpuszczalną i zmartwiła się, kiedy nowy Australijczyk skrzywił się po pierwszym łyku. Uśmiechnął się przepaszająco i powiedział, że raczej napije się wody. Przyjęła to jak wyzwanie.

Kiedy Antonio męczył się w czterdziestostopniowym upale Sydney na wychodzącym na północną stronę podwórzu, Joan uczyła się, jak kupować ziarna kawy i idealnie je mielić. W małych włoskich delikatesach znalazła aluminiową kawiarkę, którą stawiało się na kuchni. Drżała z przyjemności, kiedy kawa zaczynała uwalniać aromaty, a Antonio wołał z miejsca budowy:

– Ach, bella, kawa pachnie magnifico!

Zanosila mu ją i patrzyła, jak delektuje się każdym łykiem. Radowała ją jego czysta słabość do filiżanki czarnego atramentu. Nigdy nie poznała nikogo, kto tak w pełni chłonał życie; u kogo każda chwila oznaczała odkrywanie czegoś nowego i cudownego. Zadziwiał ją ten człowiek pełen namiętności.

A przede wszystkim nie mogła się nadziwić, że inna istota ludzka mogła być pod takim wrażeniem prostego robienia kawy.

– Grazie, bella signora.

Joan żyła dla tych słów.

Przeglądała w bibliotece włoskie książki kucharskie i zaczęła przynosić mu wraz z poranną kawą małe smakołyki. Biscotti, pasticciotti i oczywiście jego ulubione cannoli: muszle z ciasta nadziewane serem ricotta. Mówił, że są lekkie jak piórko i prawie

tak dobre, jak jego kochanej mamy w Positano. Prosił, żeby nazywała go Tony, tak jak przyjaciele w domu.

Jego miłe słowa były dla Joan jak narkotyk. Przed ósmą wypełniała wszystkie domowe obowiązki, żeby, kiedy już przyjdzie, móc zająć się pieczeniem i zaprezentować mu swoje dzieła w czasie porannej przerwy na kawę. Resztę dnia spędzała, siedząc gdzieś w pobliżu i słuchając jego głębokiego głosu, gdy śpiewał piosenki z włoskich operetek, Beatlesów czy Doris Day. Rozmawiali o wszystkim: stanie świata, rodzinie królewskiej, a nawet jej ogródku warzywnym. Zachęcił ją do posadzenia cukinii, warzywa, które jeszcze w latach sześćdziesiątych było mało popularne wśród australijskich gospodyń domowych.

Joan nie miała pojęcia, że zakochuje się po uszy. Jak można wiedzieć, że się lata, jeśli nigdy się tego nie robiło?

Kiedy budowa patio zbliżała się do końca, Joan zasugerowała mężowi, że potrzebna im ścianka oporowa, która powstrzyma ziemię z trawnika przed wkraczaniem na terytorium nowego wspaniałego patio. Zgodził się tym bardziej chętnie, że Smith z biura właśnie zainstalował w swoim ogrodzie taką ścianę.

Nadszedł drugi dzień budowy ścianki i nadszedł Antonio z bukietem groszku pachnącego, który wręczył swojej bella signora, a jej serce zalała fala gorąca. Następnym razem, gdy przyniosła ma filiżankę espresso i postawiła na kupce cegieł w miejscu pracy, położyła mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i spojrzał na nią. Podniósł się z klęczek i otoczył ją ramionami. Tego dnia nie było już postępów w budowie ściany. Kiedy słońce chowało się za zachodnią ścianą płotu, jedynie groźba powrotu męża sprawiła, że się rozdzielili.

Antonio był rozpaczliwie zakochany w Joan. Błagał, żeby zostawiła męża i była z nim. Ale ona odmówiła nawet rozmów o tym. Mimo uwolnionej namiętności poczucie obowiązku było nadal wytatuowane w jej duszy. Rodzice, teściowie, społeczność lokalna, wszyscy byliby rozczarowani i zranieni, gdyby odważyła się pójść za głosem serca – nie mogła tego zrobić.

Powiedziała mu „nie”, a jej łzy spływające po twarzy

mieszały się z jego łzami na kamieniach patio pod ich stopami.

Antonio zamknął się w sobie. Kończył budowę ściany bez jednego słowa do swojej belli signory, a kiedy już była gotowa, odszedł na zawsze.

Joan znów pograżyła się w znajomych mrokach depresji. Większość dni spędzała w łóżku; słodki sen był jej jedynym przyjacielem, jedyną ucieczką od prawdy, że utraciła swoją miłość. Zajmowała się domem jak najmniej, na tyle, żeby Barry nie zauważył, że coś jest nie tak.

Kilka tygodni później Antonio jeszcze raz próbował przekonać ją, żeby odeszła od męża. Stał przed domem pewnego popołudnia, kiedy zmusiła się, żeby wyjść do sklepu na rogu i kupić mężowi coś na obiad. Wskoczył ze swojej furgonetki i podbiegł do niej. Nie była w stanie nic powiedzieć, myślała, że już nigdy go nie zobaczy. Poczwała, jak jej decyzja słabnie, więc wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać. Spoczęła na jego twardej piersi.

– Musisz mnie wysłuchać, Joan – powiedział.

Spojrzała na niego w milczeniu, z oczami wypełnionymi bólem i łzami.

– Wracam do Positano. Nie mogę tu zostać. Nie mogę mieszkać w twoim pięknym kraju nawet jeden dzień bez ciebie. Każdy promień słońca przypomina mi o tobie, nie mogę się już nawet delektować espresso, bo każe mi o tobie myśleć. Wyjeżdżam jutro. Musisz ze mną jechać. Musisz.

– Nie mogę – odpowiedziała.

Jej szept ledwo doszedł jego uszu.

Odwrócił się, wszedł do furgonetki i odjechał.

Trzy tygodnie później zdała sobie sprawę z tego, że jest w ciąży. Tego ranka poczuła się tak, jakby ktoś nagle włączył światło. Jej radość była jak narkotyk. Słońce stało się cieplejsze, kolory bardziej intensywne, brzegi liści ostrzejsze. A patio było najpiękniej wybrukowanym miejscem, jakie kiedykolwiek widziała.

Jedyną przykrą sprawą było to, że tej nocy musiała uprawiać

seks z mężem.

Oczywiście Barry był zachwycony tym, że został ojcem. I kiedy nie był w biurze, czasem nawet trzymał dziecko – gdy Joan nie karmiła albo go nie przebierała.

Niemowlę Tony przerodziło się w chłopca, a potem w nastolatka. Joan i jej syn byli nierozłączni. Jednak Tony z ojcem ciągle brali się za łby. Nie zgadzali się w niczym, a pomysł Barry'ego na surowe wychowanie dzieci stworzył między nimi barierę nie do przebicia. Kiedy w wieku szesnastu lat Tony oznajmił, że rzuca szkołę i zamierza spróbować swoich sił w budowlance, tama pękła.

Straszliwa walka na wrzaski skończyła się tym, że Tony opuścił rodzinny dom i zamieszkał z kolegami, idąc za głosem własnego serca, a nie wymyśloną przez ojca edukacją uniwersytecką.

Osiemnaście miesięcy później, bez jednego słowa wymienionego w tym czasie między ojcem a synem, Barry zmarł na rozległy zawał, krzycząc na praktykanta w pracy. Tony uczestniczył w pogrzebie, nie roniąc ani jednej łzy.

Joan, opierając się na poduszkach, opowiedziała Serze swoją historię. Oczy miała zamknięte, od nowa przeżywając wszystkie wydarzenia.

Otworzyła oczy i spojrzała na Serę. Przemiana była całkowita. W kącikach jej ust grał uśmiech. Ciemnozielone oczy błyszczały, kiedy piękne wspomnienia powoli blakły. Ale zdradziła swój sekret. Już nie była strażnikiem rodzinnego skandalu. Czekwała na następstwa.

– Ale ten list, który znalazłam...?– spytała Sera. – Nigdy go nie wysłałaś?

– Byłam rozdarta, Sera. Co miałam robić? Kochałam go tak bardzo; powinien wiedzieć, że ma syna. A jednocześnie jak mogłabym mu to zrobić. Powiedzieć mu o dziecku, którego nie mógł mieć? I skandal, straszny skandal. Musisz zdać sobie sprawę z tego, z jakim ostracyzmem bym się spotkała.

– Na pewno można było znaleźć jakiś sposób.

– Sera, nie myśl, że dogłębnie tego nie przeanalizowałam. Wiele razy żałowałam swojej decyzji. Wielki wstyd, z którym musiałam żyć, do dziś mnie męczy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mu, kiedy umarł Barry? Dlaczego wtedy nie pojechałaś do Antonia?

– Bo tak długo trzymałam to w tajemnicy. Moi rodzice wciąż żyli, podobnie jak Barry’ego: wyobraź sobie tę zdradę! I myślałam, że Antonio by mnie znienawidził, że nie powiedziałam mu dziewiętnaście lat wcześniej, kiedy Tony został poczęty.

Sera schyliła się do teściowej i ją objęła.

– No cóż, już nie ma tajemnicy. To musi być dla ciebie ulga.

– Tak, Sera, ulżyło mi. Dziękuję, że mogłam to wszystko z siebie wyrzucić, i dziękuję, że będziesz dzielić ze mną ten sekret. Nie będę się czuła taka samotna.

Sera zmarszczyła czoło.

– Joan, ale chyba zamierzasz powiedzieć o tym Tony’emu, prawda?

Oczy teściowej rozszerzyły się z przerażenia.

– O Boże, nie! Sera, nie możesz. Ja nie mogłabym, ty nie możesz... Gdyby wiedział, że jest nieślubnym dzieckiem, to by się załamał.

– Na litość boską, Joan, nie żyjemy w średniowieczu. Nieślubne dzieci to pojęcie z przeszłości. Połowa matek w przedszkolu nie ma ślubu i nikt nawet tego nie zauważa.

– Ale dowiedziałby się, że wyrósł w kłamstwie, że kłamałam o jego ojcu. Znienawidziłby mnie! – Joan zaczęła szlochać, łzy spływały po jej upudrowanych policzkach. Wczepiła się w Serę, błagając. – Proszę Sera, nie. Nie zniosłabym, gdyby mój Tony mnie nienawidził.

– Joan, uspokój się. – Sera podała jej pudełko z chusteczkami ze stolika nocnego. – Nie powiem mu, jeśli nie chcesz. Ale myślę, że byłabyś bardzo zdziwiona. Poza tym wydaje mi się, że to dla niego istotne, żeby zrozumieć swoje dziedzictwo. Jest po części Włochem, jego ojciec jest kamieniarzem – to wszystko fascynujące wiadomości. Tak wiele wyjaśniają; jego pasję życia,

precyzję w pracy i umiłowanie tworzenia. Naprawdę myślę, że powinnaś to rozważyć. – Wstała i przyjęła rolę pielęgniarki. – Ale teraz najważniejsze, żebyś wyzdrowiała. Potrzebujesz odpoczynku, żeby biodro dobrze się goiło.

Wstała z łóżka i kręciła się po pokoju, zbierając chusteczki i puste filiżanki. Otworzyła drzwi sypialni, żeby wyjść.

– To zabawne – powiedziała nagle Joan. – Gojenie się mojego biodra ma trwać sześć tygodni. Przeszło już prawie całe życie, a serce wciąż się nie goi.

Żwirowa ścieżka zdawała się płynąć, kiedy promienie słońca przebijały się przez konary drzew i rzucały na ziemię cienie liści.

Szli wolno, krok za krokiem, posuwając nogami. Tony nie chciał, żeby matka przemęczyła się na pierwszym spacerze.

– Jak tam nowe biodro, mamo? – zapytał, kiedy dochodzili do ławki w parku. – Może chciałabyś trochę odpocząć?

– To chyba niezły pomysł – przyznała Joan.

Siedzieli w milczeniu, chowając się przed słońcem wczesnego lata pod łaskawymi konarami figowca. Refleksy migoczące na wodach portu przypominały mu błyski fleszów aparatów publiczności na igrzyskach olimpijskich; nieprzerwany deszcz małych światełek.

Kiedy patrzył na rozpościerające się przed nim widoki – słynny budynek opery po lewej, most na wprost niego, warowne budowle osadzone na klifach przeciwległego brzegu – ponownie przyszło mu do głowy, jakim jest szczęściarzem, jakie oni wszyscy mają szczęście, że żyją w tak niezwykłym mieście. Zawsze kiedy to do niego docierało, miał poczucie, jakby trafił główną wygraną na loterii, a nawet uciekł od innego przeznaczenia.

Ostatnio był wyciszony. Wszystko układało się zdecydowanie lepiej. Jakby jego świat huśtał się na lekkim wietrzyku, pełen słodyczy i blasku. Remont się skończył i z ulgą pożegnali zwariowaną krzątanicę ostatnich miesięcy, adaptując się w nowych pomieszczeniach. Relacje z jego piękną żoną osiągnęły nową płaszczyznę: komfort długotrwałego pożycia został wzbogacony świeżutkim flirtem. Był z nią szczęśliwy, a co bardziej istotne – ona wydawała się być szczęśliwa z nim.

Coś zmieniło się w matce od czasu wypadku, ale nie mógł się domyślić, o co chodzi. Była rozluźniona, mniej drażliwa, nie narzekała tak często na wyimaginowane zniewagi. I była mniej krytyczna w stosunku do Sery, niemal przyjacielska.

Z dumą pokiwał głową. Udało mu się zrealizować australijski sen. Pozostało jedynie korzystać z tego kawałka raj, który stworzył dla siebie i swojej rodziny. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł, jak napięta sprężyna rozluźnia się w jego trzewiach. Wyprostował nogi, podparł rękami kark i cieszył się uczuciem wyzwolenia. W końcu odpuścił. Wszystko dobrze się ułożyło.

– Tony, muszę ci o czymś powiedzieć – powiedziała matka.

– Hmmm? – mruknął sennie, nie do końca słuchając.

– I nie bardzo wiem, jak zacząć.

Tony poczuł, że sprężyna zaczyna delikatnie zaciskać się w jego wnętrzu oburzona, że jednak oszukano ją luksusem wyzwolenia.

– Dlaczego nie zaczniesz od początku, mamó? O co chodzi?

– zmusił się, żeby usiąść prosto.

Matka popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

Pokręcił głową. „Chryste, nie chcę więcej dramatów. Niech to szlag, zapeszyłem, składając sobie przedwczesne gratulacje”, pomyślał.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale muszę, bo jeśli ja ci nie powiem, to powie ci Sera. A powinieneś o tym usłyszeć ode mnie, nie od niej. To coś, co powinnam ci powiedzieć lata temu, ale nie miałam odwagi, a twój ojciec jeszcze żył. Mogłabym zabrać to do grobu i nic byś nie musiał wiedzieć, ale to byłoby wobec ciebie nie w porządku. I to nie w porządku, jeżeli chodzi o dzieci... Widzisz, twoje dzieci są tu najważniejsze... Twoje dzieci są... Ale zaczęłam od końca, a powinnam od początku.

Na wzmiankę o dzieciach Tony ostro jej przerwał.

– Mamó, przestań, zacznasz bredzić. Natychmiast powiedz mi, co to ma wspólnego z dziećmi.

– Cóż, zaczęło się to w 1967 roku.

– Dzieci, mamó, powiedz o dzieciach.

– Ale muszę zacząć od początku. Widzisz, potrzebne nam było to patio.

– Mamó, co z dziećmi?

– Tony, nie rozpraszaaj mnie. Wy, mężczyźni, nie rozumiecie,



o co chodzi w opowiadaniu historii.

– Mamo! Dzieci są...?

– Włochami!

Nastąpiła cisza. Tony zastanawiał się, czy matkę dopadł Alzheimer. Potem pomyślał, że może nagle ogłuchła i nie dosłyszała, o co pytał. Jak jego dzieci mogły być Włochami? Spojrzał na nią. Odwzajemniła spojrzenie.

– Tak naprawdę tylko w jednej czwartej – powiedziała, jakby czytając mu w myślach. – Ale wciąż mają wystarczająco dużo włoskiej krwi, żeby odziedziczyć po tobie te śliczne brązowe oczy.

W jednej czwartej są Włochami. To musiałyby znaczyć, że jego ojciec był Włochem, ale przecież rodzina ojca pochodziła z Holandii. I on, i jego przodkowie byli blondynami. Wszyscy. Często zastanawiał się, skąd u niego ciemne włosy i ciemne oczy... Zaraz. Przeszłość mignęła mu przed oczami: całe lata poczucia, że nie pasuje, że ojciec zupełnie go nie rozumie, kłótnie, nierealistyczne oczekiwania.

– Mamo?

Joan wyglądała na tak pełną skruchy, jak tylko upadła kobieta w wieku sześćdziesięciu sześciu lat może wyglądać.

– Przepraszam, Tony, powinnam była ci powiedzieć już dawno temu. Przepraszam. Ale po prostu nie byłam w stanie. Wiedziałam, jak bardzo będziesz mną rozczarowany. Nie chciałam, żebyś zaczął mnie nienawidzić. Jesteś teraz wściekły. Wiedziałam, że będziesz.

Dalej się na nią gapił. Nigdy wcześniej nie myślał o matce jako osobie, była tylko matką, opiekunką, karmicielką i żoną jego ojca. Widział jej strach, że może go stracić, że nie da jej wsparcia.

– Mamo, wcale nie jestem zły.

– Nie jesteś? Och, kochany, to cudownie. Ale powinieneś być, wiem.

– Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj. A teraz wszystko zaczyna nabierać sensu. Zawsze czułem się okropnie z tym, że między mną a ojcem nie układa się tak jak między innymi ojcami a synami. Nigdy nie wydawał się zadowolony z mojego towarzystwa

czy pomysłów. Przez cały czas myślałem, że to moja wina, że nie mogłem go do siebie przekonać. Teraz wszystko wydaje się jasne. Bo przecież nawet nie byliśmy spokrewnieni.

Patrzył na wody zatoki, dając sobie czas na przetrawienie nowych odkryć. Jego ojciec nie był jego ojcem. Nigdy nie czuł się bardziej dziwnie. Poczucie tego, kim jest, zdawało się rozpraszać w słońcu Sydney. Ale nie czuł się zagubiony, czuł się wolny.

– Nie mogłeś dogadać się z Barrym nie tylko dlatego, że nie mieliście wspólnych genów, synku. Był również strasznym dupkiem.

Tony wybuchnął śmiechem, słysząc, jak Joan łamie swoją podstawową zasadę, żeby nigdy nie mówić źle o zmarłych.

– To niesamowite, mamo – powiedział i ku oczywistej uciechu Joan mocno ją przytulił. – Jeszcze jedno pytanie wymaga odpowiedzi. Kto jest moim ojcem?

Rok szybko zmierzał ku końcowi. Nie mogli uwierzyć, że listopadowe spotkanie Szali i żali nadeszło tak prędko. Aura tego wieczoru przypominała piżamowe przyjęcia nastolatków. Śmiechy i piski unosiły się pod wyłożonymi wapieniem krokwiemi nowej dobudówki Sery jak bąbelki szampana w ich wąskich kieliszkach.

Częstując gości strudlem, który kupiła w swojej ulubionej cukierni, Sera zastanawiała się nad przemianami, którym uległ każdy z członków ich kółka w ciągu ostatnich paru miesięcy.

Jacqueline, bez najmniejszego cienia snobizmu, zaakceptowała ciasto jabłkowe i oznajmiła, że jest bardzo smaczne. „Zmieniła się, złagodniała, była odprężona; nie przyjmowała już swojej pozy wyższości”, pomyślała Sera. Była ostatnio bardzo zaganiana, ale praca sprawiała dużo przyjemności tej rudowłosej maniaczce. Teraz przynajmniej pracowała dla siebie, a nie dla tych swoich rozpuszczonych apodyktycznych mężczyzn.

– Dwieście dwadzieścia sztuk w tygodniu! – oświadczyła Jacqueline Joan, która została nowym członkiem grupy przyjętym z otwartymi ramionami. – Zupełnie dobrze sobie już radzę, zamrażając ciasto i wcześniej przygotowując nadzienie. I właśnie zatrudniłam kierowcę: dostawy zabierały mi zbyt dużo czasu, zwłaszcza na północny brzeg. Muszę się trzymać z dala od okręgu Andre, jest dla mnie tak cudowny.

– To wspaniale – powiedziała Joan, ściskając jej rękę. – Jestem pod prawdziwym wrażeniem. Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Daj znać, jeśli będziesz kiedyś potrzebować pomocy.

Sera uśmiechnęła się w duchu. I pomyśleć, jakie to się wydawało mało prawdopodobne przymierze.

Od czasu swojego wielkiego wyznania Joan była zupełnie inną kobietą. Jakby ubyło jej lat. Teraz, kiedy uwolniła się od poczucia winy i wstydu, pierzchły również chłód i napięcie,

ukazując miłą, zrelaksowaną postać. Zniknęły osądy i krytyka. Jakby nie tylko biodro zostało przeszczepione, a cała teściowa. Joan spodziewała się, że będzie osądzana za swoje cudzołóstwo, i była niezmiernie zdziwiona, kiedy ta wiadomość została przywitana przez resztę kobiet gratulacjami i słowami wsparcia. Jedynie Mavis okazała jej trochę wyższości, ale Joan się tym nie przejęła. Była zbyt zaskoczona akceptacją ze strony przyjaciółek Sery.

Stała się cenionym członkiem kółka Szale i żale i nie mogła się doczekać, aby zaprezentować innym swoje znakomite umiejętności.

Zaznała ukojenia, siedząc w gronie grupy przyjaciół, otwierając swoje serce, po raz pierwszy opowiadając o uczuciach do Antonia, szepcząc o intymnych szczegółach ich związku i radując się ochami i achami słuchaczy. Czuła się z nimi dobrze i bezpiecznie, jak nigdy z innymi znajomymi. To niezwykle uczucie być akceptowaną jako Joan Kobieta, być dumnym z takiej osoby, ze wszystkimi jej wadami i łączącymi się z nią historiami.

– A potem jedziemy do małej wioski na wschodzie, gdzie wychowała się jej ciotka. – Przejęta Chantrea opowiadała im o szczegółach zbliżających się wakacji w Kambodży. To miała być niespodzianka dla Sally.

Chantrea wytłumaczyła, że tradycją w rodzinie jej matki było, że kiedy dziecko osiągnie wiek szkolny, zabiera się je na wyprawę, żeby uczcić podróż, którą przebyło od czasu niemowlęstwa. Sally miała niedługo iść do zerówki, więc mama i babcia chciały spełnić jej życzenie odwiedzenia Kambodży.

– Naprawdę muszę podszlifować język. Nie będę miała pojęcia, co wszyscy do mnie mówią – stwierdziła Chantrea ze śmiechem.

– Nie widziałam cię jeszcze tak podekscytowanej jakkolwiek podróżą – oznajmiła Sera i dołała jej szampana. – Tak się cieszę, że będziecie się dobrze bawić.

Była zadowolona, że przyjaciółka wreszcie zaakceptowała swoje korzenie.

Rozejrzała się po świeżo wyremontowanym domu. Nowa kuchnia błyszczała granitem i szkłem, stając się sercem domu, którego zawsze jej tu brakowało. Joan pobłogosławiła w końcu zmianom, zwłaszcza od kiedy Tony odzyskał stare płytki i odbudował słynne teraz patio.

Teraz każdego ranka siadywała na swoim dziedzińcu, sączyła espresso i dziwiła się, jak Tony'emu udało się tak dokładnie odtworzyć patio zbudowane przez Antonia.

A Mallory, kochana Mallory. Nie było w tym nic niezwykłego, że tylko w jej przypadku blizny na twarzy mogą być tak ujmujące i wdzięczne. Wyglądała z nimi jeszcze bardziej bezbronne. Oczywiście, ciągle bardzo cierpiała z powodu rozpadu małżeństwa, więc dziewczyny na zmianę poświęcały jej jak najwięcej czasu, udzielając porad i pomagając zagoić się ranom fizycznym i psychicznym. Ale przynajmniej dziś znowu się śmiała. „Na pewno miesiące miną, zanim jej będzie łatwiej – myślała Sera – ale wciąż jest z nami, wciąż ma Tilly i na szczęście ten kutas ma zamiar zostawić jej dom”.

„Sam wydaje się przybity”, pomyślała, podając mu piwo. Za ciężko pracował, a dziewczynki tak go wykańczały, że jego matka właśnie przyleciała z Brisbane na parę tygodni, żeby trochę pomóc. Miała wrażenie, że ciąg nieudanych randek zaczyna zbierać żniwo.

– Mnich! – oświadczył w odpowiedzi na dociekania Chantrei na temat jego życia uczuciowego. – Tym chyba powinienem zostać. Życie jest wtedy takie proste: cela, trochę modłów, od czasu do czasu miseczka ryżu, brak problemów. No i nie musiałbym się zmagać z piekłem randkowania.

– Przestań, nie może być tak źle – oburzyła się Jacqueline. – To przecież musi być zabawne – wychodzisz i poznajesz nowych ludzi.

Chantrea i Sam popatrzyli na nią wątpięco.

– To straszne – powiedziała Chantrea. – Wydaje mi się, że samotni ludzie są samotni z jakiegoś powodu – oczywiście z wyjątkiem nas – dodała szybko, rzucając Samowi przepraszające

spojrzenie.

– Absolutnie – zgodził się Sam. – Jesteśmy samotni, bo wszyscy inni są kompletnie stuknięci!

– To prawda – ciągnęła Chantrea. – Zupełnie, dokumentnie szurnięci. Ostatnio spotkałam się z facetem, który wydawał się całkiem normalny – zabawny, czarujący, interesujący – a kiedy poszliśmy do niego, wszystko, od naczyń do tapet, było udekorowane wizerunkami Lucy Liu. Miał jakąś obsesję, jeśli chodzi o Azjatki. Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjdę.

Nastąpiła seria historii o beznadziejnych randkach. Nawet Joan się przyłączyła i opowiedziała o dziwnym lekarzu, z którym umówiła się na herbatę w trakcie kursu pielęgniarstwa, który miał bzika na punkcie zwłok i większość wolnego czasu spędzał w szpitalnej kostnicy.

– To nie była obsesja seksualna – zapewniła. – Po prostu sprawiało mu dużą przyjemność mówienie o nich. Co było dość koszarne.

Sera zauważyła, że Sam oparł głowę na kanapie.

– Musisz odpocząć – powiedziała. – Weź sobie parę dni wolnego od wszystkich.

– Sera, marzę o tym. Żeby dłużej pospać, poczytać spokojnie gazetę. Do diabła, byłbym szczęśliwy, siedząc tylko bez ruchu przez cały dzień. Jestem w ciągłym biegu, biegam, prowadząc firmę, biegam za dziewczynkami. Czy dzieci kiedykolwiek przestają się ruszać?

– Posłuchaj – powiedziała Sera, znajdując najlepszą odpowiedź. – Bella podarowała mi bilet w klasie biznes na lot do Hongkongu i trzy noce w hotelu Peninsula. W ten weekend. Ja nie będę raczej mogła pojechać. Mamy urwanie głowy, więc właśnie miałam do niej zadzwonić i to odwołać.

– To brzmi niebiańsko, Sera, naprawdę. Ale nie mógłbym – oznajmił Sam.

– Byłbyś szalony, żeby odpuścić taką okazję, Hongkong jest fantastyczny – powiedziała Chantrea. – Jest u ciebie matka, zajmie się dziewczynkami, więc dlaczego nie?

Sam pokręcił głową z manierą typowego rodzica, który nie wierzy w to, że kiedykolwiek będzie miał czas dla siebie.

– Nie, to niewykonalne. Klienci, dziewczynki, mama...

– Też mi coś, odwołaj, przełoż, postaraj się. Weekend w tym hotelu to coś najbardziej zbliżonego do raju na tej ziemi, wierz mi – powiedziała Chantrea. – Musisz jechać.

– Nie mogę ot tak po prostu pojechać na weekend do Hongkongu – zadrwił, myśląc, że w głowie jej się pomieszało.

– A dlaczego nie? – spytały wszystkie jednocześnie.

– To czyste szaleństwo. A jeśli coś się stanie, jak mnie nie będzie? Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak? – usprawiedliwiał się, patrząc na nie oszołomiony.

Sera obserwowała widoczny na jego twarzy proces myślowy. Czy to jest możliwe? Czy się odważy? Co za pomysł? Długi weekend w samotności.

– A czy Bella nie miałaby nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Sera. – Przecież ją znasz. W ogóle się nie przejmie. Będzie zachwycona.

– Nie, nie znam Belli – podkreślił. – Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać.

– Co? Nie spotkaliście się kilka tygodni temu? – spytała Chantrea. – Była na poprzednim wieczorku Szali i żali.

– Byłem wtedy na randce z mrużkiem.

– A tak, prawda. – Chantrea zaśmiała się na wspomnienie tej historii. – To ta, co myślała, że jest po części kotem.

– Ta sama. Nośła nawet dzwoneczek na szyi.

– No i widzicie, wszyscy są szurnięci! – powiedziała Chantrea.

– I komu to mówisz! – odpowiedział Sam. A na myśl o zbliżającej się sobotniej randce z kolejną potencjalną wariatką szybko podjął decyzję. – Dziękuję ci bardzo, Sera. Wchodzę w to.

Wszystkie panie roześmiały się i uniosły kieliszki.

– Baw się dobrze – powiedziała Sera.

– No pewnie – zgodziła się Chantrea. – To tylko trzy dni. Co złego może się stać?





Mnóstwo ludzi, na bosaka i zrezygnowanych, stało w kolejce do kontroli bezpieczeństwa. Każdy ze znudzonych pasażerów czekał na swoją kolej na zdjęcie paska, bransoletek, zegarków i innych niepozornych przedmiotów, które mogły jednak wywołać podejrzliwe wycie czułego detektora metali.

Z jednej kolejki dało się słyszeć oznaki niezadowolenia i ciężkie westchnienia, kiedy starsza pani została przyłapana na próbie przemycenia na pokład samolotu nożyczek do paznokci.

Bardziej doświadczeni podróżni, niecierpliwie przytupując, potrzęsali głowami – wszyscy już kiedyś przez to przeszli, stara kwoka może równie dobrze próbować przekonać Danii Minogue, żeby zrezygnowała z operacji plastycznych; na tyle mogły się zdać jej prośby i łzy.

Bella patrzyła na tę scenę zadowolona, że w jej kolejce nie było żadnych incydentów. Miała doświadczenie w takich sytuacjach i szybko oceniła, gdzie stoi najmniej sprawców potencjalnych kłopotów. Na pewno nie była to kolejka daleko po lewej, z matką z wózkiem i trójką dzieci. Niemowlę spało w wózek, a matka zalała się łzami, kiedy nakazano jej wyjąć śpiącego malca, złożyć wózek i przepuścić przez skaner.

Wolna od elementów metalowych i ostrych przedmiotów przeszła przez odprawę. Po raz dziesiąty, odkąd przyjechała na lotnisko, sprawdziła godzinę. Umówiła się w barze z przyjacielem Sery, któremu miała przekazać voucher hotelowy. Nie była zadowolona, że jej prezent dla siostry został oddany osobie, której nawet nie znała. Nie mogła się doczekać wyprawy z Serą do Hongkongu, ale kiedy usłyszała opowieść o zmarłej żonie, przełknęła irytację i postarała się o większą wyrozumiałość. Kim jest ten facet? Kiedy ostatnio spotkała się w Sydney z dziewczynami, wszystkie wydawały się nim oczarowane.

Znalazła bar i rozglądała się po pomieszczeniu. Mroczne

wnętrze wypełnione było samotnymi podróżnikami sączącymi drinki, jakby nie mogli się doczekać darmowego poczęstunku w samolocie. Musiała tylko przekazać voucher i mogła pójść do saloniku dla obsługi pokładowej. Niebawem miała zacząć się odprawa, a wcześniej musi się trochę odświeżyć.

Przy barze siedział mężczyzna, który nie wyglądał na typową lotniskową muchę barową. Miał długą czarną grzywkę, która opadała mu na ramki okularów. Ubrany był w czarne polo, grafitowy płaszcz i sprane dżinsy. U jego stóp stała płócienna torba na komputer. Podniosła wzrok na jego twarz i zauważyła, że niepewnie się do niej uśmiecha.

Wstał.

– Bella?

– A ty musisz być Sam. – Podeszła do niego, wyciągając rękę na powitanie.

– Cieszę się, że cię wreszcie poznałem. Nie wiem, jak ci dziękować. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że Sera podarowała mi twój prezent.

– Oczywiście, że nie. Nie musiałam się nad tym dwa razy zastanawiać. – Bella nie mogła się powstrzymać i znów się uśmiechnęła. Był całkiem miły; nieczęsto można było spotkać przystojnego mężczyznę pozbawionego arogancji. – To twój voucher na hotel.

– Bardzo dziękuję, to takie miłe z twojej strony. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Mogę ci postawić drinka w ramach podziękowania?

Zawahała się – naprawdę powinna już lecieć – ale był jej tak wdzięczny, nie mówiąc o tym, jaki był czarujący.

– No dobrze, ziołowa wódka z limonką i wodą. Muszę szybko lecieć do bramki. Odprawa za czterdzieści pięć minut.

– Więc latasz? – starał się nawiązać lekką konwersację, kiedy barman podawał im napoje.

– Latam – odpowiedziała.

– A nie męczą ci się ręce? – spytał z kamienną twarzą.

Przez chwilę dziwnie na niego patrzyła, aż w końcu

wybuchła śmiechem.

– Przepraszam, zawsze trzymają się mnie idiotyczne dowcipy, kiedy jestem zdenerwowany – wyjaśnił.

– Denerwujesz się, jak latasz?

– Troszeczkę – przyznał.

– To tobie dopiero muszą się męczyć ręce! – odpłaciła mu się i jeszcze bardziej rozluźniła tym atmosferę.

Rozmawiali jak zwykle w przypadku nowo poznanych osób: o Serze i jej rodzinie, o miastach świata, o lotniskowych dramatach, o ostatnim odcinku *Straży Granicznej* – okazało się, że dzielą sekretną słabość do tego serialu. Bella otworzyła się przed nim na tyle, że opowiedziała mu o swoim ciężkim dzieciństwie, rozśmieszając go historiami o niecywilizowanych braciach.

Nie wiedziała, co się dzieje. Czuła się w jego towarzystwie spokojna, bezpieczna i zrelaksowana. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Zwykle strażnik w jej głowie pilnował każdego słowa, żeby nie wymknęły się żadne prywatne sprawy i myśli, ale dzisiaj chyba strajkował, bo wylewała się z niej fala opinii i anegdot.

Zdała sobie sprawę z tego, że odkąd tu przyszła, nie sprawdziła włosów ani makijażu. Podobnie jak zegarka. I nie siedziała jak zwykle, jakby połknęła kij, a leniwie opierała się o bar.

Właśnie kiedy zamierzała spojrzeć na zegarek, żeby sprawdzić, czy czas już iść do bramki, ogłoszono, że lot do Hongkongu będzie miał dwugodzinne opóźnienie.

Pomimo jęków niezadowolenia otaczających ich pasażerów, trudno było udawać, że im to przeszkadza.

Kiedy Bella i Sam wyszli z baru, żeby skierować się do samolotu, żartowali, że pilot znalazł już pewnie kluczyki do swojego Boeinga 747. Przy bramce pożegnali się, ale obiecała mu, że wpadnie zobaczyć go w czasie lotu.

Musiała znowu wcielić się w Bellę – profesjonalistkę, w poważną Bellę. Jej uśmiech szybko przemienił się z promiennego, którym obdarzała Sama, w uprzejmy i obojętny zarezerwowany dla pasażerów pierwszej klasy.

Koczek na pewno się trzyma, nie zamierzała go sprawdzać.  
– Obsługa pokładowa, proszę zabezpieczyć drzwi i sprawdzić wyjścia – ogłosił pierwszy oficer.

Asif zachichotał, przechodząc obok niej, żeby sprawdzić drzwi.

– Uspokój się – rzuciła mu przez ramię.

Miała pełną świadomość, że śmiał się z jej sprawdzania, ponownego sprawdzania i jeszcze kilku kolejnych, żeby upewnić się, że drzwi są dobrze zabezpieczone. Ostatnio zaczęła radzić sobie ze swoją obsesją kompulsywną, ale to wcale nie znaczy, że ma nie przestrzegać zasad bezpieczeństwa.

– Co? – zapytał niewinnie.

Pokazała mu język i odeszła, przybierając swój najbardziej ujmujący uśmiech stewardesy.

Trzymając kamizelkę ratunkową, przekazała pasażerom wszystkie procedury bezpieczeństwa. Mogła to robić nawet przez sen. Wstrząsnęła się na myśl o tym, ile razy odgrywała ten rytuał. Ale lubiła to. W jakiś dziwny sposób uspokajało ją to rutynowe przedstawienie, które jednocześnie było bardzo ważne i odmóżdżająco przyziemne.

Fascynowało ją, jak wielu pasażerów niezłomnie ignorowało pokazy bezpieczeństwa. Możliwe, że przechodzili już przez to tyle razy, że znali je na pamięć. Albo nie dopuszczali do siebie myśli,

że może zdarzyć się jakikolwiek wypadek. Kiedy demonstrowanie się zakończyło, przeszła do strefy wyjściowej, żeby zapiąć się w swoim fotelu.

Sam umieścił bagaż podręczny w schowku nad głową i usiadł obok poważnego faceta w okularach. Wymienili się uprzejmościami i Sam wziął do ręki czasopismo, a pasażer obok wściekle esemesował na pokładowym telefonie.

Po starcie odłożył wreszcie telefon i wydał z siebie głośne westchnienie. Było tak melodramatyczne, że Sam skierował na niego pytający wzrok.

– Och, przepraszam – wytłumaczył się. – Nazywam się Steven Blakely. Jestem dziennikarzem Reutersa i musiałem szybko przesłać korespondencję do redakcji. Niezły wyczyn napisać cały artykuł esemesem.

– Dlaczego nie zrobiłeś tego na ziemi? – spytał Sam zaciekawiony jego pracą.

– To świeżutka wiadomość. Mój kontakt w Iraku zadzwonił, kiedy zamykali drzwi. W centrum handlowym w Bagdadzie był wybuch, dosłownie parę minut temu.

– Naprawdę?! – wykrzyknął Sam. – Jest dużo rannych?

– Za wcześnie, żeby mówić o liczbach, ale nie wygląda to dobrze. Teraz jest tam pora zakupów i podejrzewa się samochód pułapkę.

– O rany, to straszne.

– To byłoby straszne, gdybym nie odebrał tego telefonu. A mało brakowało. Wylądowalibyśmy w Hongkongu i odkrył, że ktoś inny już to opisał. A tak, jest w internecie w chwili, gdy rozmawiamy.

– To niezwykle – powiedział Sam.

Podczas dalszej rozmowy dowiedział się, że Steven od piętnastu lat pracuje jako korespondent zagraniczny. Nie wyglądał na żadnego przygód awanturnika, ale jak wyjaśnił, do tego stereotypu pasowali jedynie prezenterzy telewizyjni.

Pierwsze godziny lotu upłynęły im na picciu piwa i rozmowach na temat polityki, emisji dwutlenku węgla i życia w

erze internetu.

Z wyjątkiem gadatliwej starszej pani nie było zbyt trudno poradzić sobie z pasażerami pierwszej klasy, jak tylko zasnął alkoholik z fotela 2A. Przyjęła to z ulgą, bo lot na trasie Sydney – Londyn, z międzylądowaniem w Hongkongu, potrafił być męczący.

Dwadzieścia dwie godziny z wojowniczymi pasażerami to piekło na ziemi. Chociaż przerwy w podróży należały do luksusowych, często nie były tego warte. Dzięki Bogu, że tym razem kończy w Hongkongu. Umówiła się z Samem, że się spotkają, i na chwilę rozproszyły ją przyjemne myśli.

Nie mogła ukryć zawstydzonego uśmiechu, kiedy mówiła Asifowi o Samie siedzącym w klasie biznes. Zagroził, że pójdzie i sprawdzi, kto to taki, ale ubłagała go, żeby tego nie robił.

– Bella, tylko mały rzut oka – drażnił się z nią. – Muszę go przecież zaaprobować. Nie mam zamiaru pozwolić ci umawiać się z jakąś paskudą.

– Nie jest paskudny – syknęła i próbowała wepchnąć go z powrotem do kuchni. – I bądź cicho, jest zaraz za zasłonką, więc może cię usłyszeć.

Oboje przewrócili oczami na niecierpliwy dźwięk dzwonka. Wyjrzelili zza zasłonki – oczywiście 3A.

– Trzeba dolać księżniczce szampana – jęknął Asif. – Idź, nalej. – Podał jej butelkę.

– Nie mam zamiaru. To twoja pasażerka.

– Jak to zrobisz, kupię ci w Hongkongu torebkę Chanel.

– Ale mi interes, parę groszy za tuzin.

– Nie, masz u mnie oryginał, obiecuję – powiedział Asif, trzymając rękę za plecami.

Bella dobrze wiedziała, że krzyżuje tam palce, ale mimo to wzięła butelkę.

– Tchórz – powiedziała, wchodząc w przejście.

Kabina trzeszczała, kiedy samolot przemierzał kontynent. Bella napełniła pasażerom kieliszki, rozejrzała się wokół i przyjrzała swojemu światu stalowego kadłuba. Wydawał się

całkiem spokojny, jak zwykle. Drzemki, drinki, oglądanie filmów, ściszone głosy obsługi pokładowej. Ktoś wychodzący do toalety. Jak ekosystem pod szklanym kloszem. W zastoju. Nic się nie mogło zmienić, nic wydarzyć, wszyscy byli tu uwięzieni, pod nadzorem pilotów, ufnie, czekając na chwilę, gdy powrócą do swojego życia.

Wróciła do kuchni pokładowej klasy biznes i przyłapała Asifa na podziwianiu swojego odbicia w szafce ze stali nierdzewnej. Już miała z tego zażartować, kiedy kabiną wstrząsnął ogłuszający huk. Pasażerowi zaczęli krzyczeć, a podłoga pod stopami Asifa wygięła się w stalowy garb. Odrzuciło go na jedną stronę i mocno uderzył głową o stalową ławkę. Krwawił i stracił przytomność.

Silny wiatr rozrzucał po kabinie odłamki. Metalowa ściana toalety została rozbita i jeden ze śmiercionośnych kawałków wylądował w pobliżu Sama, jak gwiazda rzucona przez wojownika ninja. Sam spojrzął na leżący w odległości pół metra metal i przełknął ślinę. Wycie wiatru i wrzaski pasażerów go ogłuszały.

– Strzelają do nas! Strzelają do nas! – krzyczał histerycznie mężczyzna w średnim wieku dwa rzędy za nim.

Przed każdym z pasażerów opadły maski tlenowe. Mieli zadanie do wykonania, a to, choć niewielkie, na chwilę ich zajęło.

Sam przedzierał się przez zwisające żółte rurki do spanikowanego biznesmena, który ciągle krzyczał. Kabina się rozhermetyzowała. Nie było dużo czasu.

– Słuchaj, przestań panikować! Nikt do nas nie strzela. Załóż maskę i ani słowa więcej. Wszystko będzie dobrze.

Mężczyzna spojrzął na niego, milknąc w pół słowa, potaknął i zaczął wkładać maskę.

Sam wrócił na swoje miejsce i chwycił maskę. Tlen syczał uspokajająco, zaciągnął się trzy razy, zanim założył na tył głowy opaskę zabezpieczającą.

Steven Blakely odwrócił do Sama pobladłą twarz, sięgnął po pokładowy telefon i zaczął pisać wiadomość.

– Co ty, do diabła, robisz? – syknął Sam spod maski.

– Wysłałem wiadomość do redakcji – odpowiedział Blakely z głosem obniżonym o kilka oktaw z powodu przeszkadzającej gumy. – To historia katastrofy lotniczej, jeden z najlepszych newsów! Na pewno trafi na pierwszą stronę.

– Pojechało cię? – powiedział Sam. – Trzeba coś zrobić, jakoś pomóc!

Kciuk Stevena Blakely błyskawicznie poruszał się po klawiaturze. Nie podniósł wzroku, kiedy odpowiadał.

– Nie ma sensu. Co możemy zrobić? Mamy przechlapane.



Muszę to wysłać, zanim się rozbijemy.

Po kilku sekundach odłożył telefon.

– I to by było na tyle. Wysłane.

Sam spojrzął na niego i dreszcz przeszedł mu po plecach, kiedy dziennikarz spokojnie oparł plecy na siedzeniu i z grobową miną czekał na nieuniknione.

Sera stała w łazience i uśmiechała się do słoiczków, które trzymała w dłoniach. Nie mogła się nadziwić, że kiedyś pokładała tyle wiary w ich zawartość. Ten głupi biały krem nie był odpowiedzią na jej problemy z blizną. Odpowiedź leżała w niej i zawsze tam była. Ale już zupełnie się tym nie przejmowała. Oczywiście miło by było mieć gładkie nogi, ale tak samo miło by było wygrać w lotto, a na żadną z tych rzeczy nie miała większych szans. Już dosyć obsadzania się w roli ofiary. Taką lekcję dał jej czas i powinna się z tym pogodzić. Muzyka klasyczna sącząca się z radia w łazience koła i umacniała jej nowo odkryte poczucie wewnętrznego spokoju.

Podeszła do kosza na śmieci dodać słoiczki do tych wcześniej wyrzuconych. Nagle muzyka ucichła. Spojrzała zdziwiona na radio. „Zwykle nie ma przerw w tej stacji”, pomyślała.

Kobiecego głos zaczął przemawiać oficjalnym tonem.

– Najświeższe wiadomości: eksplozja w trakcie lotu numer 96 linii Air Australia lecącego z Sydney do Hongkongu. Dziennikarz Reutersa Steven Blakely jest na pokładzie samolotu i poinformował, że wybuch po lewej stronie przebił kadłub. Do wnętrza kabiny wdarł się wiatr i odłamki. Jedna osoba z obsługi pokładowej jest nieprzytomna, ale nie zgłoszono innych obrażeń. W tej chwili nie mamy więcej wiadomości. Dyrektor generalny Air Australia, Kevin Janeway wygłosi wkrótce oświadczenie dla prasy.

Sera krzyknęła i upuściła słoiczek na wykafelkowaną podłogę. Rozbił się w drobny mak.

Wbiegł Tony.

– Co się dzieje, Sera? Stało się coś?

Patrzyła na niego oniemiała i tylko wskazała radio. Dyrektor

generalny linii powtarzał to, co przed chwilą mówiła spikerka. Wy tłumaczył też specyfikę samolotu i podał szczegóły dotyczące pasażerów i załogi.

– O cholera, nie wygląda to dobrze – powiedział Tony. – Posprzątajmy to i chodźmy na dół włączyć telewizor. Na pewno wiadomości podaje każda stacja.

Ukląkł z koszem na śmieci i rolką papieru toaletowego.

– Tony – powiedziała Sera z wysiłkiem.

– Tak, co, kochanie? – Zaniepokojony podniósł głowę na przerażoną żonę.

– Bella i Sam są w tym samolocie – szepnęła.

Chantrea szła szerokim lotniskowym holem do swojej bramki. Dwóch małych chłopców bawiło się w berka, biegając od jednej ściany do drugiej i o mało się o nich dwa razy nie potknęła.

– Przestańcie, łobuziaki – warknęła na nich, kiedy po raz trzeci wpadli jej pod nogi.

Zerknęła na zegar na tablicy odlotów. Dziesięć minut to wystarczająco dużo czasu, żeby się podmalować, przebrać i udawać hostessę dla kolejnego tłumu będącego się na Bali.

Nagle jej komórka zwariowała, dziesięć nowych wiadomości naraz. W dodatku zaczęła dzwonić. Już miała odebrać, kiedy jej uwagę przyciągnął tłum ludzi oblegających telewizor w pobliżu jednego z wyjść.

Telefon nie przestawał wydawać dźwięków, a ona nie wierząc własnym oczom, patrzyła na wizerunek samolotu Air Australia i stary materiał filmowy z ubiegłorocznej katastrofy samolotu linii Qantas. Zbliżyła się, żeby coś usłyszeć. Porwanie? Na pewno nie. Co, u diabła, się dzieje? Który to lot?

AA-96. Świat zawirował jej przed oczami, telefon nie przestawał dzwonić. To był lot Belli, a Sam był na pokładzie.

Kule przeleciały przez cały pokój i wylądowały na przeciwległej ścianie. Mallory zalała się łzami.

– Nie mogę, mówię ci, to jest za trudne!

– Tak, to bardzo frustrujące – gruchała fizjoterapeutka Francesca, podnosząc kule. – Ale robisz duże postępy. Dziś

zrobiłaś już sześć kroków, a kule utrzymywały twój ciężar tylko przez kilka ostatnich.

– Sześć kroków? O czym ty mówisz? Ja kiedyś stepowałam. Biegałam. Nosiałam wysokie obcasy. – Z tym ostatnim, najbardziej tragicznym oświadczeniem, opuściła głowę i załkała. – Nigdy... już... nie założę... wysokich obcasów – zawodziła.

Francesca mogła tylko pokręcić głową. Mallory nie należała do trudnych pacjentów, ale wysokie obcasy? Naprawdę?

Drzwi pokoju otworzyły się z hukiem.

– O co chodzi? – Francesca zgromiła wzrokiem recepcjonistkę, która wpadła do środka. – Mam pacjentkę.

Dziewczyna podbiegła do telewizora i chwyciła pilota.

– Jakaś bomba właśnie wybuchła w samolocie Air Australia.

– O cholera – powiedziały jednocześnie Mallory i Francesca i spojrzały z przerażeniem na ekran.

Pokój wypełniła martwa cisza.

– Chyba leciał do Hongkongu – poinformowała je recepcjonistka.

– Och, nie – szepnęła Mallory. – Moi przyjaciele są w tym samolocie.

– To bardzo miło z twojej strony, że mi pomagasz, Joan. Naprawdę nie musisz – powiedziała Jacqueline.

Ręce obu kobiet były obleczone w różowe gumowe rękawiczki i zanurzone w wodzie. Zmywały naczynia po dzisiejszym pieczeniu ciast. Zrobiły czterdzieści dwa serniki czekoladowe, które szybko stawały się popisowym deserem Jacqueline.

– Powiedziałam, że ci pomogę, a ja dotrzymuję słowa – powiedziała Joan. – No może z wyjątkiem tego – ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską – i tym podobnych nonsensów.

Jacqueline zaśmiała się na takie lekceważenie sakramentu małżeństwa. Joan była zabawną starszą panią. Jacqueline naprawdę cieszyła się z jej towarzystwa i nie mogłaby bez jej pomocy tak szybko rozwinąć swojej firmy. Poszerzyła nawet wybór produktów o włoskie ciasteczka, do pieczenia których Joan

wkładała całe serce.

Telewizor stojący w rogu pokoju pokazywał powtórkę jakiegoś serialu, kiedy kończyły zmywać ostatnie blachy do pieczenia.

Nagle na wizję weszła Chris Bath prowadząca wiadomości na kanale siódmym i rozpoczęła podenerwowanym, roztrzęsionym głosem:

– Najnowsze wiadomości: eksplozja na pokładzie samolotu Air Australia, lot numer 96. Dziennikarz Reutersa, Steven Blakely jest na pokładzie i był naocznym świadkiem wybuchu. W obecnym stadium nie wyklucza się jeszcze zamachu terrorystycznego.

Utytułowany dziennikarz przesłał wiadomość z pokładu samolotu.

Na ekranie widać było zbliżenie telefonu komórkowego. Przesuwała się na nim wiadomość: „Wybuch na pkl AA96. 1 zał ranny. Brak O2, maski”.

Mężczyzna tłumaczył wiadomość głębokim barytonem:

– Wybuch na pokładzie lotu 96 linii Air Australia. Jeden członek załogi jest ranny. Nie ma tlenu, używamy masek tlenowych.

Prezenterka kontynuowała profesjonalnym tonem, przechylając lekko głowę w jedną stronę.

– Ta wiadomość została odebrana w redakcji Reutersa w Sydney o godzinie 16.10 czasu wschodniego i eksperci potwierdzili, że wysłano ją z lotu 96. To nie jest żart. W obecnej chwili nie możemy potwierdzić, czy wieża kontroli lotów w Sydney była w stanie nawiązać kontakt z kapitanem AA96.

– W lipcu 2008 roku w samolocie linii Quantas miała miejsce podobna eksplozja...

Joan i Jacqueline ściągnęły sobie nawzajem namydlone różowe rękawiczki i z przerażeniem wpatrywały się w ekran.

Sam wyskoczył z fotela i przedarł się przez zasłonę do pokładowej kuchni. Bella pochylała się nad Asifem. Miała ze sobą butlę z tlenem i mocowała mu na twarzy maskę. Podniosła wzrok na Sama. Oboje wiedzieli, że słowa są tylko stratą cennego powietrza. Samowi pojawiły się mroczki przed oczami. Piekły go płuca. Asif wciągnął powietrze i oprzytomniał. Popatrzył na nich i uniósł w górę kciuk, pokazując, że wszystko z nim w porządku. Bella nabrała powietrza z drugiego ustnika i podała go Samowi. Dopływ tlenu uruchomił mu mózg.

– Co się stało? – spytał.

Wzruszyła ramionami, biorąc z powrotem maskę.

– Jakiś wybuch. Sprawdź przejścia.

Powód ciągłego wycia wiatru stał się jasny, kiedy Sam zobaczył dziurę w poszyciu podłogi.

– Musimy to jakoś zakryć, zanim się powiększy! – krzyknął.

– Jak? – spytała.

Płynący z głośnika głos kapitana konkurował z chaosem.

– Proszę wszystkich o zachowanie spokoju. Najważniejsze, żeby nie wpadać w panikę. Muszę zapanować nad samolotem.

Powtarzam, muszę zapanować nad samolotem.

Ton głosu dowódcy przekonał pasażerów do zaakceptowania rozkazów i kiedy zaczęły cichnąć piski, zawodzenia i krzyki, zdali sobie sprawę z tego, że samolot, mimo iż schodzi w dół, robi to w sposób kontrolowany.

Sam rozejrzał się wokół. Jego oczy spoczęły na dużej srebrnej tacy. Dziura miała wielkość kuli do kręgli. Taca może pasować. Zbliżył się do wyrwy w podłodze i rzucił na nią tacę. Od razu wczepiła się w jej środek – siła ssania starała się wyciągnąć ją na zewnątrz.

Sam wrócił do Belli i z wdzięcznością przyjął od niej maskę tlenową. Ona wzięła maskę Asifa, którą jej podał.

– Potrzebujemy lepszej bariery, ta nie wystarczy na długo – powiedział Sam. – Wessie ją w ciągu paru minut.

– Siedzenia? – zasugerowała Bella.

– Można je zdjąć? – zapytał.

– Możemy spróbować – powiedziała, a Asif przytaknął z twarzą tak białą jak laminat na kuchennych szafkach.

– Kapitan powinien sprowadzić nas na bezpieczną wysokość w ciągu kilku minut – dodała.

Z kabiny klasy biznes dobiegł ich wysoki, przeraźliwy krzyk.

– Strzelają, strzelają, strzelają! – Zawodzenia stawały się coraz głośniejsze.

– Mamy tam problem – powiedział Sam do Belli i Asifa. – Facet kompletnie ześwirował. Spróbujcie wyjąć jedno z siedzeń. Ja pójdę do niego i zobaczę, czy da się jakoś poskromić tę panikę.

Przechodząc obok swojego rzędu, rzucił okiem na Stevena Blakely, który znów esemesował. Kto może myśleć o pracy w takiej chwili?

Biznesmen stał w przejściu. Zobaczył nadchodzącego Sama i rzucił się w jego kierunku.

– Spadochron, potrzebny mi spadochron, muszę się wydostać z tego samolotu. SPADAMY, SŁYSZYSZ MNIE, SPADAMY!

Sam był świadomy, że panika jest bardziej zaraźliwa niż jakakolwiek inna choroba świata i potencjalnie bardziej śmiertelna. Inni pasażerowie dołączyli do histerycznych krzyków i w desperacji trzymali się kurczowo jeden drugiego.

Sam chwycił faceta za barki.

– Nie spadamy. Kapitan ma kontrolę nad samolotem. Zaraz znajdziemy się na wysokości, na której można oddychać, ale musisz usiąść i założyć maskę.

Sam złapał jego maskę i wciągnął haust powietrza z zamiarem oddania jej mężczyźnie i umieszczenia na jego twarzy.

– Nie! – krzyknął tamten ze zgrozą. – To moje, to mój tlen, oddaj mi go!

Wyrzucił potężne ramiona. Sam zrobił unik, ale przedramię faceta trafiło go w ucho i bok głowy. Przed oczami pojawiły mu

się gwiazdy, ale zaraz odzyskał świadomość.

– Uspokój się natychmiast, do cholery – powiedział.

Wyciągnął ręce, żeby go ustabilizować, ale wtedy gość znowu wziął zamach, żeby go uderzyć. Sam obronił się, wymierzając mu cios w nasadę nosa. Głowa biznesmena odskoczyła do tyłu, przerwócił oczami i opadł na fotel, pogrążając się w błogiej nieświadomości. Sam wziął kolejny haust powietrza z maski, umocował ją na twarzy przeciwnika i pospieszył z powrotem do klasy pierwszej.

Bella i Asif zmagali się z fotelem dla załogi.

– Są tylko dwie śruby, tutaj i tu, i będzie można go zdjąć – powiedziała Bella, podając mu mały klucz.

Szybko poradził sobie z pierwszą śrubą, ale druga była zapieczona. Kciuk utknął mu między siedzeniem a śrubą, klucz się złożył, przycinając mu palec. Zaklął, kiedy z jego dłoni połała się krew. Upiorny chrzęst zmusił ich do spojrzenia na dziurę.

Ciężka taca z nierdzewnej stali była wysysana na zewnątrz jak kawałek aluminiowej folii. Widać już było tylko mały kawałek.

– Zaraz zupełnie ją wessie! – krzyknął Sam.

We troje szarpali siedzenie, dopóki nie odpuściła druga śruba. Podnieśli je i rzucili na srebrną tacę w chwili, gdy była już wsysana do luku bagażowego, który musiał mieć dziurę dużo większą niż ta w kabinie. Próżnia zachłannie chwyciła fotel i trzymała.

Cichą kabinę wypełnił głos kapitana.

– Panie i panowie, lecimy na wysokości czterystu dwudziestu sześciu metrów. Kabina powinna już wypełniać się powietrzem, ale zalecam państwu pozostanie w maskach do czasu wylądowania. Mamy zgodę na lądowanie awaryjne na lotnisku w Darwin i wylądujemy za około sześć minut.

Pasażerowie powitali te słowa z umiarkowaną radością, nieprzygotowani na to, żeby dać im pełną wiarę, zanim naprawdę bezpiecznie znajdą się na ziemi.

Nieczuły kciuk Stevena Blakely w ciągu dwudziestu siedmiu sekund wysłał do pięćdziesięciu milionów czytelników, widzów i

słuchaczy wiadomość o prawdopodobnie pomyślnym zakończeniu dramatu.



Chris Bath wciąż patrzyła zaniepokojonym wzrokiem na swoich niewidocznych widzów, powtarzając te same słowa, co przez ostatnie piętnaście minut. Sera i Tony stali na środku salonu przykuci do telewizora. Wstrzymali oddech, czekając na najświeższe wiadomości, każde z nich zamknięte we własnej bańce niepokoju, skupieni na swoich myślach, nie mając odwagi wyobrazić sobie nieuniknionego zakończenia tego dramatu.

Ktoś podał prowadzącej kartkę.

– Mamy nowe wiadomości – powiedziała do kamery. Sera i Tony chwycili się za ręce. – Samolot Air Australia lot 96 właśnie wylądował bezpiecznie na lotnisku w Darwin. Reporter Reutersa Steven Blakely, przebywający na pokładzie w czasie katastrofy, donosi, że wyrwa w poszyciu kadłuba prawdopodobnie została spowodowana wybuchem butli z tlenem, podobnie jak w przypadku incydentu na pokładzie samolotu linii Qantas w ubiegłym roku. Jeden z pasażerów jest ranny, a jeden z członków załogi doznał niegroźnych uszkodzeń ciała. Samolot Air Australia, na pokładzie którego trzydzieści minut temu miał miejsce wybuch, bezpiecznie wylądował w Darwin.

– Jeśli dopiero włączyliście państwo odbiorniki, informuję, że dziś po południu w czasie planowego lotu do Hongkongu samolot Air Australia...

Sera poczuła, jak zaczynają jej drżeć kolana. Przez ostatnie trzydzieści minut utrzymywało ją w pionie jedynie nerwowe napięcie. Tony zauważył, że słabnie, objął ją i podtrzymał silnymi ramionami. Jego obecność pozwoliła jej dać ujście napięciu, a z oczu popłynęły łzy. Miała takie szczęście, że przy niej był, że ten silny, piękny mężczyzna pomógł jej przetrwać taką traumę. Potrzebowała go teraz bardzo i jak zawsze przy niej był. Poczowała nagły przypływ lęku. A jeśli on byłby w tym samolocie? Szlochała mu w ramię, lejąc nie tylko łzy ulgi.

Maddy i Harry zbiegli ze schodów i wpadli do pokoju.

– Mamusiu, co się stało? Dlaczego płaczesz? – dopytywała córka.

– Dlaczego jesteś smutna? – zapytał Harry.

– To nie są łzy smutku, kochanie – powiedziała Sera i wysunęła się z objęć męża. – To łzy szczęścia.

Koszmar dobiegł końca. Byli bezpieczni. Joan zostawiła rękawiczki i pospieszyła do domu, żeby być z rodziną.

Jacqueline wyłączyła telewizor i wyczerpana oparła się o ścianę. Wszystko stało się takie jasne. W ciągu ostatnich trzydziestu minut lista jej priorytetów rozsypała się jak domek z kart i ułożyła w zupełnie innym porządku.

Nagle ciasto francuskie, serniki i deklaracje podatkowe wydały jej się nieistotne, a na pierwszym miejscu, jak latarnia morska, stanęła rodzina.

Poszła do gabinetu i z czułością spojrzała na męża. Był przyklejony do telewizora, jak reszta kraju, oglądał opuszczających pokład pasażerów.

Podeszła do niego i klękła mu u stóp. Ze zdziwieniem oderwał oczy od ekranu.

– O co chodzi? – spytał.

Wciąż na podłodze Jacqueline oparła się plecami o kanapę i powiedziała:

– Przydałby mi się masaż.

– Oczywiście, kochanie – powiedział Thomas, a jego mocne, delikatne dłonie rozmasowały stres wywołany wydarzeniami dnia z ramion żony.

Patrzyli, jak jeden z pasażerów jest wieszony na wózku do karetki.

Mallory krzyczała z radości razem z resztą pacjentów, pielęgniarkami i fizjoterapeutami, którzy przyszli oglądać wiadomości na jedynym odbiorniku w klinice. Szybko wytłumaczyła obecnym jej związek z dwojgiem osób na pokładzie. Jej słuchacze łakomie połknęli opowieść o Samie, który trafił na ten lot w ostatniej chwili.

Była szczęśliwa, niedorzecznie radosna i szczęśliwa! Jeszcze niedawno nie mogła sobie tego wyobrazić. Ostatnio było źle, widziała wszystko w ciemnych barwach, przepełniał ją żal, i co tu ukrywać, chyba nawet była w depresji. A teraz odurzało ją niezwykle uczucie radości. Co tam chodzenie, czuła, że może latać!

Po co traciła tyle energii na zamęczanie się myślami o Vincie i jego ciężarnej dziewczynie? Kogo oni w ogóle obchodzą? Żyj i pozwól żyć: niech się bawią w szczęśliwą rodzinę, niech żyją własnym życiem. Mogła myśleć jedynie o tym, że Sam i Bella są bezpieczni, że samolot pełen ludzi wylądował i skończył się ten straszny koszmar.

– Francesca – powiedziała – popatrz na to.

Podniosła kule.

Zrobiła dziesięć kroków, zanim jej ciało zaczęło szukać oparcia na metalowych podporach.

– Wspaniale! – krzyknęła terapeutka, a razem z nią ucieszył się cały pokój.

Chantrea ukryła się w saloniku, z dala od tłumów wciąż przyklejonych do telewizorów. Tak wyglądał koszmar każdej stewardesy. Dzięki Bogu, że się skończył. Potrząsnęła głową ze wstydem. Była taką samolubną krową. A jeśli to ona byłaby na pokładzie? I jeśli wszystko nie skończyłoby się dobrze? Matka wychowałaby Sally, a Chantrea miała stuprocentową pewność, że byłoby to dobre wychowanie. Jej matka była cudowną kobietą; oczywiście, wychowaną w innych czasach, w innym kraju, w innej kulturze, ale obie, Dara Kim i Chantrea, miały jedną, najważniejszą, wspólną cechę: kochały Sally i zrobiłyby dla niej wszystko. Dara Kim chciała tego samego, co ona: żeby ta mała dziewczynka wyrosła na spełnioną, szczęśliwą i pewną siebie kobietę.

Przyszedł czas, żeby powiedzieć Sally o jej urodzinowej niespodziance. Wstała i przeszła w bardziej zaciszne miejsce, żeby zadzwonić do córki. Chciała też porozmawiać z matką. Musiała jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha i szanuje. Powinna była to zrobić

już dawno.

To był pomysł Sama. Ich grupa, wstrząśnięta ciężkim doświadczeniem, potrzebowała się spotkać. Zabawne, że Bella i Sam, główni bohaterowie dramatu, byli mniej roztrzęsieni niż reszta.

Może dlatego, że byli na pokładzie, razem przez to przeszli; prawdopodobnie to sprawiło, że obciążyło ich to mniej niż innych. A może miał również znaczenie fakt, że resztę weekendu spędzili w łóżku, w hotelu Crowne Plaza w Darwin, nie myśląc o zbyt wielu sprawach.

Sam wiedział, że to on musi zwołać awaryjne spotkanie Szali i żali, żeby mogli się zobaczyć, utulić, przegrupować i upewnić, że Samowi i Belli naprawdę nic się nie stało. Wrócił już tydzień temu, więc był najwyższy czas.

Grudniowy wieczór był ciepły, więc usiedli z drinkami w ogrodzie warzywnym Sama. Kobiety zachwyciły się rabatami – większość roślin była w pełni rozkwitu.

– Trochę się zabawimy – wytłumaczył Sam. – To wasze przystawki – Oderwał strąk groszku, otworzył i wsypał zawartość do ust. – Kto ma ochotę na pomidorka? – powiedział, wskazując ręką na ogród za ich plecami, gdzie małe czerwone bombki odcinały się od zielonego listowia jak gwiazdkowe dekoracje.

Kiedy już zakończyli ucztę złożoną z organicznych fasolek, truskawek, pomidorów i groszku, przeszli do środka i wzięli włóczki. Teraz byli zdecydowanie lepiej zorganizowani niż na początku. Przyczyną ich dzisiejszego spotkania były ostatnie wydarzenia, co nie przeszkadzało im przyspieszyć pracy, żeby ukończyć jak najwięcej wyrobów przed gwiazdkową wysyłką przygotowywaną przez fundację charytatywną dla wielu potrzebujących.

Joan dostarczyła im motywacji, ucząc paru nowych technik. Jacqueline, odkładając na później akryłowy sweter dla męża, robiła

zimową czapkę. Sera dziergała już trzeci kocyk dziecięcy z wełny merynosów, a Chantrea zajęła się ciepłymi skarpetami.

– No, Sam – zaczęła Chantrea z błyskiem w oku – opowiadaj, jak tam było z Bellą.

– Nie! – Sam zastopował, wystawiając otwartą dłoń. – Proszę o nic nie pytać. Nie zamierzam opowiadać wam o każdym pocałunku. A w tym szczególnym przypadku nie zamierzam wam opowiadać o najlepszym, najbardziej gorącym dwudziestoczterogodzinnym seksie.

Wszystkie ręce się zatrzymały i zapadła cisza. Patrzyły na niego z otwartymi ustami. W końcu Chantrea przerwała milczenie, mówiąc to, o czym myślały wszystkie inne:

– Cholernie ci zazdroszczę!

Wybuchły śmiechem, w pełni zgadzając się z jej odczuciami. Nawet Joan potaknęła z rozszerzonymi źrenicami i falą wstydu wpływającą jej na twarz.

– Możecie przestać? Mówicie o mojej siostrze – wtrąciła się Sera.

– Nie mówimy – poprawił ją Sam. – Możecie mnie męczyć, ile chcecie, ale nie będzie żadnych szczegółów. Koniec historii. – Podniósł swoją chustę. Pracował nad grubą wełnianą narzutką. – Ta-dam! – oświadczył, trzymając ukończone dzieło.

Cały pokój wiwatował.

– Wspaniała. A teraz frędzelki – powiedziała Joan i usiadła obok Sama, żeby nauczyć go nowej sztuki.

– Możemy przynajmniej spytać, gdzie teraz jest? – odezwała się Chantrea.

– Niestety, praca nie wybiera – wytłumaczyła Sera. – Miała parę sesji terapeutycznych, na które wysłały ją linie, i poleciała do LA. Ale naprawdę chciałyby tu być i wiecie co? Tym razem jej wierzę.

Wtedy niespodziewanie zadzwonił telefon Sama. Wyszczrzył się jak nastolatek.

– To ona! – powiedział i odebrał na głośnomówiącym. – Cześć, Bella, jesteś na głośniku, więc nie mów nic sprostego.

– No wiesz?! – popłynął oburzony głos Belli. – Cześć wszystkim!

– Cześć, Bella – odpowiedzieli.

– Słuchajcie, Asif i ja jesteśmy na totalnej wyprzedaży w Versace i oczywiście pomyślałam o was. Wszystko jest w zupełnie nieprawdopodobnych cenach. Co wy na to? Siostrzyczko, co ci kupić?

Pisnęli i rzucili swoje robótki.

– O rany, nie wiem, Bella – powiedziała Sera. – A przy okazji rozmawiałam z mamą, już czuje się lepiej. Przeziębienie minęło.

– Dzięki, dobra wiadomość – odpowiedziała Bella.

– No dobra, a co tam macie? – Sera pochyliła się nad telefonem leżącym na stoliku do kawy.

W salonie domu w Sydney słychać było dźwięki dochodzące ze sklepu w Los Angeles.

– Paski? Torby? Bluzki? Sukienki? Co tylko chcesz. A może T-shirt? – zaoferowała Bella.

– Nie, chyba na razie dam sobie spokój z markowymi ciuchami – odpowiedziała Sera ku zdziwieniu siostry. – Ale może Chantrea?

– Chantrea? – pytała dalej Bella. – Jest taka fioletowa sukienka z lycry, która by ci się spodobała.

– Dzięki, że o mnie myślisz, ale muszę oszczędzać.

– Mallory? Jesteś tam? – spytała Bella.

– Tak, jestem, ale wiesz, nie mogę sobie teraz pozwolić na większe wydatki.

– Nie wierzę! Żadna z was nie chce skorzystać z takiej wyprzedaży?

– Hmm... – Jacqueline nie chciała zwracać na siebie uwagi, czym oczywiście zwróciła ją na siebie.

– Czekaj, może Jac – powiedziała Sera.

– Jacqueline? – Bella nie była w stanie ukryć zdziwienia.

– Ja... zwykle nie noszę Versace... Jest trochę krzykliwy.

Mają coś granatowego?

Śmiech Belli popłynął po linii.

– Versace ma tylko dwa kolory, kochana, ostentacyjny i jeszcze bardziej ostentacyjny.

– No to chyba nie... – powiedziała Jacqueline, ukrywając pod sofą stopy ubrane w baleriny.

– Och, Jac, nie poddawaj się – dodawała jej odwagi Sera. – Masz przecież niedługo tę piekarską konferencję. Mogłabyś ich rozłożyć na łopatki odrobiną przepychu.

– No tak, mam – potwierdziła powoli. – I chciałabym trochę wydać na coś, co oddawałoby nową mnie.

– Zaczekaj, Jacqueline – powiedziała Bella. – Mam tu sukienkę, w której byś bosko wyglądała. Oczywiście jest złota, ale bez cekinów. Satynowa, bez pleców, długa, lejąca, ale nie obciskająca. Idealnie pasuje do twojej kolorystyki.

– Och, brzmi cudownie – rozpromieniła się Jacqueline. – Ile kosztuje?

– Z dwóch i pół na... O boziu, czterysta dolarów!

– Kup ją, kup ją! – piszczała Jacqueline; ją też opanowało szaleństwo przecen.

– Zrobione. Ktoś jeszcze?

Sera rozejrzała się po pokoju.

– Joan, kup coś dla Joan.

– Sera, nie gadaj głupot, uśmieją się, jak spyta o rozmiar szesnaście. Trzeba by było zszyć razem dwie sukienki i wciąż by było mało – zaprotestowała starsza pani.

– Ale mają mnóstwo torebek. Jaki kolor? – zawołała Bella.

– NIE CZARNY! – krzyknęły jednocześnie Sera, Chantrea i Jacqueline.

Joan spojrzała na nie z urazą.

– Czerwona?

– Tak, będzie super – powiedziała Sera.

– Czerwona? Ale ja nie mam nic czerwonego – zaprotestowała Joan.

– Joan, nie nosi się czerwonej torebki do czerwonych ubrań. Nosisz ją na przykład z szarym – wyjaśniła Sera.

– Och – powiedziała nieco uspokojona Joan. – Mam dużo



szarych rzeczy.

– Czyli załatwione, Bella. Dobra robota. Dzięki, że do nas zadzwoniłaś.

W hotelowym pokoju Belli w LA dwoje zakupowiczów przedzierało się przez sterty pakunków.

– Popatrz na mnie, jestem jak supermodel – oświadczył Asif, wychodząc z łazienki w nowym garniturze Versace z dobraną zieloną koszulą i krawatem.

– No jesteś, wyglądasz powalająco – zgodziła się Bella.

– Co tam masz, co tam masz? – śpiewał, kiedy otwierała swoje paczki.

– Piękną sukienkę dla Jac, torbę dla Joan, kupiłam Serze bluzkę na święta i parę koszul i pasek dla Sama.

– Dla kochasiaaaa – podśpiewywał dalej Asif, fruując w kółko po pokoju jak dyrektor wrózek.

– Zamknij się, Asif – powiedziała, pakując rzeczy.

– A ty? Co kupiłaś dla siebie?

– Nic – powiedziała.

– Co? – Asif zatrzymał się w pół kroku. – Jak to nic?

– No nic, jakoś nie miałam ochoty.

– Ale chyba nie zrywasz z markowymi ciuchami, prawda?

– Nie zaczynam jeszcze programu dwunastu kroków, nie musisz się martwić. Pomyślałam, że może zacznę oszczędzać na bliźniak w Paddington i stworzę wreszcie jakiś dom.

Nie mogę uwierzyć, że stoimy przed Elephant Bar! – krzyknęła podekscytowana Chantrea. – Wiesz, że to jeden z najsłynniejszych barów na świecie?!

– Oczywiście, że wiem – złążała ją matka. – Twój ojciec i ja byliśmy tu całkiem popularni, jak mieliśmy po dwadzieścia parę lat – powiedziała z dumą. – Kierownik tak nas cenił, że często stawiał nam drinki.

– Naprawdę, mamó? – spytała Chantrea. – To niezwykle. Musiałaś być bardzo znana, prawda?

– Próbuję ci to powiedzieć od lat, ale przecież nie chciałaś słuchać – odpowiedziała Dara i trzy podróżniczki wspięły się po schodach z terakoty do oszklonych drzwi.

Chantrea spojrzała na Sally.

– Nie jesteś za bardzo zmęczona, kochanie? To był ciężki dzień.

Poważne małe oczy spojrzały na nią z dołu.

– Nie, mamusiu. Naprawdę chciałabym zobaczyć słonie.

Chantrea się zaśmiała.

– Ale wiesz, że nie są prawdziwe?

– Oczywiście, mamó. – Dziewczynka przewróciła oczkami. – To są malowidła słoni.

Kambodżańska przygoda Sally oficjalnie rozpoczęła się tego ranka, kiedy obudziły się w hotelowym pokoju nad rzeką. Przed nimi lśniły wody Tonle Sap, a ruch na nich walczył o palmę pierwszeństwa z ruchem na ulicach.

Pojechały tuk-tukiem do Pałacu Królewskiego, jednego z nielicznych skarbów narodowych, jakie oszczędzili Czerwoni Khmerzy, będącego siedzibą obecnych władców.

Chantrea, zarażona podnieceniem Sally z powodu pobytu w bajkowym pałacu, obesła z córką cały teren, podziwiając piękno rzeźb, małych pałacyków i stup upamiętniających zmarłych

członków królewskiej rodziny.

Ulubionym miejscem Sally wyraźnie była Srebrna Pagoda. Kiedy dziewczynka pierwszy raz zobaczyła srebrne kafle zdobiące podłogę, od razu zasugerowała, żeby takimi płytkami zastąpić deski w domu.

– Wspaniały pomysł – zgodziła się Chantrea.

Szmaragdowy Budda, patrzący w swoim czystym pięknie ze złotego podium, momentalnie przygasił ich gorączkę. Wpatrywały się w niego z wielką czcią. Chwila powagi prysła, gdy Sally pisnęła na widok posągu Buddy przyszłości stojącego u podnóża szmaragdowego. Był z czystego złota, cały pokryty diamentami.

– Ojejku, musi być wart kwintyliony! – wykrzyknęła.

Zwiedzanie Pałacu Królewskiego zajęło im większość dnia. Chantrea nie chciała pominąć żadnego faktu z historii ani żadnej płaskorzeźby.

– Twój ojciec i ja byliśmy kiedyś honorowymi gośćmi na bankiecie w Pałacu Królewskim – pochwaliła się Dara Kim. – Miałam długą blad różową suknię. Wyglądałam jak wielka orchidea.

– Och, babciu Yay, musiałaś być piękna – westchnęła Sally, patrząc z wielkim podziwem na domek dla lalek w pawilonie Napoleona III.

Kiedy w końcu usiadły w Elephants Bar, bolały je nogi. Odpoczywały w wiklinowych fotelach, czekając na napoje. Chantrea spojrzała na towarzyszkę podróży.

– Mamo, Sally, bardzo wam dziękuję za pomysł tej wyprawy. Naprawdę się cieszę, że tu jestem. Miałyście rację, to piękny kraj. Taka bogata kultura i architektura, no i można dać się zabić za ich francuską kuchnię. Wreszcie zrozumiałam, co miałaś na myśli. Tę wielkość.

Dara Kim oceniała motywy słoniowe na ścianie, kiedy kelner przyniósł im legendarne koktajle i sprite'a dla Sally.

– Mmmm – powiedziała starsza pani, potrząsając ramionami. – Tak, to miejsce jest miłe, ale to nie to, co Sydney – to dopiero miasto!

Jacqueline wyjrzała na zewnątrz, na pastwisko. Dalekie „muuu” odbijało się między pofalowanymi zielonymi wzgórzami. Góry połyskiwały od poruszanych wiatrem listków eukaliptusów. Była zachwycona, kiedy Thomas zaproponował weekendowy wyjazd na farmę.

Chłopcy byli na wakacjach, Thomas rozszerzał praktykę o kolejny gabinet i wszyscy wspierali jej rozwijające się w szybkim tempie przedsiębiorstwo Ciasteczkowa dama. Spojrzała na męża siedzącego obok w białym bambusowym fotelu i się uśmiechnęła.

– Napiłbym się piwa, kochanie – wymruczał zza czasopisma.

– Wiesz, gdzie jest lodówka – odpowiedziała i zamykając oczy, oparła głowę o kwiecistą poduszkę, ciesząc się słońcem późnego popołudnia.

– A, tak, oczywiście – powiedział i wstał.

W ciągu paru sekund jej kieliszek został napełniony winem.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała.

Mallory zatrzymała się na chwilę, żeby odpocząć. Ostatni odcinek nadbrzeżnej ścieżki był naprawdę trudny. Schody były tak strome, że nie wiedziała, jak ludzie mogą po nich biegać. Zeszła na trawę, żeby przepuścić kolejną lokalną biegaczkę, wszystkie miały wystające tyłki, dresy z weluru i końskie ogony w różnych odcieniach blondu.

Dotarła do najwyższego punktu i weszła na okrągły, wybrukowany placyk widokowy. Oddychając głęboko po wysiłku, patrzyła na ocean. Za nią była plaża Bondi, a przed nią rozpościerał się południowy Pacyfik, jak olbrzymi błękitno-zielony dywan, pofalowany i głęboki.

Fale odbijające się od klifów poniżej miały kolor szkła, pieniały się pozornie nieszkodliwie. Okolica była piękna. Poranny deszcz utworzył zaimprovizowane wodospady, które spływały po nierównych zboczach. Strumyki przeskakiwały kamienne półki, wpływając w paprocie i zostawiając szmaragdowy dywan alg.

Mallory odwróciła się w stronę plaży.

Konstrukcje, które przycupnęły w odległym punkcie zatoki i wkradały się do plażowego miasteczka, przypominały jej domki na

skałach, które kiedyś widziała na Skiathos; każdy z nich wyglądał tak, jakby starał się wyrosnąć ponad inne, żeby mieć lepszy widok.

Popatrzyła na różnorodność poszarpanego oblicza klifów. Porowata wydęta skała wydawała jej się ogromna, kiedy przechodziła pod nią kilka minut wcześniej. Z tego miejsca wyglądała łagodnie w pastelowej palecie beżu, rdzy i ochry.

Świerzbiły ją palce, chciała w jakiś sposób wejść w posiadanie tego piękna, odtworzyć je, żeby było tylko jej. Obiecała sobie, że następnym razem weźmie aparat, żeby przynajmniej tak je utrwalić.

Nigdy nie widziała tego terenu w takich szczegółach. Teraz musiała iść wolno, więc miała czas, żeby patrzeć i zwracać uwagę na to, co ją otacza. Biegając tu w przeszłości, tylko liczyła kilometry i mierzyła puls. Tym razem było inaczej.

Poczuła napięcie smyczy i spojrzała w dół na białą futrzaną kulkę, którą razem z Tilly nazwały Miffy. Szarpała się rozpaczliwie, chcąc podejść do niezwykle interesującego zapachu dochodzącego z kwitnących gazanii otaczających ścieżkę.

Mallory szybko zauważyła, że krótkie nóżki shitzu nie nadawały się do niczego, jedynie do kopania w ziemi i zabawy. Szczeniaczek zdecydowanie wolał podziwiać widoki na jej rękach. Mallory to nie przeszkadzało: było coś bardzo kojącego w trzymaniu pod pachą ciepłego puchatego kłębuszka. Ale na każdym przystanku Miffy życzyła sobie zejść na ziemię i obwąchać najbliższe miejsca, żeby upewnić się, że w świecie jej powonienia wszystko jest w porządku.

Odbывała się tu właśnie wystawa rzeźby, więc kobieta i piesek zatrzymali się na dłużej. Mallory podziwiała dzieło przedstawiające żaglówki, laserowo wycięte ze stali o kolorze rdzy, a Miffy zachwycała się psią kupą imponujących rozmiarów.

Rustykalne, industrialne cechy instalacji żeglarskiej o nazwie *Wszyscy na morzu* autorstwa słynnego artysty z Melbourne Roberta Delvesa, podkreślał poszarpany, szorstki krajobraz.

Miffy zaczęła szczekać cienkim głosem, więc Mallory odwróciła się, żeby zobaczyć, co wywołało jej zainteresowanie.

Szczeniak podskakiwał wysoko, usiłując dać za swoje wielkiemu przyjaznemu labradorowi. Psisko uśmiechnęło się głupkowatym uśmiechem labradorów i polizało Miffy tak mocno, że przewróciła się na boczek. Podniosła się szybko, ujadając na taką zniewagę. Mallory uśmiechnęła się do właściciela labradora, również dużego i blondwłosego jak jego pies, ale nieszczerzącego się tak głupio.

– Jaki śmieszny – powiedział. – Co to za rasa?

– Shitzu – odpowiedziała i podniosła wyrywającą się kulkę.

Nóżki Miffy zwisały po obu stronach ręki Mallory i tylko jedno czarne oczko wyglądało spod jedwabistej grzywki.

– Jest rozkoszna – powiedział i podrapał ją za uszkiem. Nogi Miffy zadrgały z przyjemności. – Podoba ci się to? – spytał, wskazując rzeźbę.

– Tak, jest piękna. Dopiero zaczęłam oglądać, chciałam przejść dalej i zobaczyć, co jeszcze jest wystawione.

– Jest jedna fantastyczna, zrobiona chyba z akrylu – jest przezroczysta – powiedział. – Fascynujące ujęcie *Nowych szat cesarza*. To metafora artysty na obsesję urody mieszkańców Sydney.

– Naprawdę? – spytała zaciekawiona Mallory. – Nieźle.

– Tak, nieźle. Znam prace tego artysty i wydaje mi się, że jest najlepsza ze wszystkich. Nie tak wyrafinowana jak to dzieło Delvesa, oczywiście. Przy okazji – jestem Paul.

Mallory wyciągnęła swoją małą dłoń.

– Mallory – odpowiedziała, uśmiechając się szeroko.

Kiedy spacerowali pomiędzy eksponatami, dowiedziała się, że Paul jest właścicielem galerii wystawiającej sztukę uliczną i industrialną. Labrador Boris i Miffy radzili sobie całkiem nieźle od czasu, gdy zrozumiał, kto tu jest szefem.

Paul dał Mallory krótki kurs rzeźby i formy. Kołowało jej się w głowie od nowych pomysłów i pojęć. Lekcja skończyła się zbyt szybko, kiedy dotarli na część plaży zwaną Tamarama, ulubioną przez cudowne młode istoty, które często odwiedzały to niebo topless. Dzisiaj na brzegu odbywał się zaimprovizowany konkurs mokrego podkoszulka. Potężni młodzi mężczyźni prężyli mięśnie

w wodzie po kolana z koszulkami klejącymi się do piersi, a tak samo młode i piękne dziewczęta napawały się ich widokiem.

Po szybkiej kawie w przybrzeżnej kafejce Paul zaprosił Mallory do swojej galerii na wieczorny wernisaż. Pożegnali się i Mallory poszła do samochodu pozytywnie nastawiona do przyszłości po raz pierwszy od paru miesięcy.

– ...i Space Mountain, i statek podwodny Nemo, i Piraci z Karaibów...

– I herbatka u Mad Hattera. – Alexandra przerwała litanie siostry, co pierwsze trzeba zobaczyć w Disneylandzie.

– Tak, tak. – Sam śmiał się z ich entuzjazmu. – Ale dopiero weszliśmy w bramę. Mamy z Bellą szansę, żeby najpierw napić się kawy?

– NIE! – krzyknęły dziewczynki i odbiegły, bo Pluto i jego drużyna wyłaniali się zza rogu.

Sam zastanawiał się, czy ma prawo być taki szczęśliwy. Park kąpał się w jasnym słońcu Los Angeles, co wzmagало uczucia życzliwości i dobrego samopoczucia, z których słynął Disneyland. Z ukrytych głośników leciała żwawa muzyka.

Patrzył zdziwiony na hordy turystów wlewające się do parku. Japończycy kupowali każdy markowy produkt, od nakładek na ołówki po maszyny do robienia lodów. Europejczycy robili zdjęcia i czytali tablice, a Amerykanie jedli.

Ulice były wyczyszczone z każdego pyłku, na ścianach nie było śladu brudu, a w łańcuchach światełek na kolorowych fasadach nie brakowało ani jednej żarówki. Prawdziwy świat fantazji.

Spojrzał na piękną kobietę stojącą u jego boku, uśmiechającą się do jego dzieci, i zastanawiał się, czy ona też jest tylko iluzją. Dotknął lekko jej ramienia i poczuł ciepło i pulsującą krew. Jej skóra była miękka i jedwabista. Była bardzo prawdziwa. Odwróciła się do niego i objęła go w pasie. Kiedy on ją objął, jej ramiona wpasowały się dokładnie pod jego.

– Jest wspaniale, Bella – powiedział. – Bardzo dziękuję, że to zorganizowałaś.

– Jak dla mnie świat powinien być placem zabaw – odpowiedziała i patrzyła, jak dziewczynki podskakują, czekając na swoją kolej ze sławnym psem.

– Ale cieszę się, że poświęciłaś swoje bezcenne wakacje, żeby spędzić je w parku rozrywki wypełnionym dziećmi – i to w części moimi.

– Zwariowałaś? Uwielbiam twoje córki. Miałyśmy tyle uciechy na wczorajszych zakupach.

– Za bardzo je rozpuszczasz – powiedział. – Nie powinnaś tyle na nie wydawać.

– E tam, jesteśmy na wakacjach. Obiecuję, że gdy wrócimy do domu, zamienię się z powrotem w nikczemną macochę.

– A będziesz nosiła pelerynę i wysokie buty i będziesz potrząsać berłem? – spytał z zuchwałym uśmiechem.

– Tylko wtedy, gdy przyrzekniesz, że będziesz najbardziej sprawiedliwy w królestwie – odpowiedziała.

Uniosła twarz i pocałowali się w tym najszcześniejszym miejscu na ziemi.



Do świadomości Vince'a dotarł straszny, pierwotny wrzask. Leżał na fotelu w szpitalnym pokoju pogrążony w sportowych stronach gazety, kiedy krzyk Sharee postawił go na nogi.

– Wszystko w porządku, Sharee? – zapytał bardziej z irytacją niż z troską.

Trzy godziny temu został brutalnie wyrwany ze snu – waliła go bezceremonialnie pięścią i krzyczała:

– Już czas! Rusz się!

Mallory nigdy by go tak nie potraktowała. Sharee okazała się większym kłopotem, niż była tego warta. Ale przecież był człowiekiem honoru: zrobił jej dziecko („swoimi wspaniałymi pływaczkami”, przypomniał sobie z dumą) i zamierzał być ze swoją nową rodziną. Dużo im zawdzięczał. No i byłoby cudownie mieć syna. Chodziliby razem na mecze; szlajali się; pili piwo; żeglowali – byłoby superancko.

Biedna Mallory, czasami czuł lekkie wyrzuty sumienia, że ją rzucił. To dobry dzieciak. I nie było im źle razem. „Problem w tym – myślał, patrząc na gazetę niewidzącym wzrokiem – że kocham ją, ale nie jestem w niej zakochany”. Zaslugiwał na szczęście, a mały łobuz będzie świetny.

Poza tym Sharee to niezła laska, świetna w łóżku (nie, żeby ostatnio było dużo akcji, ale to się zmieni, jak tylko urodzi się dziecko). Sharee była trochę jak on, mieli razem niezły ubaw – a czy nie o to w życiu chodzi? Żeby się dobrze bawić? Ale nie było łatwo rozstać się z Mal. Czuł się podle przez kilka dni.

A teraz Mallory i tak nie przyjęłaby go z powrotem. Zaraz po świętach zrobił się trochę sentymentalny i chciał pojednać się z byłą żoną. Powziął genialny plan, że rzuci Sharee dopiero wtedy, gdy uda mu się wrócić do Mal, na wypadek gdyby na to nie poszła.

Więc kiedy Mallory go odrzuciła (wśród salw zupełnie niepotrzebnego historycznego śmiechu) nic naprawdę się nie stało.

Nigdy nie zamykał za sobą drzwi.

– Nie pal za sobą mostów, synu – mawiał jego ojciec.

No i był tu, w punkcie A. Musiał przyznać, że na razie nie jest to beczka śmiechu, ale wszystko się zmieni, kiedy za sześć miesięcy zabierze swoją nową rodzinę na wakacje na łódce.

– Gdzie jest ten cholerny anestezjolog?! – Sharee krzyczała na położną. – Potrzebuję tego znieczulenia TERAZ!

– Już za późno, kochana – powiedziała położna kojącym tonem. Jasne było, że przyzwyczała się już do rzucających obelgi, przerażonych rodzających. – Masz już dziesięć centymetrów rozwarcia i szybko to poszło. Dobra robota. Zaraz będziemy rodzić. Postaraj się przeciw przy następnym skurczu.

– Gdzie, kurwa, jest mój położnik? Nie chcę, żeby moje dziecko odbierała pielęgniarka. Zwłaszcza że zdecydowało się wyleźć o cholerny miesiąc za wcześniej!

Vince westchnął i podniósł się z krzesła; chyba musi się zaangażować.

– Dzwoniliśmy do twojego lekarza i jest już w drodze. Ale straszny dziś ruch, a kto mógł się domyślić, że pójdziesz ci tak szybko – odpowiedziała położna, ignorując zniewagę. – No, widać już główkę, spróbuj przeciw mocno przy następnym skurczu, kochanie, bardzo dobrze ci idzie. O Boże – powiedziała, patrząc na pojawiającą się główkę dziecka.

– Co się stało? – spytał Vince. – Coś nie tak?

– Wszystko w porządku, ale najlepiej, jeśli nie będziesz tu podchodził. Stój przy partnerce i trzymaj ją za rękę.

Druga położna krzątała się po pokoju, przygotowując łóżeczko, lampę grzewczą i pierwsze ubranko.

Odbierająca poród spojrzała na monitor.

– Przygotuj się, kochanie, nadchodzi kolejny skurcz, przyjdź tak mocno, jak możesz. Musimy wyjąć główkę.

– Myślisz, głupia krowo, że nie wiem, że nadchodzi. Czy ja jestem... – Tyrada Sharee została przerwana, kiedy skurcz opasał jej plecy i brzuch jak szczęki krokodyla.

Wrzasnęła i zgmiotła dłoń Vinca.

– To bolało – jęknął i wyjął ją z uścisku. – Jeśli zamierzasz się tak zachowywać, ściskaj swoją rękę. – Włożył uszkodzoną dłoń pod drugie ramię i wysunął dolną wargę.

Sharee potężnym parciem za jednym zamachem wypchnęła maleńką istotkę na świat. Położna chwyciła ją zanim uderzyła w blat.

– Och, masz małą córeczkę – powiedziała i pośpiesznie zawinęła dziecko w ciepły kocyk.

– A to co, kurwa? – Vince żądał wyjaśnień. – Mówiłaś, że będzie chłopiec!

– Tak myślałam – protestowała Sharee. – Nie wiem, tak wyglądało na USG.

Położna przewróciła oczami. Tych dwoje dobrało się w korcu maku.

– Cieszcie się, że jest zdrowa – powiedziała i odwróciła się, żeby zaprezentować maleństwo dumnym rodzicom. – I ma taką piękną skórę!

Nadąsany Vince gapił się przez okno, kiedy matka po raz pierwszy wzięła w ramiona noworodka.

– Ach – powiedziała słabym głosem.

– Co? – Vince odwrócił się, żeby zobaczyć, o czym gada jego dziewczyna.

Spojrzał na ciasno owinięty tobołek; mała odwróciła główkę i złożyła usta, jakby instynktownie zaczęła ssać pierś.

Gładka skóra noworodka była koloru najciemniejszego karmelu, a maleńką główkę otaczały czarne, ściśle paciorki.

Dom w Paddington nie przeżywał takiego poruszenia od czasu ślubu Tony'ego i Sery. Walizki waliły o schody, dzieci wybiegały i wbiegały do sypialni, wypełniając nieistotne zadania, które miały im dać zajęcie i usunąć je spod nóg (choć niestety często efekt był odwrotny), telefony dzwoniły, Sera i Joan dyskutowały i decydowały o odrzucaniu ubrań z prędkością światła, a Tony sprawdzał dokumenty, zabezpieczał dom i ustalał ostatnie rzeczy ze swoją ekipą budowlaną.

Jechali do Włoch.

Kiedy już wszyscy oswoili się z informacją o pochodzeniu Tony'ego i uczcili jego dziedzictwo obiadami z różnymi rodzajami pasty i muzyką Verdiego, Pucciniego i Belliniego płynącą z głośników, Tony i Sera przekonali Joan, żeby zadzwoniła do Antonia.

Tony był zachwycony, gdy odkrył swoje prawdziwe nazwisko, Tony Dionizetti, i zagroził w uniesieniu, że od razu zamierza je przybrać. Sera ostudziła jego zamiary, przypominając, ile biurokracji wiąże się ze zmianą nazwiska w pewnym wieku.

Po godzinach googlowania i wielu wykonanych telefonach odnaleźli właściwego Antonia Dionizettiego. W okolicach Positano mieszkało czterech mężczyzn o takim nazwisku, ale tylko jeden był, ostatnio emerytowanym, mistrzem kamieniarskim. Kiedy dzwonił do niego, w Sydney była późna noc, a we Włoszech wczesne popołudnie.

– Pronto? – dobiegł ich z drugiej strony głos.

Chociaż był nieco zmieniony wiekiem, Joan od razu wiedziała, że to właściwy numer. Nawet czas nie mógł dotknąć głębokiego barytonu, o którym śniła ostatnie czterdzieści lat.

– Antonio? – szepnęła ze ściśniętym gardłem.

– Joan?

– Tak.

Jedynym dźwiękiem, jaki przez kilka sekund można było usłyszeć na linii, były trzaski. Nie byli w stanie powiedzieć słowa, przepełnieni tęsknotą, żalem za latami, które odeszły, za życiem, którego nie doświadczyli.

W końcu przemówił mężczyzna z Positano.

– Moja bella signora – powiedział z takim uczuciem, że po twarzy Joan spłynęło morze łez.

Tony i Sera przysiedli na brzegu kanapy w drugim końcu pokoju, obserwując rozwój sytuacji.

– Och, Tony – odpowiedziała Joan.

Oboje zaczęli się śmiać i radować, czując ulgę, że znów nawiązali kontakt. Tony chwycił rękę Sery, gdy po raz pierwszy usłyszał głęboki śmiech swojego ojca roznoszący się ze słuchawki telefonu po całym pokoju.

Ta rozmowa była pierwszą z wielu. W ciągu kolejnych dni nastąpiły prezentacje, wyszły na jaw tajemnice, odłożono na bok wzajemne obwinianie się, wybaczone i zapomniano, nastąpiło ponowne połączenie i związane z tym gratulacje i szeptano czułe słówka. Kabel dwumilimetrowej średnicy bez zarzutu przynosił rodzinny teatr z jednej strony świata na drugą.

I zapadła decyzja. Za dużo czasu już stracili. Już ani jedna sekunda tego kruchego związku nie powinna zniknąć w otchłani czasu. Chcieli go spotkać, człowieka, który pozostawił niezatarty ślad na ich małej rodzinie w Paddington.

Tony zarezerwował bilety do Neapolu przez internet, a dzieci biegały w kółko, wyśpiewując wszystkie włoskie słowa, jakie znały: spaghetti, cappuccino, Roma, Florentine.

Sera zebrała się na odwagę i dopadła Joan w sypialni.

– Joan, kochanie – powiedziała z uśmiechem, który miał złagodzić moc uderzenia. – Czas najwyższy, żeby cię trochę odnowić.

„Zupełnie, jakbym miała do czynienia z chichoczącą młódką”, pomyślała Sera, kiedy razem z Joan udały się na depilację do Benefit – spa dla gwiazd. Niedawno otwarty salon, rodem z San Francisco, był nawiedzany przez tłumy kobiet

chcących poddać się ich zabiegom, a co ważniejsze, móc później o tym opowiedzieć.

Joan cofnęła się w rozmowach do wieku nastu lat.

– Myślisz, że mu się spodoba? Mówiłam ci, co mi powiedział, jak ostatnio rozmawialiśmy? Czy w tych spodniach nie wyglądam grubo?

– Tak, tak i nie, Joan – odpowiedziała Sera, nadzorując metamorfozę z krzesła w kącie.

Przeglądała katalog mody, zaginając rogi stron z reklamami odzieży dla pań w pewnym wieku, zamierzających się udać do Europy na schadzki.

Następne w kolejce były włosy. Fryzura na księżniczkę Dianę została zmiękczone i prostowana, dopóki włosy nie zaczęły bardziej przylegać do uszu i szyi. Ulubiona ruda farba Joan, której używała przez dziesiątki lat, została zastąpiona miodowym brązem, poprządkanym subtelnymi jaśniejszymi pasemkami.

Oczy Joan z koloru glonów nabrały odcienia szmaragdów, kontrastując z nową barwą włosów i rzucały błyski, kiedy podziwiała nową siebie.

– Mój Boże, wyglądam o dziesięć lat młodziej – powiedziała, a fryzjer uśmiechnął się z dumą.

Przyszedł czas na specjalność Sery. Posadziła Joan na stołku w stoisku Diora. Pokryła jej dojrzałą skórę fluidem Diorskin Sculpt 010, który całkowicie zakrył przebarwienia i zmniejszył okrutne linie wyrzeźbione przez czas.

Zawsze wiedziała, że Joan bardziej pasują jaśniejsze barwy lata niż jej zwykle kasztany i mchy, które sprawiały, że wyglądała jak rozbudzona śmierć. Na wystające kości policzkowe nałożyła jej Diorblush w kolorze Naive Rose, a na powieki Diorsweet, mieszankę kremu i różu. Do tego tusz do rzęs i Joan wyglądała stylowo i ładnie.

– Nigdy nie wierz, że młodzieżowe marki są tylko dla dzieci – doradziła Sera, przeszukując wieszak, który wciągnęła do dużej przymierzalni. – U każdego projektanta znajdziesz coś dla siebie. Musisz tylko wiedzieć, czego szukasz. Acha! – Wyciągnęła

grafitowy żakiet z plisowanym kołnierzem i szczypankami w pasie. – I twój rozmiar to nie szesnaście, masz szczupłą figurę. Powinnaś nosić rzeczy bliżej ciała, które nie wiszą na tobie jak worek. Jestem pewna, że masz czternaście, a może nawet dwanaście.

Kiedy Joan wróciła wieczorem do domu po całym dniu oporządzania, Tony wstał, widząc wchodzącą do pokoju efektowną starszą panią, gotowy poznać kolejną przyjaciółkę Sery. Zabrało mu dobrą chwilę, zanim do niego dotarło, że ta elegancka kobieta z szerokim uśmiechem to jego mama.

Sera obracała się przed lustrem, podziwiając nowy kostium kąpielowy. Miał mocno obejmować ciało i gwarantować, że wygląda się na pięć kilogramów mniej.

Kiedy odwróciła się, żeby spojrzeć na pupę, zdecydowała, że był wart swojej ceny. Specjalnie skrojone profile podnosiły tam, gdzie powinny, i spłaszczały to, co powinno zostać spłaszczone. Czowała, że wygląda szczupło.

– Mamusiu, pięknie wyglądasz! – krzyknęła Maddy, wpadając do pokoju.

– Dziękuję, kochanie. – Sera uśmiechnęła się, starając się instynktownie zakryć bliznę ręką.

Maddy wpatrywała się w rzadko wystawianą na widok publiczny fioletową i pomarszczoną skórę na nodze matki i Sera wolno zdjęła rękę z uda, pozwalając córce zobaczyć całość.

Maddy nigdy wcześniej nie wspominała o bliznie. Jakby instynktownie wiedziała, że to tabu.

Teraz jednak spytała:

– Mamusiu, jak sobie to zrobiłaś?

– Cóż – odpowiedziała Sera z lekkim uciskiem w żołądku. – Byłam małą dziewczynką, nawet mniejszą niż ty, prawie taką jak Harry i miałam niedobry wypadek.

– Och, mamusiu, biedactwo. – Maddy podniosła na nią oczy pełne troski.

– Na szczęście ciocia Bella była tam i mi pomogła – powiedziała, przytulając Maddy.

– A co to był za wypadek, mamusiu?

Sera westchnęła cicho.

– Wiesz, że dzieci nie powinny podchodzić do czajnika albo pieca, albo kominka?

– Tak – odpowiedziała Maddy, wciąż wpatrując się w nogę swojej mamy.



– To dlatego, że może się zdarzyć jakiś wypadek, tak ja się mnie przytrafiło. Przez przypadek zrzuciłam na nogę rondel pełen wrzącej wody.

– Och, nie! – Maddy nabrała powietrza. – Czy to wciąż cię boli?

– Nie, już nie, ale wtedy bolało. Musiałam na długo iść do szpitala.

– Naprawdę? Czułaś się tam samotna? Tęskniłaś za swoją mamą?

– Tak, trochę. – Sera uśmiechnęła się łagodnie. – Ale najbardziej tęskniłam za Bellą. Mimo że przychodziła do mnie codziennie.

– Ciocia Bella jest taka miła, mamusiu. Kiedyś często przychodziła i się z nami bawiła. Dlaczego teraz już nie? – spytała Maddy, zapominając o bliźnie.

– Wiem, też za nią tęsknię, ale musisz zrozumieć, że ciocia Bella ma własne życie. Jest bardzo zajęta. Poza tym często przychodzi, choć nie ciągle.

– Ale zawsze pomagała mi robić gwiazdki. I kolorować. Rysuje piękne jednorożce.

– Popatrz na swoje jednorożce, kochanie, są piękne i bez cioci. Możesz sama zrobić piękne jednorożce i gwiazdki.

– Chyba masz rację.

– A poza tym – uśmiechnęła się Sera – myślę, że teraz ciocia Bella będzie spędzać dużo więcej czasu w Sydney, bo ma chłopaka.

– Naprawdę? Jest fajny?

– Tak, to Sam. Wiesz, tata Issy i Alex.

– To fantastycznie! – Maddy klasnęła w dłonie. – Oni są bardzo mili. Maddy zmarszczyła czoło: – To teraz, jak już jej tak bardzo nie potrzebuję, wróci do nas?

– Zgadza się. – Sera pokręciła głową, zastanawiając się nad przebiegiem konwersacji.

– Czy to nie zabawne?

– Oczywiście, że tak – powiedziała Sera. – A może

pójdziecie z tatą i Harrym na zewnątrz do basenu, a ja niedługo do was dołączę?

– Dobrze, mamo, kocham cię – powiedziała Maddy i wyszła, podskakując.

Sera znów odwróciła się do lustra i przyjrzała się z bliska nodze. Blizna wydawała się mniejsza – nie chodziło o rozmiar, ale o jej znaczenie.

Tak długo, prawie przez całe życie, pozwalała jej definiować to, kim jest. Jakby rana wzdłuż nogi była osadzona w jej duszy. Przejechała dłonią po pofałdowanym ciele. Jest jej, ta blizna, ten zniszczony kawałek skóry – i tylko to. Jest jedynie skutkiem strasznego wypadku, chwili, która została wypalona na jej ciele.

Nie chciała dłużej się ukrywać. Chciała żyć, śmiać się i cieszyć mężem i dziećmi.

Doszły do niej odgłosy plusków i pisków. Uśmiechnęła się do lustra i złapała ręcznik z łazienki, zatrzymując się po drodze, żeby wytrzeć z grafitowych kafelków ślady porannego mycia zębów.

Do nowego dziedzińca dodali basen. To takie okropnie nowobogackie, ale nie liczyły się już dla niej opinie innych. Przestała się przejmować. Wciąż podziwiała piękne rzeczy, ale ich styl życia się zmienił. A w przypadku czegoś, co miało im wszystkim sprawić przyjemność, jak choćby ten basen, stawała się zupełnie ślepa na stronę estetyczną. Dzieci były uszczęśliwione nową zabawką, a ona i Tony cieszyli się leniwymi godzinami, sącząc wieczorami w basenie szampana i romansując.

Joan też ucieszyła się z tego pomysłu, kiedy zadzwonili do niej do Włoch. Nie wiedziała, kiedy wróci, może na Wielkanoc, ale tylko po to, żeby przedłużyć wizę. Podróżowali z Antoniem po wybrzeżu, a teraz wygrzewali się na plaży w Sorrento. Zamierzali wrócić do Positano pod koniec tygodnia na kolejne rodzinne imprezy zapoznawcze.

Antonio nigdy się nie ożenił. Jego serce było zajęte, jak wyjaśniał wielu znajomym dziewczynom. Ale jego cierpliwość została nagrodzona – tłumaczył kuzynom i kuzynom kuzynów, a

jego ręka nie opuszczała talii Joan. Jego bella signora wróciła do domu i nawet pięknie mówiła w ich języku.

Sera podczas sprzątanía miała gołe nogi. Kończyła je w pośpiechu, żeby dołączyć do Tony'ego i dzieci. Wpadła jeszcze zrobić porządki w ich pokoju. Ostatnio został odnowiony i tak jak chciała, tkaniny były w kolorach mandarynki, dyni i lemonki, ale zostawiła dużo przestrzeni dla pomysłów dzieci.

Klepnęła poduszkę w paski i rzuciła ją na krzesło Maddy ze wzorem w stokrotki. Syknęła, patrząc na zdolności synka do ścielenia łóżka, i wyprostowała poszewkę ze Spidermanem, rzucając poduchę z wizerunkiem Dory na łóżko córki.

– No dobrze – powiedziała, obracając się, żeby rzucić na pokój ostatnie spojrzenie. – Jest idealnie.

E.H.

## Podziękowania

Michelle Hamer pragnie podziękować:

Swoim kochanym dzieciom: Harley, Ruby, Darcy i Oliverowi za ich miłość, oddanie i wsparcie w trudnych chwilach towarzyszących powstawaniu tej książki.

Harley, dziękuję za piękne zdjęcie.

Wspaniałym Kelly Cooper i Tracey Caulfield, które niezmiennie dają mi niezawodne wsparcie, za ich wiarę we mnie. Gdzie byłabym, gdyby nie one na drugim końcu linii telefonicznej? Dziękuję wam obu za wszystko, bo bez was nie dałabym rady.

Nie byłoby Cate Kendall bez oddania i zaangażowania współautorki Lisy Blundell. Dziękuję Lisie i jej cudownemu mężowi, Ianowi, za ich wsparcie. Kocham waszą pracę!

Dziękuję też Johnowi Meritonowi za cierpliwość i pomoc podczas redagowania książki oraz za porady dotyczące wszelkich kwestii technicznych! Wielkie dzięki dla wspaniałej ekipy wydawniczej w Random House, dzięki której pisanie książek sprawia prawdziwą radość.

Dziękuję naszemu wydawcy, Larissie Edwards, redaktorce Robercie Ivers, korektorce Jessice Dettmann i entuzjastycznym pracownikom marketingu w Random House.

I dziękuję mojej agentce Selwie Anthony, która jak zawsze jest moją podporą, służąc mi przez telefon inspiracją i dobrą radą.

Lisa Blundell pragnie podziękować:

Selwie Anthony, cierpliwej, wykwalifikowanej i niezwykle dyplomatycznej kobiecie; cudownej Larissie Edwards, naszemu wydawcy, która zawsze znajduje dla nas wystarczającą ilość czasu; Robercie Ivers, naszej utalentowanej redaktorce; Jessice Dettmann, naszej biegłej korektorce.

Bardzo dziękuję członkom społeczności kambodżańskiej, którzy dzielili się z nami opowieściami i pomagali w

tłumaczeniach; strażnikom z Waverley Council za ich dogłębną wiedzę o nabrzeżnych terenach Bondi; Gabrielowi McMahonowi z linii Qantas i obsłudze pokładowej z Virgin.

Dziękuję też za porady artyście z Melbourne Robby'emu Delves, artyście z Sydney Jo Neville, Paper Couture, Darlinghurst. Lucy, Philowi i Samowi – za wysłuchiwanie do znudzenia opowieści o tej książce w trakcie jej pisania: jestem niezmiernie wdzięczna za waszą przyjaźń. Dziękuję też Steve'owi Wellerowi za moje zdjęcie.

Oczywiście dziękuję również mojej współautorce Michelle.

Pragnę też podziękować Australiasbiggestbookgroup.com za wybór Cate Kendall jako ich autora w odważnej próbie pozyskania funduszy potrzebnych na pomoc osobom z dystrofią mięśni. Dziękuję wszystkim zaangażowanym w tę akcję.

I, jak zawsze, olbrzymie podziękowania dla mojego najdroższego męża, bez którego nasza czwórka dzieci prawdopodobnie nigdy nie dostałaby posiłku!

Więcej informacji o książkach Cate Kendall znajdziecie Państwo na stronie [www.catekendall.com](http://www.catekendall.com)

